

Katherine Stone

Melodie miłości

1

Southampton, Long Island, Nowy Jork

czerwiec 1989

Kiedy Paige Spencer pojawiła się nagle w drzwiach Sali Azaliowej,

wszyscy w pół słowa przerwali rozmowy i zwrócili na nią pełne zachwyty, zaintrygowane spojrzenia.

Co robi Paige w restauracji eleganckiego Klubu Southampton w poniedziałek? W samo południe? W sobotni wieczór Paige mogłaby tu pełnić honory pani domu na eleganckiej kolacji, z której dochód zostałby później przeznaczony na cele dobroczynne, uczestniczyć w gali Muzeum Sztuki albo w przyjęciu na cześć dyrygenta orkiestry symfonicznej. Ale w poniedziałek, w porze lunchu?

Co, a raczej kto był na tyle ważny, by Paige oderwała się od swych licznych obowiązków i przyjęła zaproszenie na lunch w środku dnia?

Paige Barclay Spencer, wspaniały symbol nowego pokolenia kobiet, nie tylko z Southampton, które było z niej dumne, ale kobiet w ogóle. Zręcznie, w sposób całkiem naturalny potrafiła pogodzić rolę żony, matki, pani domu z najlepszych sfer, bojowniczką o słuszne sprawy, patronką sztuk pięknych i wziętego architekta z Manhattanu.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że sprostanie temu wszystkiemu wymagało od niej dużego wysiłku i surowej dyscypliny. Dlatego też zgromadzone w Sali Azaliowej panie nie przypominały sobie, by przyszła kiedykolwiek na lunch w środku tygodnia. Zazwyczaj w tym czasie, kiedy Amanda była w szkole, Paige pracowała w swojej

zacziszej pracowni w Somerset, gdzie robiono projekty eleganckich budynków, które stanowiły przeciwwagę dla potężnych budowli ze szkła i metalu, i zmieniały surowe oblicze Manhattanu. Paige przenosiła swoje artystyczne wizje

na papier, a Chase Andrews nadawał im realny kształt. Rezultaty ich współpracy zapierały dech w piersiach.

Może Paige jest dziś umówiona z Chase'em? Może zaczną lunch od szampana, wznosząc toast za sukces ich kolejnego przedsięwzięcia? Paige Spencer, znakomity architekt, i Chase Andrews, znany deweloper, na lunchu w Sali Azaliowej, w Klubie Southampton! Jakie to fascynujące! A może będzie jeszcze ciekawiej... Może dołączy do nich żona Chase'a, sławny kardiochirurg Diana Sheperd?

A jeśli nawet Paige zje lunch sama, będzie to równie intrygujące i rzuci nieco światła na życie tej niezwykłej kobiety. Może postanowiła po prostu odprężyć się trochę przy jedzeniu, oderwać na chwilę od swoich obowiązków? A może, jako artystka, szuka inspiracji wśród pięknych klubowych ogrodów i widoków na pomarszczone łagodnym wiatrem morze? Może uczesała złotoblond włosy we wdzięczny kok, podkreśliła dyskretnie niebieskie oczy i ubrała się w jedwabną błękitną suknię tylko dla siebie?

Paige dosłyszała cichy pomruk, którym powitano ją w restauracji, dostrzegła zdumione, zaciekawione spojrzenia. Spojrzała w stronę stolika przy oknie, by upewnić się, czy Julia już przyszła. Przy zarezerwowanym stoliku nie było nikogo, Paige rozejrzała się więc po sali. Przechodząc wolno między stolikami, pozdrowiała każdą z pań, zwracając się do nich po imieniu.

Usiadła, wypiła łyk wytrawnego martini i wyjrzała przez okno. Był wspaniały czerwcowy dzień. W ogrodach poniżej kwitły azalie, róże i lilie. W oddali wody zatoki migotały pod bezchmurnym, bladym błękitem nieba ozłoczonego promieniami słońca, które obiecywało długie, piękne lato.

Dzień był ciepły, pogodny, jasny. Pasował do nastroju Paige.

Jestem szczęśliwa, pomyślała. Mam czterdzieści dwa lata, cieszę się życiem i jestem

bardzo, bardzo szczęśliwa.

Uśmiechnęła się lekko na wspomnienie czasów, kiedy szczęście wydawało się wrogiem marzeń, symbolem stagnacji. Paige była weteranką lat sześćdziesiątych. Walczyła wtedy o prawa kobiet, odważnie angażując się całym sercem we wszystkie toczone boje. Teraz nadawała realny kształt swoim własnym marzeniom, wprowadzała w czyn idee, o których kiedyś nawet nie śmiała marzyć. Teraz szczęście było cudownym sprzymierzeńcem, darem przynoszącym radość i siłę.

Mając czterdzieści dwa lata, Paige czuła się świetnie. Nigdy nie wydawała się sobie młodsza, piękniejsza i bardziej twórcza.

Paige urodziła się w Southampton. Pochodziła ze znanej rodziny Barclayów, co oznaczało, że należała do śmietanki towarzyskiej i miała 6 duże pieniądze. W wieku lat piętnastu podjęła decyzję wielkiej wagi postanowiła zostać architektem. Miała niemałe ambicje. Marzyła o wznoszeniu pięknych, kamiennych konstrukcji sięgających nieba.

Ukończywszy Yale, Paige przeniosła się na Manhattan. Pierwsze lata nie były łatwe, ale wierzyła w swój talent. Powoli, konsekwentnie realizowała założony plan, a jej stylowe, eleganckie projekty zaczęły przyciągać uwagę i przynosić pierwsze zyski. Hołdowała tradycyjnym stylom architektonicznym i to spodobało się Edmundowi Spencerowi. Edmund, utalentowany, błyskotliwy prawnik, chciał właśnie przerobić swój strych. Za sprawą Paige ciemne, ponure pomieszczenie przeistoczyło się w przytulne, zaciszne gniazdko, prawdziwe dzieło sztuki. A pewnego późnego wieczora Paige i Edmund, siedząc na drewnianej podłodze, popijając wino i przeglądając przygotowane przez Paige szkice, nagle zrozumieli, że są w sobie zakochani.

Pasowali do siebie idealnie. Uzbrowieni w marzenia, talent i energię, a teraz także w łączącą ich miłość, wyruszyli razem na podbój Manhattanu. I podbili go. Kancelaria adwokacka Spencer i Quinn zdobyła renomę jednej z najlepszych w Nowym Jorku, a znakomite projekty Paige wkrótce zaczęły zmieniać jego pejzaż.

Dziesięć lat temu państwo Spencer postanowili opuścić hałaśliwy Manhattan i osiąść

w zacisznej posiadłości w Southampton. Decyzję tę podjęli przede wszystkim dlatego, że nagle odczuli nieodpartą biologiczną potrzebę: chcieli mieć dziecko. Oboje sądzili, że nie może być miłości silniejszej i głębszej niż łączące ich uczucie. A przy małej Amandzie wciąż uczyli się czegoś nowego. Bez wahania ustalili priorytety. Najważniejsza była córka. Cała reszta musiała zostać jej podporządkowana.

Edmund dojeżdżał do pracy do Nowego Jorku, a Paige zostawała w Somerset z Amandą, tworząc nowe projekty. Teraz, kiedy była w domu z córką, zniknął bezustanny niepokój towarzyszący jej mimo odnoszonych sukcesów w rywalizacji o palmę pierwszeństwa i Paige złagodniała, dojrzewając z wiekiem jak dobre wino.

Była spokojna, choć miała teraz więcej obowiązków niż kiedykolwiek. Z każdym rokiem jej projekty zdobywały większe uznanie. Starannie dobierała realizatorów i w końcu zdecydowała się na pracę tylko z Chase'em, który podzielał jej przywiązanie do klasycznego stylu i elegancji. Paige była architektem, utalentowaną artystką, kochającą i kochaną żoną i matką, co uważała za cud, o jakim nawet nie marzyła.

Była taka szczęśliwa. I miała tyle szczęścia.

7

Nagle poruszenie w restauracji wyrwało Paige z zamyślenia. Cichy szum rozmów ustał nagle i w Sali Azaliowej zapanowała cisza. W łuku wejścia pojawiła się bowiem inna piękna, nienagannie ubrana kobieta. Nikt jednak nie patrzył na nią z podziwem i sympatią, nikt się do niej nie uśmiechnął.

Co tu robi Julia Lawrence? Z kim może się spotykać? Oczywiście z Jeffreyem. Ale przecież niezwykle przystojny i bogaty mąż Julii, prezydent jednej z czołowych ogólnokrajowych stacji telewizyjnych, powinien być teraz w studio na Manhattanie, przygotowując się do wieczornych wiadomości. Kto inny jednak chciałby zjeść lunch z tą kobietą?

Szokująca odpowiedź na to pytanie pojawiła się natychmiast, kiedy piękne fiołkowe oczy Julii odnalazły Paige. Julia była umówiona z Paige! Odpowiedź zrodziła dalsze,

jeszcze trudniejsze pytania.

Dlaczego? Dlaczego, na Boga, Paige postanowiła poświęcić swój cenny czas, który zazwyczaj spędzała w pracowni, na lunch z Julią?

Owszem, były pewne powody, dla których Paige musiała utrzymywać z Julią kontakty, podobnie jak wszyscy inni. Nazwisko Jeffreya Lawrence'a pojawiało się na czele każdej listy gości zapraszanych na wszystkie przyjęcia wydawane w Southampton. I choć Jeffrey rzadko przyjmował zaproszenia, stale je przysyłało, bo nawet bardzo krótka jego obecność na imprezie zapewniała sukces. Natomiast obecność Julii zawsze groziła katastrofą.

Paige miała także inny powód, by kontaktować się z Julią. Ich córki Merry Lawrence i Amanda Spencer były najlepszymi przyjaciółkami. Z powodu tej przyjaźni Paige musiała, oczywiście, rozmawiać czasami z Julią. Ale przecież takie sprawy załatwia się przez telefon. Paige nie musiała umawiać się z Julią na towarzyski lunch w Klubie, jakby całkowicie ją akceptowała.

Paige uśmiechała się do Julii, ale w środku cała wrzała gniewem, widząc, z jaką niechęcią panie spoglądają na Julię, która kluczyła między stolikami tak, jak ona sama przed chwilą. Ją jednak powitały tu ciepłe spojrzenia i przyjazne uśmiechy, a Julię... Na Julię wszystkie obecne w restauracji kobiety patrzyły lodowatym, pełnym pogardy wzrokiem.

Julia z gracją omijała stoliki, z opuszczonymi skromnie oczami, jakby zażenowana własną oszalamiającą urodą.

Julia ciągle jeszcze nie była w Southampton mile widziana. Paige po prostu nie zdawała sobie z tego sprawy. Bywała wprawdzie na najświetniejszych przyjęciach, wydawanych w Southampton, często pełniąc na nich honory pani domu, ale w jej ruchliwym, wypełnionym wieloma obowiązkami życia brakowało czasu na pogawędkę przy herbatce. Nie słyszała plotek, ale domyślała się, dlaczego Julia wzbudza taką niechęć u tutejszych kobiet. Po prostu panicznie bały się, że Julia Lawrence, jeśli tylko

zechce, odbierze im wszystko, co posiadają.

Kiedy Julia przybyła do Southampton sześć lat temu, miała zaledwie dwadzieścia lat. Kiedy wprowadziła się do Belvédère z babką męża, Meredith Cabot, była od trzech i pół roku żoną trzydziestoletniego Jeffreya i matką trzyletniej córki. Ale zanim jeszcze pojawiła się w Southampton, niektórzy już słyszeli o niej i jej godnych politowania występkach.

Wiadomości tych niestrudzenie dostarczała teściowa Julii, Victoria Lawrence. Victoria od dobrych trzydziestu lat mieszkała w Bostonie, ale jej macki nadal sięgały rodzinnego domu w Southampton.

Julia to osoba znikąd, poinformowała Victoria swe przyjaciółki w Southampton. W jej żyłach płynie bardzo pospolita krew. Julia uwiodła Jeffreya i zmusiła go do małżeństwa z powodu dziecka. Nie tracąc czasu na dostarczanie dowodów, Victoria z absolutną pewnością twierdziła, że Julia dopuściła się w dodatku ohydnych, skandalicznego kłamstwa, gdyż nie było to dziecko Jeffreya. Julia oszukała go, a potem omamiła też Meredith Cabot, najbardziej szanowaną grandmère w Southampton. Julia wraz z tym dzieckiem zamieszkała w Belvédère z grandmère, podczas gdy Jeffrey przez cztery lata przebywał na Bliskim Wschodzie jako korespondent. Wtedy, gdy on ryzykował życie w Bejrucie, Kairze, Damaszku i Trypolisie, Julia zdołała oczarować grandmère, przekonać tę dobrotliwą, pełną wdzięku staruszkę, by nauczyła ją, jak być damą - żoną arystokraty i panią domu tak świetnego jak Belvédère. Z Bliskiego Wschodu Jeff wrócił cały i zdrowy i otrzymał natychmiast propozycję doskonałej pracy w charakterze prezentera wiadomości ogólnokrajowej stacji telewizyjnej. Julia także wyszła zwycięsko ze swej próby, a nagrodą, jedynym w swoim rodzaju trofeum, był Belvédère, ponieważ kiedy grandmère umarła, pozostawiła swą wspaniałą posiadłość Julii.

Victoria bez trudu przekonała swoje przyjaciółki, że jej synowa jest pozbawioną skrupułów uwodzicielką. Ale przyjaciółki Victorii należały do jej pokolenia i tkwiły od lat w hermetycznym, elitarnym, żyjącym własnym życiem światku. Reszta mieszkanek

Southampton nie miała pojęcia o zbrodniach, jakich Julia dopuściła się wobec rodziny Cabot. Wyrobiły sobie zdanie na jej temat na podstawie tego, co same widziały. A Julia była taka inna, taka niebezpieczna.

Julia nigdy nie nosiła futer. Jej biżuteria ograniczała się do ślubnej obrączki i kolczyków z diamentów i szafirów, które otrzymała od

9 grandmère. Jej ubrania były skromne - szyte w domu. Kiedy wrócił Jeffrey, musiała zacząć się ubierać tak, jak wymagała tego jej pozycja żony telewizyjnej gwiazdy. Jej ubrania nadal różniły się od tego, co nosiły elity towarzyskie. Były eleganckie, ale rzadko pochodziły z kolekcji Diora, St. Laurenta, Givenchy czy Chanel. Niektóre własnoręcznie przerobiła z sukni grandmère.

Ale to nie wszystko. Julia zmieniła wystrój Belvédère wydobywając ze starej rezydencji całe jej piękno i urok bez pomocy de Santisa, Buatta czy Hadleya. Julia gotowała, uprawiała ogród i sprzątała. Nigdy nie uciekała do modnych uzdrowisk, nie czuła takiej potrzeby, bo zawsze wolała być razem z córką i mężem. Mieszkała z nimi w Southampton, gdzie stworzyła im szczęśliwy, piękny dom.

Czy przedkładanie ciepła domowego ogniska ponad wszystko inne było aż taką zbrodnią? Czy było nią odejście od tradycji nieodłącznie związanej z bogactwem, rozrywkami i przywilejami? Czy Julia Lawrence nie mogła być dobrą żoną i dobrą matką, nie ściągając na siebie nienawistnych spojrzeń wszędzie tam, gdzie tylko się pokazała?

Oczywiście. Gdyby tylko... Gdyby nie była taka młoda - dwadzieścia sześć lat! - i taka zdumiewająco piękna. Gdyby jej niewinne fiołkowe oczy, czarne lśniące włosy i nieskazitelna porcelanowa cera nie wydawały się tak cudownie bajeczne dzieciom i tak nieodparcie pociągające mężczyznom.

Wszystkie dzieci były zawsze mile widziane w Belvédère. Julia przeobraziła dostojną rezydencję w czarodziejski zamek z baśni, pachnący świeżo upieczonym ciastem, ogrzany płonącym na kominku ogniem, wypełniony magią snuty przez Julię opowieści. Historie te powstawały w jej bogatej wyobraźni, a ich autorka opowiadała je

dzieciom swym miękkim głosem z takim przekonaniem, że słuchały jak zahipnotyzowane. Dzieci biegły do Belvédère każdego dnia po szkole i w dni wolne. Najbardziej nieśmiało przyłączały się do zabaw, największe urwisy potulniały pod jej łagodnym spojrzeniem. Cichły spory, wszystkich ogarniał nastrój spokoju i harmonii.

Świetnie, niech Julia będzie sobie Królową Śnieżką z Southampton.

Ale ona stwarza zagrożenie większe niż to wynikające z bezkrytycznego uwielbienia dzieci. Mężczyźni także pozostają pod jej urokiem.

Julia poruszała jakiś pierwotny element ich natury, docierając do tego, co odróżnia kobietę od mężczyzny. Julia roztaczała wokół siebie aurę zmysłowości, delikatności i namiętności. Sprawiała takie wrażenie, jakby pragnęła, by ją zdobywano po to tylko, żeby potem mogła wspólnie ze zdobywcą smakować rozkosz jego zwycięstwa. a0

Mężczyźni patrzyli na Julię głodnymi oczyma. Później, leżąc w łózkach ze swymi żonami, czuli wciąż ten sam głód, bolesny, dręczący głód, który tylko Julia mogłaby zaspokoić.

Julia to tygrysica. Jej pazury i kły pozostają na razie w ukryciu, ale kiedy tylko zechce, kiedy tylko uzna, że nadszedł już czas, rozszarpie na strzępy ich cenne tradycje, ich przywileje i wyszukane rozrywki, odbierze im miłość ich dzieci, a potem, podstępnie, wkradnie się do serc ich mężów...

Nie ma w niej nic z tygrysy, pomyślała Paige, patrząc na nadchodzącą Julię. Jest kobietą, która każdą chwilę swojego życia poświęca na to, by stworzyć szczęśliwy dom ukochanemu mężczyźnie i ich jedynemu dziecku.

A czy jej się to udaje? Według mieszkanki Southampton Julia zawsze wygrywała i śmiało ruszała na podbój nowych dzieci i kolejnych mężczyzn. Jednak Paige wiedziała, że Julia nie była pewna nawet tego, czy należycie wypełnia swe obowiązki wobec Jeffrey'a i Merry.

- Dzień dobry, Paige - szepnęła cicho Julia, ukończywszy wędrówkę przez salę pod obstrzałem zimnych, pogardliwych spojrzeń.

- Dzień dobry, Julio. Witaj.
- Przepraszam za spóźnienie.
- Nic się nie stało.

Paige wiedziała, dlaczego Julia, która nigdy się nie spóźniała ani o minutę, przyszła dopiero teraz. Nie chciała pojawić się tu pierwsza.

Paige znowu poczuła, że ogarnia ją gniew, który odczuwała zawsze, kiedy spotkała się z jakimkolwiek przejawem niesprawiedliwości. W głębi serca, zawsze była gotowa podjąć walkę w słusznej sprawie. A czyż sprawa jej drogiej przyjaciółki Julii, tak źle osądzonej już na samym początku, nie należała do tych najszlachetniejszych?

Paige chciała naprawić krzywdę. Chętnie porozmawiałaby ze wszystkimi obecnymi w restauracji klubowej kobietami, ze wszystkimi kobietami w Southampton, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Paige знаła je, lubiła, wiedziała, że są miłe i rozsądne.

Czy kiedykolwiek odwiedziły Julię w Belvédère, kiedy żyła jeszcze grandmère? Nikt nie odwiedzał Julii z wyjątkiem Paige, która chodziła do nich, ponieważ tereny Belvédère przylegały do Somerset, ponieważ słyszała różne rzeczy i martwiła się o grandmère. Mieszkała tam mała dziewczynka w wieku Amandy, a Paige chciała przekonać się osobiście, jak się sprawy mają. I natychmiast doszła do przekonania,

ją że w złośliwych pomówieniach Victorii Lawrence nie ma ani żdźbła prawdy. W Belvédère panowała miłość, nie było tam żadnych oszustw, kłamstw, podstępów.

Paige szybko włożyła więc między bajki mit o okrutnej, pozbawionej skrupułów łowczyni majątków.

Czy kiedykolwiek widziały, aby Julia próbowała uwodzić cudzych mężów? Nie, Julia nie próbowała nikogo uwieść ani oczarować. Nie pragnęła miłości żadnego mężczyzny poza Jeffreyem. Na przyjęciach, na których wzbudzała takie zainteresowanie, nigdy nie oddalała się od męża, a jej fiołkowe oczy tylko jemu słały czułe spojrzenia. Nie chciała uwodzić, ale mimochodem uwodziła. Kiedy pojawiała się w drzwiach, zaczynała działać jakaś magia. Magia związana z tym, kim była, związana z jej naturą, pragnącą

chronić i dawać. Nic nie mogła na to poradzić.

Kobiety z Southampton mogłyby zapytać Paige, jak by się czuła, gdyby Amanda wołała być z Julią, a nie z nią. Jak by się czuła, gdyby Edmund jej pragnął?

Cokolwiek Edmund poczuł, kiedy po raz pierwszy zobaczył Julię a z całą pewnością coś poczuł - stłumił to szybko, a potem całkiem zdławił. Teraz, kiedy patrzył na Julię, w jego oczach było tylko ciepło i sympatia, nigdy pożądanie.

Ale gdyby Edmund nie oparł się urokowi Julii? Gdyby Amanda czuła się szczęśliwsza w Belvédère? Czy Paige nie zachowałaby spokoju? Czy i ona nie spoglądałaby wtedy na Julię zimno swymi błękitnymi jak niebo oczyma? Czy w niej samej nie obudziłyby się tygryśca, gotowa na wszystko, by bronić swej rodziny?

Mogła wytłumaczyć sobie, spokojnie i rozsądnie, że Julia nie próbuje nikomu odebrać męża ani dzieci. Nie jest żadną tygryścą, tylko kotką domową - łagodną, niewinną, bezbronną. Jednak tak czy owak jej magia nadal będzie działać - niebezpieczna, groźna, niewytłumaczalna.

Paige gotowa była stoczyć tę bitwę dla Julii. Stopiłaby lód zimnych kobiecych oczu, ale byłoby to puste zwycięstwo. Julia i tak nie nawiązałaby tu żadnych prawdziwych przyjaźni. Paige wiedziała, że Julia nie szuka w Southampton nowych przyjaciół. Wąski krąg miłości i przyjaźni - obejmujący Jeffrey, Merry, Paige, Edmunda i Amandę - zupełnie jej wystarczył. Julia niczego więcej nie pragnęła.

Nie należy zmuszać Julii do wojny o zasady. Ona zupełnie nie dba o to, czy ją lubią, czy się jej boją, czy ją akceptują, czy odrzucają. Ma inne troski, inne problemy.

- No więc ile razy mówiliście dziś o jeździe konnej, zanim Merry wyszła do szkoły?
- spytała Paige, uśmiechając się do Julii, która była aż dużo bardziej zatroskana tym nowym pomysłem córki niż lodowatym przyjęciem przez zebrane w restauracji towarzystwo.

- Milion trylionów - odparła Julia, używając ulubionego określenia Amandy i Merry. Uśmiechnęła się z czułością na wspomnienie córki biegającej kłusem po całym domu

przed wyjściem do szkoły. - Dziewczynki naprawdę postanowiły nauczyć się jeździć konno tego lata.

- Wiem. Szkoła kończy się drugiego. To jeszcze pięć dni. Co o tym sądzisz?

Paige i Julia musiały podjąć tę samą decyzję dotyczącą ich córek, które były najlepszymi przyjaciółkami. Paige i Edmund już tę decyzję podjęli. Oczywiście Amanda mogła rozpocząć naukę jazdy konnej.

Paige bała się trochę, jak zawsze, kiedy w życiu jej dziecka pojawiała się coś nowego. Jednak czuła, że musi podejmować ryzyko, tak jak wszystkie matki. Dla Julii podjęcie takiego ryzyka wydawało się znacznie trudniejsze, jakby tak naprawdę nie miała prawa go podejmować, jakby Merry nie była jej córką, lecz dzieckiem oddanym na wychowanie, za które ponosiła odpowiedzialność tak długo, aż pojawi się jego matka, by je zabrać.

Przed podjęciem każdej z dotychczasowych decyzji Julia zbierała tyle informacji, ile zdołała, a potem uważnie zestawiała to, czego się dowiedziała, z tym, co ciągle było dla niej tajemnicą. A dla Julii większość tych spraw była tajemnicą. Jej własne dzieciństwo bardzo różniło się od dzieciństwa Merry, nie było w nim pieniędzy, luksusów i rozrywek. Pływanie, żeglarstwo, łyżwy i konie - to wszystko było Julii obce, obce i dziwnie przerażające.

Każda decyzja była trudnym przeżyciem, z którym jednak Julia musiała uporać się sama, ponieważ Jeffrey nie brał udziału w rozwiązywaniu codziennych problemów, dotyczących córek. Paige starała się służyć pomocą, udzielając wskazówek, nigdy jednak nie próbując przeforsować swojego zdania. Nie powiedziała nigdy, że jest od Julii o szesnaście lat starsza i wie wszystko lepiej. Paige miała dużo więcej od Julii doświadczenia życiowego, ale jako matki dziewięcioletnich dziewczynek były tak samo niedoświadczone.

- Mamy się spotkać z instruktorem o wpół do drugiej? - Julia odpowiedziała Paige pytaniem. Nie podjęła jeszcze decyzji, ponieważ najpierw chciała poznać człowieka,

który miałby uczyć dziewczynki.

- Tak, o wpół do drugiej. Kierownik klubu zawsze bardzo starannie dobiera pracowników i mówi, że ten człowiek jest pierwszorzędnym fachowcem.

Alle uspokajające słowa Paige nie rozproszyły troski w oczach Julii. Paige chętnie zjadłaby lunch w Sali Azaliowej wraz z Julią tak, żeby wszyscy to widzieli, ale Julia była zbyt niespokojna. Po chwili zaproponowała więc, patrząc na Julię współczująco:

- Może wolałabyś teraz pójść do stajni? Jeśli go tam nie zastaniemy, pospacerujemy do wpół do drugiej.

- Nie miałabyś nic przeciw temu, Paige?

- Oczywiście, że nie. A potem, Julio, jeśli zechcesz, możemy zjeść lunch na tarasie w Somerset. I ch wysokie obcasy stukają głośno na wyłożonym kamieniami podjeździe przed stajniami. Teraz, w poniedziałek, na pięć dni przed zakończeniem roku szkolnego było tu pusto, ale już w przyszłym tygodniu zaroi się od koni i młodych, pełnych zapału jeźdźców.

W oddali Paige i Julia słyszały ciche parskanie, plusk wody i szelest siana - co oznaczało, że stajenni są zajęci przy koniach. Paige i Julia przeszły przez podjazd i weszły do biura. Instruktor siedział przy biurku, przeglądając oprawną w skórę księgę z rozkładem lekcji. Dźwięk wysokich obcasów, tak różny od głuchego stukotu końskich kopyt, uprzedził go o przybyciu obu pań.

I to ma być ten starannie wybrany, najlepszy instruktor? Paige była trochę zaskoczona. Oczekiwała, że zobaczy człowieka o schludnie ostrzyżonych włosach, w nieskazitelnie czystych, kremowych bryczesach, granatowym golfie i lśniących jak lustro butach do konnej jazdy. Jej zdaniem, dobry instruktor jazdy konnej powinien być dżentelmenem około pięćdziesiątki, o wyrafinowanych manierach i dyskretnym brytyjskim akcencie.

Tymczasem stał przed nimi mężczyzna najwyżej trzydziestoparoletni, w drelichowej koszuli z zawiniętymi do łokci rękawami, w spłowiałych dżinsach i zniszczonych

kowbojskich butach. Taki strój bardziej pasował do rodeo niż do polowania na lisy; do ranczo, a nie eleganckiego klubu w Southampton.

A on sam? Był przystojny, bardzo przystojny, miał czarne jak heban włosy i śmiałe szarzielone oczy, w których kryła się jakaś dzikość, a smukłe ciało zdradzało dużą, choć w pełni kontrolowaną siłę. Jakby w środku cały czas gotował się do skoku. Jak pantera, doszła do wniosku Paige. Dzika, silna, piękna. Oczy tej pantery mieniły się różnymi odcieniami szarości i zieleni - granitu i ciemnego lasu, szmaragdu i stali... oceanu ą4 smaganego zimowym wiatrem. Patrzył na nią spokojnie i uprzejmie wzrokiem pozbawionym wyrazu. Jednak Paige odniosła wrażenie, że ten człowiek, podobnie jak Julia, może wzbudzać płomienną namiętność i pałący głód. W przeciwieństwie jednak do Julii ten dziki drapieżnik dobrze wiedział, jakie wrażenie robią na innych jego szarzielone oczy i aura nieokiełznanego erotyzmu, jaką rozstaczał.

- Witam. W czym mogę paniom pomóc?

Kolejna niespodzianka! Nie był to głos kowboja. Zdawałoby się, że słowa te wypowiedział arystokrata.

- Szukamy instruktora jazdy konnej - powiedziała Paige, usiłując przypomnieć sobie nazwisko, podane przez kierownika klubu. Chyba nazywa się Patrick James.

- To ja.

- Moje nazwisko Spencer, a to jest pani Lawrence. Byłyśmy z panem umówione o wpół do drugiej

- Istotnie. Ale możemy zająć się tym teraz.

Kiedy Paige przedstawiła Julię, uprzejmie przeniósł na nią wzrok. Paige obserwowała go bacznie, ciekawa, jak ten drapieżnik zareaguje na magiczną urodę Julii. Czy będzie to milczące spotkanie łowcy i ofiary, zdobywcy i kusicielki, Adama i Ewy?

Ale szarzielone oczy nie wyrażały niczego poza uprzejmym, zdawkowym zainteresowaniem. Ponownie spojrzął na Paige.

- To panie są zainteresowane lekcjami?

- Chodzi o nasze córki. Amanda i Merry mają po dziewięć lat.

- Jeździły już konno?

- Nie.

- Interesują panie lekcje indywidualne czy w grupie?

- Indywidualne, tylko dla nich dwóch.

Patrick kiwnął głową i zajął do swojej książki.

- Pierwszej lekcji mógłbym im udzielić w sobotę o dziesiątej rano. Potem wolałbym spotykać się z nimi w tygodniu, jeśli nie mają panie nic przeciw temu. Staram się umawiać w weekendy z tymi uczniami, którzy nie mogą przychodzić kiedy indziej.

- Doskonale - odparła Paige.

Patrick zaczął pisać w książce. Decyzja została podjęta. Nagle Paige zdała sobie sprawę, że Julia nie odezwała się jeszcze ani słowem, nie wyraziła swojej zgody.

- Julio?

- Czy to bezpieczne? - Julia zwróciła się do Patricka. - Czy jazda konna jest bezpieczna dla dziewięcioletnich dziewczynek?

ą5

Patrick spojrział na Julię, zaskoczony tonem jej głosu, brzmiącą w nim troską. W pierwszej chwili wydało mu się, że to fałszywa egzaltacja, ale fiołkowe oczy patrzyły poważnie, a na zadziwiająco pięknej twarzy widniał wyraz lęku, podkreślający delikatność jej urody.

- Tak, to całkiem bezpieczne, pani Lawrence. - Była to prawda. Niczego więcej nie musiał mówić. Ale te słowa i łagodny, uspokajający ton jego głosu powiedziały nieco więcej o tym, jakim jest człowiekiem. Konie to zupełnie niegroźne zwierzęta.

- Merry i Amanda są jeszcze takie małe - odparła Julia.

- To zupełnie bezpieczne. Naprawdę. Będę na nie bardzo uważał.

- Czy możemy im towarzyszyć na lekcjach?

- Oczywiście. Kiedy tylko panie zechcą.

- Dziękuję.

W drodze ze stajni na parking Paige zapytała Julię, co sądzi o Patricku.

- Wydaje się miły, prawda? - odparła Julia z roztargnieniem, ciągle zaabsorbowana decyzją, którą podjęła.

- Tak - odparła Paige.

Miły, ale też trochę niebezpieczny. Jak radzi sobie z pierwotnymi żądzami, które wzbudza? Czy zaspokaja apetyty kobiet? A może tylko bawi się, zwodzi i dręczy swoje ofiary, a potem pożera to, co upoluje? Może prowokuje całkiem nieświadomie? Czy oddał serce i duszę jednej tylko osobie, jak Julia, która kocha wyłącznie Jeffreya?

Paige przez chwilę rozmyślała o tym, po czym wzruszyła ramionami. Nie obchodziło jej właściwie, czy Patrick James był amoralnym drapieżnikiem, szlachetnym dzikusiem, czy kowbojem arystokratą. Nieważne, jak spędza swój wolny czas, nawet jeśli będzie przebojem sezonu, w co Paige nie wątpiła, i najbardziej intrygującą rozrywką pań z Southampton. Liczy się tylko to, że jest bardzo dobrym instruktorem jazdy konnej. A ona przyjdzie kilka razy na lekcje, dobrze mu się przyjrzy, upewni się co do jego kompetencji. Ponieważ pierwsza lekcja odbędzie się w sobotę, przyjdzie także Edmund.

- Może Jeffrey także przyjdzie w sobotę na lekcję? - zasugerowała, kiedy doszły już do parkingu.

W oczach Julii pojawiła się nadzieja, ale szybko zgasła.

- Nie wiem, czy będzie mógł.

- Mam nadzieję, że nigdzie nie wyjedzie. Chcemy z Edmundem urządzić w sobotę wieczorem małe przyjęcie. ą6

- Chcemy z Paige urządzić małe przyjęcie w sobotę wieczorem powiedział dziesięć minut później Edmund Spencer do Jeffreya Lawrence'a.

Spotkali się w interesach i siedzieli teraz na lunchu w Lutece, w samym sercu Manhattanu. Jedząc, prawie cały czas rozmawiali na tematy zawodowe. Na prośbę Jeffreya Edmund przejrzał scenariusz filmu dokumentalnego z rozpraw sądowych

irańskich terrorystów. W trakcie lunchu omówili uwagi Edmunda i wprowadzili w scenariuszu niewielkie zmiany. W końcu, przy kawie, Edmund uznał scenariusz za poprawny z prawnego punktu widzenia, nie grożący pozwaniem do sądu za zniesławienie.

Następnie rozmowa zeszała na lżejsze tematy, w tym sobotnie przyjęcie w Somerset.

- Spodziewamy się, że nie macie z Julią żadnych planów na sobotni wieczór. Wiem, że musisz jeszcze z nią porozmawiać - powiedział Edmund z uśmiechem. On i Paige także postępowali zgodnie z tą zasadą nigdy nie przyjmowali towarzyskich zobowiązań, zanim się ze sobą nie porozumieli. Wszelkie decyzje podejmowali wspólnie.

- Z wami zawsze chętnie się spotkamy.

Spencerowie i Lawrence'owie często się spotykali na improwizowanych w ostatniej chwili kolacjach. Całkiem inne były przyjęcia, które Paige i Edmund wydawali w Somerset albo w Klubie Southampton: bardzo oficjalne, eleganckie, z mnóstwem ważnych gości we frakach i wieczorowych sukniach, z najlepszym szampanem.

- Będzie nas czworo i nowa, młoda prawniczka z mojej firmy. Pochodzi z Kalifornii. Przenosi się do Nowego Jorku i na początek zamieszka w naszym domku na plaży.

- W SeaCliff?

Jeffrey dobrze znał ten mały domek, przycupnięty na skałach. Posiadłości Somerset i Belvédère przylegały do siebie, rozgraniczone tylko lasem kończącym się tam, gdzie zaczynało się nadmorskie urwisko, z którego rozciągał się piękny widok na morze i niebo. Jako mały chłopiec spędzał tu cudowne wakacje ze swoimi dziadkami i często chodził nad morze przez szumiący, gęsty las. Gdy docierał do skał, ogarniał wzrokiem niekończący się błękit nieba i oceanu, wciągał w płuca czyste, słonawe powietrze i marzył o przygodach czekających na niego za zasnutym mgłą horyzontem. Później stromą ścieżką zbiegał na biały piasek plaży i podchodził do brzegu tak blisko, że spienione fale omywały mu stopy. Nigdy nie wchodził do wzburzonego morza, nigdy nie zanurkował w jego spienionych falach, nie walczył z podstępными wirami. Jako

ą7 2 - Melodie miłości mały chłopiec złożył dziadkom uroczystą obietnicę, że nie

będzie tego robił. Ale później, kiedy miał już lat piętnaście i zdobył pierwsze miejsce dla swej drużyny pływackiej w Exeter, morze zaczęło go kusić. Ocean był niebezpieczny, ale jakże pociągający, a on tak świetnie pływał! Jednak Jeffrey oparł się pokusie. Ponieważ dał słowo.

Poza wspomnieniami SeaCliff z dzieciństwa Jeffrey miał jeszcze jedno, stosunkowo świeże, najśladzsze ze wszystkich, wspomnienie dnia, kiedy jako dojrzały już człowiek pewnego majowego popołudnia, trzy lata temu, kochał się z Julią na łące pełnej kwitnących kwiatów, nad samym morzem.

- SeaCliff - powtórzył Edmund. - Zapomniałem już, że ten domek ma nazwę.

Edmund właściwie zapomniał o istnieniu tego letniego domku. Plaża i SeaCliff znajdowały się w odległym zakątku ich ogromnej posiadłości, gdzie nigdy z Paige nie zaglądali z powodu Amandy i śmiertcionośnych wirów kryjących się w morzu.

- Czy ona wie, jak niebezpieczny jest tu ocean? - spytał Jeffrey.

- Tak. Obiecała, że nie będzie pływać.

- To dobrze. Co jeszcze możesz o niej powiedzieć?

- Nazywa się Casey English.

- Chyba nigdy o niej nie słyszałem.

- Wkrótce usłyszysz. Robi duże wrażenie. Bardzo duże. Najpierw chodziła do Carlton Academy w Atherton, na południe od San Francisco. To mała szkoła, bardzo ekskluzywna i piekielnie droga. Mieszkałeś kiedyś nad Zatoką, więc pewnie o niej słyszałeś.

- Owszem. Kilku moich kolegów ze Stanford uczyło się przedtem w Carlton. O ile wiem, dobrze sobie radzą w życiu.

- Zapewne wszyscy absolwenci Carlton dobrze sobie radzą. Wymagania już na wstępie są tam bardzo wysokie. A ponieważ nie każdego stać na takie czesne, większość uczących się jest nie tylko wyjątkowo uzdolniona, ale i dobrze sytuowana. Jednak Carlton funduje też czasami stypendia wybitnym uczniom, których nie stać na zapłacenie za

szkołę.

- Tak właśnie było z Casey?

- Och, nie. W jej przypadku pieniądze nie grały roli, choć z pewnością mogłaby dostać stypendium. Ukończyła szkołę z najwyższą lokatą.

- Najlepsza z najlepszych?

- Tak. W Berkeley także odnosiła same sukcesy, a potem była jedną z najlepszych studentek prawa w Hastings. Zaczęła pracować w kancelarii w San Francisco jeszcze przed ukończeniem studiów. Moi partnerzy ą8 z San Francisco bardzo chcieli ją zatrzymać, ale zakładali, że po dyplomie zechce pracować w English i McElroy.

- English?

- Jej ojcem jest Kirk Carroll English.

- O nim już słyszałem. - Jeffrey uśmiechnął się lekko. - Kto nie słyszał o Kirku Carrollu, znakomitym adwokacie, który zawsze wygrywa wszystkie sprawy? Za życia stał się legendą.

- Właśnie. Casey ukończyła prawo w Hastings znowu z pierwszą lokatą i zaskoczyła wszystkich, rozpoczynając pracę w Biurze Prokuratora Okręgowego w San Francisco.

- Idealistka?

- Nie jestem taki pewny. Wiem, że chciała zdobyć doświadczenie w sądzie. Uważała, że to, czego nauczyła się na studiach, jest zbyt teoretyczne i ma niewiele wspólnego z prawdziwym życiem. Ale na pewno jest też trochę idealistką. Casey bardzo zależy na sprawiedliwości.

- Sprawiedliwość? Edmundzie, sądziłem, że sprawiedliwość to coś dla sędziów i przysięgłych, a zadaniem adwokata jest... - Jeffrey urwał, szukając jakiegoś taktownego określenia.

- Wygrywać, na nic się nie oglądając? - podpowiedział mu Edmund z uśmiechem.

- O, właśnie.

- Pracując w Biurze Prokuratora Okręgowego, Casey udawało się wszystko - broniła

sprawiedliwości i wygrywała. Ma na swoim koncie wiele liczących się sukcesów. Wygrała kilka naprawdę dużych spraw, choć żadna z nich nie dorównywała ostatniej, w której oskarżonym był dobrze znany, bardzo wpływowy prawnik. Biorąc ją, stawiała na szali swoją karierę.

- A o co został oskarżony?

- O gwałt. Nie o napad w środku nocy na samotną, obcą kobietę gdzieś w ciemnym zaułku, ale gwałt na dobrej znajomej. W takich wypadkach rodzi się mnóstwo wątpliwości.

- Ale Casey podjęła się tej sprawy?

- Spotkała się z powódką i uwierzyła jej. A już w swoim wstępnym wystąpieniu dała do zrozumienia, że tam, gdzie chodzi o gwałt wszystko jest dla niej oczywiste. ☐ stosunek płciowy, na który obie strony nie wyrażają zgody tak samo chętnie, jest gwałtem. Rozwiała mgłę nieudomówień, zazwyczaj zaciemniających takie sprawy. A ława przysięgłych miała tylko zadecydować, czy powódka wyraziła zgodę na stosunek czy nie.

- I Casey zwyciężyła.

ą9

- W zasadzie zwyciężyła sprawiedliwość. Ujawniły się inne kobiety zgwałcone przez tego człowieka. Tuż przed końcem rozprawy oskarżony zmienił zeznania i przyznał się do winy.

- Niesamowite.

- Casey odniosła ogromny sukces. Wkrótce potem postanowiła opuścić Biuro Prokuratora Okręgowego, informując, że chce przenieść się do East Coast. Sprawa gwałticiela z Nob Hill odbiła się szerokim echem w kręgach prawniczych. Casey stała się bardzo pożądanym pracownikiem.

- A ty ją zdobyłeś. I to lato spędzi w jednym z najbardziej idyllicznych zakątków na Long Island.

- Mam nadzieję, że będzie to dla niej idylla - powiedział Edmund w zamyśleniu. -

Choć nie przyznaje się do tego, ta sprawa kosztowała ją wiele nerwów. Część prawników - również jej ojciec - miało jej za złe, że podjęła się tej sprawy. Przez wiele miesięcy stale ją atakowano. Dopiero pod koniec zyskała należne uznanie. Zapewniłem ją, że w naszym domku będzie miała całkowity spokój. - Edmund uśmiechnął się filuternie. - Lepiej też, żeby nie pojawiała się na Piątej Alei, gdzie mogłaby ją zauważyć Eileen Ford.

- Co?

Czyżby obawiał się, że Casey mogłaby wzbudzić zainteresowanie słynnej agentki wielu najlepszych modelek?

- Wyrobiłeś już sobie zdanie na temat Casey?

- No cóż... - odparł Jeffrey, zbity z tropu. Rzeczywiście miał już pewną wizję Casey - z pewnością jest inteligentną, ale niezbyt atrakcyjną kobietą. Typ pruderyjnej intelektualistki.

- Muszę jeszcze dodać, że Casey jest śliczna jak modelka. I ma wiele uroku.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam.

- Jak już mówiłem, ty z Julią i Casey będziecie prawdopodobnie jedynymi gośćmi, ale Paige ma też zamiar zadzwonić do Diany i zaprosić ją i Chase'a. Nie zdążyliście się jeszcze poznać, o ile pamiętam.

Wszyscy już sobie z tego żartowali. W ciągu ostatnich dwóch lat, mimo usilnych starań obu stron, Jeffrey i Julia nie mieli okazji spotkać Diany i Chase'a. Stale któraś z par z takich czy innych powodów odwoływała swój udział w zaplanowanym spotkaniu, organizowanym przez Paige i Edmunda w Somerset albo Klubie Southampton. Okazywało się nagle, że Jeffrey musi lecieć do Czernobyla, do Manili albo Lockerbie, czy też jest niezbędny w studio w związku z jakąś katastrofą. W sprawie, nad którą pracował właśnie Edmund, następował nieoczekiwany zwrot, co zmuszało go do pracy po nocach. Dianę, nawet jeśli nie miała dyżuru, 20 wzywano do szpitala, gdzie czekała na nią pilna operacja. W budowie hotelu Chase'a nagle występowały komplikacje, co zazwyczaj dotyczyło także Paige. Pewnego razu Merry dostała odry i Julia nie chciała zostawiać jej

samej. Gdy kilka godzin później czerwona wysypka pojawiła się też na skórze Amandy, Paige i Edmund byli zadowoleni, że spotkanie zostało odwołane.

- Nie, nie poznałem ich dotąd. Ale spotykam się z Dianą dzisiaj o trzeciej.

- Spotykasz się z Dianą?

- Tak, przeprowadzę z nią wywiad w bardzo kameralnej atmosferze, bez świateł i kamery. Koniecznie muszę się z nią dziś spotkać.

- Dlatego, że jutro operuje radzieckiego ambasadora?

- Tak. To bardzo interesująca informacja. Świadcząca o odprężeniu w polityce. Dlatego do jutra muszę jak najwięcej wiedzieć o Shepherd Heart i osobie, która je stworzyła. Co oznacza, że w końcu spotkam się z Królową Serc.

- Wydaje mi się, że Diana nie lubi, kiedy się ją tak nazywa. - Edmund zmarszczył lekko brwi.

- Naprawdę? To tak do niej pasuje.

- Owszem. I dobrze wygląda w gazetowych tytułach. Diana i Chase, Królowa Serc i człowiek, który może zostać Królem. Cały Manhattan mógłby być ich królestwem, gdyby nie...

- Trump.

- Trump - powtórzył cicho Edmund. Miał na myśli wojnę między dwoma magnatami, działającymi w branży nieruchomości. Była to wojna gigantów, z których każdy chciał odcisnąć swoje piętno na panoramie Manhattanu. Była to wojna o Manhattan i nieśmiertelność. - Tak czy inaczej, ponieważ z zaplanowanych kolacji nic nie wychodzi, próbujemy zorganizować coś w ostatniej chwili. - To może być bardzo interesujące spotkanie.

Jeffrey pomyślał o liście gości. Choć każdy z zaproszonych mężczyzn liczył się w swojej branży, jednak to kobiety robiły szczególne wrażenie - słynna kardiochirurg, błyskotliwa prawniczka, uzdolniona architekt... i Julia. Julia, która rzuciła szkołę średnią miesiąc przed maturą, aby za niego wyjść i urodzić córkę. Czy Julia nie będzie się czuła

skrzepowana pośród tych wykształconych, wybitnych kobiet? Jeffrey nie umiał odpowiedzieć sobie na to pytanie. Wiedział, że jego bystra, inteligentna żona, która potrafiła z dużą przenikliwością wypowiedzieć się niemal na każdy temat, będzie na tym przyjęciu milcząca i cicha, jak zawsze. Czy to dla niej nie za trudne przejście?

24

- Zależy mi zwłaszcza, żeby Julia poznała Casey - dodał po chwili Edmund.

Jeffrey spojrział na niego zaskoczony, zastanawiając się, czy troskliwy z natury Edmund wyczuł jego niepokój o Julię.

- Chcesz, żeby Julia poznała Casey?

Dlaczego? Co Julia i Casey mogą mieć ze sobą wspólnego? Obie są oczywiście piękne i inteligentne, ale przecież Casey spędzi to lato, zapoznając się z prawem Nowego Jorku, aby potem móc rzucić go na kolana, tak jak zrobiła to z San Francisco. A Julia jak zwykle całe lato poświęci Merry.

- Tak. Nie wiem, ile Casey będzie miała wolnego czasu. Ciągłe się czegoś uczy. Sądzę jednak, że w wolnych chwilach mogłaby się dobrze bawić w towarzystwie Julii.

- Julii?

- Obie wychowały się w Północnej Kalifornii. I są właściwie w tym samym wieku.

- W tym samym wieku? - Jeffrey musiał dokonać kolejnej zmiany w wizerunku Casey. A więc zdolna i uderzająco piękna prawniczka, która będzie wkrótce pracować w prestiżowej firmie Edmunda, jest zaledwie w wieku Julii?

- Prawie. Casey jest rok starsza.

Kiedy Jeffrey wrócił do telewizyjnego studia piętnaście po drugiej, dowiedział się od asystenta, że sekretarka doktor Diany Sheperd odwołała wywiad o trzeciej. Doktor Sheperd była ciągle na sali operacyjnej, a operacja potrwa co najmniej do godziny szóstej.

- Znakomicie - mruknął Jeffrey pod nosem.

Tego ranka Jeffrey osobiście rozmawiał z sekretarką Dianą Sheperd, co kosztowało go wiele czasu i wymagało cierpliwości. Wysłuchał grzecznie opowieści o tym, jak

bardzo doktor Sheperd jest zajęta, że mimo to chętnie spotka się z nim w dowolnym terminie, byle nie podczas jego wieczornego programu. Sekretarka była uprzejma, ale stanowcza. Jeffrey zachowywał się równie uprzejmie, ale jeszcze bardziej stanowczo. Nie wiedział, czy Diana nie jest milczącym uczestnikiem tych negocjacji, ale w końcu udało mu się umówić na krótki wywiad, najwyżej piętnastominutowy trzeciej. A teraz...

- Jej sekretarka powiedziała, że doktor Sheperd mogłaby spotkać się z tobą w swoim biurze o ósmej, jeśli chcesz.

- Chcę. Przekażesz jej wiadomość, że przyjdę? 22

- Oczywiście.

- Dobrze. Dziękuję.

Jeffrey wszedł do swojego biura i zamknął drzwi. Na biurku dostrzegł materiały na temat doktor Sheperd, zebrane przez asystentów w ciągu kilku ostatnich godzin. Miał teraz czas, żeby je uważnie przeczytać i przygotować się do swojego wieczornego wystąpienia. Nie musiał się śpieszyć, więc postanowił zadzwonić do Julii.

Jeffrey często dzwonił do żony, choćby po to, żeby zamienić z nią kilka słów, usłyszeć jej głos.

- Cześć, kochanie.

- Jeffrey! - w miękkim głosie Julii brzmiało zaskoczenie i radość, jak zawsze, kiedy do niej dzwonił. - Jak było na lunchu z Edmundem?

- W porządku. Czy Paige wspominała ci może o sobotnim przyjęciu?

- Tak - mruknęła Julia, próbując przypomnieć sobie, co właściwie mówiła przyjaciółka. Nagle zdała sobie sprawę, że jej myśli nadal zaprzatają lekcje jazdy konnej, na które wyraziła zgodę. - Mówiła coś o prawniczce, która będzie pracowała u Edmunda i spędzi lato w domku na plaży... Jeffrey?

- Tak, kochanie?

Dostyszał niepokój w jej głosie. Jeśli nie chce tam iść, nie ma problemu.

- Właśnie zapisałam Merry na lekcje jazdy konnej w klubie. Dobrze zrobiłam?

- Oczywiście - jego głos zabrzmiał nagle dziwnie ostro.

Jeffrey usłyszał tę oschłą, nieprzyjemną nutę w swoim głosie, a w sercu poczuł ból starej, ale wciąż otwartej rany.

Merry... ukochana córka Julii, żywy symbol jej największego kłamstwa, zawsze obecny w jego życiu i przypominający nieustannie o tym, że nigdy nie może do końca ufać kobiecie, którą tak bardzo kocha.

- Pomyślałam po prostu, że to może być niebezpieczne - odparła Julia spokojnie, ale w jej głosie słychać już było łzy i gniew. Łzy znał dobrze, ale gniew był czymś nowym. Julia wiedziała dotąd, co to gniew na samą siebie, ale ostatnio zaczęła się też gniewać na Jeffreya. Kochała go całym sercem, ale on ciągle, po tylu latach, odmawiał miłości swojej córce.

Jeffrey dosłyszał urazę w głosie Julii i przypomniał sobie o obietnicy, jaką złożył trzy tygodnie temu, kiedy obchodzili dziesiątą rocznicę ślubu. Zgoda, Julie. Będziemy rodziną.

- Nie sądzę, żeby to mogło być niebezpieczne, kochanie - powiedział łagodnie. - Zwłaszcza że będzie brała lekcje w klubie. Kiedy zaczyna?

- W sobotę o dziesiątej.

21

- Chciałabyś, żebym z wami poszedł?

- Naprawdę mógłbyś?

- Oczywiście.

- Dziękuję.

Cała przyjemność po mojej stronie, Julie. Kocham cię i złożyłem ci obietnicę - Jeffrey chciał tu postawić kropkę, ale dręcząca go myśl zaczęła żyć własnym życiem - tak jak i ty złożyłaś mi obietnicę dziesięć lat temu, że nie będziesz mnie już okłamywać.

Jeffrey wziął głęboki oddech, powstrzymując cisnące mu się na usta słowa. Wróciła miłość i niepokój o ukochaną kobietę.

- Julie? A co z tym przyjęciem?

- Ach, tak. - Julia zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie, co mówiła Paige. - Chyba powinniśmy pójść, nie sądzisz? Mam wrażenie, że Edmund jest bardzo zadowolony z nawiązania współpracy z tą prawniczką.

- Tak. Czy Paige wspominała ci, że ona jest mniej więcej w twoim wieku?

- Nie. Pewnie robi duże wrażenie.

- Owszem. - Jeffrey westchnął lekko. Nawet jeśli Julię to niepokoi, zachowa swój strach dla siebie, ukryty głęboko wśród tylu innych tajemnic jej serca.

! Materiały zgromadzone przez asystentów Jeffreya na jego biurku za@

wierały artykuły prasowe na temat doktor Diany Shepherd, artykuły naukowe jej autorstwa i kopię jej zawodowego życiorysu. Jeffrey z zainteresowaniem przeczytał artykuły, a kiedy zabrał się do życiorysu, czekało go zaskakujące odkrycie.

Diana Elisabeth Sheperd i Jeffrey Cabot Lawrence urodzili się dokładnie tego samego dnia trzydzieści sześć lat temu, ona w Dallas, a on w Bostonie. Które z nich pierwsze przyszło na świat tamtego jesienno-go dnia, jedenastego listopada? I czy gwiazdy, słońce i księżyc w tajemniczy sposób nie wyposażyły tych dwóch noworodków w podobne cechy?

Jeffrey Lawrence nie wierzył w astrologię.

- To typowe dla skorpionów - przekomarzała się z nim Julia, ilekroć o tym wspominał. 24

Jeffrey nie wierzył w astrologię, ale jego dziennikarskiej uwagi nie umknął fakt, że on i Diana Sheperd mają wiele wspólnego.

Coś sprawiało, że dwoje urodzonych tego samego dnia dzieci stawiało sobie szczytne cele, a po ich osiągnięciu rozglądało się za jeszcze szczytniejszymi i trudniejszymi. Jeffrey wiedział, jak bardzo sam jest ambitny, a imponujący życiorys Diany wiele mówił o jej niemałych ambicjach. Oboje posiadali też cechy niezbędne do realizacji swoich zamierzeń: zdolności, energię i determinację.

Diana Sheperd odniosła w życiu sukces. On także. Jeffrey przypuszczał, że podobnie

jak on sam, Diana była wymagającą perfekcjonistką, która zawsze osiągała swój cel i nie dopuszczała do siebie myśli o porażce. No i co z tego? To samo można powiedzieć o każdej wybitnej kobiecie, o każdym wybitnym mężczyźnie. Duże ambicje, sukcesy i brak większych porażek na koncie nie czyniły jeszcze z Diany Sheperd jego kosmicznej siostry-bliźniaczki.

Ale Jeffrey dostrzegł jeszcze inny rodzaj łączącego ich podobieństwa, podobieństwa kryjącego się w fotografiach słynnej lekarki...

Twarz Diany była delikatna i kobieca, twarz Jeffreya nosiła znamiona siły. Byli inni, a jednak w pewien sposób bardzo do siebie podobni. Przyglądając się zdjęciom Diany, Jeffrey doszedł do wniosku, że podobieństwo to kryje się w oczach, w ich wpadającym w granat błękitcie, w otwartości i zachwycie, z jakim oboje spoglądali na świat.

Czy te piękne ciemnoniebieskie oczy kiedykolwiek iskrzą się radością? Czy potrafią patrzeć ciepło i czule? Jeffrey wiedział, że w jego przypadku ambicję i dążenie do perfekcji łągodzi miłość i humor. Czy w życiu Diany także mają one swoje miejsce? Czy pod żelazną zbroją ambicji i dążeń bije czule, kochające serce?

W przeglądanych fotografiach Diany Sheperd Jeffrey nie znalazł odpowiedzi na te pytania i ciekaw był, czy pozna je, kiedy w końcu spotka ją osobiście.

Szofer o siódmej pięćdziesiąt zatrzymał limuzynę przed głównym wejściem do Szpitala Memorial. Limuzyna należała do studia i szofer miał czekać, aż Jeffrey skończy rozmowę z Dianą, by następnie odwieźć go do Southampton.

Jeffrey wszedł do szpitala, mijając po drodze wychodzący z niego spory tłumek. Właśnie zakończyła się pora odwiedzin. Teraz szpital szykował się do nocnego odpoczynku. Kiedy Jeffrey podszedł do wind, światła przygasły - lampy nocne zastąpiły oświetlające korytarze za dnia

25 jarzeniówki. Był to sygnał, że ci, którzy mieli pozostać w szpitalu, szykują się do snu.

Biurowo Diany znajdowało się na dziesiątym piętrze Instytutu Kardiologii. Wsluchując

się w odgłos własnych kroków, dudniących w pustym, ciemnym korytarzu, Jeffrey zastanawiał się, czy Diana jest u siebie, a jeśli nie, to jak zdoła ją odnaleźć w tym wielkim, mrocznym labiryncie.

Przy końcu korytarza widział złoty promień, snop światła służący mu za przewodnika. Światło padało z gabinetu Diany. Drzwi były uchylone, światło rozpraszało mrok korytarza. Jeffrey usłyszał dobiegające z gabinetu głosy - a właściwie, jeden głos, miękki, ledwo dostrzegalnie przeciągający samogłoski w sposób typowy dla ludzi z Południa. Jeffrey zapukał, stając w drzwiach tak, żeby Diana mogła go zobaczyć. Stała przy biurku, rozmawiając przez telefon. Uśmiechnęła się i ręką pokazała mu, żeby wszedł.

- Jeszcze raz ci dziękuję, Paige. Kiedyś na pewno nam się uda! Pozdrów Edmunda i Amandę. Do widzenia. - Diana odłożyła słuchawkę i spojrzała na Jeffreya.

- Dobry wieczór, doktor Sheperd - powiedział Jeffrey oficjalnie.

- Witam, panie Lawrence - odparła tym samym tonem. Przecież miał to być oficjalny wywiad, a poza tym widzieli się po raz pierwszy. Seria niefortunnych przypadków sprawiła, że nie spotkali się wcześniej. W oczach Diany błysnęła iskierka rozbawienia.

- Wreszcie się spotykamy.

- Wreszcie. Proszę mówić mi Jeffrey.

- Diana - lekarka wyciągnęła do niego całkowicie pozbawioną biżuterii dłoń. Na drugiej ręce miała tylko złotą obrączkę ślubną i pierścionek z brylantem.

Ściskając jej dłoń, Jeffrey pomyślał, że to dłoń prawdziwego wirtuoza. Zdolności kryjące się w tych smukłych palcach i upór w dążeniu do celu zawiodły Dianę na szczyty - zdobyła wszelkie możliwe wyróżnienia w Akademii Medycznej Harvarda, praktykę w stanowym Szpitalu Massachusetts, stypendium S r c e w Szpitalu Memorial i opinię jednego z najlepszych kardiochirurgów w kraju. Kiedy nie operowała, była zajęta pisaniem prac naukowych, dzięki którym stała się sławna na całym świecie. Jej talent, wiedza i upór stworzyły Sheperd Heart. Był to wielki krok naprzód, wychodzący poza najśmielsze wizje kardiochirurgii na następną dekadę.

- Zobaczymy się w sobotę? - spytał Jeffrey, kiedy już wymienili uścisk dłoni. Na podstawie tego, co przypadkiem usłyszał, domyślał się, że otrzyma odpowiedź przeczącą.

- Niestety, nie. Mam dyżur w ten weekend. 26

A trzy tygodnie temu odszedł od niej mąż. Diana zmarszczyła brwi i postanowiła myśleć pozytywnie. Chase wróci, spędzi resztę życia u jej boku. Trzeba w to wierzyć.

- Szkoda.

- Tak.

Tak. Chase wróci.

- Może kiedyś...

- Wybacz ten strój - przerwała mu nagle Diana, zmieniając temat.

Miała na sobie biały fartuch, sztywno wykrochmalony, z napisem **D** Diana Sheperd **□** wyhaftowanym zieloną nicią. Ale pod nim błękitny kitel chirurga, przypominający krojem pizzamę. Tylko spodnie, mocno związane w pasie, podkreślały smukłość jej talii. Na nogach Diana miała białe adidasy, dopełniające wizerunku sprawnej, silnej kobiety. Gdyby zrzuciła ten biały fartuch, mogłaby iść biegać po lesie albo przeistoczyć się w instruktorkę aerobiku czy żeglarza, śmiało prującego wody wokół Long Island.

- Świetnie wyglądasz.

- Już się przebrałam, kiedy jeden z moich kolegów zaczął operować bardzo ciężki przypadek i poprosił, żebym była w pogotowiu. - Po chwili dodała, rzucając mu wyzwanie:

- Powiedziałaś **p**rzypadek **□**prawda?

- Rzeczywiście.

- Medyczne określenie, które tak nie podoba się dziennikarzom.

- Bo chyba nie jest poprawne - odparł Jeffrey.

Ciemnoniebieskie oczy Diany uśmiechnęły się do niego, ale kryło się w nich coś jeszcze - iskierki rozdrażnienia i zniecierpliwienia, starannie przysłoniętego maską spokoju. Ta kobieta miała wiele twarzy, była skomplikowana, krytyczna - tak jak on.

- Może nie.

- A może tak. Powiedz, jak to rozumiesz.

- Panuje powszechne przekonanie, iż użycie słowa „przypadek” jest jednoznaczne z depersonalizacją pacjenta, odebraniem mu jego ludzkiej godności, co pośrednio ma też wpływ na to, w jaki sposób traktują go lekarze. Jednak czy będę używała w odniesieniu do pacjenta słowa „przypadek” czy będę mówiła o nim po nazwisku, tak samo postaram się mu pomóc.

- Może jesteś wyjątkiem wśród lekarzy.

- Z pewnością nie - odparła Diana z naciskiem, po czym dodała z uśmiechem:

- Media wcale nie zawsze są w porządku, więc dość już tych pouczeń. Wracając do depersonalizacji. Mass media zrobiły „wydarzenie”

27 z operacji radzieckiego ambasadora. Zauważ, że choć od ponad sześciu miesięcy wstawiam ludziom nowe serca, najpopularniejszy dziennikarz telewizyjny umawia się ze mną na wywiad dopiero wtedy, kiedy moim pacjentem jest taka ważna osobistość. Ambasador został w mediach kompletnie pozbawiony tożsamości i sprowadzony wyłącznie do symbolu odprężenia.

Diana miała oczywiście rację. Jej uwagi nie były dla niego zaskoczeniem. Sam często rozmyślał na te tematy, niepokoiły go pewne sprawy i czuł, że powinien coś z tym zrobić. Dobrze wiedział, jak często uczucia ofiar i ich rodzin wykorzystywano w celu „wzrzenia historii”, jak często służyły do tego przerażające zdjęcia rzezi i zwłok.

- Cóż, prawda jest taka, że ambasador ma pięćdziesiąt sześć lat i, podobnie jak pewien pięćdziesięciosześcioletni maszynista, którego operowałam w zeszłym miesiącu, bez nowego serca długo nie pożyje. Ta operacja może być istotnym krokiem w stosunkach radziecko-amerykańskich, ale dla ambasadora to po prostu sprawa życia lub śmierci. Może już pojutrze Waszyngton i Moskwa wykażą wobec siebie więcej dobrej woli, ale ambasadora obchodzi tylko jedno: czy będzie miał szansę zobaczyć jeszcze swoje wnuki.

- Co mogę dodać? Dobrze powiedziane, pani doktor.

- Dziękuję... panie redaktorze. - Uśmiechnęła się Diana. - No więc czego chciałbyś się dowiedzieć o jutrzejszej operacji? Mam tu model serca, schematy, broszury, pomoce audiowizualne. Możesz wziąć to wszystko, łącznie z modelem, jeśli pomoże ci w jutrzejszym programie. Ale serce musi do mnie szybko wrócić.

- Oczywiście. Bardzo dziękuję.

- Proszę. - Diana zamknęła drzwi i skierowała się w stronę wielkiego dębowego stołu stojącego przy ogromnym oknie, za którym rozciągała się panorama Manhattanu.

Jeffrey podążył za nią, w milczeniu podziwiając ten widok, ale kiedy podeszli do stołu, jego uwagę przyciągnął model serca Sheparda - Dzieło Diany, wielkości czterech małych, zaciśniętych w pięść dłoni, zostało wykonane z przezroczystego plastyku, w którym zainstalowano cieniutkie druciki, oplatające je siecią cieńszą niż pajęczyna.

Jeffrey wpatrywał się w to dzieło, wyprzedzające epokę. Model był tak wyraźny, sterylny, kliniczny. Czego się w końcu spodziewał? Tworzywa w kolorze burgunda, w kształcie serduszka - słodkiej Walentynki dla całego świata od kochającej Diany? Wypełnione krwią serce oczywiście staje się czerwone. Jeffrey zauważył też, że druciki łączące serce z małymi puszczkami - źródłem energii i malutkim komputerem - są czerwone i niebieskie, jak w naturze, imitując arterie i żyły. 28

Gdyby jego własne serce nagle przestało bić, czy chciałby, żeby zastąpił je ten kawałek plastyku? Czy wierzyłby, że utrzyma go przy życiu? Czy ten sztuczny, sterylny twór pulsowałby namiętnością i miłością? Czy potrafiłby łkać z bólu i radości?

Jeffrey zdał sobie sprawę, że Diana oczekuje pytań na temat modelu, ale te, które cisnęły mu się na usta, były natury filozoficznej, nie technicznej.

- A więc naprawdę potrafisz naprawić złamane serce? - spytał w końcu, marszcząc brwi i zastanawiając się, czy ona zrozumie, o co mu chodzi.

- Nie - odparła cicho. - Proszę wyjąć z ludzkiej piersi żywe, krwawiące serce i zastąpić je tym kawałkiem plastyku. Muszę to jednak robić. Należy usunąć całe naturalne serce, żeby zrobić miejsce dla tego. Na początku bałam się, że w ten sposób pozbawię

człowieka jeszcze czegoś.

- I co?

- Emocje i namiętności nie mają z tym nic wspólnego. Serce to tylko pompa do krwi. I nigdy nie nazywam tego sztucznym sercem. Mówię o nim howe serce□

Szkoda, że nie można nazwać Diany w telewizji Królową Serc. Tak bardzo pasowałoby to do niej. Była taka władcza, królewska, nawet w tym ubraniu.

Diana zaczęła opowiadać o tym, jak jej howe serce□działa, powiedziała wszystko o małym komputerze, ukrytym w pudełeczku wielkości portfela, który umożliwiał pacjentowi normalne życie - mógł swobodnie się poruszać jak każdy zdrowy człowiek, nie był przykuty do maszyny.

- Serce reaguje na niezliczone bodźce. Większość reakcji fizjologicznych może być symulowana komputerowo.

- Większość, ale nie wszystkie?

- Istnieją tajemnice nie zbadane dotąd przez naukę. Na przykład nagłe przyspieszenie akcji serca, kiedy się zakochujemy. Nie wiem, gdzie znajduje się połączenie nerwowe, które za to odpowiada. Nie zostało to zaprogramowane w ludzkiej istocie. Jak więc mogłabym zaprogramować w ten sposób komputer?

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi.

- No tak - powiedziała Diana przepraszająco - to zapewne ktoś z bloku operacyjnego. Jeffrey uśmiechnął się lekko.

- Potrzebują pomocy przy ciężkim przypadku?

- Obawiam się, że tak.

29

- Nie szkodzi. Chętnie zaczekam.

Diana szybko przeszła przez gabinet i otworzyła drzwi. Natychmiast stało się jasne, że nie jest to nikt z bloku operacyjnego. Jeffrey nie widział tego człowieka, ale słyszał jego głos.

- Doktor Diana Shepherd?

- Tak.

- Panna Chase'a Andrewsa?

- Tak. Czy Chase'a spotkało coś złego? - Diana była teraz poważnie zaniepokojona.

- To dla pani.

Diana wzięła kopertę. Nadawcą była firma prawnicza z Park Avenue, zupełnie jej nie znana. Nagle wszystko stało się jasne.

- Papiery rozwodowe - rzekł posłaniec. Wykonał swoje zadanie, dostarczył przesyłkę adresatce. I czemu się tak dziwi ta pani doktor? Jest ósma wieczorem, a ona siedzi w szpitalu, zamiast zajmować się domem. Nawet nie raczyła zmienić nazwiska.

- Jutro sprawa znajdzie się w sądzie.

Posłaniec zniknął, zostawiając Dianę z kopertą w ręku.

A więc Chase podjął decyzję. Przez długą chwilę Diana stała w milczeniu, wstrząśnięta tym faktem. A więc naprawdę nie wystarczała mężczyźnie, którego kiedyś kochała. Opanowała się jednak szybko, wewnętrzna dyscyplina, dzięki której zawsze potrafiła wziąć się w garść, pomogła jej wrócić do rzeczywistości.

Powoli zamknęła drzwi i odwróciła się do Jeffreya.

- Pewnie wszystko słyszałeś.

- Tak.

- Będę ci wdzięczna, jeśli nie ujawnisz tego faktu.

- Kiedy papiery trafią do sądu, ta wiadomość natychmiast przedostanie się do wiadomości publicznej. Świetna gratka dla reporterów zajmujących się sprawami sądowymi.

- Wiem. Proszę tylko, żebyś nie wspominał o tym jutro w swoim programie.

- Nie pracuję dla jakiegoś brukowca. - Czy ona nie wie, że on nigdy nawet by nie pomyślał o wyciąganiu jej prywatnych spraw? - Masz moje słowo.

- Dobrze. Dziękuję. O czym to ja mówiłam?

O tajemnicy przyspieszonego bicia naszych serc, kiedy zaczynamy kochać, pomyślał Jeffrey. Ale powiedział:

- Mówiłaś o programowaniu reakcji fizjologicznych.

- Ach tak. I0

Diana położyła zaklejoną kopertę na biurku i wróciła do stołu przy oknie. Dokończyła opowieść o śwym sercu, ale jej oczy przygasły, a głos brzmiał głucho, sztucznie.

Co ona czuje? Może chce się jej teraz wyć z bólu? Jakie serce bije w piersi Królowej Serce? Serce z lodu? Z kamienia? A może ona w ogóle nie ma serca?

Słuchając jednak jej słów i patrząc w pociemniałe niebieskie oczy Diany, Jeffrey doszedł do wniosku, że niewątpliwie ma ona serce, które zostało teraz głęboko zranione.

- Tak ci współczuję - powiedział.

- To jest... - Diana nie skończyła rozpoczętego zdania, ale jej oczy mówiły wyraźnie, żeby się nie wtrącać do tego.

Diana reagowała tak, jak on sam by w takiej sytuacji zareagował. To jej osobisty ból, osobisty gniew, i nikomu nic do tego.

Tak, on zareagowałby tak samo. Niesamowite. Diana przeżywała koszmar, który jego samego dręczył od lat. Od lat czuł strach, że pewnego dnia Julia może zrobić mu to samo. Odchodzę od ciebie, Jeffrey. To koniec. Jest ktoś inny. Zawsze był.

Wyglądałoby to tak podobnie. Pewnego razu pracowałby do późna i wtedy do drzwi jego biura zastukałby posłaniec z papierami rozwodowymi. Byłby to ogłuszający cios, ale Jeffrey opanowałby się tak szybko jak Diana. A w tych strasznych chwilach, kiedy koszmar stawałby się rzeczywistością nie chciałby słyszeć żadnego współczującego, obcego głosu. Chciałby być sam, twarzą w twarz z prawdą, z bólem, z pustką. Z porażką.

Czemu więc nie zostawi tej kobiety w spokoju? Jego serce nie chciało podporządkować się rozsądkowi, pragnął pomóc tej pięknej, inteligentnej, zranionej kobiecie.

- Chase mógł wybrać lepszy moment - powiedział bardzo cicho.

- Co masz na myśli? - Diana zmarszczyła brwi. - Tak, rozumiem, mógł zrobić to przed jakąś inną operacją, a nie wówczas, gdy pacjentem jest radziecki ambasador? Chyba nie słuchałeś mnie uważnie?

- Słuchałem.

- Myślisz, że się rozkleję?

- Nie. - Nawet mu to przez myśl nie przeszło. Gdyby jemu wręczono papiery rozwodowe dziesięć minut przed programem, wziąłby się w garść i zrobił, co do niego należy. Działalby jak automat. Oczywiście Diana jest w innej sytuacji, za dziesięć godzin będzie musiała wyjąć z ludzkiej piersi serce i zastąpić je nowym. Czy naprawdę może w takim stanie operować? Gdyby jemu powinęła się noga podczas

łą programu, dostalby najwyżej kilka listów ze słowami krytyki. Albo, co bardziej prawdopodobne, z wyrazami współczucia. Czy najpopularniejszy dziennikarz telewizyjny w kraju nie jest czasem chory? Może to grypa? Tymczasem najmniejsze potknięcie na sali operacyjnej może kosztować życie.

- Czy nadal masz zamiar...

- Operować ambasadora? - dokończyła Diana, patrząc na niego oczyma pełnymi gniewu.

- Tak - odparł cicho.

Pytanie było uzasadnione, ale to ona powinna je sobie zadać i postąpić zgodnie z etyką lekarską.

- Może mnie pan zacytować w telewizji, panie Lawrence - powiedziała lodowato. - Nigdy nie naraziłabym na niebezpieczeństwo zdrowia ani życia żadnego z moich pacjentów. Kiedy nie jestem w najlepszej formie, nie operuję.

Jeffrey chciał ją przeprosić. Czuł, że powinien to uczynić. Obraził ją, choć chciał tylko pomóc, wyrazić współczucie. Otworzył usta, ale w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Tym razem było to wezwanie z bloku operacyjnego.

- Muszę iść - powiedziała oschle, odkładając słuchawkę. - W materiałach, które tu zostawiam, jest wszystko, czego panu potrzeba. Proszę zamknąć drzwi, wychodząc.

Bez słowa pożegnania Diana opuściła gabinet, zanim Jeffrey zdołał jej podziękować i przeprosić za swoją niezręczność. Wkładając broszury do teczki, zdał sobie sprawę, że choć Diana wyszła pierwsza, to on został odprawiony. To Królowa Serc decydowała, kiedy zakończyć audiencję.

Ból poczucia, że oto stał się mimowolnym świadkiem śmierci pewnej miłości, nie opuszczał Jeffreya przez całą drogę powrotną z Manhattanu do Southampton. Domyślał się, że Diana obawiała się rozwodu, ale miała nadzieję, że nigdy do niego nie dojdzie.

Gdyby jednak nawet była na to w pełni gotowa, gdyby się tego spodziewała, nie złagodziłoby to jej bólu. Utraciła teraz ostatni cień nadziei, której się tak kurczowo chwyciła.

Nie przestawały go dręczyć ponure myśli. Piękna, utalentowana, odnosząca same sukcesy Diana nie potrafiła uchronić przed rozpadem własnego małżeństwa. Czy jego nie mogłoby spotkać to samo? Pewnej nocy, może właśnie dziś, wróci do Belvédère i nie zastanie tam Julii. 12 Znajdzie tylko krótki list: Merry nie jest twoją córką. Ona i ja chcemy być z jej ojcem. Tak mi przykro, Jeffrey, wybac mi.

Jeffrey pomyślał, że ból, jaki czuł, dotyczył wyłącznie Diany, jej straty, jej cierpienia. To, co wydarzyło się tego wieczora, nie było przesłaniem z gwiazd, astrologiczną wróżbą dla niego i Julii.

A jednak...

Kiedy Julia otworzyła drzwi, Jeffrey poczuł przyspieszone bicie serca - cudowny, tajemniczy trzepot miłości, którego nawet sama Królowa Serc nie potrafiła wyjaśnić.

- Julie - wyszeptał cicho z miłością i ulgą.

- Cześć - fiołkowe oczy błyszczały szczęściem, że znowu go ujrzały, i ulgą, że w końcu wrócił do domu. - Masz to serce?

- Tak.

Jeffrey postawił teczkę na podłodze w holu i wyjął model z kartonowego pudełka. Patrzył, jak Julia delikatnie dotyka plastyku i spogląda na model serca poważnie, w zamyśleniu. Wiedział, że zadaje sobie te same pytania, które wcześniej jemu przyszyły do głowy.

- Opowiesz mi o nim? - spytała Julia. - Miała nadzieję, że choć Jeffrey wrócił do domu tak późno, usiądą jednak w salonie jak zawsze Jeffrey ze szklaneczką whisky, ona zwinięta w kłębek przy nim - i porozmawiają. Jak kochankowie, boleśnie rozłączeni za dnia, podzielą się wszystkim, co miało miejsce wcześniej, kiedy nie mogli być razem.

- Tak, opowiem... - Jeffrey zawahał się i zmarszczył lekko brwi. Była tutaj, a w jej oczach widział miłość... a jednak w głębi jego serca wciąż czaił się strach.

- Jeffrey?

- Chodź, najpierw muszę cię przytulić.

Przytulić, dotknąć, przekonać się, że ona naprawdę tu jest, że jego lęki to tylko wytwór wyobraźni.

Jeffrey postawił model serca na marmurowym blacie stolika i trochę niepewnie wyciągnął do żony ramiona.

Julia podeszła do niego szybko, z radością. Przytul mnie, weź mnie w ramiona. Chcę być tylko z tobą.

Objął ją mocno. Julia odpowiedziała takim samym uściskiem, przytulając się do niego całym ciałem, przyciskając policzek do jego piersi. Jeffrey ucałował lśniące czarne włosy Julii, czule, pieścizotliwie szepcząc jej imię.

Julia podniosła głowę, dostrzegła pożądanie w jego ciemnoniebieskich oczach i poczuła ogarniającą ją falę gorąca. Uśmiechając się lekko, podała mu usta.

Ł ł - Melodie miłości

Pocałunki, początkowo niezwykle delikatnie, stopniowo zaczęły się stawać coraz bardziej namiętne. Jeffrey był spragniony Julii, a ona jego.

Trzymając się za ręce, poszli schodami na górę, do swojej sypialni mijając po drodze pokój, w którym spała Merry. Balsamiczne nocne powietrze wpływało przez okno do pokoju, niosąc zapach róż rosnących w ogrodzie. Wraz z tą oszalamiającą wonią wpadało do sypialni światło czerwcowego księżyca w pełni.

Nie zamykali okien, nie zaciągali zasłon. Tylko księżyc mógł ich widzieć, a żadne z nich nie potrzebowało ciemności, kiedy się kochali.

Jeffrey, choć zżerała go żądza, głaskał czule jej ciało, jej smukłą piękną szyję, krągłe ramiona, miękkie, pełne piersi.

Jego dłonie odnajdywały na jej ciele ścieżki, którymi podążały później jego usta. Silny i czuły Jeffrey instynktownie wyczuwał jej pragnienia i wiedział, jak je spełnić. Każda część jej nagiego ciała nie była dla niego tajemnicą. Julia oddała mu się cała w radosnym akcie miłości. Nie było stref zakazanych. Po dziesięciu latach Jeffrey znalazł ją tak dobrze. A jednak każdej nocy, w cudowny sposób, poznawał ją od nowa.

Jeffrey wiedział, jak kochać Julię, a ona wiedziała, jak kochać jego. Znała jego pragnienia i potrafiła je zaspokoić.

- Julie, najdroższa.

Pragnę cię, całą, teraz.

- Jeffrey.

Ja też cię pragnę.

Ich usta odnalazły się w mroku. Znowu byli razem. Jeffrey oderwał usta od jej warg, nie zakłócając rytmu miłości, żeby spojrzeć jej w oczy, żeby czule do niej szeptać.

- Kocham cię, Julie.

- Ja też cię kocham, Jeffrey.

Patrzyli sobie w oczy aż do końca, aż porwała ich wszechogarniająca fala miłości, ponownie spajając ich usta w namiętym pocałunku, zamykając im oczy. A potem, wspólnie, roztopili się w złotej rzece rozkoszy, złączeni w jedno... tak ciasno spleceni uściskiem, że nie było już między nimi miejsca na żadne sekrety.

Julia usnęła w ramionach Jeffreya, mocno do niego przytulona, ciepła i słodka. Oddychała spokojnie, wzdychając z zadowolenia, a na jej ustach malował się uśmiech. Ich miłość była taka doskonała, jak brylant skąpany w świetle słońca, barwna jak migotliwy kalejdoskop, co dzień łączyła ich, co dzień bardziej sobą samą zdumiona, zawsze zapierająca im dech w piersiach swoim pięknem.

Jednak i ich wspaniała miłość nie była pozbawiona skazy. Która miłość, które małżeństwo ich nie ma?

Ta mała skaza na ich doskonałej miłości mogła okazać się fatalna.

Tak jak najmniejsza nawet skaza jest w stanie zniszczyć brylant, który uderzony w to miejsce rozpada się na tysiące kawałków, tak ta mogła zniszczyć ich uczucie.

Skazą znaczącą ich miłość było kłamstwo Julii. Jeffrey wiedział, że nie jest ojcem Merry - nie mógł nim być - ale Julia powiedziała mu, patrząc na niego niewinnymi fiołkowymi oczyma bez jednego drgnienia powieki: Ty jesteś jej ojcem, Jeffrey. W moim życiu nigdy nikogo innego nie było.

A potem, przez dziesięć lat, trwała przy tym niezłomnie, chroniąc kochanka, stanowczo twierdząc, że nikt taki nie istniał. Tyle razy mogła powiedzieć prawdę. Jeffrey zachęcał ją do tego, czule, z miłością, a czasem z gniewem, ale ona niezachwianie trzymała się swojej wersji. Jeffrey nie wiedział, dlaczego tak uparcie powtarza swoje stare kłamstwo, i to go właśnie najbardziej przerażało...

Ponieważ od samego początku, Julia kłamała tylko w najważniejszych sprawach.

"

San Francisco

luty 1979 Dzień był piękny, na błękitnym, bezchmurnym niebie świeciło

światło słońca. Przechodząc przez tłoczny, jak zwykle w sobotnie popołudnia, Ghirardelli Square Jeffrey poczuł nagle ze zdumieniem, że ogarnia go smutek. Był to jego ostatni dzień w San Francisco, ostatni dzień pracy w charakterze lokalnego dziennikarza. Wkrótce nagra swoją pożegnalną audycję, którą jego wierni widzowie obejrzą w telewizji.

Potem wyruszy do Los Angeles, gdzie będzie korespondentem dużej sieci. Perspektywa nowej pracy napełniała go radością i zapałem, a jednak...

Na zawsze zapamięta to eleganckie, stylowe miasto. Zapamięta ten piękny, słoneczny dzień. Wyryje go w swej pamięci i będzie przywoływał

15 w przyszłości, w odległych, egzotycznych, zniszczonych wojną miastach, w których dzieci nie biegają po zielonych trawnikach z latawcami w rękach, ale uciekają przed wrogiem po spalonej słońcem, splamionej krwią trawie; w miastach nie rozbrzmiewających za dnia śmiechem i muzyką, lecz hukami bombardowań i krzykiem konających. Tak, przywoła to piękne wspomnienie, jako łagodne antidotum na smutek, kiedy jego nowe życie zacznie go przytłaczać.

Przeszedł przez park i znalazł się na brzegu zatoki. Patrzył na smukłe żaglówki ślizgające się wdzięcznie po migoczącej w słońcu wodzie, starając się zapamiętać każdy szczegół.

Jeffrey odwrócił się, by powitać kamerzystów, którzy właśnie przybyli nad zatokę, i wtedy zobaczył ją. Siedziała po turecku na trawie, wiatr rozwiewał jej czarne, długie włosy, a jej duże, fiołkowe oczy patrzyły spokojnie gdzieś w dal. Uśmiechała się lekko.

Jeffrey dodał ten obrazek - piękna kobieta z San Francisco - do innych skrzętnie zbieranych wspomnień tego dnia. Ta kobieta była idealnym symbolem wszystkich innych znanych mu kobiet tego miasta, taka spokojna, elegancka, piękna.

Wpatrywał się w nią uważnie, próbując wszystko dokładnie zapamiętać, kiedy odwróciła głowę i spojrzała na niego. W jej oczach pojawiło się zdumienie, jakby go rozpoznała, potem zakłopotanie, jakby zdała sobie sprawę, że jednak go nie zna. Onieśmielona, zmieszana, spuściła oczy, zasłaniając je długimi czarnymi rzęsami.

Jeffrey także poczuł się zaskoczony, także miał wrażenie, że ją zna, ale nie zmieształ się ani nie odwrócił wzroku. Przeciwnie, patrzył na nią uparcie, chcąc, by i ona znowu na niego spojrzała. Kiedy posłuchała jego milczącego rozkazu, jej twarz wyrażała już nie zakłopotanie, lecz zaciekawienie.

Rozpoznała go, ale nie chodziło tu tylko o to, że był Jeffreyem Lawrence'em, z wiadomości na Kanale Czwartym! Nie, to było coś głębszego, coś, co on także odczuwał, kiedy na nią patrzył.

To rozpoznały się dwa serca.

Jeffrey poczuł nagle wielką ulgę, płynącą z przeświadczenia, że został odnaleziony, choć nie wiedział dotąd, że się zgubił. Nagle ogarnęło go cudowne poczucie, że osiągnął pełnię, że od tej chwili niczego mu już nie brakuje, choć nigdy nie doświadczył życiowej pustki. Czuł radosną euforię, jaka towarzyszy odnalezieniu zgubionego kawałka układanki, niezbędnego do stworzenia wyraźnego obrazu rzeczywistości - chociaż Jeffrey nie wiedział dotychczas, że coś układa, a tym bardziej, że mu czegoś do tej układanki brakuje. 16

Na chwilę Jeffrey zatracił się w tych zupełnie dla niego nowych uczuciach, zatracił się też w jej ogromnych, fiołkowych oczach, ślących mu uwodzicielskie zaproszenie: chodź i zostań ze mną na zawsze.

Zdawało mu się, że ta chwila trwa całą wieczność, choć w istocie była bardzo krótka. Opanował się, jego umysł przejął kontrolę nad oszołomionym sercem. Uśmiechnął się nonszalancko i podszedł do czekających na niego współpracowników.

Ciągle jednak nie mógł pojąć, co się przed chwilą stało.

Emocje nie odgrywały dotąd większej roli w jego życiu. Dziś, w związku z rychłym wyjazdem z miasta, zrobił się bardziej sentymentalny. Emocje, obce mu zazwyczaj, nagle zbudziły do życia romantyczne fantazje.

Romantyczne fantazje o miłości od pierwszego wejrzenia? Oczywiście, że nie! Po prostu ten dzień zbyt obrodził emocjonalnie. To wszystko nie ma nic wspólnego z piękną nieznajomą.

A jednak nagrywając swoją audycję pożegnalną, nie mógł się powstrzymać od zerkania w jej stronę, prosząc ją spojrzeniem, by nie odchodziła.

Julia została. Ciągle siedziała na trawie, choć zimowe słońce już zaszło i zaczęło się

robić coraz chłodniej. Gdy Jeffrey zbliżył się do dziewczyny, dostrzegł, że była jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej czarująca, niż mu się wydawało. Miała na sobie luźne dzinsy, wypłowiały żółty podkoszulek i sprany sweter z dekoltem w szpic. Nie miała torebki ani zakietu. Na kolanach trzymała książkę, odwróconą tak, że nie mógł dostrzec tytułu. Książka wyglądała tak, jak jej ubranie, była zniszczona i wystrzępiona na rogach. Spod granatowego płótna wyzierała brązowa tektura.

- Cześć. Jestem Jeffrey.

- A ja mam na imię Julia.

Pod wpływem powiewu wiatru na twarz opadło jej długie pasmo czarnych włosów. Odgarnęła je drżącymi palcami.

- Nie jest ci zimno?

- Troszeczkę - przyznała, choć tak naprawdę drżenie ogarnęło ją w chwili, gdy po raz pierwszy napotkała spojrzenie jego ciemnoniebieskich oczu, na długo przed zachodem słońca.

- Może wybierzemy się gdzieś, gdzie jest trochę ciepłej?

Musiałby z nią pojechać choćby do Kalifornii Południowej. Przypomniał sobie, że miał tylko zamienić z tą dziewczyną kilka słów i pożegnać się, chcąc udowodnić sobie samemu, że w jego nagłym zauroczeniu nie kryje się nic głębszego. Czuł teraz jednak, że prawda jest inna. Nie potrafił wyzwolić się spod jej uroku.

- Dobrze.

17

- Jane Eyre - Jeffrey odczytał tytuł zniszczonej książki, kiedy wstała. - Twoja ulubiona lektura?

Julia kiwnęła głową. Była dumna z tego, że ten cudowny romans jest jej ulubioną książką. Silna, cierpliwa Jane i przystojny, udęczonego pana Rochester byli jej ukochanymi przyjaciółmi. Omal nie zaczęła wyjaśniać Jeffreyowi, że to nie ona tak zniszczyła tę książkę - nigdy nie zrobiłaby tego swoim przyjaciółom! - choć czytała ją już tyle razy. To

inni obchodzili się z nią nieuważnie, ale z powodu ich nieuwagi książka trafiła w końcu do antykwariatu, gdzie wyceniono ją tak nisko, że nawet Julię było na nią stać.

- Proszę, włóż to - powiedział Jeffrey, zarzucając dziewczynie na ramiona swoją marynarkę. - To co, pójdziemy na drinka? Może na grzany rum? Albo na kawę po irlandzku?

Myśli, że mam co najmniej dwadzieścia jeden lat, uświadomiła sobie Julia, jednocześnie podekscytowana i przestraszona.

- Zwykła kawa wystarczy.

- A może zjemy gorącą zupę rybną? Zrobiło się tak zimno.

Tawerna Chowder House, popularna restauracja na Fisherman's Wharf, stanowiła idealne miejsce dla tych, którzy szukali schronienia przed chłodem zimowego wieczoru. W środku było tłoczno i głośno, ale Jeffrey i Julia zapomnieli o całym świecie, siedząc przy jednym ze stolików odgradzonych od siebie drewnianymi przepierzeniami, na których własne imiona wyryło już kilka setek zakochanych par. W powietrzu unosił się zapach świeżo wypieczonego chleba i przygotowywanych w kuchni smakołyków. Było cudownie, byli razem.

- Jesteś aktorem - powiedziała Julia miękko, jakby stwierdzając ogólnie znany fakt, choć wcale nie była tego pewna. Wydedukowała to, widząc tego uderzająco przystojnego mężczyznę przed kamerami, w otoczeniu wielbicieli. Na pewno jest słynną gwiazdą filmową. Gdyby miała dość pieniędzy, żeby chodzić do kina, na pewno znałaby już jego nazwisko.

- Naprawdę nie wiesz, kim jestem? - spytał Jeffrey łagodnie, nie chcąc jej speszyć, zadowolony, że nie należy do grona jego fanek.

- Nie, przykro mi, ale nie.

- Od czterech lat pracuję jako dziennikarz dla Kanału Czwartego. To, co widziałas nad zatoką, było moim ostatnim nagraniem. W poniedziałek zaczynam pracę w Los Angeles. A ty mieszkasz w San Francisco?

- W Berkeley - odparła i dodała przepaszajaco:

- Nie oglądam telewizji. 18

W małym domku, gdzie Julia mieszkała z ciotką Doreen, był wprawdzie telewizor, ale stał w sypialni ciotki, poza zasięgiem Julii.

Nie ogląda telewizji i nie czyta gazet, pomyślał Jeffrey. W ciągu ostatnich czterech tygodni wszystkie lokalne gazety publikowały artykuły na jego temat, pisały, z jakim świetnym wynikiem ukończył Stanford, o jego błyskotliwej karierze w telewizji, jego profesjonalizmie i nagrodach, które otrzymał za wybitne osiągnięcia w dziennikarstwie, o propozycji przejścia do pierwszej ligi sieci telewizyjnych, a także o jego znakomitym, świeżo odkrytym przez media, pochodzeniu...

Jeffrey Cabot Lawrence należał do nielicznej grupy prawdziwych bogaczy. Podchodził do swojego dziedzictwa trochę nonszalancko, jak wszyscy, którzy od zawsze znajdowali się w posiadaniu znacznych majątków. Traktował pieniądze jak płaszcz, niedbale przerzucony przez ramię na wypadek deszczu. Gdyby ktoś jednak zechciał dokładniej ten płaszcz obejrzeć, przekonałby się, że został świetnie skrojony i uszyty z materii najlepszego gatunku, a gdyby dokładniej przyjrzał się jego właścicielowi, dostrzegłby jego wyrafinowany smak, doskonałe maniery i upodobanie do rzeczy rzadkich i drogich.

Nagle jego elegancja i styl znalazły proste wytłumaczenie. Jeffrey był arystokratą. Była to kwestia urodzenia, a nie pieniędzy, choć już w tym czasie miał dość pokaźny osobisty majątek. Jeffrey zarabiał jednak na życie, pracując bardzo ciężko, a swoich sukcesów nie zawdzięczał koneksjom. Tak bogaty człowiek mógłby nic nie robić przez całe życie, ale on wybrał inną drogę. Ujawnienie tych faktów wzmogło jeszcze entuzjazm jego fanów.

Mieszkańcy San Francisco i okolic - a w każdym razie ci, którzy oglądali często telewizję i czytali gazety - wiedzieli o Jeffreyu prawie wszystko.

Ale Julia nie wiedziała o nim nic.

- Jesteś sławny, prawda? - zapytała, przypominając sobie ludzi, podchodzących do niego po autograf.

- Sławny? Nie, to tylko taka lokalna popularność.

- Ale będziesz sławny?

- Chyba tak, jeśli uda mi się osiągnąć to, co zamierzam. Sława nie ma dla mnie znaczenia.

- Ważniejsze są marzenia?

- Tak - szepnęła Jeffrey, zdumiony jej słowami. Miał marzenia, ale w rozmowach z innymi określał je mianem celów zawodowych□

Jeffrey opowiedział Julii o swoich marzeniach tak, jak opowiadał o nich przedtem wielu osobom, ale Julia rozumiała go jak nikt dotąd.

19

- Chcę być w centrum każdego wydarzenia, patrzeć, jak się rozwija, chcę być naocznym świadkiem i wyciągać wnioski z tego, co widzę. Mam nadzieję, że zostanę korespondentem i pojedę tam, gdzie dzieją się rzeczy ważne politycznie, które zmieniają świat.

A więc pojedziesz na Bliski Wschód i będziesz często pokazywany w telewizji - mówiły piękne kobiety, jego kochanki, kiedy im o tym opowiadał. Potem uśmiechały się znacząco i dodawały: Zdobędziesz sławę i kiedy wrócisz, zostaniesz prezydentem najlepszej stacji, będziesz miał własne programy□

Tak naprawdę wcale nie o to mu chodziło.

- Tak, to bardzo ważne - powiedziała cicho Julia.

- Też tak uważam - odparł Jeffrey jeszcze ciszej.

Nie traktował tego, co robi jako drogi do sławy. Ta planeta jest taka mała. Byle konflikt w jakimś odległym kraju może wzniecić pożar, który zniszczy całą ludzkość. Ta dziewczyna o pięknych, fioletowych oczach wiedziała, że to ważne, ale czy wiedziała dlaczego? Jeffrey bał się, że usłyszy: Ważne, bo będziesz często występował w telewizji i

po powrocie dostaniesz jeszcze lepszą pracę. Ale zaczynał też wierzyć swemu sercu, które mówiło, że to jej właśnie szukał przez całe życie.

- Dlaczego uważasz, że to ważne, Julio? - odważył się zapytać.

- Bo Ziemia jest taka mała.

Trzymali w dłoniach miseczki z parującą zupą, ale nie jedli, bo mieli co innego do roboty. Rozmawiali, uśmiechali się do siebie, patrzyli sobie w oczy. Jeffrey powiedział Julii prawdę o swoich marzeniach.

Powiedział prawdę o sobie. Julia także powiedziała prawdę o sobie, dodając kłamstw.

- Mówiłaś, że jesteś z Berkeley. Co tam robisz, studiujesz?

- Tak. - Julia naprawdę pochodziła z Berkeley i uczyła się tam. Wiedziała jednak, że Jeffrey ma na myśli studia na wyższej uczelni, a odpowiadając mu twierdząco, oszukała go.

- Na którym jesteś roku?

- Na ostatnim.

Tu też nie całkiem mijala się z prawdą. Julia była w ostatniej klasie szkoły średniej, chociaż miała dopiero szesnaście lat, dwa lata mniej od swoich kolegów z klasy.

- Co chcesz robić po studiach? Opowiedz mi o swoich marzeniach.

Czarne rzęsy zatrzepotały w zakłopotaniu nad fiołkowymi oczami.

- Ja... jeszcze nie wiem. 40

- Kiedy cię dziś zobaczyłem, patrzyłaś na zatokę, uśmiechając się do siebie. O czym wtedy myślałaś?

- Wymyślałam sobie taką historię...

- O czym była ta historia?

Julia spojrzała na tego wspaniałego, przystojnego mężczyznę, przy którym czuła się tak bezpiecznie, przy którym w magiczny sposób zapomniała o swojej nieśmiałości. Uśmiechał się do niej ciepło, zachęcająco.

- O miłości.

- O miłości - powtórzył Jeffrey cicho. - Chcesz zostać pisarką, Julio? Współczesną Charlotte Brontë?

Julia zamyśliła się.

- Nie, nie sądzę. - powiedziała w końcu.

- Więc o czym marzysz?

Przez chwilę myślał, że ona nie odpowie na to pytanie. Na jej alabastrowe policzki wypłynął uroczy rumieniec, w fioletowych oczach znowu odbiło się zakłopotanie. Czekał więc, uśmiechając się, prosząc ją bez słów: powiedz mi, Julio, zaufaj mi, możesz mi powierzyć swoje marzenia.

Julia nigdy dotąd nie ośmielała się marzyć, ale głęboko w sercu, niedostępne nawet dla niej samej, było takie miejsce, gdzie ciągle mieszkaly miłość i nadzieja, mimo wszystkich rozczarowań, jakich doznała w swoim życiu.

Jeffrey trafił do tego miejsca.

- Marzę o tym, żeby dać szczęście komuś, kogo pokocham - wyszeptała Julia odważnie. - To nic wielkiego. Nic ważnego.

- Przeciwnie - słowa Jeffreya płynęły wprost z głęboko skrytego, szczególnego miejsca w jego sercu, miejsca, które dopiero Julia przed nim otworzyła. - To bardzo ważne.

Troska o tę jedyną, wielką miłość może być marzeniem najważniejszym ze wszystkich.

- Kocham morze - powiedział Jeffrey, kiedy wyszli z tawerny pod rozgwieżdżone niebo. Kołysane wiatrem kutry rybackie skrzybiały w przystani, ocierając się o siebie na cumach.

- Mnie morze przeraża.

- Naprawdę? - Jeffrey ze zdumieniem spojrział w fioletowe oczy, które kilka godzin wcześniej z takim spokojem wpatrywały się wody zatoki.

- Jest bardzo piękne, kiedy migocze w słońcu, ale w nocy wydaje mi się takie ciemne i zimne. - Julia potrafiła opanować swój strach przed morzem, uczyła się go opanowywać, ale tylko za dnia, z pewnej odległości,

4ą patrząc na migoczący w słońcu błękit i myśląc o miłości. W nocy ogrom oceanu przerazał ją. Bo to właśnie w nocy samolot, którym lecieli jej rodzice, zamienił się w płonąca trumnę i runął w ciemną, zimną otchłań. Poza tym nie umiem pływać.

Julia wzdrygnęła się i zadrzała z chłodu i lęku, który ją nagle ogarnął. Jeffrey objął ją ramionami, przyciągnął do siebie, chcąc ochronić przed wzburzonym morzem, sprawić, żeby już zawsze czuła się bezpieczna.

I chcąc jeszcze więcej...

Jej pełne wargi były zimne z powodu chłodnego wiatru wiejącego znad oceanu, ale Jeffrey czuł płonący w niej ogień.

Julia nigdy wcześniej z nikim się nie całowała, ale jej usta instynktownie odnalazły drogę do jego warg, dotykając ich odważnie i zarazem nieśmiało, delikatnie i namiętnie. Nieśmiało i delikatnie, bo nigdy wcześniej tego nie robiła. Odważnie i namiętnie, bo całe życie na to właśnie czekała. Zrzuciła mu ręce na szyję, wsuwając palce we włosy, drżąc przytuliła się do niego całym ciałem. Jeffrey wyczuł to drżenie i przerwał czuły pocałunek, żeby na nią spojrzeć. Nie drżała z zimna, ale z pożądania, tak jak i on.

Jeffrey wynajął pokój w motelu na nabrzeżu. Zaciągnął zasłony, powiesił marynarkę na wieszaku, włączył grzejnik i powiesił tabliczkę Nie przeszkadzać na kłamce po zewnętrznej stronie drzwi. W tym czasie Julia szukała odpowiedzi na pytania, kłębiące się w jej głowie.

Co powinna teraz zrobić? Czego on od niej oczekuje? Chciała dać mu rozkosz, ale brakowało jej do tego niezbędnego doświadczenia. Romanse, które czytała, były cudownymi opowieściami o miłości, nie podręcznikami sztuki kochania. Gdyby jednak powiedziała Jeffreyowi prawdę - że jest niepełnoletnia i niewinna - byłoby po wszystkim. Jego niebieskie oczy pociemniałyby z rozczarowania, a może nawet gniewu, bo przecież

go oszukała. Na pewno nie chciałby wtedy, żeby została.

A ona tak bardzo nie chciała się z nim rozstawać. Na samą myśl o tym odczuła pustkę znacznie głębszą niż kiedykolwiek dotąd, choć poniosła już w życiu bolesne straty. Musi udawać, że jest doświadczona. Ale jak?

Drżącymi rękami Julia zaczęła się rozbierać, nie mogąc pozbyć się duchowej rozterki. Zanim Jeffrey skończył krzątać się po pokoju, Julia zdjęła swój znoszony sweter i żółtą bawełnianą bluzkę i położyła je porządnie na krześle. Tego dnia nie włożyła stanika i stała teraz naga od pasa w górę. 42

Naga i taka piękna. Jej skóra, gładka i jasna, miała piękny odcień alabastru, pełne piersi dumnie się prężyły. Julia stała przed Jeffreyem onieśmielona, czekając na jego reakcję, chcąc dostrzec w jego oczach podziw i pożądanie.

- Julio, co ty robisz? - zapytał Jeffrey łagodnie, podchodząc do niej.

Kiedy zaproponował jej motel, wydawało mu się, że w jej oczach dostrzegł niepewność. Już miał dodać, że mogą tylko całować się, rozmawiać albo po prostu iść spać... A teraz stała tu przed nim półnaga najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział.

- Och - spieszyła się Julia. Może nie powinna była tego robić?

- Jesteś taka piękna.

Jeffrey ucałował uroczą zmarszczkę między jej brwiami. Potem zbliżył wargi do jej ust, przesunął dłońmi po jej ciele i Julia już nie musiała się martwić, czy potrafi się z nim kochać, bo instynktownie wiedziała, jak to robić. Tak jak przedtem wiedziała, jak go całować. Również dla Jeffreya, po latach racjonalnego seksu, miłość znowu okazała się sprawą instynktu. Przedtem zawsze podchodził do tego rozumowo, nawet w szale miłosnych uniesień myśląc, co teraz powinien zrobić. Jego kochanki mówiły mu, że jest najlepszy, bo zawsze przykładał się do wszystkiego, co robił.

Ale dopiero z Julią naprawdę się kochał. Poza oszałamiającą przyjemnością, płynącą z dotykania jej pięknego ciała, odczuwał głębokie pragnienie, aby być tak blisko niej, jak

to tylko możliwe, by stać się jej częścią, zjednoczyć się z nią.

Jeffrey odkrywał jej zmysłowe, doskonałe ciało, dotykając, całując, chcąc być we wszystkich jego miejscach naraz. Chciał jej całej, natychmiast, ale opanował własne żądze, aby dokładnie poznać jej pragnienia, delektując się każdym nowym odkryciem, wracając często do jej oczu i ust. Piękne ciało Julii reagowało na jego pieszczoty bez wstydu, oddając mu wszystko, niczego nie ukrywając. Julia dała mu siebie całą w drżącym, zapierającym dech w piersiach darze miłości.

Słyszała ciche westchnienia radości i ze zdumieniem uświadomiła sobie, że to ona je wydaje, że pochodzą z głębi jej serca, że są śpiewem jej duszy. Słyszała też ciche, głębokie westchnienia Jeffreya.

- Julio - wyszeptał w końcu, kiedy już nie mógł się opanować, kiedy poczuł, że musi zespolić się z nią w jedno.

- Jeffrey - powitała go ufnie, z radością. Nie czuła bólu, mimo że był to jej pierwszy raz, bo Jeffrey postępował z nią tak delikatnie, tak czule... zupełnie jakby wiedział...

- Moja kochana Julie.

41

- Nikt nigdy nie nazywał mnie Julie - powiedziała cicho, leżąc w jego ramionach, a on całował jej czarne, lśniące włosy. Nigdy wcześniej nikt nie mówił do niej tak łagodnie, tak czule. Wszyscy zawsze nazywali ją Julią, twardo, zdecydowanie, bez żadnych zdrobnień.

- Nigdy?

- Nigdy.

- A ja mogę?

- Och, tak!

- Julie - szepnął znowu Jeffrey.

Szeptał jej imię wielokrotnie, pieszcząc ją i tuląc. A w pewnej chwili, podczas tej cudownej, miłosnej nocy, dodał do jej imienia słowa, które pochodziły wprost z jego

serca... słowa, których nigdy przedtem nie wypowiedział.

- Kocham cię, Julie. Kocham cię.

Na dziesięć godzin przed rozpoczęciem nowej pracy w Los Angeles Jeffrey zostawił Julię przed wejściem do miasteczka uniwersyteckiego, na Telegraph Avenue. Niechętnie ją opuszczał i już zaczynał za nią tęsknić, choć za dwanaście dni Julia miała odwiedzić go w Los Angeles.

Skoro tylko jego samochód zniknął z pola widzenia, Julia rozpoczęła trzykilometrową wędrowkę do sypiącego się ze starości domu, w którym mieszkała z ciotką. Musiała opuścić jasno oświetloną Telegraph Avenue i wejść w ciemne, kręte zaułki, ale nie bała się żadnych niebezpieczeństw, jakie mogłyby czyhać na nią w wąskich uliczkach Berkeley. Całe życie chodziła ciemnymi ulicami, napotykając na swej drodze różne indywidua, a jednak jakoś przeżyła.

A tej nocy, nawet gdyby zaczęła się bać, rozproszyłaby najgorszy strach za pomocą cudownego zaklęcia, za pomocą tych magicznych słów, które wciąż dźwięczały jej w uszach: Kocham cię, Julie

Nikt nigdy Julii nie kochał, ani rodzice, ani ciotka, ani żaden mężczyzna. Julia nie wiedziała, dlaczego nikt jej nie kocha, ale wiedziała, że tak jest. Jako mała dziewczynka doszła do wniosku, jedyne, na jaki było ją wówczas stać, że to jej wina: coś w niej sprawia, że nie zasługuje na miłość. Czy to, że jest taka nieśmiała i poważna? Julia nie miała pojęcia. A nie miała skąd się dowiedzieć, że spotkało ją po prostu w życiu wielkie nieszczęście, bo jej rodzicami byli ludzie nieodpowiedzialni i zbyt zaabsorbowani sobą, by kochać swoją córkę.

Rodzice Julii należeli do pokolenia dzieci-kwiatów. Julia była pączkiem, który pojawił się w ich życiu przez przypadek i doświadczał z ich 44 strony jedynie lekceważenia. Rosła więc jak leśny fiołek, delikatny, lecz silny, bez niczyjej pomocy stawiający czoło żywiołom. Do dziesiątego roku życia Julia mieszkała z rodzicami w komunie w Haight-Ashbery. Jej rodzice byli muzykami, jednymi z wielu niedoszłych

gwiazd acid-rocka. Ojciec miał istotnie spory talent i mógł zająć w muzyce dalej niż inni, odkrył jednak, że łatwiej i szybciej można zdobyć pieniądze, zajmując się handlem narkotykami.

Rodzice pojawiali się w życiu Julii jak duchy po to tylko, żeby ją wkrótce znowu zostawić. Wyjeżdżali często, a kiedy wracali, nie poświęcali jej prawie wcale uwagi, odlegli, niedostępni, a tak bardzo jej potrzebni!

Julia zwalczała dojmujące uczucie osamotnienia, wymyślając cudowne baśnie, w których była księżniczką, ukochaną i rozpieszczaną córką swoich rodziców. Och, jak bardzo nie chcieli jej opuszczać, ani na chwilę! Ale musieli wyjeżdżać, aby dzielić się magią swojej muzyki z innymi dziećmi, które nie miały w życiu tyle szczęścia, co ona.

W baśniach tych nie było śmierci, nie istniała przemoc ani smutek. Nie występowały w nich czarne charaktery, złe czarownice, okrutni czarnoksiężnicy ani straszne potwory. Powstałe w wyobraźni Julii królestwo zaludniały cudowne stworzenia, jak na przykład Puffy - łagodne, pastelowego koloru smoki mknące po niebie na skrzydłach utkanych z nici babiego lata, rozsiewające wokół woń kwiatów, a nie ziejące ogniem i gryzącym dymem.

Julia wolała swoje własne baśnie od tych, które czytała, ale książki także były dla niej cudowną ucieczką od rzeczywistości. Nauczyła się czytać sama, bardzo wcześnie, i pewnego dnia ktoś, kto na chwilę oprzytomniał po narkotykowym zamroczeniu, odkrył, że czteroletnia Julia czyta właśnie artykuł zamieszczony w magazynie *Rolling Stone*. Odkrycie to pociągnęło za sobą falę nagłego zainteresowania jej osobą. Jak bardzo jest inteligentna? Co kryje się w jej małej główce? Przez krótką chwilę Julia znajdowała się w centrum uwagi. Zainteresowanie jej wybitną inteligencją szybko osłabło, ale zanim się to stało, Julia została zapisana do zerówki, gdzie była najmłodszą uczennicą.

Kiedy rodzice zainteresowali się nią, Julia po raz pierwszy w życiu była naprawdę szczęśliwa, tym dotkliwiej cierpiała jednak, kiedy znowu przestali się nią zajmować. Był to dla niej kolejny dowód na to, że nie potrafi utrzymać niczyjej miłości. Jej nastroje

wahały się między radością i bólem - radością, kiedy dostrzegą iskrę zainteresowania w oczach kolegów i nauczycieli, i bólem, bo zainteresowanie zniknęło, ponieważ Julia wciąż była bardzo małowówna i nieśmiała.

45

Kiedy miała dziesięć lat, rodzice wyjechali po raz ostatni.

- Cześć mała. Bądź grzeczna - powiedzieli obojętnie, choć w swej wyobraźni Julia zachowała to jako najczulsze pożegnanie.

Jej rodzice nigdy nie wrócili z czarodziejskiej krainy, do której odlecieli. Dopadł ich zły, ziejący ogniem smok z innej baśni. Ich mały samolot eksplodował w powietrzu i runął w zimną, ciemną otchłań morza.

Julia nigdy nie dowiedziała się, że jej rodzice zamierzali przemycić większą ilość kokainy. Narkotykowemu baronowi nie spodobało się, że naruszyli granice jego księstwa, a wybuch w samolocie, którym lecieli rodzice Julii, spowodowała podłożona przez jego ludzi bomba. Julia nigdy nie dowiedziała się też, że na koncie jej rodziców pozostało sześćdziesiąt tysięcy dolarów, pochodzących z handlu narkotykami.

Jedyną żyjącą krewną Julii była ciotka Doreen, siostra jej ojca. Doreen Phillips miała genetyczną skłonność do autodestrukcji - uzależnienie od narkotyków również u niej szło w parze z tendencją do szukania najłatwiejszych sposobów zarobkowania, nawet jeśli było to równoznaczne z zaniedbaniem prawdziwego talentu. Doreen nie chciała oczywiście Julii w swoim życiu. Zawsze wzbraniała się przed posiadaniem własnych dzieci, a nawet zamążpójściem. Doreen nie chciała Julii, ale razem z poważną dziesięcioletnią dziewczynką w jej życiu pojawiło się konto bankowe jej rodziców. Zdaniem Doreen, nie rekompensowało ono zresztą trudów związanych z opieką nad dzieckiem. Zanim jeszcze przepuściła pieniądze z narkotyków, Doreen poinformowała Julię, że są bardzo biedne i że w związku z tym Julia powinna szybko zacząć zarabiać na siebie, sprząając w okolicznych domach.

Cudowne historie, które pomagały Julii przetrwać samotne, pozbawione miłości

dzieciństwo zniknęły z jej życia, poszły na dno morza razem z samolotem jej rodziców. Przez dwa lata po ich tragicznej śmierci Julia żyła pogrążona w smutku, którego żadne fantazje nie były w stanie rozproszyć. Kiedy miała dwanaście lat, zaczęła wchodzić w ten trudny wiek, kiedy dziewczynka przemienia się w kobietę, i wtedy odkryła romantyczne powieści Jane Austen, Louisy May Alcott i sióstr Brontë. Ich cudowne romanse zainspirowały Julię do tworzenia własnych historii miłosnych.

Jako mała dziewczynka, udając, że jest kochaną przez rodziców księżniczką, Julii udało się przekonać siebie samą, że pewnego dnia jej prawdziwi rodzice okażą jej troskę i miłość. Ale marzenie o tym szczęściu runęło w gruzy, kiedy rodzice zginęli, i Julia poprzysięgła sobie nigdy już nie łudzić się nadzieją, że cokolwiek w jej życiu ulegnie zmianie. Bohaterkami wymyślanych przez nią romansów były inne młode kobiety, 46 które zasługiwały na miłość, nie ona sama... Nigdy też nie pozwoliła sobie marzyć o tym, że pewnego dnia jakiś mężczyzna powie jej kocham cię

Kocham cię, JulieWierzyła, że kiedy Jeffrey mówił te słowa, naprawdę tak myślał, bo często zdarzało jej się dostrzec błysk zainteresowania w oczach patrzących na nią mężczyzn. Ale Julia, ta wybitnie inteligentna dziewczyna, która doświadczyła już w życiu wiele bólu, wiedziała z absolutną pewnością, że i on w końcu przestanie się nią interesować. Jeffrey kochał jej piękne ciało, jej bezwstydną namiętność. Ale to nie potrwa długo.

A kiedy ją opuści, będzie to tylko jej wina, bo to ona nie potrafi utrzymać niczyjej miłości.

Wchodząc na skrzypiące schody małego domku swojej ciotki, Julia szeptała cichą prośbę: Kocham cię, Jeffrey. Kochaj mnie, tak długo, jak potrafisz

#

Los Angeles

maj 1979 Jeffrey wiedział, że będzie ją kochał zawsze. Pełen zapału nie ustawał w tworzeniu planów na ich wspólną przyszłość. Pełen zapału, ale i obaw. Zanim zapyta

Julię, czy zechce spędzić z nim resztę swojego życia, będzie musiał wyznać jej też pewną intymną tajemnicę. Musi powiedzieć swojej cudownej, mądrej kochance, która tak go uszczęśliwiła, że nigdy nie zdoła dać jej dzieci. Będą tylko we dwoje. Czy to jej wystarczy? A może ją utraci?

Serce Jeffreya biło mocno, kiedy wracał do swojego mieszkania tego majowego, piątkowego popołudnia. W mieszkaniu czeka na niego Julia, a on musi wyznać jej prawdę.

Julia stała w salonie, spoglądając przez okno na ogród, tak zatopiona w myślach, że nie usłyszała, kiedy wszedł.

- Cześć, kochanie.

Julia odwróciła się na dźwięk jego głosu. Kiedy Jeffrey spojrział na nią, uśmiech zniknął mu z ust. Fioletowe oczy Julii były podkrążone i smutne, nie podbiegła, by go powitać.

47

- Co się stało?

- Przyszłam się pożegnać.

- Pożegnać? Julie, dlaczego?

- Ponieważ... jest coś, czego o mnie nie wiesz.

- Więc powiedz mi - wyszeptał Jeffrey łagodnie, choć serce waliło mu ze strachu jak młotem. Wyznaj mi swoją tajemnicę, najdroższa, a ja wyznam ci swoją... i powitamy się na nowo, zamiast się żegnać...

- Nie jestem na ostatnim roku w Berkeley, Jeffrey. Mieszkam nie w miasteczku akademickim, lecz w domu ciotki. Ciotka jest moją opiekunką.

- Opiekunką?

- Tak. Moi rodzice zginęli, kiedy miałam dziesięć lat. Lecieli samolotem, który eksplodował w powietrzu i spadł do morza.

- Och, kochanie, tak ci współczuję. Teraz wiem, czemu boisz się morza.

- Nie boję się morza, kiedy jestem z tobą - powiedziała Julia, zmieszana łagodnością i troską w jego oczach. Och, Jeffrey, obyś nadal tak na mnie patrzył, kiedy już się dowiesz...

- To dobrze. Nie powinnaś niczego się bać, kiedy jesteś ze mną. Jednak Julia wyraźnie się teraz czegoś obawiała. - Więc ciotka zaopiekowała się tobą po śmierci rodziców, tak? - ponaglił ją łagodnie.

- Tak - powiedziała Julia i westchnęła. - Jeffrey, to było sześć lat temu.

- Co? Chcesz mi powiedzieć, że masz dopiero szesnaście lat?

- Tak. Wiem, że powinnam była powiedzieć ci o tym od razu. Chcę cię przeprosić...

- Przeprosić? - powtórzył ostro, zaskoczony tym, co usłyszał, zły, że go okłamała. Sądził, że Julia ma co najmniej dwadzieścia jeden lat, powiedziała mu przecież, że jest na ostatnim roku studiów. Podejrzał nawet, że może być starsza. Wydawała się taka dojrzała, mądra, namiętna.

Szesnaście lat? Nastolatki nigdy nie interesowały Jeffreya, nawet wtedy, kiedy sam był w tym wieku. Ich pretensjonalne zachowanie, głupawy chichot i udawana dorosłość drażniły go.

Ale Julia nie chichotała, nie uważała, że życie to jedno pasmo rozrywek i przyjemności. Jej piękne fiołkowe oczy, takie poważne, myślące, mądre - musiały już niejedno widzieć. Julia nie chichotała, lecz uśmiechała się w sposób, który go zachwycał.

Julia miała szesnaście lat, ale tak naprawdę była dużo, dużo starsza.

W tej chwili, odważnie patrząc w jego gniewne oczy, wyglądała tak młodo, jak nigdy przedtem. Taka młoda, taka piękna, taka zagubiona. I taka przestraszona. A Jeffrey nie chciał przecież, żeby kiedykolwiek czuła się 48 zagubiona ani przestraszona! Ta myśl natychmiast w magiczny sposób uśmierzyła jego gniew i sprawiła, że doszedł do zaskakującego wniosku: może żyć z prawdą, którą mu wyznała - kocha ją bez względu na jej wiek i może wybaczyć jej kłamstwo. Przecież musiała go okłamać. Gdyby powiedziała od razu, ile ma lat, szybko by się pożegnał i uciekł.

- Więc masz szesnaście lat - szepnął łagodnie, uśmiechając się do niej czule. - To niczego nie zmienia w moim stosunku do ciebie. Nadal cię Kocham, Julie.

W fiołkowych oczach rozbłysła radość i niedowierzanie. Przyszła tu dzisiaj tylko dlatego, ponieważ musiała wyznać Jeffreyowi prawdę. Wiedziała, że na początku będzie zły, ale modliła się, żeby ich nieuniknione pożegnanie odbyło się przynajmniej w sposób uprzejmy. Oczywiście musimy się rozstać, kiedy wiem już, ile masz lat, nie mogę się z tobą nadal spotykać, powiedziałby Jeffrey. Ale może - było to jej najgorętszym pragnieniem - powie jej na końcu, że prawdziwie ją kochał przez te dwa i pół miesiąca.

Ani przez chwilę nie ośmieliła się marzyć, że Jeffrey nadal zechce z nią być. Gdyby przypuszczała, że tak będzie, prawdopodobnie wcale by nie przyszła, bo ciążyła jej jeszcze jedna tajemnica, coś, o czym nie miała zamiaru mu mówić, powód, dla którego postanowiła się z nim rozstać już dziś, zanim będzie mógł zauważyć zmiany w jej sylwetce.

- Julie? - zapytał Jeffrey łagodnie. Z ulgą dostrzegł jej radość, ale zaraz znowu obudził się w nim niepokój, bo w fiołkowych oczach dostrzegł nową obawę. - Jest jeszcze jakaś tajemnica?

- Tak - Julia zmarszczyła brwi i zawahała się, żałując, że nie przemyślała tego wcześniej. Ale łagodne niebieskie oczy, które znały najtajniejsze pragnienia jej serca, teraz patrzyły na nią z niepokojem, niecierpliwie i Julia nagle usłyszała swoje własne słowa:

- Jeffrey, ja... jestem w ciąży.

Powiedziała to cicho, prawie niedosłyszalnie, ale jej słowa odbiły się ogłuszającym echem w jego głowie i przeszły jego serce nieznośnym bólem. Oczy i dusza zobaczyły Julię z innym mężczyzną, z innym kochankiem, który dał jej to, czego on nigdy nie będzie jej w stanie dać.

Miał wrażenie, że spada w otchłań bez dna. Jego niebieskie oczy pociemniały, zniknęło z nich ciepło, łagodność, miłość, a zostało tylko cierpienie i gniew. Julia patrzyła

na niego i czuła, jak lodowaty strach mrozi jej serce.

Jeffrey nie chce ich dziecka.

W marzeniach Jeffreya nie ma miejsca na dzieci. Gdyby się nad tym wcześniej zastanowiła, na pewno sama doszłaby do takiego wniosku.

49 4 - Melodie miłości Teraz już wie, a to tak strasznie boli... To nowy ból, który będzie dzielić z tym maleńkim nowym życiem, kielkującym w jej ciele, życiem, które ona już teraz tak bardzo kocha. I stary ból, ból innego niechcianego dziecka, małej niekochanej dziewczynki o fiołkowych oczach, która przetrwała, wymyślając fantastyczne opowieści.

Ta mała dziewczynka jest teraz kobietą. A ostatnie dwa miesiące przeżyła jak w najpiękniejszej bajce o miłości, bajce, która prawie otrzymała już szczęśliwe zakończenie. Bo Jeffrey jednak ją kocha, chce z nią być... ale nie chce ich dziecka.

- Jeffrey, tak mi przykro - wyszeptwała zrozpaczona, patrząc w jego pociemniałe, gniewne oczy.

Jeffrey nawet jej nie usłyszał, ale patrząc na nią nagle wszystko zrozumiał i przez chwilę sądził, że serce mu pęknie z udręki. Zrozumiał, dlaczego przyszła się z nim pożegnać.

- Odchodzisz ode mnie, żeby być z ojcem dziecka, tak?

- Nie, Jeffrey, to ty jesteś jego ojcem - Julia patrzyła na niego zdumiona takim posądzeniem. - Pierwszej nocy, kiedy byliśmy ze sobą, nie stosowałam żadnych środków antykoncepcyjnych.

- Nie mogę być ojcem tego dziecka, Julio.

- Ale jesteś. Jeffrey, w moim życiu nigdy nikogo innego nie było.

Jej wyznanie sprawiło mu jeszcze większy ból. Julia żałowała, że w ogóle powiedziała mu o dziecku. Tak bardzo chciała, żeby zostało jej przynajmniej wspomnienie łagodnego, spokojnego pożegnania! Ale z oczu Jeffreya zniknęła łagodność i spokój. Julia zbyt cierpiała, by czekać, aż coś się zmieni.

- Muszę już iść. Ągnaj, Jeffrey.

Pozwól jej odejść, podpowiedział mu rozum, kiedy patrzył, jak Julia pakuje swój zniszczony plecak i kieruje się do drzwi. Ma szesnaście lat. Okłamuje cię. Kłamała od samego początku i nadal kłamie. Niech idzie do swojego drugiego kochanka! Twoje życie znowu będzie należało tylko do ciebie, odzyskasz spokój, wolność, marzenia! Wzięcie na siebie odpowiedzialności za Julię i dziecko jakiegoś innego mężczyzny byłoby czystym szaleństwem.

Ale serce Jeffreya było innego zdania. Kochasz ją. To ona jest twoją drugą połową. Czy naprawdę mógłbyś bez niej żyć?

- Kochasz mnie, Julio? - zatrzymał ją, kiedy stała już przy drzwiach. Odwróciła się i spojrzała na niego fiołkowymi oczyma. - Powiedz prawdę - dodał cicho.

- Och, tak, Jeffrey! Kocham cię!

- Więc wyjdź za mnie. 50

- Mam za ciebie wyjść?

- Tak. Kocham cię, Julie. Chcę spędzić resztę swego życia z tobą.

- Jeffrey! - wyszeptala Julia cicho, z nadzieją, ale i z bólem. - Przecież mam mieć dziecko.

Jeffrey pokonał ból, który znowu ogarnął go na wspomnienie tego dziecka, i uśmiechnął się słabo.

- Chcę ciebie, Julie, i chcę twojego dziecka.

Twojego dziecka. Julia wiedziała, że nowe życie, które w niej kielkuje, jest wynikiem jej kłamstwa. Zaszła w ciążę, ponieważ oszukała Jeffreya udając, że jest doświadczona i przygotowana, podczas gdy w rzeczywistości była zupełnie niewinna i tak bardzo pragnęła jego miłości. Ale dziecko, którego oczekiwała, było owocem ich cudownej, pierwszej nocy, ich wspaniałej miłości. Julia przeszła już w życiu wiele i rozum podpowiadał jej, że powinna odejść, by chronić siebie i dziecko przed bólem, który zapewne czeka ich w przyszłości. Ale serce już zaczęło pisać cudowną baśń o

szczęśliwym zakończeniu. Bo przecież nic na świecie nie mogło się równać z miłością Jeffreya.

Julia wierzyła w Jeffreya. Wierzyła w dobrego, szlachetnego, kochającego mężczyznę, któremu z radością oddała swe serce. Jeffrey miał pełne prawo gniewać się na nią za to, że go oszukała co do swojego wieku i doświadczenia. Oczywiście, że może być przerażony, dowiadując się, iż jej kłamstwa doprowadziły do powstania nowego życia. Gdyby mógł podjąć w tej kwestii świadomą decyzję, być może nigdy nie zdecydowałby się na jego poczęcie. Ale pewnego dnia Jeffrey chyba pokocha swoje dziecko. Julia tak bardzo chciała znać odpowiedź na to pytanie. Teraz jej nie znała, ale jej kochające serce było pełne nadziei. Tak, pokocha je, na pewno. A tego czasu, podczas gdy Jeffrey będzie pracował, by spełnić swoje marzenia, ona będziesz kochać ich dziecko, tę najdroższą kruszynę.

- Naprawdę chcesz się ze mną ożenić?

- Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Tak, przyznała Julia spokojnie, w szkole szło jej bardzo dobrze. Ale ukończenie szkoły średniej, studia wyższe - to wszystko nie miało dla niej znaczenia. Liczyło się tylko jedno - chciała być z Jeffreyem. Tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeffrey także o niczym innym nie marzył.

Postanowili wziąć ślub za tydzień. Pełni nadziei robili radosne plany na przyszłość, składając sobie uroczyste, miłosne obietnice. Obiecali sobie, że zawsze będą się kochać, że nigdy nie będą się bali mówić sobie

5ą prawdy, a Julia wyszeptwała, patrząc na Jeffreya błyszczącymi fiołkowymi oczyma:
■z nigdy cię nie okłamię, Jeffrey. Obiecuję□

Julia obiecała, że nie będzie już nigdy kłamać i powierzyła mu tajemnice swojego smutnego, samotnego dzieciństwa, nieśmiało dzieląc się z nim bolesną prawdą o własnym życiu. Jeffrey słuchał, tuląc ją do siebie i czując, że za to jeszcze bardziej ją kocha. Czekał też cierpliwie, aż wyzna mu wreszcie, że skłamała, mówiąc, iż w jej życiu nigdy nikogo

poza nim nie było.

Ale nigdy od niej tego nie usłyszał. Patrzyła mu tylko prosto w oczy, tak długo, aż w końcu pod jego uważnym, pełnym powagi spojrzeniem na jej twarz wypływał ciemny rumieniec. Jeffrey postanowił nie wymuszać tego wyznania i nie powiedział jej, dlaczego dziecko w jej łonie nie może być jego, ponieważ gdzieś w zakamarkach jego świadomości zrodziła się cudowna, pełna nadziei myśl.

A jeśli Julia mówi prawdę? A jeśli w ciągu ostatnich jedenastu lat wszystko się zmieniło i ta kobieta, którą kocha całym swoim sercem, naprawdę nosi jego dziecko?

- W wieku piętnastu lat miałem świnkę z powikłaniami - powiedział Jeffrey specjalście andrologowi pięć dni przed ślubem - w wyniku czego bardzo się u mnie obniżyła zawartość plemników w spermie. Lekarze twierdzili, że to rzecz nieodwracalna.

- To prawda - potwierdził lekarz.

- A więc jednak - westchnął ciężko Jeffrey. Tak bardzo liczył na inną odpowiedź.

- Rozumiem, że nie udało się panu począć dziecka.

- Właściwie nigdy nie próbowałem.

- Niczego więc nie możemy przesądzać.

- Nie możemy? - Jeffrey pamiętał, jak jedenaście lat temu specjaliści nie kryli smutnej prawdy, mówiąc jednak, żeby w przyszłości na wszelki wypadek stosować środki antykoncepcyjne; pamiętał ponurą minę matki; nie dopuszczające żadnych wątpliwości określenie bezpłodny Wszystko to prowadziło do jednego wniosku: Jeffrey Cabot Lawrence nigdy nie przekaże swojej błękitnej krwi potomstwu.

- Niektórzy lekarze zalecali środki antykoncepcyjne, ale szczerze mówiąc, sądziłem, że to ze względu na moją matkę, która bardzo przeżywała ich diagnozę.

- Choć tylko jeden plemnik zapładnia w końcu jajeczko, w rzeczywistości, aby stworzyć odpowiednie warunki dla zapłodnienia, potrzebne są ich miliony. Jednak tak długo, jak w spermie w ogóle występują plemniki, ja także zalecałbym stosowanie środków antykoncepcyjnych, o ile nie zamierza pan mieć dzieci.

- Czyli istnieje jakaś szansa?
- Jest szansa, ale bardzo niewielka.
- Nie jest to jednak niemożliwe.
- Lekarze nigdy niczego nie wykluczają. Wierzymy w cuda tak jak inni ludzie.
- Więc byłby to cud.

- Rzeczywiście, graniczyłyby to z cudem. Ale przy wykorzystaniu nowej techniki zapłodnienia in vitro, pańskie szanse na zostanie ojcem znacznie wzrastają. Kiedyś sądziliśmy, że dzieci z próbówki na zawsze pozostaną w sferze fantazji, a przecież rok temu w Anglii przysłała na świat Louise Joy Brown.

Jeffrey oczywiście słyszał o tym wydarzeniu, ale w tej chwili bardziej potrzebował cudu.

A Jeffrey Lawrence, dziennikarz opierający się zawsze na sprawdzonych faktach i niepodważalnych danych, nie wierzył w cuda. Kiedyś jednak nie wierzył też w miłość, aż pokochał Julię. Teraz nieśmiało zaczynał wierzyć, że w jego życiu dokonał się kolejny cud.

Bo już sam fakt, że mógłby być ojcem dziecka Julii, był cudem. Po prostu musi to zaakceptować, nigdy już w to nie wątpić.

Jeffrey i Julia spędzili tydzień poprzedzający ich ślub w romantycznym Carmel, kochając się w swoim pięknym apartamencie w hotelu Pinn, spacerując po plaży i odwiedzając małe sklepiki na Ocean Avenue.

Jeffrey zaproponował Carmel, bo Julia nigdy tam nie była, a on wiedział, że miasteczko bardzo jej się spodoba. Pamiętał też piękne wyroby miejscowych złotników. Julia powiedziała mu, że nie chce brylantów, ale oczy rozbłyły jej nadzieją, kiedy zaproponował zakup oryginalnych obrączek ślubnych.

Jeffrey chciał, żeby były niezwykle, by symbolizowały łączącą ich miłość. Julii wystarczyłby najprostszy złoty pierścionek, ale kiedy zobaczyła dwie identyczne obrączki z białego i żółtego złota, była zachwycona. Delikatne, cieniutkie pasma złota obu barw

zostały ze sobą artystycznie splecione, a następnie stopione w ogniu w jedno... na zawsze...

Mniejsza z obrączek, jakby została wykonana specjalnie dla Julii. Pięknie wyglądała na jej palcu. Większa doskonale pasowała Jeffreyowi.

- Będziesz ją nosił? - spytała Julia.

51

- Oczywiście, kochanie - odparł Jeffrey, patrząc w jej pełne nadziei oczy. - Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo będę dumny, mogąc całemu światu zademonstrować, że jesteś moją żoną.

- Nigdy więcej nie chcę żadnych prezentów, Jeffrey - powiedziała Julia chwilę później w odludnym parku dwie przecznice od Ocean Avenue. Cudowne obrączki spoczywały spokojnie w kieszeni płaszcza Jeffrey'a, kiedy objął narzeczoną. - Odtąd będziemy się obdarowywać tylko naszą miłością.

- Jako twój przyszły mąż zastrzegam sobie prawo do zasypywania cię prezentami. Ale ty niczego nie musisz mi dawać, bo chcę tylko ciebie. Jesteś największym darem, jaki otrzymałem od losu.

- A ty jesteś moim największym darem.

- Pewnego dnia zabiorę cię gdzieś daleko na miesiąc miodowy. Może wybierzemy się w romantyczną podróż po Europie?

- Czy każdy wspólnie spędzony dzień nie będzie jak miodowy miesiąc?

- Oczywiście.

- Więc nie musimy jechać do Europy.

- Julie?

- Nigdy nie leciałam samolotem.

- Boisz się latać.

- Tak. - Julia wzdrygnęła się lekko.

- Mamy przed sobą całe życie, kochanie. Pewnego dnia, kiedy będziesz już gotowa,

polecimy razem. - Kiedyś pokonają strach Julii, ale najpierw muszą pokonać inny, ważniejszy lęk - związany z niepewnością, którą ciągle widział w jej oczach, kiedy mówił jej o swojej miłości. Jakby naprawdę nie mogła uwierzyć, że zawsze będzie ją kochał. - Jesteś taką romantyczką, kochanie. Myślałem właśnie, co damy wygrawerować na naszych obrączkach. Na twojej napiszemy: Julie, zawsze cię będę kochał. Jeffrey

- To ty jesteś romantykiem.

- Tylko dlatego, że mam ciebie. Więc co o tym sądzisz?

- Myślę, że kiedy włożysz mi jutro tę obrączkę na palec, nigdy już nie będę chciała jej zdjąć.

- Ja też nie będę chciał zdjąć mojej. Ale to oznacza, że nic nie zostanie na nich wygrawerowane.

- To bez znaczenia. Będę wiedziała, że dostałam obrączkę od ciebie. A poza tym - dodała cicho - te słowa są wyryte w naszych sercach. 54

Meredith Lawrence urodziła się dwunastego września, dwadzieścia cztery godziny po tym, jak Jeffrey wyjechał na dziesięć dni do Wietnamu. Merry miała problemy z oddychaniem i żółtaczkę, ale szybko doszła do normy.

Osiem dni po narodzinach, w dniu, kiedy Jeffrey miał wrócić z Wietnamu, Julia zabrała swoją córkę do domu.

Swoją córkę. Julia kochała swoje dziecko od dnia, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, ale nie była przygotowana na tak wielką radość, jaką odczuła, kiedy po raz pierwszy wzięła Merry w ramiona i spojrzała w jej twarzączkę. I radość ta rosła z każdą godziną.

Nie mogła się doczekać chwili, kiedy Jeffrey zobaczy swoje dziecko, ten największy, najbardziej zdumiewający ze wszystkich darów miłości.

Nie mogła się doczekać chwili, kiedy poda mu Merry i oboje wezmą udział w tej wielkiej radości, której żadne słowa nie potrafią opisać...

Kiedy Jeffrey dowiedział się, że może być ojcem dziecka Julii, pomyślał, że zdarzył

się cud. Tego dnia jego serce z wdzięcznością i miłością przyjęło ten cud, a jego umysł zaakceptował go ufnie. Jeffrey postanowił wierzyć w cud tego poczęcia i nigdy nie poddawać go w wątpliwość. Ale kiedy zobaczył niemowlę w ramionach Julii, poczuł, że nie zmusi do milczenia swojego logicznego, kochającego prawdę umysłu.

Było oczywiste, jakże boleśnie oczywiste, że ta złotowłosa, brązowooka dziewczynka nie może być jego dzieckiem.

Nie chodziło, rzecz jasna, o kolor jej oczu. Jeffrey był bezpłodny, a to dziecko z całą pewnością zostało poczęte, zanim on i Julia się spotkali.

Kiedy Jeffrey przygotował swój nagrodzony później wielokrotnie program na temat Szpitala Dziecięcego w San Francisco, spędził wiele godzin na oddziale noworodków, przyglądając się zamkniętym w inkubatorach wcześniakom. Niektóre przyszły na świat miesiąc przed terminem, inne dwa, a nawet trzy miesiące wcześniej. Dowiedział się wtedy, jakie są szanse ich przeżycia. Dzieci urodzone w siódmym miesiącu mogły przeżyć, ale musiały spędzić kilka tygodni w szpitalu. Jeffreya nie było tylko dziesięć dni, a Julia już zdążyła wrócić z dzieckiem do domu.

- Zobacz, Jeffrey, to twoja córka. Nazwałam ją Meredith, po grandmère. Och, Jeffrey, ona jest taka cudowna, zobacz tylko! - Julia urwała nagle, widząc głęboki smutek wyczajający z jego niebieskich oczu - Jeffrey?

- Dobrze się już czujesz, kochanie?

55

- Tak, bardzo dobrze. - Julia sądziła, że Jeffrey jest smutny, ponieważ nie mógł być przy nich w tym ważnym momencie. - Obie czujemy się świetnie. Chcesz ją potrzymać?

Ale Jeffrey nie wyciągnął ramion do Merry. Usiadł naprzeciw Julii i patrzył na nią ze smutkiem i wyrzutem w oczach.

- Kto jest jej ojcem, Julie? - Myśl, że inny mężczyzna kochał ją i dał życie jej dziecku, była nie do zniesienia. A jeśli było wielu kochanków? Jeśli Julia sama nawet nie wie, kto jest ojcem jej dziecka? - Wiesz, kto jest jej ojcem?

- Ty jesteś jej ojcem, Jeffrey.

- Nie, kochanie, nie jestem. - Jeffrey westchnął ciężko i uśmiechnął się do niej łagodnie. Oczywiście Julia wie, że to nie może być jego dziecko. Ukryła przed nim fakt, że miała innego kochanka. Nie chciała robić mu przykrości. Tak jak on zataił fakt, że jest bezpłodny. Teraz jednak muszą spojrzeć prawdzie w oczy i zacząć razem cieszyć się tą małą dziewczynką, którą trzymała Julia.

- Kiedy miałem piętnaście lat, zachorowałem na świnkę - powiedział Jeffrey. - Powikłania po chorobie spowodowały u mnie bezpłodność. To praktycznie niemożliwe, żebym został ojcem. Nie powiedziałem o tym wcześniej, bo nie chciałem zrobić ci przykrości. Niestety, zakrawałoby to na cud, gdyby ta mała była moją córką.

Julia patrzyła na niego w osłupieniu. Nie rozumiała, dlaczego na twarzy Jeffrey'a pojawił się smutek, kiedy pokazała mu dziecko, ani dlaczego teraz szuka dowodów na to, że Merry nie jest jego córką.

- Ale ona jest twoim dzieckiem - wyszeptwała w końcu. A potem dodała cicho:

- I jest cudem.

Jeffrey odetchnął głęboko, czując jak ogarnia go zimny, bezlitosny strach. Przecież Julia przysięgła, że nigdy go nie okłamie!

- Julie, kiedy dziecko miało przyjść na świat? - spytał ostro.

- Wiesz, kiedy. Jedenastego listopada. - Była taka zdumiona, wstrząśnięta, kiedy podała ginekologowi datę ich pierwszej nocy, a on obliczył termin rozwiązania.

- A kiedy się urodziło?

- Dwunastego września.

- I już jest w domu, całkiem zdrowe. To niemożliwe w przypadku dziecka urodzonego w siódmym miesiącu.

- Miałymy dużo szczęścia - szepnęła Julia.

Jeffrey patrzył na kobietę, którą kochał całym sercem, i włosy jeżyły mu się na głowie z przerażenia. Nie wierzył jej, nie mógł jej uwierzyć, 56 fakty mówiły same za

siebie. Wiedział, że Julia jest tego świadoma. A jednak nie chce przyznać się do kłamstwa. Chroni tego drugiego mężczyznę. Dlaczego? Czy ciągle nie wierzy w siłę jego miłości? A może chodzi o coś innego, o coś gorszego...

Julia kłamała tylko wtedy, gdy było to konieczne, i oszukiwała go tylko w istotnych sprawach. Czy to kolejne konieczne kłamstwo, bardziej istotne dla niej niż miłość, która ich łączy?

Jeffrey patrzył na nią udręczony. Julia także na niego patrzyła, patrzyła mu prosto w oczy niewinnym, fiołkowym spojrzeniem, zdumiona i niewinna, bez jednego drgnienia powieki. Tak samo jak patrzyła na niego, kłamiąc w innych istotnych sprawach.

- Późno już - powiedział w końcu Jeffrey - spędziłem w podróży dwadzieścia cztery godziny i jestem bardzo zmęczony. Jutro rano muszę być w studio. Idę spać.

Julia została w salonie, karmiąc córkę i walcząc z ogarniającym ją smutkiem. Tego lata zaczęła już wierzyć, że Jeffrey naprawdę chce tego dziecka. Był taki czuły, kochający, tak wspaniale się o nią troszczył. Ale nie powitał swojej córki z radością. Przeciwnie, szukał dowodów na to, że Merry nie może być jego dzieckiem. A kiedy Julia z uporem obstawała przy tym, że to on jest jej ojcem, Jeffrey patrzył na nią z gniewem, jak wówczas, gdy pierwszy raz powiedziała mu o ciąży.

Jeffrey nie chce Merry. Nie chce, żeby była jego dzieckiem. Dlaczego? aby usprawiedliwić fakt, że nie ma zamiaru się nią zajmować? aby nie odrywać się od pracy, która tak go pochłania? aby uniknąć bolesnego rozdarcia między realizacją swoich marzeń a wielką odpowiedzialnością, jaka wiąże się z posiadaniem dziecka? Dziecka, na które świadomie nigdy by się nie zdecydował?

Merry ssala łączywie, a Julia całowała jej jedwabiste, jasne włoski, w myślach odnawiając przysięgę, którą złożyła, kiedy Jeffrey poprosił ją o rękę. Będzie kochała swoją córkę z całego serca i nigdy nie poprosi o nic Jeffrey'ego, nie będzie go naciskać, nie będzie próbowała wywołać w nim poczucia winy. A pewnego dnia...

Tatusz cię pokocha, moja mała Merry. Teraz jest bardzo zajęty, musi realizować swoje

marzenia. Wierzę w jego marzenia i pewnego dnia on uwierzy w moje. A ty jesteś moim największym, najważniejszym marzeniem. Pewnego dnia twój tatuś to zrozumie.

Kiedy Merry w końcu zasnęła, Julia zaniósła ją do pokoju, gdzie spał Jeffrey, i położyła ją w kołysce od swojej strony łóżka. Kładąc się cicho

57 obok męża, Julia ciągnęła w myślach swoje obietnice. Kocham cię, Jeffrey. Obiecuję, że wszystko dobrze się ułoży. Merry i ja nigdy nie przeszkodzimy ci w twoich marzeniach. Tylko nie opuszczaj nas.

O trzeciej nad ranem Merry obudziła się z płaczem. Poprzedniej nocy, pierwszej po powrocie ze szpitala, Merry w ogóle nie płakała. Być może dlatego, że Julia czuwała przy niej cały czas, patrząc jak śpi, słuchając jej oddechu, szepcząc do niej czule. Tej nocy jednak Julia zasnęła, pokonana zmęczeniem.

Szybko wyskoczyła z łóżka, chwyciła Merry i wyniosła ją do salonu, gdzie ciche łkania dziecka przeszły w głośny krzyk.

- Och, Merry, uspokój się. Twój tata musi się wyspać. Bądź cicho, kochanie, bądź cicho. - Merry słyszała jednak strach w głosie matki i nie chciała się uspokoić. Julia rozplakała się ze zdenerwowania. - Merry, Merry, proszę cię. Obudzisz tatę.

- Julio, co się tu...

- Tak mi przykro, Jeffrey - wyszeptała, patrząc w jego rozgniewane oczy. - Tak mi przykro...

Jeffreyowi szybko przeszła złość, kiedy dostrzegł strach i łzy na twarzy żony. Czyżby się go bała? To on jest przecież przerażony, że może utracić Julię, bo ma ona tajemnicę, którą nie chce się z nim podzielić.

Nie bój się mnie, moja najdroższa Julie! Jeffrey chciał rozproszyć wszystkie jej smutki i lęki, poczynając od tego najważniejszego - dręczącej Julię niepewności, czy on naprawdę ją kocha. Prawie udało mu się ją przekonać podczas tego pięknego lata, że zawsze będzie ją kochał. Teraz jednak Julia drżała i wyglądała na tak zagubioną i przerażoną jak tamtego dnia, kiedy poprosił ją, żeby za niego wyszła.

Wiedział przecież owego wiosennego wieczora, że Julia go okłamuje, że nosi dziecko innego mężczyzny i być może nigdy nie zdradzi mu, kto nim jest.

Jednak postanowił się z nią ożenić.

A teraz? Teraz dziecko przyszło na świat, a on nie potrafi już nawet przed samym sobą udawać, że zdarzył się cud. W dodatku Julia nadal nie chce podzielić się z nim swoją tajemnicą...

Ale nic się przecież nie zmieniło. On ciągle kocha ją całym sercem.

Jeffrey ostrożnie wziął Merry z rąk Julii, podniósł ją na wysokość swojej twarzy i przemówił łagodnie do zapłakanej dziecięcej buzi.

- Merry, zobacz, twoja mama jest smutna. Jest smutna, bo płaczesz. Jak tak można? Mama jest taka zmęczona. 58

Pod wpływem tego nowego, głębokiego głosu i mocnego uścisku silnych rąk rozdzierające krzyki dziecka przeszły w ciche szloch, a chwilę później w pełne ciekawości gaworzenie.

- Tak już lepiej - szepnął Jeffrey i spojrzał na Julię. - Kochanie, czy powiedziałem ci, jak bardzo się za tobą tęskniłem? I jak bardzo cię kocham?

- Nie.

- A więc zrobię to teraz, kiedy położymy małą do łóżeczka.

- Nie masz nic przeciw temu, że dałam jej imię grandmère? - spytała Julia, kiedy wschód słońca rozjaśnił jesienne niebo. Merry spała teraz, a oni szeptali do siebie czułe słowa między pocałunkami.

- Oczywiście, że nie - odparł Jeffrey głosem pełnym czułości. Jego ukochana babcia była bardzo samotna od śmierci dziadka, ale Julia, jego ukochana Julia, w magiczny sposób przywróciła jej radość życia i młodzieńczą energię. Zawarły znajomość korespondencyjnie, ponieważ Julię onieśmielał jej głos w słuchawce telefonu, ale teraz dzwoniły już do siebie często i grandmère, która cztery lata temu oznajmiła, że jest już za stara na podróż, przyjechała do nich w lipcu na dziesięć dni. Julia pokochała grandmère,

a ona pokochała Julię. Starsza pani była bardzo podekscytowana perspektywą narodzin swojego pierwszego wnuka. - Grandmère będzie zachwycona. Może od razu do niej zadzwonimy? Ty jej to powiesz, Julie.

- Grandmère? - spytała Julia chwilę później, kiedy po drugiej stronie kontynentu ktoś odebrał telefon.

- Julia? Wszystko w porządku?

- Tak. Jeffrey wrócił już do domu i razem chcieliśmy ci powiedzieć, że nasze dziecko już przyszło na świat. To śliczna dziewczynka i nadaliśmy jej imię Meredith.

- Meredith? - głos grandmère zadrżał ze wzruszenia.

- Nazywamy ją Merry.

- O, moja droga, kiedyś, dawno, milion lat temu, dziadek Jeffrey'a właśnie tak do mnie mówił.

Pięć godzin później Jeffrey zadzwonił do lekarza Merry. Jego serce ciągle jeszcze liczyło na cud, ale jego umysł wszystko zawsze sprawdzał dwa razy.

Lekarz potwierdził jednak tylko to, co Jeffrey już wiedział. Merry była wcześniakiem, urodziła się przynajmniej cztery tygodnie za wcześnie,

59 jednak z całą pewnością nie dziewięć. Rzeczywiście, jak na dziecko urodzone tak wcześnie, była w bardzo dobrym stanie.

A więc Merry nie jest jego dzieckiem. Julia postanowił obstawać przy swoim kłamstwie. W środku nocy Jeffrey, leżąc obok niej, powiedział sobie, że to niczego nie zmienia. Ale nie była to prawda. Kochał ją, ale teraz jego wielkiej miłości towarzyszył także strach, gniew, ból. Pokona te uczucia, ale czy nie będą jednak żyły nadal w najciemniejszym zakamarku jego serca, rozrastając się w ukryciu, aż zatrują całą jego miłość?

Czy może wybaczyć Julii kłamstwo, postarać się w nie uwierzyć, tak jak kiedyś chciał uwierzyć w cud?

Wiedział, że musi spróbować to zrobić.

Ale Julia nie poprosiła go, żeby uwierzył w jej kłamstwo. Jakby milcząco wyznając prawdę, której nie mogła wypowiedzieć głośno, nie poprosiła go nigdy, by stał się ojcem dla dziewczynki, która nie była jego córką. W czasie tych rzadkich dni, kiedy Jeffrey był akurat w domu, a Merry nie spała, Julia trzymała ją z dala od niego.

Julia troszczyła się o złotowłosą dziewczynkę, którą tak bardzo kochała, i obdarzała Jeffrey'a miłością tak gorącą jak zawsze. Łączące ich uczucie przetrwało i jeszcze bardziej rozkwitło, ponieważ Julia, która tak długo żyła bez miłości, miała jej w sobie wystarczająco dużo, by obdzielić nią zarówno męża, jak i dziecko.

§ Zanim jeszcze Jeffrey zakochał się w Julii, zachwycano się jego inteligentnymi błękitnymi oczyma, szlachetną urodą i elegancją. Później wielbiciele Jeffrey'a dostrzegli w nim coś nowego, jakąś niezwykle subtelną zmianę, która dodała ciepła jego głosowi, delikatności jego uśmiechowi, przepaszającego błysku jego spojrzeniu, ilekroć musiał przekazać wiadomość o jakiejś tragedii. Jeffrey wiedział, że jego miłość do Julii jest nieustannie obecna w jego myślach, że opromienia całe jego życie i wypełnia je radością, ale nie miał pojęcia, że to się tak uwidacznia na jego twarzy.

Talent, zapał i nieposzlakowana uczciwość utorowały mu bardzo szybko drogę na szczyt, do elitarnej grupy najlepszych korespondentów zagranicznych. Kiedy Merry ukończyła trzy lata, Jeffrey zajmował się 60 już wszystkimi najważniejszymi wydarzeniami na świecie. Miesiąc później został wysłany tam, gdzie ważyły się losy świata... Na Bliski Wschód.

Było to ważne zadanie, choć bardzo niebezpieczne, i Jeffrey wiedział, że Julia i Merry nie mogą mu towarzyszyć. Stało na tym, że wyjedzie do Bejrutu, ale będzie jak najczęściej przylatywał do Nowego Jorku, a Julia i Merry zamieszkają z grandmère w Belvédère. Dwa tygodnie przed wylotem do Bejrutu Jeffrey przewiózł samochodem Julię i Merry z Los Angeles do Southampton. Trochę obawiał się, czy trwająca pięć dni podróż nie okaże się zbyt męcząca dla trzyletniego dziecka. Julia martwiła się jeszcze bardziej, ponieważ nie chciała, aby szczebiotanie Merry, które dla niej było największą radością,

drażniło Jeffreya.

Jeffrey prowadził, a Julia zabawiała Merry. Matka i córka rozmawiały ze sobą, bawiły się, wyglądały przez okno. Julia opowiadała Merry najpiękniejsze historie, jakie Jeffrey kiedykolwiek słyszał.

- Śliczna księżniczka była bardzo senna - mówiła szeptem córce. Merry także kleiły się oczy, walczyła jednak ze zmęczeniem, aby usłyszeć koniec opowieści. - Musiała jednak podjąć ważną decyzję. Czy położy się spać na małej różowej chmurce? Czy na miękkiej fali oceanu?

Jeffrey słuchał zachwycony. Jego ukochana Julia, która sama tak bała się morza i przestworzy, uczyniła z nich cudowne, bezpieczne miejsca dla Merry. Julia chciała dla swojej córki tylko szczęścia i radości.

- Jak sądzisz, gdzie postanowiła w końcu zasnąć?

- Na niebie. Na chmurce. Mogła ją tam zanieść Daphne.

- Owszem, masz rację - odpowiedziała Julia poważnie. - Mała księżniczka zawołała Daphne, wsiadła na jej grzbiet i razem poleciały na chmurkę, która była mięciutka i bardzo różowa. Daphne została z księżniczką, bo sama także była bardzo śpiąca.

- Kto to jest Daphne? - spytał Jeffrey, kiedy Merry już usnęła.

- To smok.

- A Robert i Cecily?

- To bliźnięta. Dwa morskie węże.

- A Andrew?

- Andrew jest jednorozcem.

- To ty wymyśliłaś te historie?

- Tak.

- Są fantastyczne. - powiedział Jeffrey. - Nigdy nie opowiedziałaś mi żadnej historii o miłości - dodał cicho po chwili. - Opowiesz mi kiedyś? Przyślesz w liście?

6ą

Obiecali sobie, że podczas długich samotnych nocy, kiedy nie będą mogli się tulić, całować i opowiadać sobie, co zdarzyło się w ciągu dnia, będą pisać do siebie listy.

- Nie wymyślam już romansów, Jeffrey. Nie muszę, bo twoja miłość jest piękniejsza niż cokolwiek, co mogłabym sobie wyobrazić.

- Och, Julie. Więc pisz do mnie o naszej miłości, dobrze?

- Każdej nocy. Obiecuję.

- Mamo, krówki! Krówki! Muuu! Muuu! - wołała Merry uszczęśliwiona, kiedy następnego dnia mijali pasące się na łące stado krów, które Merry знаła dotąd tylko z ilustracji w książkach.

Julia spojrzała przepaszajaco na Jeffreya, ale on tylko zaśmiał się, widząc entuzjazm Merry.

- Zatrzymamy się, żeby przyjrzeć im się z bliska, Julie? - zapytał pogodnie.

- Jeśli nie masz nic przeciw temu.

- Oczywiście, że nie.

Kilometr dalej Jeffrey zjechał na pobocze koło łąki, na której pasło się stado krów. Jeffrey trzymał podekscytowaną Merry nad ogrodzeniem, żeby dobrze widziała, a kiedy Julia stanęła obok, wyszeptał jej czule do ucha:

- Krówki, mamo! Muuu! Muuu!

ycie Julii w Belvédère, z Merry i grandmère, było bardzo szczęśliwe. Niczego by jej nie brakowało, gdyby nie fakt, że Jeffrey znajdował się tak daleko, a ona bardzo za nim tęskniła. Dzwonił często i przyjeżdżał, kiedy tylko mógł, ale czasami Julia przez całe tygodnie, a nawet miesiące, widziała go tylko w telewizji.

Zgodnie z obietnicą codziennie do siebie pisali.

Jeffrey był naocznym świadkiem ważnych wydarzeń, które zmieniały losy świata i wiernie relacjonował to obywatelom swojego kraju. A do Julii pisał długie listy o tragediach, jakie wydarzyły się na jego oczach.

Julia była świadkiem równie ważnych wydarzeń, śledząc rozwój ich córki.

Opowiadając mu o Merry, wykazywała doskonały zmysł obserwacji, relacjonując wszystko wiernie, bez żadnych upiększeń. Julia zawsze pisała o Merry nigdy nie używając określeń „moja córka” ani „nasza córka” bo przecież obiecała, że nie będzie go do niczego zmuszać! 62

Julia pisała o Merry i ich szczęśliwym życiu w Belvédère. Ale nie tylko. Zappełniła wiele stron, opisując odważnie swoją miłość, swoją namiętność, swoje pragnienia, swoje fantazje.

Codziennie listy i częste rozmowy telefoniczne pozwalały im nadal dzielić się ze sobą swymi uczuciami i przemyśleniami, ale żadne najcieplejsze, najbardziej intymne słowa nie były w stanie złagodzić bólu fizycznej rozłąki. Po tygodniach, miesiącach samotności potrzeba bliskości, dotyku, fizycznej miłości stawała się coraz bardziej dojmująca...

Między październikiem 1985 a majem 1986 roku Jeffrey w ogóle nie mógł przyjechać do Southampton. Porwanie Achille Lauro w październiku zapoczątkowało serię wydarzeń, które przez ponad pół roku elektryzowały cały świat: mgliste nadzieje na zawarcie pokoju w Libanie; spotkanie specjalnego wysłannika Terry'ego White'a z porywaczami czterech obywateli amerykańskich; porwanie samolotu egipskich linii lotniczych, lecącego na Maltę, które zakończyło się śmiercią pięćdziesięciu siedmiu pasażerów i członków załogi podczas ataku komandosów na samolot; masakra cywilów na lotniskach w Rzymie i Wiedniu w czasie świąt Bożego Narodzenia; nakaz aresztowania Abu Nidala; zamieszki w Kairze; starcie libijskich i amerykańskich sił zbrojnych nad zatoką Sidra; zamach terrorystyczny na samolot TWA, lecący z Rzymu do Aten, i udaremnienie podobnej próby na Heathrow; atak Stanów Zjednoczonych na Libię w odwecie za zamach bombowy na dyskotekę La Belle w Berlinie Zachodnim...

Wydarzeniom tym towarzyszyła bezustanna eskalacja przemocy w ogarniętym wojną domową Bejrucie.

Jeffrey nie mógł wrócić do domu. Stał się niezastąpiony dla swojej sieci i rzeszy widzów, ufającym mu tak, jak żołnierze ufają generałowi na wojnie. Jego sława

umożliwiała mu dostęp tam, gdzie nie mogli dotrzeć inni dziennikarze.

Przez ponad sześć miesięcy musiał odwoływać wszystkie zaplanowane wyjazdy do Southampton. W końcu jednak Jeffrey wrócił do domu. Telefonował do Julii z każdego lotniska po drodze: ~~W~~łaśnie opuszczam Bejrut, ~~J~~estem w Atenach, ~~W~~reszcie: ~~K~~ochanie, jestem na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Zobaczmy się za cztery godziny

Jeffrey był jak wędrowiec, od miesięcy blakający się po pustyni i konający z pragnienia... a Julia była dla niego oazą. Przeszedł przez odprawę celną prosto w jej ramiona. Długą chwilę tylko tulili się do siebie w milczeniu, nie potrafiąc powiedzieć ani słowa, przepelnieni

6ł uczuciem ulgi. Stojąc tak, zespoleni uściskiem, oboje mieli wrażenie, że wreszcie powracają do życia.

- O Boże, jak ja za tobą tęskniłem - wyszeptał w końcu Jeffrey. Pojedziemy do domu?

Julia powiedziała grandmère, że wrócą do domu na kolację, a Merry była u Paige w Somerset. Zaplanowała to już wiele tygodni temu, chciała być z Jeffreyem sama gdzieś, gdzie nikt by im nie mógł przeszkodzić. Teraz jednak zawahała się i omal nie minęła zjazdu do motelu, w którym wynajęła pokój. Kiedy jednak już zatrzymała samochód na parkingu i wyciągnęła z torebki kluczyk do pokoju, jej niepewność zniknęła, bo w oczach Jeffreya zobaczyła radość i pożądanie.

W motelu na Fisherman's Wharf Julia sama się rozebrała. Rzeczy, które z siebie zdejmowała, były stare i zniszczone. Teraz to Jeffrey ją rozbierał, a ona miała na sobie jedwabną bieliznę.

Jeffrey powoli zdejmował z niej wszystko drżącymi rękami, przypominając sobie jej listy, w których śmiało opisywała swoje pragnienia i fantazje. Wiedział, że marzyła, by rozbierał ją powoli, całując każdy odsłonięty fragment jej białego ciała. Jeffrey także marzył o tym w ciągu tych długich samotnych miesięcy...

- O Julie, najdroższa - wyszeptał z głową wtuloną w jej nagie piersi. - Tak bardzo cię

pragnę. Za bardzo...

- Jeffrey... ja też pragnę cię za bardzo.

- Co chciałabyś dzisiaj robić? - spytał Jeffrey trzy dni później. Julia wróciła do niego do łóżka, kiedy wyszykowała już Merry do szkoły, a grandmère wybrała się w odwiedziny do dawnej przyjaciółki w East Hampton.

- Wszystko, na co ty masz ochotę.

- A co byś robiła, gdyby mnie tu nie było?

- Tęskniłabym za tobą.

- I co jeszcze?

- Przesadzałabym róże.

- Więc zajmijmy się tym, kochanie.

Dwie godziny później Julia zaprowadziła go do ogrodu, gdzie w najbardziej nasłonecznionym miejscu, w ciemnej, żyznej ziemi rosło sześć różanych krzewów.

- Tu przesadzam krzewy, które źle zniosły zimę, żeby miały jak najwięcej słońca. Kiedy już dojdą do siebie, znajduję dla nich inne miejsca. Te będą rosły pod oknem naszej sypialni. 64

Jeffrey uśmiechnął się do niej. Taka była opiekuńcza, troszczyła się o wszystko dokoła.

Jeffrey wykopał sześć dziur w ziemi pod oknem ich sypialni, a następnie zaczął bardzo ostrożnie przenosić krzewy.

- Och, zaczekaj - powstrzymała go Julia, spoglądając na metalową tabliczkę przyczepioną do krzewu. - To jest Smoky. Smoky nie może rosnąć obok Mr. Lincolna, bo kolory będą się kłócić.

- A jakiego koloru będą te kwiaty? - Pytanie Jeffreya, zupełnie niewinne, najwyraźniej sprawiło Julii ból. - Julie? Co się stało, kochanie?

Julia tylko potrząsnęła głową. Przysięgła sobie nigdy nie przeszkadzać w realizacji jego marzeń.

- Powiedz mi. - Julia milczała, ale Jeffrey odgadł już odpowiedź na swoje pytanie. -
To dlatego, że kiedy zakwitną, mnie znowu tu nie będzie?

Julia spojrzała na niego i powoli pokiwała głową.

- Zawsze jesteś taka spokojna, kiedy wyjeżdżam.

- Później płaczę, Jeffrey. Ty też jesteś zawsze taki spokojny.

- Ale i ja potem płaczę, kochanie.

Była to prawda. I Jeffrey nagle doszedł do wniosku, że więcej tego nie zniesie. Nie może zostawić Julii samej na tyle miesięcy. Nie, nie zrobi tego.

- Kiedy już uporamy się z różami, kochanie, pójdziemy na spacer. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Szli przez gęsty las wydeptaną przez leśną zwierzynę ścieżką, prowadzącą nad urwisty cypel, z którego rozciągał się widok na ocean. Cypel porastały teraz kwitnące wiosenne kwiaty, a w oddali widać było uroczy letni domek przycupnięty na skałach. Zeszli powoli stromą, krętą ścieżką na biały piasek plaży. Fale gniewnie rozbryzgiwały się o brzeg. Jeffrey spojrzał na rozplywający się w błękitie horyzont i przypomniał sobie, co jego dziadek, Hollis Cabot, powiedział mu kiedyś w tym właśnie miejscu. Zawsze podążaj tam, gdzie każą ci iść twoje marzenia, gdziekolwiek by to było, cokolwiek by inni ludzie o tym myśleli.

Jeffrey spędził wiele godzin, marząc o przygodach czekających za horyzontem, z zachwytem patrząc na niebezpieczną kipieli oceanu, nie mogąc się doczekać, kiedy odpowie na zew fali i ruszy na spotkanie swojego przeznaczenia.

Ale teraz jego marzenia były tak blisko, tuż obok. Spojrzał w fiołkowe oczy Julii i zobaczył w nich strach. Znowu złąkla się morza. Objął ją ramieniem, przyciągnął mocno do siebie i zawrócili na łąkę.

65 5 - Melodie miłości

- Muszę wrócić do Bejrutu, kochanie, i zostać tam, aż znajdą kogoś na moje miejsce - powiedział, kiedy usiedli na miękkiej trawie wśród fiołków. - To nie powinno potrwać

długo. Potem wrócę, żeby zobaczyć twoje róże.

- Och, Jeffrey... Ale co będziesz tu robił?

- Będę chodził za tobą po domu krok w krok, codziennie.

- Szybko się tym znudzisz.

- Nie sędzę, ale gdybyś w końcu miała mnie dosyć, mógłbym się postarać o pracę w lokalnej stacji telewizyjnej. Może coś dla mnie znajdą.

- Może - powiedziała Julia uśmiechając się, choć usta jej drżały, a w oczach błysnęły łzy wzruszenia.

Jeffrey ucałował jej zamglone oczy i drżące wargi, a potem znowu oczy. A kiedy oboje poczuli, że pocałunki już im nie wystarczają, Jeffrey rozebrał ją bardzo powoli i czule pieścił jej piękne ciało, spełniając wszystkie jej marzenia i fantazje. Tylko wiosenne słońce widziało, jak się kochali pośród morza fiołków. Tego cudownego majowego dnia nawet ryk rozbijających się o skały fal brzmiał w oddali jak delikatny plusk, utrzymany w rytmie ich miłości, jak czule westchnienia morza podczas tego niekończącego się słonecznego popołudnia pełnego radosnych uniesień.

- Cześć, Frank. - Jeffrey uśmiechnął się ciepło do szefa biura, kiedy trzy tygodnie później wrócił do Bejrutu.

- Witaj, Jeffrey. Jak urlop?

- Bardzo udany. - Jeffrey nabrał powietrza w płuca. - Frank, muszę z tobą porozmawiać.

- Ja z tobą również. Wejdz, proszę. - Frank otworzył drzwi swojego gabinetu, ale zanim zdążyli wejść do środka, usłyszeli podniesione głosy w pokoju redakcji informacyjnej.

- Czy ktoś był w środku?

- Nie.

- Co się stało?

- Bomba wybuchła w szkole, na terenie ośrodka służb dyplomatycznych. Na

szczęście nikogo tam nie było.

- Jak, u diabła, zdołali się dostać do ośrodka?

- Nie wiadomo.

Jeffrey szybko rozejrzał się po pokoju. Był tu w tej chwili jedynym dziennikarzem. Skinął na kamerzystę i ruszył do wyjścia. 66

- Później się czegoś napijemy, Frank.

- Jasne.

Ośrodek dyplomatów ze wszystkich krajów znajdował się całkiem niedaleko stamtąd. Kłęby ciemnego, gęstego dymu wznosiły się nad czterokondygnacyjnym budynkiem, na ostatnim piętrze którego mieściła się szkoła.

Ludzie zebrani przed płonącym budynkiem patrzyli bezradnie, jak pochłania go ogień. Początkowo oczekiwali z nadzieją wycia syren, sygnału, że pomoc już nadchodzi. Później jednak przypomnieli sobie, że są w rozdartym wojną Bejrucie, a nie w swoich spokojnych krajach. Tu nie pojawiają się dzielni strażacy w wielkich czerwonych wozach, z sikawkami i długimi srebrnymi drabinami.

Jak to dobrze, że w budynku nikogo nie było.

Jeffrey porozmawiał z kilkoma osobami, szybko zorientował się, że nikt niczego nie widział, po czym rozpoczął swój raport na żywo. Mówiąc, odwrócił się i wskazał na płonący budynek. I zmartwił. Kątem oka dostrzegł w oknie coś złocistego.

Pewnie to tylko płomień? Albo odbłysek słońca w szkle.

A jednak nie. To były złote włosy należące do małej dziewczynki. Weszła do klasy, żeby zabrać pozostawioną tam książkę. Po wybuchu schowała się pod ławką, ale ogień i dym zmusiły ją, by podbiegła do okna.

Nie przybędą jej na ratunek strażacy z długimi drabinami, nie ugaszą szalejących płomieni, nie rozepną pod oknem sieci, by mogła wyskoczyć... zresztą było za wysoko, żeby skakać.

Jeffrey bez wahania ruszył w stronę płonącego budynku. Wbiegł do środka, z trudem

znalazł schody i zaczął się po nich wspinać, dławiąc się gryzącym, gęstym dymem.

Złotowłosa dziewczynka była mniej więcej w wieku Merry. Stała przy oknie, kiedy Jeffrey wpadł do ogarniętej płomieniami sali. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie i wychylił się przez okno, by zaczerpnąć powietrza.

Przydałby mi się tu jeden z latających smoków Julii, pomyślał, patrząc w dół, na betonowy dziedziniec cztery piętra niżej.

- Cześć - powiedział wesoło do przerażonej dziewczynki. - Zabieram cię stąd. Obejmij mnie mocno za szyję, o tak. Dobrze. Trzymaj się, bo zaraz pobiegniemy. Jak powiem ~~trzy~~ nabierz dużo powietrza i staraj się nie oddychać tak długo, aż będziemy na zewnątrz, dobrze? Gotowa? Raz. Dwa. Trzy.

Jeffrey po omacku ruszył w drogę i w końcu, na szczęście, odnalazł schody. Kiedy dotarli do drugiego piętra, usłyszeli suchy trzask i z góry

67 spadła na nich płonąca belka, która uderzyła Jeffreya, łamiąc mu obojczyk. Jęknął z bólu i mimo woli wciągnął w płuca gryzący dym. Nie zatrzymał się jednak i w końcu znaleźli się na zewnątrz. Dziewczynka była cała i zdrowa. Jeffreya zabrano do szpitala.

- Właśnie rozmawiałem z Julią - powiedział Frank dwie godziny później. - Powiedziałem jej, że jesteś w całkiem dobrym stanie - złamany obojczyk i lekkie zatrucie dymem. Oczywiście chce z tobą porozmawiać, więc poprosiłem o przenośną butlę z tlenem i telefon. Zanim to przyniosą, chcę ci powiedzieć, jaką otrzymałem dziś wiadomość. Sieć chciałaby cię zatrudnić w charakterze prezentera wieczornych wiadomości. Prezes nowego oddziału dzwonił do mnie mniej więcej godzinę przed twoim powrotem. Szukał ciebie, ale był tak uprzejmy, że poinformował mnie, iż ma zamiar nam cię odebrać.

- Co mu powiedziałaś?

- ~~Ź~~ już zbyt długo tu siedzisz. - Frank uśmiechnął się kpiąco. - ~~Ź~~ nie jest to dla ciebie bezpieczne miejsce. Wszystkie frakcje darzą cię zaufaniem, a to z kolei sprawia, że byłbyś cennym łupem dla potencjalnych porywaczy. Więc powiedziałem mu, że twoja

dalsza obecność tutaj łączy się ze zbyt wielkim ryzykiem. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że skłonny jesteś spieszyć na ratunek małym księżniczkom uwięzionym w płonących zamkach.

- Ja też nie znałem siebie od tej strony.

- Tak czy inaczej, sieć szuka takiego człowieka jak ty. W końcu postanowili pozbyć się swojej gwiazdy, tego prezentera, który zdaje się uważał, że jego osoba jest bardziej interesująca od przekazywanych informacji. Chcieli cię, zanim stałeś się bohaterem, i nawet byli skłonni dać ci wolną rękę w pewnych kwestiach. Teraz możesz zażądać pełnej samodzielności.

Jeffrey chciał tylko wrócić do domu i być z Julią, ale nie mógł nie przyjąć tej propozycji. Julia także chciała, by ją przyjął.

Tak cudownie było znaleźć się znów przy niej, móc do niej dzwonić sto razy dziennie, jeśli przyszła mu ochota, przytulać ją codziennie wieczorem po powrocie z pracy, dzielić się z nią wydarzeniami dnia przed pójściem do łóżka.

W sierpniu 1986 roku Jeffrey rozpoczął pracę jako prezenter w programie informacyjnym *Świat dziś wieczorem*. W ciągu następnego dziesięciu miesięcy pod względem oglądalności program ten przesunął się z trzeciej na drugą pozycję, a w październiku 1987 roku *Świat dziś wieczorem* rywalizował już z najpopularniejszym dotąd programem informacyjnym w kraju. Na długo przed tym, zanim ludzie poszli do urn w listopadzie 1988 roku, by wybrać George'a Busha na prezydenta Stanów Zjednoczonych, Jeffrey Lawrence stał się prezenterem, którego chcieli oglądać wszyscy Amerykanie.

Na święta Bożego Narodzenia 1988 roku mroczny cień rzuciły dwie tragedie - trzęsienie ziemi w Armenii i zamach bombowy na samolot Pan Am nad Lockerbie. A sześć tygodni później pewnej śnieżnej lutowej nocy umarła grandmère. Tego wieczora czuła się trochę zmęczona i Julia na zmianę z Merry czytały jej na głos jedną z baśni Julii. Grandmère zasnęła z uśmiechem na ustach, a w nocy odeszła na zawsze, bardzo

spokojnie, ciągle się uśmiechając.

- Nie chcę, żeby Merry poszła na pogrzeb, Jeffrey.

- W porządku, kochanie. - Jeffrey przyciągnął Julię do siebie, patrząc w jej pełną bólu twarz. Śmierć grandmère była dla Julii bardzo bolesnym ciosem, ale skrywała swój smutek, całą uwagę i czułość kierując na córkę. Julia pomagała Merry, Jeffrey chciał pomóc Julii. - Powiedz mi jednak, dlaczego, kochanie.

- Bo ziemia jest teraz taka zimna i twarda...

Z jej fiołkowych oczu popłynęły łzy, a ciałem wstrząsnął dreszcz. Powiedziała Jeffreyowi o strasznych wspomnieniach z pogrzebu jej rodziców. Potem tylko łkała cicho, a Jeffrey tulił ją, całował, chcąc na zawsze uśmierzyć cały nagromadzony w jej sercu ból.

- Julie, lepiej, żebyś i ty nie szła na pogrzeb. Grandmère zrozumiałaby to na pewno. A wiosną, czy też kiedykolwiek zechcesz, pójdziemy na jej grób i zaniesiemy kwiaty.

Meredith Cabot posiadała wielki majątek. W testamencie zapisała wiele organizacjom charytatywnym i swoim oddanym służącym, a resztę rozdzieliła równo między swe dzieci i wnuki. Julii zostawiła Belvédère, piętnaście milionów dolarów i kolczyki z diamentów i szafirów, które kiedyś dostała w prezencie od męża. Dla Merry, swojej prawnuczki i imienniczki, zostawiła pięć milionów dolarów w funduszu powierniczym.

Grandmère pozostawiła także dwa bardzo osobiste listy, jeden zaadresowany do Julii, a drugi do Jeffrey'a, których mieli nikomu nie pokazywać, nawet sobie nawzajem.

Julia przeczytała swój list, siedząc przy grobie grandmère, gdzie przyszła sama, aby się pożegnać i złożyć dwanaście śnieżnobiałych róż.

69 Moja ukochana Julio! Nie smuć się z mojego powodu, kochanie. Jestem w niebie tak cudownym, jak zaczarowane królestwa powstałe w twojej żywej wyobraźni, i jestem szczęśliwa, bo mój Hollis jest tu ze mną. Lata, które spędziłam na ziemi po jego śmierci, nie były zbyt szczęśliwe, dopóki ty i mała Merry nie pojawiłyście się w moim życiu. To wraz z wami do mojego domu znowu zawitała radość! Belvédère należy do ciebie, Julio.

Victoria będzie pewnie oburzona, ale Edmund zadbał o to, żeby nie miała żadnych szans na obalenie mojego testamentu. Może gdybym była taką matką, jak ty, nie musiałabym się tego obawiać. Ale odchodzę od tematu... Wiem, że będziesz się martwiła, co zrobić ze służbą, której nie zechcesz pozbawić pracy, choć nigdy nie przyszłoby ci do głowy, by kazać im się obsługiwać - więc zrobiłam z nich wszystkich milionerów! Belvédère należy do ciebie, podobnie jak kolczyki. Był to mój skarb, ponieważ otrzymałam je od Hollisa, a teraz chciałabym, żebyś Ty przyjęła je ode mnie. Resztę mojej biżuterii - o wielkiej wartości, choć tylko z tymi kolczykami czułam się tak związana uczuciowo - zostawiam Victorii. Wiem, że ty nigdy byś tych rzeczy nie nosiła. Noś jednak moje suknie. Możesz pogłębić dekolty i skrócić spódnice. Jesteś zbyt nieśmiała, by to zrobić, wiem o tym, ale dasz im wdzięku i stylu, jak zresztą wszystkiemu, co wezmiesz do ręki. Najdroższa Julio, nawet nie wiesz, jak cudowną jesteś istotą, jak cenny i rzadki na świecie jest dar miłości, którym tak hojnie szafujesz. Tak wiele dajesz, ale powinnaś też brać. Mój wnuk kocha cię bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Pamiętam, jaki był Jeffrey, zanim cię poznał - był oczywiście wspaniałym, świetnie zapowiadającym się młodym człowiekiem, ale trochę jednak samolubnym. Miłość do ciebie odmieniła go. Jest teraz taki czuły i kochający. Uwierz w jego miłość, moja droga Julio, i uwierz w siebie.

Jeffrey przeczytał swój list w zaciszu apartamentu na Manhattanie, który wynajmowała dla niego stacja. Apartament znajdował się zaledwie dwa kroki od studia. Jeffrey miał tam szyte na miarę garnitury, świeże koszule i jedwabne krawaty, w których pokazywał się w telewizji. Zostawał w tym mieszkaniu na noc, kiedy śnieżna zadymka uniemożliwiała mu powrót do domu, albo kiedy na świecie działo się coś, co wymagało jego obecności w mieście. Zdarzało się to jednak rzadko, gdyż Jeffrey zazwyczaj wołał wracać do Julii, nawet jeśli była to już bardzo 70 późna pora. Postanowił przeczytać list od grandmère w ciszy i samotności. Dotąd trzymał emocje na wodzy, nie chcąc pogłębiać smutku Julii, ale teraz nie mógł opanować łez. Mój drogi Jeffreyu, Czyżbyś płakał? Nie płacz nade mną, ale ciesz się, że w ogóle potrafisz płakać. Nigdy nie wiedziałeś zbyt wiele

o tym, czym są łyż, śmiech, miłość - tak, kochanie, nie wątpię, że kochałeś swoją grandmère! - ale dopiero Julia nauczyła cię prawdziwego znaczenia tych słów. Odnalazła drogę do najlepszej części twojego serca, do której nikt nigdy nie miał dostępu. Zapomnij o śwince i tej całej armii lekarzy, pozwól, by Merry stała się twoim dzieckiem. Naprawdę sądziłeś, że twoja matka oszczędziła mi szczegółów? Otóż nie. Wiem, że nie możesz mieć dzieci, i wiem też, że bardziej odpowiada mi epoka, kiedy nauka nie ingerowała tak głęboko w sferę naszych uczuć. Ale czy geny mają istotnie tak wielkie znaczenie? Pokochaj tę śliczną, słodką dziewczynkę, mój drogi, tak jak kochasz jej matkę. Zaczynj dzielić z Julią tę wielką radość! I jeszcze coś, mój kochany. Czasami, kiedy patrzę na Merry, widzę w niej twojego dziadka. Miał ciemnobrązowe oczy, pamiętasz? A kiedy Merry się uśmiecha, mam czasem wrażenie, że to Hollis wrócił do mnie z nieba. Wiem, że Merry nie może być twoją córką. Ale ty możesz kochać ją tak, jakby nią była, tak jak ja kocham ją jak swoją prawnuczkę. Jedyne przeszkoda, mój drogi Jeffreyu, znajduje się w twoim własnym sercu.

Jeffrey ścisnął trzymany w dłoniach list, a jego oczy znowu zaszyły łzami. Rozmyślał nad pełną miłości mądrością babci. Masz rację, grandmère, lepiej byłoby nie znać prawdy. Lepiej byłoby dla mnie po prostu wierzyć, że Merry jest moim dzieckiem. Ale on znał prawdę. Oboje z Julią ją znali. I chociaż powiedział Julii, że spłodzenie przez niego potomka graniczy z cudem, ona cały czas skrupulatnie stosowała środki antykoncepcyjne. Nie chciała mieć więcej dzieci poza ukochaną córką, którą ciągle trzymała z dala od niego.

List grandmère obudził w Jeffreyu ból i smutek - ponieważ Jeffrey kochał babcię, okropnie mu jej brakowało, a także dlatego, że jej słowa przypomniały mu o starej ranie, która - jak sądził - już się zagoiła. Teraz jednak, przepełniony bólem i gniewem, uświadomił sobie, że rana wcale się nie zagoiła. Została tylko skrzętnie opatrzona, ściśle zabandażowana, osłonięta miękką ochronną warstwą jego miłości.

Dopóki Julia nie wyzna mu swej tajemnicy, dopóty rana będzie się jątrzyć. A zanim to nie nastąpi, musi ją opatrywać, okrywać, chować przed światłem. Nikomu nie pokaże, jak cierpi.

On i Julia będą żyli jak dotąd, pielęgnując swą prawie doskonałą miłość.

Nie chcę już nigdy żadnych prezentów – powiedziała Julia pod kwitnącą wisterią w Carmel, kiedy kupili swoje obrączki ślubne. – Dotąd będziemy dawać sobie tylko naszą miłość –

Dla upamiętnienia tego wiosennego dnia Jeffrey i Julia nigdy nie dawali sobie prezentów z okazji kolejnych rocznic ślubu. Zamiast tego szczerze obdarzali się miłością.

Kiedy jednak nadeszła dziesiąta rocznica ich ślubu, trzy miesiące po śmierci grandmère, Jeffrey powiedział:

- Chciałbym zabrać cię na miesiąc miodowy, który obiecałem ci dziesięć lat temu.

Jeffrey chciał, żeby Julia towarzyszyła mu w jego podróżach służbowych do pięknych krajów. Chciał pokazać jej skarby największych miast świata, patrzeć, jak się nimi zachwyca. Chciał razem z nią mieszkać w pięknych, luksusowych hotelach, w których zawsze się zatrzymywał. Nie natknął się wprawdzie podczas swych podróży na miejsce tak piękne i luksusowe jak Belvédère Julii, z oszałamiającym zapachem różanych ogrodów, tak eleganckie, a zarazem przytulne i romantyczne, ale...

- Już czas, żebym pozbyła się strachu przed lataniem, prawda?

- Chyba tak, kochanie. Zrobiłaś już duże postępy. Kiedyś byłaś wystraszona nawet, gdy ja musiałem gdzieś polecieć, a teraz podchodzisz do tego znacznie spokojniej.

- Teraz jestem po prostu lepszą aktorką. - Westchnęła cicho Julia. Starła się nie okazywać lęku o męża, ponieważ przysięgła sobie, że nigdy nie stanie mu na drodze do realizacji marzeń, ale Jeffrey i tak wiedział, co ona czuje, powiedziała więc szczerze: - Przeraża mnie, kiedy lecisz gdzieś samolotem. Strasznie się boję, że już nie wrócisz.

- Zawsze do ciebie wrócę, Julie. - Jeffrey przypieczętował tę obietnicę czułym

pocałunkiem. - Więc co o tym sądzisz, kochanie? Czy pewnego dnia w ciągu kolejnych dziesięciu lat będę mógł zabrać cię na romantyczny miesiąc miodowy do Europy?

- Tak.

- Dobrze. - Jeffrey postanowił więcej nie nalegać. Wiedział, że niechęć Julii była czymś więcej niż tylko strachem o siebie samą. Strach 72 z dzieciństwa łączył się teraz z innym lękiem, największym ze wszystkich lękiem przed osieroceniem swojego dziecka, tak jak ona została osierocona. Nie nalegał więc. Julia zna już jego życzenie i spróbuje je spełnić. Ucałował jej usta i wyszeptał:

- A teraz powiedz mi, czego ty sobie życzysz.

Spodziewał się, że Julia szybko odpowie tak, jak zawsze dotąd: **Chcę** tylko twojej miłości. Jednak coś w jej fiołkowych oczach wskazywało na to, że i ona ma tym razem szczególne życzenie z okazji rocznicy ślubu.

- Powiedz mi - zachęcił ją czule.

- Chcę, żebyśmy byli rodziną - powiedziała Julia cicho, głosem pełnym niepewności, ale i nadziei.

Ta nadzieja udzieliła się również jemu: a więc w końcu Julia powie mu prawdę i stara rana nareszcie się zablizni.

- Wiem, jaki jesteś zajęty, ale chciałabym, żebyśmy pewne rzeczy planowali wspólnie... - pod jego nieruchomym, uważnym wzrokiem Julia nagle poczuła się nieswojo. Ale musiała być stanowczo, bo nadszedł już czas. Jej mała dziewczynka potrzebuje ojca. Julia знаła ojców mniej zapracowanych niż Jeffrey, którzy również nie znajdowali czasu dla swoich dzieci. Nie tego jednak chciała dla swojej córki. Ona dawała Merry całą swoją miłość, i to wystarczało, kiedy żyła grandmère, otaczająca małą swoją troską i czułością. Ale teraz grandmère już nie ma, a Merry potrzebuje Jeffreya.

Nadzieja, która wypełniła serce Jeffreya, nadzieja na to, że stara, bolesna rana w końcu się zagoi, umarła w jednej chwili. A więc Julia chce zmienić zasady, według których żyli przez ostatnie dziesięć lat, ale nie ma zamiaru powiedzieć mu prawdy. Chce,

żeby on zaatakował jej kłamstwo, żeby stał się ojcem dziewczynki, której nawet dobrze nie zna.

Jeffrey obserwował z dystansu, jak obojętny widz, stopniową przemianę niemowlęcia w małą dziewczynkę. Merry jako osesek, gaworząca niezrozumiale w ramionach Julii... Merry jako pogodny, ruchliwy maluch, niezgrabnie biegnąca na krótkich, grubych nóżkach w stronę Julii i śmiejąca się radośnie... Merry jako mała dziewczynka, której nogi zaczęły się wydłużać, a płowe włosy ściemniały i nabrały pięknego złotego odcienia. Merry, która głosem tak podobnym do głosu Julii mówi już pełnymi, ładnymi zdaniami, a nie pojedynczymi słowami.

Jeffrey patrzył na to wszystko z bezpiecznej odległości, widział, jak zmienia się okładka tej kolorowej książki, zatytułowanej Merry, ale nie znał jej treści. Miał dla Merry zawsze ciepły uśmiech i miłe słowo, oczywiście życzył wszystkiego co najlepsze ukochanej córce swojej ukochanej żony. Jako całkiem małe dziecko Merry patrzyła na

71 niego z nie skrywanym zainteresowaniem i ciekawością. Trzymała się blisko Julii, ale była dość śmiała. Wyglądając zza nóg matki, popatrywała na niego i śmiała się, jakby bawiąc się z nim w chowanego. Ostatnio, kiedy przejeżdżał z Bejrutu, rumieniła się, napotykać jego wzrok.

Zwracając się do Jeffreya, Merry nazywała go tatą, co początkowo wprawiało go w zakłopotanie. Jednak z biegiem czasu stało się to pustym słowem, z którym nikt nie wiązał żadnych oczekiwań... ani Julia, ani Merry.

Aż do tej chwili.

Teraz Julia oczekuje od niego, że przyłączy się do jej kłamstwa.

W dniu dziesiątej rocznicy ich ślubu Jeffrey poprosił Julię, by pokonała swój strach przed lataniem. A teraz ona prosi go, żeby pokonał swój strach związany z jej tajemnicą.

Czy stać go na to? Czy potrafi udawać, że jest ojcem tej dziewczynki?

Spojrzał w fiołkowe, pełne nadziei oczy i usłyszał nagle swój własny szept.

- Zgoda, Julie.

Kiedy czuły i mądry list od grandmère przypomniał Jeffreyowi o starej ranie, szybko ukrył ją znowu pod grubym bandażem swojej miłości. Teraz jednak rana znowu została obnażona i nie będzie tak łatwo ją opatrzeć.

Życzenie Julii, żeby stali się rodziną, powinno sprawić Jeffreyowi ulgę, dać mu nadzieję. I tak się stało. Niestety, nie zagojona rana wzbudziła w nim dawne uczucia. Ból, gniew i poczucie krzywdy wypłynęły z głębi na powierzchnię i teraz, po dziesięciu latach wypełnionych miłością i radością, Jeffrey nagle poczuł się znowu zagrożony, słaby, zdradzony.

Pokonanie tych uczuć zabierze mu trochę czasu, ale pokona je, musi je pokonać.

Jednak trzy tygodnie później, kiedy wrócił do Belvédère po wywiadzie z Dianą Sheperd, zakłóconym nadejściem papierów rozwodowych, uczucia te ciągle kłębiły się tuż pod powierzchnią. Tej nocy dręczyły go złe myśli i odczuł niewysłowioną ulgę, kiedy okazało się, że Julia czeka na niego czuła i pełna miłości. Kochali się, a potem, kiedy Julia zasnęła już w jego ramionach, Jeffrey myślał o jej kłamstwie, o tej małej, niemal niedostrzegalnej skazie na ich doskonałej miłości. A zasypiając, zastanawiał się, jaka skaza zniszczyła w końcu miłość Chase'a Andrewsa i jego pięknej Królowej Serc. 74

%

Manhattan

czerwiec 1989 Diana stała na balkonie luksusowego apartamentu przy Park Avenue, który przez pięć lat dzieliła z Chase'em Andrewsem, i z ulgą patrzyła, jak pierwsze promienie letniego słońca rozjaśniają niebo. Ta noc wydawała jej się ciemniejsza niż zwyczaj, spała źle, dręczona przez koszmary, a na jawie prześladowały ją czarne myśli. Niektóre z nich były nowe - dotyczyły małżeństwa, które istniało, a potem umarło w tym pięknym apartamencie. Inne były cieniami z przeszłości - bolesnymi wspomnieniami o Samie i Janie.

Noc była długa i ciemna. Świt przyniósł obietnicę ucieczki do bezpiecznego sanktuarium szpitala i jeszcze bezpieczniejszej przystani sali operacyjnej.

Nadal masz zamiar operować radzieckiego ambasadora? – spytał ją wczoraj Jeffrey Lawrence. Najpopularniejszy dziennikarz w kraju, profesjonalista w każdym calu, zadał to pytanie gładko, obojętnie, niczego nie sugerując, ale stanowiło ono wyzwanie rzucone jej etyce zawodowej. Oczywiście było uzasadnione, ale... Diana nie potrzebowała Jeffreya, żeby je sobie zadać.

Czy to etyczne, żeby dziś operowała? Spała źle, noc dłużyła jej się niemiłosiernie, ale Diana była przyzwyczajona do bezsennych nocy i po latach doświadczeń wiedziała już, że posiada absolutną zdolność koncentracji na sali operacyjnej. Tam żadne upiory nie miały wstępu. Żadne duchy, żadne wspomnienia, żadne emocje. Diana wiedziała, że wchodząc na salę operacyjną, potrafi zamknąć im drzwi przed nosem. Miała za sobą wiele lat praktyki. Kiedy operowała, całkowicie koncentrowała się na przeprowadzanym zabiegu. Była tu bezpieczna, podobnie jak jej pacjenci.

Bezpieczna i spokojna.

Diana kochała spokój sali operacyjnej, skupienie i ciszę, zakłócaną tylko cichym szumem wentylatora, rytmicznym popiskiwanym monitora, odgłosami ssania, szczękiem nożyczek przecinających szwy, pobrzękiwaniem instrumentów i skrzypieniem gumowych rękawiczek, nałożonych na wprawne dłonie.

Czasami dźwiękom tym towarzyszyły słowa, ale na ogół Diana porozumiewała się z członkami swojej ekipy w milczeniu. Nie musiały

75 mówić śkalpel, klamra czy kleszcze swojej instrumentariuszce, bo świetnie wyszkolona pielęgniarka z góry wiedziała, co będzie potrzebne. Nie musiała mówić do asystujących jej chirurgów ssanie czy ekstrakcja, nie musiała prosić, by przytrzymali zastawkę, żeby mogła założyć szew, bo to także już wiedzieli.

Diana zawsze operowała w ciszy, w atmosferze całkowitego skupienia na tym, co robi. A ponieważ była szefem, jej współpracownicy dostosowali się do jej stylu pracy. Nikt nie wszczynał rozmów o pogodzie ani polityce, nikt nie próbował dyskutować o książkach i filmach. Wszyscy wychodzili z założenia, że Diana jest przeciwna rozmowom

na sali operacyjnej. Nie była to jednak prawda. Diana wiedziała doskonale, że chirurg może rozmawiać i operować w tym samym czasie.

Rozmawiać albo... słuchać muzyki.

Rozmowa nie rozpraszałaby jej uwagi, ale muzyka... Muzyka mogłaby obudzić emocje, na które nie ma miejsca na sali operacyjnej; mogłaby przypomnieć jej piosenki miłosne dla niej kiedyś napisane i dla niej śpiewane, i miłość, która umarła.

Ale kiedy Diana operowała, muzyka była zabroniona, więc duchy przeszłości nie miały do niej dostępu, a jej dłonie sprawnie dokonywały cudów.

Czy ma operować?

Tak. I będzie to całkiem zgodne z etyką zawodu.

Diana pięć minut po wyjściu z mieszkania była już w szpitalu, w chirurgicznej przebieralni. Powiesiła sukienkę na metalowym haczyku, włożyła błękitny kitel, po czym odruchowo, instynktownie, sięgnęła prawą ręką do palców lewej dłoni, na których nosiła zazwyczaj pierścionek z diamentem i ślubną obrączkę.

Ile to już razy w ciągu ostatnich pięciu lat ściągała je z palców i przypinała do kitla złotą agrafką, którą Chase podarował jej właśnie w tym celu! Chirurg nie może mieć na ręce pierścionków podczas operacji, a Diana w ogóle miała wątpliwości, czy powinna nosić ten nieskazitelny, czterokaratowy brylant - rodowy klejnot rodziny Andrewsów.

Diana sięgnęła do pierścionków, ale nie miała ich na ręce. Zdjęła je wczoraj, kiedy została wezwana na salę operacyjną w trakcie rozmowy z Jeffreyem Lawrence'em, a później nie potrafiła zmusić się do ich ponownego założenia. Były symbolami małżeństwa, które już się skończyło. Ścisłała je w dłoni, wracając pieszo do domu, a następnie schowała je głęboko w szufladzie, między warstwami jedwabnej bielizny. 76

Westchnęła ciężko, dotykając teraz swoich palców. Musi porzucić swój rytuał wkładania i zdejmowania pierścionków... i musi się znowu przyzwyczaić do życia w samotności, która, być może, już nigdy jej nie opuści.

- Dobry wieczór, wita państwa Jeffrey Lawrence. Przerwywamy na chwilę program,

aby przekazać państwu najświeższe wiadomości ze Szpitala Memorial. Operacja wszczepienia implantu Sheperd Heart radzieckiemu ambasadorowi właśnie została szczęśliwie zakończona. Zaraz rozpocznie się w szpitalu konferencja prasowa, którą zrelacjonujemy państwu na żywo. Choć uwaga całego świata koncentruje się w tej chwili na dokonanym za sprawą tej operacji postępie w stosunkach radziecko-amerykańskich, należy także w pełni docenić wielkie osiągnięcie, jakie medycyna zawdzięcza samemu implantowi Sheperd Heart. Chciałbym się z państwem teraz podzielić tym, czego dowiedziałem się na temat tego zdumiewającego urządzenia podczas mojej wczorajszej rozmowy z doktor Dianą Sheperd. Doktor Sheperd wspaniałomyślnie udostępniła mi ten oto model, abym mógł go zaprezentować...

Trzymając model serca przed kamerą Jeffrey zaczął opowiadać to, czego dowiedział się od Diany, a także z otrzymanych od niej broszur. Przygotował sobie notatki i tak długo rozwijał temat, aż producent dał mu znak, że zaraz zacznie się konferencja.

Jeffrey oglądał konferencję prasową na monitorach w studio. Przybyli na nią bardzo licznie dziennikarze z radia, telewizji i gazet z całego świata. Diana pojawiła się wraz ze swoją świtą - grupą pielęgniarek, dwoma kardiochirurgami i anestezjologiem. Przedstawiła towarzyszące jej osoby, a następnie krótko opisała przebieg operacji i oznajmiła, że ambasador znajduje się w tej chwili na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej.

Przez kolejne dwadzieścia minut zadawano pytania. Dotyczyły operacji, sztucznego serca, prognoz dotyczących zdrowia ambasadora, tego ile czasu spędzi w szpitalu. Dziennikarze pytali o kwestie medyczne i polityczne. Czy doktor Sheperd spodziewa się telefonu od prezydenta Busha? A może od Gorbaczowa?

Diana uważnie patrzyła na zadających pytania swymi przenikliwymi, niebieskimi oczami i odpowiadała im czasem poważnie, a czasem z uśmiechem.

Konferencja mogłaby się ciągnąć bez końca. Diana oczarowała wszystkich. Nagle jeden z dziennikarzy, z oddziału sieci, w której pracował Jeffrey, zadał jej pytanie nie

dotyczące ani medycyny, ani polityki.

77

- Czy sytuacja osobista, w jakiej się pani obecnie znalazła, nie utrudniła pani przeprowadzenia operacji?

- Słucham?

- Dowiedzieliśmy się właśnie, że pani mąż, Chase Andrews, złożył pozew o rozwód.

Jeffrey nie dosłyszał odpowiedzi Diany. Jej słowa zostały zagłuszone przez wrzawę, jaka wybuchła w sali konferencyjnej. Ale dostrzegł wyraz jej twarzy. Przez chwilę patrzyła na dziennikarza w osłupieniu. Potem dumnie, jak królowa, wyszła na czele swej świty.

Jeffrey zwięźle skomentował konferencję, a następnie, kiedy zgasło światelko sygnalizujące, że jest na wizji, rzucił z zimną złością:

- Chcę natychmiast wiedzieć, kim jest ten dziennikarz, który wspomniał o rozwodzie.

- Tak mi przykro, Diano.

Diana podniosła wzrok znad swojego notatnika. Doktor Tom Chandler stał przed nią ze starannie udawaną troską na twarzy.

- Czy coś się stało z ambasadorem?

- Mam na myśli twój rozwód.

- Ach tak. - Diana zmarszczyła brwi. - Bardzo ci dziękuję, że tak troszczysz się o mnie.

Tom odszedł, a Diana wzięła głęboki oddech, by uspokoić przyspieszone tętno i opanować gniew, który ją ogarnął.

Za osiem miesięcy Diana i Tom będą ubiegać się o stanowisko dyrektora Instytutu Kardiologii Szpitala Memorial. Oboje są bardzo poważnymi kandydatami - kardiochirurdzy o wielkich zdolnościach i osiągnięciach, znakomici organizatorzy, wykładowcy akademicy - i obojgu bardzo na tym stanowisku zależy. Wojna między nimi zaczęła się właściwie w chwili, kiedy się po raz pierwszy spotkali. Dla Diany, która nigdy

nie miała wrogów, była to nowa sytuacja. Nawet kiedy ktoś czasem wyrażał krytyczne opinie pod jej adresem, skrzętnie skrywała swoje uczucia pod maską uprzejmości. Ale niechęć, jaką czuła w stosunku do Toma Chandlera, była w pełni odwzajemniona i tak widoczna, że nie miało sensu udawać, że nie istnieje.

Tom, bezsprzecznie wyjątkowo przystojny, oczekiwał, że kiedy tylko pojawi się w Szpitalu Memorial natychmiast wszyscy padną mu do nóg. Diana była właściwie gotowa uznać wyższość nowego kardiochirurga, ale inni chirurdzy stawiali ich na równym poziomie.

- To typowy kardiochirurg! - wykrzyknęła kiedyś Diana w rozmowie z Chase'em. 78

- Chcesz przez to powiedzieć, że jest seksowny, inteligentny i ma szafirowe oczy? - spytał Chase, patrząc z uśmiechem na swoją żonę.

- Nie. Chcę powiedzieć, że jest aroganckim egoistą.

Tom Chandler istotnie odznaczał się niezwykłym egoizmem, ale nikt nie mógł zaprzeczyć, że był świetnym kardiochirurgiem. Tom i Diana nigdy nie operowali razem - każde z nich miało swój własny zespół ale znali nawzajem efekty swojej pracy. Diana stała się sławna, kiedy skonstruowała sztuczne serce, ale jeszcze na długo przedtem była uznanym w kraju i na świecie kardiochirurgiem dziecięcym. Tomowi sławę przyniosły jego badania w dziedzinie transplantologii, ale podobnie jak Diana od dawna cieszył się dużym uznaniem w środowisku lekarskim jako kardiochirurg dziecięcy.

Oboje mieli talent, oboje bez reszty poświęcali się swojej pracy, oboje specjalizowali się w kardiochirurgii dziecięcej. Powinni darzyć się wzajemnym szacunkiem i sympatią, ale zamiast tego brali udział w wyczerpującej wojnie nerwów.

Tom miał tej nocy dyżur na oddziale dziecięcym. Podobnie jak Diana kończył właśnie wieczorny obchód, sprawdzając stan swoich ostatnio zoperowanych pacjentów. Nie miał żadnego powodu, by zaczynać rozmowę z Dianą - żadnego poza chęcią sprawdzenia, jak też ona sobie radzi z faktem, że wiele milionów ludzi usłyszało właśnie w telewizji, iż jej mąż ma jej dosyć. Diana wiedziała, że to test, że Tom chciał zobaczyć,

czy nie trzęsą się jej czasem ręce, czy nie drży jej głos, czy w jej oczach nie lśnią łzy. Ton głosu Toma sugerował, że sytuacja jest jeszcze poważniejsza, niż może się wydawać na pierwszy rzut oka, ale że ta wiadomość może zadecydować o niej, jako o kandydatce na stanowisko dyrektora instytutu. Czyżby jej małżeństwo z bardzo bogatym i wpływowym Chase'em było równie istotne jak jej wiedza i osiągnięcia?

Czyżby Tom naprawdę sądził, że zarząd weźmie pod uwagę jej rozwód? Najwyraźniej tak. I może ma rację. Zarząd Szpitala Memorial jest bardzo konserwatywny, bardzo dba o opinię.

Diana westchnęła, skończyła notatki i spojrzała na zegarek, żeby wpisać godzinę do karty. Siódma wieczorem. Wszyscy jej pacjenci mają się dobrze, ich stan jest mniej lub bardziej stabilny, a ona zostawia ich pod doskonałą opieką lekarzy dyżurnych.

Czas wracać do domu.

Zrobiła już wszystko, co sobie zaplanowała.

79

Jeffrey był w swoim biurze. Właśnie zakończyły się wiadomości wieczorne i przygotowywał się do wyjścia, kiedy w drzwiach stanęła Diana. Nie uprzedzono go o jej wizycie. Ochroniarze rozpoznali ją, a ona powiedziała, że jest jej potrzebny model serca, który pożyczyła panu Lawrence'owi. Gdyby ochroniarz zadzwonił, Jeffrey naturalnie kazałby ją wpuścić, a potem wyszedłby na korytarz, aby powitać ją przy windzie. Ale ochroniarze w żadnym wypadku nie mają sami o tym decydować. Nie brak różnych świrów, którzy próbują dostać się na teren studia kilka razy dziennie. W ubiegłym roku w stacji D.C. zastrzelono dziennikarza na wizji.

A jeśli doktor Sheperd ma przy sobie broń? Lodowato zimne niebieskie oczy, które patrzyły teraz na Jeffreya, mówiły wyraźnie, że chciałyby go widzieć martwego. Oczywiście pani doktor nie potrzebowałaby rewolweru, aby go zabić. Ma zapewne na podorędziu cały arsenał środków medycznych. Może w kieszeni tej stylowej jedwabnej sukienki chowa strzykawkę ze śmiercionośną substancją? Czy Diany lśniły furią. W

ciągu kilku sekund od jej pojawienia się w biurze Jeffrey dostrzegł coś jeszcze: na jej dłoni nie było już pierścionka i obrączki, zniknęły wspaniałe brylanty. Czyżby sławna pani chirurg tak szybko usunęła Chase'a Andrewsa ze swego serca?

- Dzień dobry, pani doktor.

- Jest pan prawdziwym draniem.

- Dziękuję. Czym sobie na to zasłużyłem?

Lepiej było nie udawać. Jeffrey wiedział, dlaczego Diana jest zła. On też był zły z tego powodu. Zdenerwował go jednak fakt, że Diana od razu uznała, że to on poinformował innych o jej rozwodzie.

- Gdybym to ja kiedykolwiek ujawniła jakiś szczegół dotyczący mojego pacjenta, zostałabym pozwana do sądu i może nawet pozbawiono by mnie prawa do wykonywania zawodu. Ale wam przyda się każda informacja, która zwiększy oglądalność. Zobaczmy, czy uda się nam wyprowadzić ją z równowagi na oczach milionów widzów! Zobaczmy, czy Królowa Serc sama ma serce! Nie zasłużyłam na to, ty cholerny draniu!

- Nie chciałem tego...

- Doprawdy? Więc czemu to zrobiłeś?

- Nie zrobiłem.

- Nie wierzę ci. Ten człowiek był dziennikarzem z twojej stacji.

- Z lokalnego oddziału, nie z tego studia.

- Jak to się dobrze składa! Dość daleko od ciebie, żebyś mógł udawać czystego, ale i dość blisko, żeby zdobyć jeszcze kilka tysięcy widzów. 80

- Twoje wczorajsze ataki na media były nie pozbawione pewnego wdzięku. Ale teraz poddajesz w wątpliwość moją uczciwość, czego nie mam zamiaru tolerować.

- Tolerować! A więc twoja uczciwość nie podlega dyskusji?

- Tak jak twoja etyka. Gwoli ścisłości, papiery rozwodowe znalazły się w sądzie z samego rana. Dziennikarze sądowi z lokalnej stacji odkryli je około dziesiątej.

- I chcesz mi powiedzieć, że nikt ich na to nie naprowadził?

- Ja na pewno nie.

- Więc może ktoś, kogo znasz?

Jeffrey dał Dianie słowo, że nikomu nie powie o jej rozwodzie. A teraz ona oskarża go o rozpowszechnienie tej informacji. Jak to możliwe?

- Nie jestem odpowiedzialny za pani rozwód. Nie jestem także odpowiedzialny za to, że informacja o rozwodzie dostała się do mediów. Jeśli ktoś rzeczywiście naprowadził dziennikarzy na tę informację, mógł to być pani mąż albo ktoś z jego znajomych.

Znaczenie słów "ktoś z jego znajomych" było oczywiste. Jeffrey miał na myśli jego kochankę.

Diana patrzyła na niego oczyma błyszczącymi gniewem. A może to łzy lśniły w jej spojrzeniu, co świadczyłyby o tym, że i lód może jednak stopnieć? Jeffrey już otwierał usta, żeby przeprosić, powiedzieć, że nie powinien się w to wtrącać.

- Powtarzam, panie Lawrence - wyszczała Diana cicho - że jest pan draniem.

Z tymi słowami opuściła biuro. Pudło zawierające model serca zostało na biurku Jeffreya. Cóż, odeśle je przez posłańca. Z wiadomością? Z tuzinem czerwonych róż i słowem "przepraszam"? Dzisiaj Diana była zimna jak sople lodu, ale Jeffrey pamiętał, jak wyglądała wczoraj. Została tak głęboko zraniona, a teraz jej rana będzie wystawiona na widok publiczny, powody rozpadu jej małżeństwa staną się tematem plotek i spekulacji. Czy miała kochanków? A może jest oziębła?

Diana została zraniona. Zaatakowała Jeffreya z rozpaczy. Dobrze to rozumiał. Może pewnego dnia Diana zda sobie sprawę z tego, jak niesprawiedliwe i obraźliwe były jej uwagi pod jego adresem.

Jeffrey postanowił, że zwróci jej model serca bez słowa. Nie był z siebie zadowolony - dał się wyprowadzić z równowagi i zachował się wobec Diany okrutnie - ale jego zawodowa uczciwość była dla niego równie ważna jak dla Diany etyka lekarska.

A więc są do siebie aż tak podobni?

Nie! On i Diana nie mają ze sobą wiele wspólnego.

8ą 6 - Melodie miłości

Zresztą, czy to nie wszystko jedno. Najprawdopodobniej nigdy już nie spotka Diany Sheperd. Wiedział, że nie będzie jej na sobotnim przyjęciu w Somerset. Pewnie Chase także się tam nie pojawi. A w przyszłości ze względu na swoją współpracę z Paige, właśnie Chase, a nie Diana, będzie zapraszany do Spencerów.

& Z amek mi się zaciął. Mógłbyś go zapiąć?

- Prosisz, żebym cię ubrał? - Jeffrey stanął za żoną i pocałował jej nagie ramię. - Rozebrałbym cię chętnie w ciągu sekundy, Julie, ale pomagać w ukryciu tego pięknego ciała... no nie wiem.

Julia odwróciła się do niego i z uśmiechem pocałowała go w usta, szczęśliwa i radosna, bo mieli za sobą taki cudowny dzień. Jeffrey był wraz z nią na pierwszej lekcji jazdy konnej małej Merry. Patrzył na nią, naprawdę patrzył, dodawał otuchy uśmiechem jej i Amandzie i nie wydawał się ani trochę znudzony czy rozdrażniony.

- Dziękuję ci za ten poranek, Jeffrey - wyszeptała Julia czule między pocałunkami. - To tak wiele znaczyło dla Merry.

Julia nie zauważyła zmarszczki między brwiami Jeffreya, który właśnie oddawał jej pocałunek. Poszedł dziś rano na lekcję, bo to ona sobie tego życzyła. Jeffrey nie mógł zrozumieć, dlaczego jego obecność miałaby mieć jakiegokolwiek znaczenie dla tej małej złotowłosej dziewczynki, której nawet nie zna. Merry była w stosunku do niego nieśmiała i na dystans, jak zawsze.

- Cieszę się, kochanie. A więc mam cię rozebrać?

- Nie teraz. Za dziesięć minut mamy być u Paige i Edmunda.

- A później? Jeśli teraz pomogę ci zapiąć zamek, czy będę mógł go rozpiąć, jak tylko wrócimy do domu?

- Och, tak.

- Witajcie. - Paige z uśmiechem powitała ich kilka minut później. Spojrzała na Merry, która miała tę noc spędzić w Somerset, gdyż przyjęcie mogło się przeciągnąć. -

Jak czuje się mój najważniejszy gość?

- Świetnie, ciociu.

- Ciągle jeszcze przeżywasz tę swoją pierwszą jazdę na koniu?

Merry w odpowiedzi tylko energicznie pokiwała jasną główką. 82

- Tak jak Amanda. Znajdziesz ją w bawialni.

- Pa, mamó - powiedziała Merry i zanim pobiegła do przyjaciółki, dodała szeptem, odważnie spoglądając na Jeffreya:

- Pa, tato.

- Chyba już wiem, gdzie nasze dzieci spędzą lato - powiedziała Paige. - Będą pomagały stajennym w takich fascynujących zajęciach jak przerzucanie siana, rozsypywanie owsa i sprzątanie stajni.

- Patrick pewnie nie zechce, żeby kręciły się tam przez cały czas.

Och, Julio, pomyślała Paige, patrząc na przyjaciółkę ze zdumieniem. Czy ona naprawdę nie zdaje sobie sprawy, że to, czego Patrick chce, nie ma najmniejszego znaczenia? Patrick to tylko służący. Płacą mu, i to pewnie niezbyt wiele, za zaspokajanie kaprysów jego pracodawców - bogatych właścielek wielkich posiadłości. Wszelkich kaprysów. Dziś znowu uderzyła ją uwodzicielska, dziwnie niepokojąca zmysłowość Patricka Jamesa. Ciekawe, jakie też zachcianki musi spełniać ten mężczyzna, jakie spełnia rozkazy.

Julia była jedną z najbogatszych właścielek jednej z największych posiadłości w Southampton... ale nigdy nie przyszłoby jej do głowy nikomu rozkazywać.

- Myślę, że Patrick nie będzie miał nic przeciw temu, Julio, ale jeśli chcesz, zapytam go o to. Chodźmy na taras. Casey i Edmund już tam siedzą.

W drodze na taras Julia przypomniała sobie o osiemnastowiecznym belgijskim gobelinie, który Paige i Edmund właśnie zakupili w domu aukcyjnym Sotheby. Paige i Julia skręciły do jadalni, by go obejrzeć, a Jeffrey sam powędrował na taras, by dołączyć do Edmunda i jego nowej, olśniewającej współpracownicy.

Casey English nie mogła się już doczekać chwili, kiedy w końcu pozna sławnego Jeffreya Lawrence'a. Wiedziała oczywiście, że Jeffrey jest żonaty. Choć informacje o życiu prywatnym najlepszego dziennikarza w kraju nie pojawiały się na łamach poczytnych ilustrowanych magazynów, Casey, jak zresztą niemal cała Ameryka, zauważyła ślubną obrączkę na jego palcu. Paige wspomniała Casey, że Jeffrey jest bardzo zakochany, ale później rozmowa zeszła na inne tematy i Paige nie miała już okazji opowiedzieć jej o Julii.

Zresztą Casey nie interesowała żona Jeffreya. To Jeffrey ją interesował, jak wszyscy silni, przystojni mężczyźni. Casey nie miała nigdy romansu z żonatym mężczyzną - nie potrzebowała mężów innych kobiet ale uwielbiała niebezpieczną grę polegającą na prowokacji, niewinnym uwodzeniu, na ściąganiu na siebie ich rozmarzonych spojrzeń. Nie mogła

Śl się już doczekać, kiedy błękitne oczy przystojnego, seksownego dziennikarza spojrzą na nią z zachwytem i pożądaniem.

- Jesteś, Jeffrey! Poznaj, proszę, Casey English. Casey, to jest Jeffrey Lawrence.

- Witaj, Edmundzie. Miło cię poznać, Casey.

Naprawdę jest piękna niczym modelka. Oczy błękitne jak niezapominajki, olśniewający uśmiech, smukła, zgrabna figura, gęste, złote włosy. Tego wieczora jej włosy wyglądały pewnie jeszcze piękniej niż zazwyczaj, bo zachodzące słońce nadało im ciepły, czerwony odcień.

- Oglądam cię każdego wieczora - powiedziała Casey, a jej błękitne oczy bezwstydnie potwierdziły, że to jego ogląda, a nie wiadomości. Jej spojrzenie mówiło: Wiem, że jesteś żonaty, Jeffrey. Szkoda. Moglibyśmy się razem świetnie zabawić, nie sądzisz? □

- Jestem pewny, że równie interesujące jest obserwowanie ciebie w sądzie - odparł Jeffrey uprzejmie, zdumiony jej urodą, jej pewnością siebie i tym, że wcale go nie zainteresowała.

Jeffrey był przyzwyczajony do zachęcających uśmiechów pięknych kobiet, choć prawdę mówiąc niewiele z nich dorównywało urodą Casey English. Jego serce jednak nie zabiło mocniej, nie zadrżało ze wzruszenia. Zdarzało mu się to tylko przy jednej kobiecie, najpiękniejszej ze wszystkich, wcale nie tak pewnej siebie... Ta kobieta właśnie pojawiła się na tarasie, a jej fiołkowe oczy szybko go odnalazły.

Jeffrey uśmiechnął się do niej z miłością.

- Casey - powiedział - chciałbym, żebyś poznała moją żonę.

- Julia - wyszeptwała Casey. Chmura przysłoniła słońce, piękna twarz pobladła, błękitne oczy pociemniały, zniknęła promienna pewność siebie. Ale trwało to zaledwie ułamek sekundy. Casey szybko się opanowała i nieco sztucznym głosem, bo w uszach słyszała tylko dudnienie własnego serca, dodała:

- Julia Phillips.

- Casey. Miło znowu cię widzieć. Nie miałam pojęcia, że to ciebie tu spotkam.

Czy Paige wspomniała imię Casey? Jeśli tak, to Julia była zbyt zaabsorbowana lekcjami jazdy konnej, by zwrócić na to uwagę.

- A więc wy już się znacie - stwierdził zaskoczony Edmund.

- Byłyśmy razem w szkole średniej. Ile to już lat? - rzuciła Casey niedbale - chyba dziesięć.

- Co za fantastyczny zbieg okoliczności - powiedziała Paige. - Edmundzie, nalej drinki, a ja zajmę się przystawkami. Potem zawrzemy nowe znajomości i odświeżymy stare. 84

- Pozwól, że ci pomogę, Paige.

- Nie, Julio, zostań i porozmawiaj z Casey. Pewnie macie sobie wiele do powiedzenia.

- Nigdy nie byłyśmy ze sobą zbyt blisko - powiedziała Julia cicho, w nadziei, że to zakończy dyskusję.

Zauważyła, że oczy Jeffreya pociemniały. Taki wyraz twarzy widziała u męża tylko

dwa razy w życiu - kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży, i cztery miesiące później, kiedy po raz pierwszy zobaczył ich małą córeczkę. Ten cień w jego spojrzeniu przeraził ją, uświadamiając jej znowu, jak bardzo Jeffrey nie chciał Merry. Czy to, że ona i Casey chodziły razem do szkoły przypomniało mu o czasach, kiedy ich namiętność poczęła dziecko, którego nie chciał i nadal nie chce?

Nie, Julia szybko uspokoiła się, wspominając poranek wspólnie spędzony przy stajniach. Dziś, stopniowo, zaczęła realizować swoje marzenia. Będą rodziną... nareszcie.

- Nie przyjaźniłyśmy się - potwierdziła Casey spokojnie. Potrzebowała czasu, by zebrać myśli, zanim rozpocznie rozmowę o starych czasach. Przez całe lata wspomnienie Julii budziło w niej niechciane emocje. A teraz, kiedy nagle ją zobaczyła...

- Miło cię widzieć, Casey - powtórzyła Julia - Świetnie sobie radzisz - dodała, chcąc skierować rozmowę na chwilę obecną.

Ty też, Julio. Wysłaś za wspaniałego Jeffrey'a Lawrence'a, który spogląda na ciebie z miłością i zachwytem.

Kiedy patrzył na nią, na Casey, w jego oczach nie było pożądania, ani nawet błysku zainteresowania, ale kiedy się odwrócił, by powitać Julię, ocean miłości w jego błękitnym spojrzeniu sprawił, że Casey zadrżała. Ogarnęła ją fala bolesnych wspomnień... Ty zawsze potrafisz sobie lepiej poradzić, Julio...

Podczas gdy Edmund przygotowywał drinki, Casey zachwycała się odosobnieniem SeaCliff, wspaniałym widokiem, architekturą domku i świeżo położonymi tapetami projektu Laury Ashley.

Grała na zwłokę, rozmawiała w sposób całkiem automatyczny, bo jej umysł był zajęty zupełnie innymi myślami. Chcąc się uspokoić, co jakiś czas podnosiła do ust szklankę z burbonem i spoglądała na Julię w nadziei, że okaże się ona tylko przywidzeniem, które nagle zniknie, tak jak kiedyś.

Julia uśmiechała się nieśmiało, zmieszana, rozmyślając gorączkowo nad tym, jak uniknąć rozmów o przeszłości, próbując przekonać samą siebie, że będzie to możliwe.

Przecież prawie się nie znały z Casey. Julia miała nadzieję, że rozmowa nie zejdzie na dawne czasy. Ale dlaczego Jeffrey jest taki zły?

85

Jeffrey przypomniał sobie, jak Edmund, opowiadał mu o osiągnięciach Casey, o tym, że uczyła się w Carlton, w elitarnej szkole średniej o bardzo wysokim poziomie. Pamiętał też, jak przed wielu laty, kiedy miał ożenić się z Julią, powiedziała mu, że ukończenie szkoły nie ma dla niej żadnego znaczenia, jakby chodziła do zwykłej, przeciętnej szkoły, jakich wiele.

A teraz okazuje się, że Julia była w Carlton razem z Casey.

Podczas gdy Julia siedziała nieruchomo, milcząc jak zakłęta, a Jeffrey czekał na ujawnienie kolejnych rewelacji z życia własnej żony, Casey piła burbona, próbując zapanować nad rozdrażnieniem, jakie ogarniało ją, ilekroć spojrzała na Julię.

Julia... jej Nemezis, jej główna rywalka, jej największy wróg w cichej wojnie, której istnienia Julia nawet nie podejrzewała. Julia... która przypominała jej to, o czym Casey chciała na zawsze zapomnieć.

Do diabła z nią! Do diabła z tą Julią!

Katherine Carole była pierwszym dzieckiem Kirka Carrolle'a Englisha. Oczekiwał syna i bardzo się rozczarował, kiedy lekarze oznajmili, że ze względu na wyjątkowo ciężki poród jej matka nie będzie mogła mieć więcej dzieci.

Do Katherine Carole nigdy nie mówiono ~~Kathy~~~~Kitten~~~~Lani~~ ~~Katie~~ Przez pewien krótki czas nazywała się ~~K~~C. Junior~~ale~~ ponieważ to wymyślone imię było boleśnie dwuznaczne, w końcu stała się Casey.

Kirk Carrolle English we wszystkim dążył do perfekcji. Wartość człowieka mierzył jego osiągnięciami. Najważniejsze było zwycięstwo, drugi na mecie nie był jego zdaniem wiele lepszy od ostatniego. Sukcesów nigdy nie nagradzał, za to porażka zawsze zasługiwała na potępienie. Jako dziecko Casey robiła wszystko, by zadowolić swego wymagającego ojca. Nigdy jednak nie udało jej się zadowolić go w pełni, mimo swych

osiągnąć, bo przecież była tylko córką, nie synem, którego tak pragnął.

Casey została hojnie obdarowana przez los - była inteligentna, piękna i przyszła na świat w rodzinie od wielu pokoleń należącej do klasy uprzywilejowanej. W szkole miała same piątki, stosowała dietę, uprawiała ćwiczenia fizyczne. Uważnie przyglądała się swojej pięknej twarzy w lustrze, ćwicząc uwodzicielskie miny tak długo, aż nauczyła się w sposób odruchowy zwalczać wszelkie przejawy nieśmiałości, zakłopotania czy lęku.

Casey nie ustawała w wysiłkach i jej ciężka praca zaczęła przynosić w końcu wspaniałe efekty. Czasami jakiś głos wewnętrzny próbował jej 86 wyperswadować, żeby choć trochę odpoczęła. Przecież to niczego nie zmieni. I tak będzie najlepsza.

Ale Casey nigdy nie pozwoliła sobie na odpoczynek, a kiedy Julia Phillips, jak niespodziewany, nieproszony gość, pojawiła się w Carlton, Casey zrozumiała, że to, co do tej pory robiła, nie było żadną pracą. ☐ jej dotychczasowe osiągnięcia to tylko małe, łatwe szkolne sukcesy.

Łatwo być pełnym wdzięku zwycięzcą, kiedy się zawsze i wszędzie zwycięża.

Julia była w Carlton stypendystką, wybitnie uzdolnioną dziewczyną, odkrytą w jakiejś państwowej szkole w Berkeley. Dopóki Julia nie pojawiła się w Carlton, Casey uchodziła za najzdolniejszą w swojej klasie. W dodatku była najmłodsza. Ale Julia okazała się jeszcze zdolniejsza. I o cały rok młodsza od Casey.

Kiedy w szkole pojawiła się Julia, Casey zdała sobie sprawę z tego, że sukcesy we wszystkim, co robi, są jej równie niezbędne do życia jak powietrze, którym oddycha. Jeśli poniesie choć jedną klęskę, z pewnością tego nie przeżyje. Skona w mękach, z otwartymi ustami, jak wyjęta z wody ryba.

Casey musiała zwyciężać. Ale choć dawała z siebie wszystko, nie była już pierwsza na mecie.

Wyprzedzała ją Julia. Była zdolniejsza i mogła też być zapewne piękniejsza, gdyby nauczyła się wykorzystywać siłę swej upajającej zmysłowości. Ale ona na szczęście była tak nieśmiała, tak naiwna, tak nieświadoma własnej urody, że Casey zachowała swoją

pozycję najpiękniejszej dziewczyny w Carlton. Gdyby Julia wiedziała, jaka jest piękna, Casey musiałaby wziąć udział w gorzkim konkursie piękności - jej złocista, promienna uroda przeciw mrocznemu, oszalamiającemu urokowi Julii.

Casey zachowała swą pozycję najpiękniejszej dziewczyny w Carlton, ale utraciła inną, ważniejszą koronę, którą od tak dawna dumnie nosiła. Nie była już w Carlton najzdolniejsza. Każdy egzamin, każdy test, każdy esej Julia pisała lepiej. Niewiele lepiej, o punkt lub dwa, ale jednak. Na początku różnica była spora - Julia osiągała dużo lepsze wyniki i nauczyciele jej poświęcali teraz najwięcej uwagi, niemal zapominając o Casey, która jednak harowała jak wół, nie zważając na wyczerpanie, i stopniowo zmniejszała dystans. Zaczęła osiągać wyniki coraz bliższe Julii, ale jednak ciągle słabsze.

A Julia, wybitnie uzdolniona marzycielka nie z tego świata, która całą długą przerwę czytała romanse Jane Austen i Charlotte Brontë, zamiast udzielać się towarzysko i flirtować, nie wiedziała nawet, że bierze udział w wojnie. Była najlepsza, choć wcale się o to nie starała. A gdyby zaczęło jej na tym zależeć?

87

Casey prowadziła wojnę opartą na przebiegłych planach sabotażu, na szpiegostwie i obmyślanych starannie sposobach wysadzenia rywalki z siodła.

Może należałoby się postarać o chłopca dla cichej, naiwnej Julii? Może zakochana nie uczyłaby się tak dobrze?

Chłopcy w Carlton daliby wszystko za spotkanie z Casey. Piękna, śmiała, seksowna, była królową pszczół. Robiła wszystko, żeby któryś z nich nawiązał bliższe kontakty z Julią. I wielu próbowało, ale żadnemu z nich się to nie udało. Ona jest jak z innej planety, Case! tłumaczyli jej zdumieni i rozczarowani. Julia była przybyszem z innego świata, z innej planety albo innej epoki, epoki romansów i rycerskich ksiąząt.

W końcu Casey postanowiła sama zbliżyć się do Julii, nie po to, aby się z nią zaprzyjaźnić, ale żeby podstępnie dostać się do obozu wroga. Zaprosiła Julię po szkole do swojej rodzinnej posiadłości Presidio Heights w San Francisco i na przyjęcie

organizowane w weekend na plaży. Julia była zaskoczona i onieśmielona zaproszeniem, ale także wdzięczna Casey. Odmówiła jednak, mówiąc, że po szkole i w weekendy musi pracować.

- Chyba uczyć się? - sprostowała Casey.

- Nie - powtórzyła Julia spokojnie, patrząc na nią niewinnymi fiołkowymi oczami - pracować□

Casey nie uwierzyła. Julia nie może pracować! Na pewno spędza każdą wolną chwilę na nauce, nigdzie nie wychodzi, mało śpi i w ten sposób wygrywa kolejne bitwy.

Pewnego popołudnia Casey pojechała swoim bmw za samochodem, którym wynajęty przez szkołę szofer odwoził gwiazdę Carlton do Atherton. Jeśli przyłapie Julię na kłamstwie, to też będzie swego rodzaju sukces.

Ale Julia mówiła prawdę. Wsiadła z samochodu i weszła do małego, zniszczonego domku. Piętnaście minut później pojawiła się znowu, tym razem w uniformie w brązową kratkę, i poszła pieszo do położonego kilometr dalej baru szybkiej obsługi, gdzie pracowała, jak zaobserwowała Casey, trzy razy w tygodniu i co drugi weekend.

Nieznane dotychczas, brzydkie, przerażające uczucia ogarnęły Casey: nienawiść, zazdrość i frustracja. Okropne myśli przyszyły jej do głowy...

Casey nie była już najlepsza, choć dawała z siebie wszystko. Julia ją pokonała.

Czy jest jednak jakiś sposób, by znowu zwyciężyć? By pokonać Julię? A gdyby tak coś jej się stało? Gdyby miała jakiś poważny wypadek? Gdyby zapadła w śpiączkę albo nawet umarła? 88

Casey brzydziła się tymi myślami i nienawidziła samej siebie za to, że przychodziły jej do głowy. Z tego powodu jeszcze bardziej nienawidziła Julii.

I nagle Casey zwyciężyła walkowerem. W ostatniej klasie, na wiosnę, Julia po prostu zniknęła ze szkoły. Najpierw przestała przychodzić na zajęcia w poniedziałki i piątki. Potem, w maju, zniknęła na dobre i już nie wróciła. Wychowawca powiedział klasie, że Julia odeszła ze szkoły □powodów osobistych□Najpierw zdała egzaminy ustne, aby

zadośćuczynić wymogom szkoły. Ukończyła więc szkołę, ale z zajęć, na które uczęszczała w ostatnim semestrze, nie otrzymała stopni tylko zaliczenia.

A to oznaczało, że Casey ukończyła szkołę z lepszym wynikiem. To ona w imieniu wszystkich ostatnich klas żegnała szkołę i nauczycieli. Ona wygłosiła mowę do swoich kolegów i koleżanek, do najzdolniejszej młodzieży Ameryki, śmiało kreśląc przed nimi wizję czekającej ich wszystkich świetlanej przyszłości.

Casey wygrała, ale było to gorzkie zwycięstwo, okupione okropną prawdą na temat własnej natury. Casey wiedziała już, że nie potrafi przegrywać.

Tego lata, zanim rozpoczęła studia na pierwszym roku w Berkeley, spędziła wiele czasu, próbując nabrać dystansu do swoich osiągnięć i przygotować się do nowych wyzwań. Już nigdy nie pozwoli, by zżerała ją taka zazdrość, już nigdy nie uwikła się w tak niezdrową rywalizację. Tłumaczyła sobie, że na studiach będą inne Julie. Należy spojrzeć prawdzie w oczy: nie zawsze jest najlepsza. Nie zawsze może wygrywać, choćby nie wiadomo jak się starała.

Casey postanowiła, że w przyszłości zaakceptuje porażki, nauczy się przegrywać z takim samym wdziękiem, z jakim zawsze zwyciężała. Ale skończyło się na postanowieniach.

W ciągu następnych dziesięciu lat w jej życiu nie pojawiła się żadna inna Julia, nikt, kto zagroziłby jej pozycji. Ukończyła Berkeley jako najlepsza studentka na swoim roku, a potem skończyła studia prawnicze z pierwszą lokatą. Pracując w Biurze Prokuratora Okręgowego w San Francisco wygrała wiele spraw.

W czasie tych dziesięciu lat sukcesy znowu przychodziły jej łatwo. Julia stała się niepokojącym wspomnieniem z przeszłości, duchem, symbolem ciemnej strony serca promiennej, złotowłosej Casey, skazą na jej doskonałości.

Julia zniknęła, ale nie została wykreślona z jej pamięci.

Co się z nią stało? Gdzie teraz jest? Co robi? Może pisze książki? Wśród rozlicznych talentów Julii największe wydawały się zdolności

89 pisarskie. Niech nawet zostanie pisarką, ale żeby tylko nie studiowała prawa!

Casey mogła sobie wyobrazić Julię robiącą obie te rzeczy naraz. A jeśli Julia jest na Harvardzie? Jeśli jednak studiuje prawo? Casey gorączkowo szukała nazwiska Julii najpierw na listach studentów, a potem wśród pracowników naukowych i praktykujących prawników, ale go nie znalazła. Ulżyło jej, ale nie do końca.

Bo przecież Julia gdzieś jednak jest. A jeśli spotkają się pewnego dnia, na sali sądowej, po przeciwnej strony barykady? Kto wtedy wygra?

Casey wiedziała, że wygra Julia.

Tak więc teraz, na tym pachnącym różami tarasie, w ciepły czerwcowy wieczór, Casey stała twarzą w twarz z Julią, swoim dawnym wrogiem. W pierwszej chwili zawładnęły nią dawne uczucia, ale zaraz do głosu doszedł rozum. Liczą się fakty, nie fantazje. Julia nie została prawnikiem i niczym nie może jej już zagrozić.

Pod wpływem nagłego impulsu, spowodowanego może nieco zbyt dużą ilością wypitego burbona i chwilowym zwycięstwem emocji nad rozsądkiem, Casey postanowiła raz na zawsze z tym wszystkim skończyć. Tak, dokona egzorcyzmów i wygoni ze swojej duszy mroczne demony na jasne czerwcowe słońce zalewające taras ciepłym światłem.

- Jest coś, co muszę przyznać Julii - powiedziała odważnie. Spojrzała na zakłopotaną Julię, a potem na zaintrygowanego Edmunda. - Edmundzie, tak mieszasz drinki, że skłania mnie to do zwierzeń - powiedziała żartobliwie.

- Prosiłaś o czystego burbona, więc nic nie mieszałem - odparł Edmund.

- Tak, rzeczywiście. - Uśmiechnęła się Casey. - Cóż, chyba lepiej będzie, jeśli odtąd zostanę przy dietetycznej coli.

- A więc co chciałaś powiedzieć nam o Julii? - zapytał Jeffrey obojętnym głosem. Tak w każdym razie wydawało się wszystkim z wyjątkiem Julii. Czekaając na odpowiedź Casey, nalał sobie kolejną dużą szklankę whisky.

- Casey...

- Julio, to nie dotyczy ciebie samej, a na pewno to nic złego. Przecież wiesz, że

niczego takiego nie mogłabym powiedzieć. Chodzi o mnie. - Casey spojrzała w fioletowe oczy Julii. - Otóż w szkole bardzo cię nie lubiłam.

- Nie lubiłaś mnie? Ale przecież zawsze byłaś dla mnie taka miła? 90

Miła? Czy Julia naprawdę nie wyczuwała w tym fałszu?

- Nie lubiłam cię, ale wynikało to tylko z takiej głupiej szkolnej rywalizacji, dlatego, że byłaś taka piekielnie zdolna.

Historia, którą opowiadała Casey, była w istocie wychwalaniem jej talentów. Casey przyznawała z wdziękiem, całkiem szczerze, że Julia była najlepsza.

Śluchacze nie domyślali się nawet, jaka głębia uczuć się w tym kryła.

Casey zdawała sobie sprawę, że była to wersja skrócona i poprawiona. Ale przecież czas i perspektywa zmieniają spojrzenie na przeszłość. Może to naprawdę była tylko dziecinna rywalizacja, coś, z czego się wyrasta, z czego się później żartuje i o czym się w końcu zapomina? Może nawet polubi teraz Julię? Może zostaną przyjaciółkami?

Czy to nie byłoby wspaniałe zwycięstwo?

Edmund i Paige słuchali, ani trochę nie zaskoczeni wiadomościami na temat ich nieśmiałej, skromnej i wybitnej przyjaciółki. Casey powiedziała im, jak świetne wyniki osiągnęła Julia w testach sprawdzających zdolności kandydatów na studia wyższe - prawdopodobnie były najlepsze w całych Stanach i jak później Julia otrzymała propozycje pełnych stypendiów z najlepszych uczelni w kraju - z Harvardu, Stanford, Yale i wiele było uczelni, która by jej nie chciała. Jeffrey nalał sobie trzeciego drinka, wstał, podszedł do balustrady tarasu i zapatrzył się w morze.

- Wszyscy sądzili, że zostaniesz pisarką, Julio. Piszesz? - spytała Casey, skończywszy swoją opowieść.

Julia w pierwszej chwili nie zareagowała. Oderwała wzrok od pleców Jeffreya.

- Słucham? Och, nie - powiedziała z roztargnieniem.

- Ależ tak! - Poprawiła ją Paige z uśmiechem. - Julia od lat oczarowuje dzieci z Southampton najpiękniejszymi historiami, jakie słyszałam. Na szczęście spisuje je.

- Dla Merry i Amandy i innych dzieci.

- Tak, ale te historie powinny zostać opublikowane drukiem. Julia potrzebuje tylko dobrego ilustratora do swych książek.

Jeffrey i Julia podczas kolacji na pozór zachowywali dobry humor, ale Julia wiedziała, że Jeffrey z jakichś powodów gniewa się na nią. On zaś miał wrażenie, że w jego serce wbito nóż.

- Jak długo zostaniesz w SeaCliff, Casey? - spytała Julia uprzejmie.

- Aż do Świąta Pracy, czyli do pierwszego poniedziałku września. Jednak ostatni tydzień sierpnia spędzę w mieście. Będę musiała zdać

9ą egzaminy i wprowadzić się do nowego mieszkania, ale wrócę na weekend, na przyjęcie w klubie.

- Na przyjęcie, które - wyjaśniła Paige z uśmiechem - zostanie wydane na cześć Casey.

- To bardzo miłe z waszej strony. - Casey wiedziała dobrze, że wielka gala zaplanowana przez Spencerów przede wszystkim ma na celu zaprezentowanie nowego pracownika prestiżowej firmy Edmunda najbardziej wpływowym ludziom Manhattanu i Southampton.

- Kiedy poznasz wyniki egzaminów?

- Na początku października.

- Ale pracę rozpocznie już we wrześniu - Edmund głośno powiedział to, co wszyscy już wiedzieli: Casey bez trudu zda egzamin z prawa stanowego. - Ponadto Casey ma zamiar wziąć udział w sprawie Elliott Barnes kontra stan Nowy Jork.

- Naprawdę? - po raz pierwszy tego wieczora Jeffrey okazał szczerze zainteresowanie.

Sprawa ta już trafiła na pierwsze strony gazet. Zanosilo się na trudny i bardzo kontrowersyjny proces. Elliott Barnes był znanym prokuratorem i wygrał już kilka spraw prowadzonych przeciw jednemu z najbardziej wpływowych nowojorskich polityków, oskarżonemu o przekupstwo i defraudację. Przez krótki czas był lokalnym bohaterem,

później jednak karta się odwróciła i Barnes sam musiał stawić czoło oskarżeniom o niepłacenie podatków i oszustwo. Wszyscy spodziewali się, że oskarżenia zostaną oddalone, jednak ku ogólnemu zaskoczeniu prokurator okręgowy wszczął sprawę przeciw Barnesowi.

Firma Spencer i Quinn, pewna uczciwości Barnesesa, podjęła się jego obrony. A Casey English powierzono zbieranie materiałów dowodowych, które miały dowieść niewinności oskarżonego w sprawie, o której już było w Nowym Jorku bardzo głośno.

- Tak - odpowiedział Edmund Jeffreyowi. - To poważna sprawa.

- Na pewno - mruknął Jeffrey i spojrzał na Casey. - Przez trzy lata pracowałaś w Biurze Prokuratora Okręgowego w San Francisco, a tu w twojej pierwszej sprawie masz wystąpić przeciw prokuratorowi okręgowemu z Manhattanu.

- Mogę siedzieć po przeciwnej stronie sali sądowej. - Casey uśmiechnęła się pewnym siebie, olśniewającym uśmiechem. - Ale tak naprawdę będę po tej samej stronie co zawsze - po stronie, która zwycięża, po stronie prawa. 92

- Ile masz jeszcze przede mną tajemnic, Julio?

Siedzieli w swojej romantycznej sypialni w Belvédère, ale wszystko było jakoś inaczej. Jeffrey nie sięgnął do zamka jej sukienki, kiedy tylko weszli do sypialni, tak jak obiecywał.

Wszystko się zmieniło. Nawet jego głos był jakiś niepokojący.

- Tajemnic?

- Kłamstw.

- Jeffrey, nie rozumiem.

- Doprawdy? To dziwne, biorąc pod uwagę twoją wybitną inteligencję.

- Powiedz, o co ci chodzi.

- Otrzymałaś stypendium do jednej z najlepszych szkół średnich w tym kraju - a może i na świecie - a jednak twierdziłaś, że ukończenie szkoły i studia nie mają dla ciebie żadnego znaczenia.

- Nie kłamałam! To naprawdę nie miało dla mnie znaczenia! Poszłam do Carlton tylko dlatego, że dali mi stypendium.

- Byłaś najlepsza w klasie.

- Staralam się. Byłam im to winna, ponieważ bardzo dobrze mnie traktowali.

- Jak ukończyłaś szkołę? Korespondencyjnie? Przesłali ci świadectwo pocztą, a ty schowałaś je przede mną?

- Daj spokój. Oczywiście, że nie! Tydzień przed naszym ślubem zdałam egzaminy ustne. Świadectwo prawdopodobnie zostało wysłane do mojej ciotki. Nigdy go nie widziałam.

- Nigdy mi nie powiedziałaś, że ukończyłaś szkołę.

- Mówiłam już, że to nie miało dla mnie żadnego znaczenia! Ale dla ciebie miało, prawda? Chciałbyś, żebym była taka jak Casey albo Paige?

- Nie. Nie! Chciałbym tylko, żebyś powiedziała mi prawdę.

- To jest właśnie prawda. Dlaczego mi nie wierzysz?

- Z powodu tych wszystkich kłamstw, w których żyliśmy. I nadal żyjemy.

- O jakich kłamstwach mówisz?

- O twoich kłamstwach, Julio!

Julia patrzyła na niego fiołkowymi, zdumionymi oczyma, drżąca i przerażona jego gniewem. Potrafiła patrzeć tak niewinnie, jednocześnie kłamiąc jak z nut. Czekaając na jej odpowiedź, poczuł nagle przerażające pragnienie, by ją zranić tak dotkliwie, jak ona zraniła jego. Był jak ranne zwierzę, drapieżne i oszalałe z bólu, które może zaatakować nawet tych, których kocha.

91

- Gdzie idziesz? - wyszeptwała Julia zmartwiałymi wargami, widząc, jak Jeffrey chwytła swoje dzinsy i wyciąga z szafki adidas.

- Nie mogę być teraz z tobą.

Jeffrey przebrał się pospiesznie w wyłożonej dębową boazerią bibliotecę. Potem

wyszedł i zaczął biec przed siebie, bez celu. Przebiegł ponad kilometr gęstym, ciemnym lasem, zanim zdał sobie sprawę, że zmierza w stronę urwiska nad oceanem, do miejsca, gdzie jako mały chłopiec szukał odpowiedzi na swoje pytania i gdzie trzy lata temu znalazł odpowiedź... kiedy postanowił wrócić na stałe do domu, do Julii, bo to było ważniejsze niż wszystkie jego marzenia razem wzięte.

Świecił księżyc, wskazując mu drogę, ten sam księżyc, w którego blasku kochali się zaledwie cztery dni temu, ale nie było już pełni, a drzewa rzucały głębokie, upiorne cienie na leśną ścieżkę.

Tak głębokie jak cień, który ciemną smugą kładł się teraz na ich miłości. Tego wieczora Jeffrey dowiedział się, że Julia ukrywała przed nim inne rzeczy - choć nie miał pojęcia dlaczego - że miała inne sekrety, że oszukiwała go także w innych ważnych sprawach, że częściej, niż przypuszczał, mijała się z prawdą.

Ale z jakiego powodu postanowiła ukryć fakt, że uczyła się w Carlton?

Kiedy Jeffrey dotarł nad urwisko, dostrzegł światła palące się w oknach SeaCliff. Podczas kolacji wszyscy mówili Casey, że może opalać się nago na plaży, ucząc się do egzaminów, albo biegać bez ubrania po białym piasku. Nikt jej nie zobaczy. Może właśnie teraz rozbiera się przy nie zasłoniętych oknach...

Ale Casey zaciągnęła zasłony i Jeffrey widział tylko jej cień.

Powiedz mi, Casey, kogo Julia kochała w Carlton? Widziałaś Merry, kiedy podeszła do stołu w czasie kolacji, żeby powiedzieć dobranoc. Czy nie wydała ci się podobna do kogoś, kogo już kiedyś widziałaś? Może do któregoś z nauczycieli, którego kariera ległaby w gruzach, gdyby jego romans z wybitnie uzdolnioną szesnastolatką wyszedł na jaw? Może do wychowawcy, który umożliwił jej składanie ustnych egzaminów?

Czy Casey wie, dlaczego Julia upiera się przy swoim kłamstwie?

Być może, ale Jeffrey nikogo nie mógłby wtajemniczyć w ich prywatne, małżeńskie sprawy.

Zbiegł krętą ścieżką na plażę, a potem biegł po piasku do utraty tchu. Ale on nie

zwracał uwagi na zmęczenie. Biegł coraz dalej i coraz szybciej. 94

Trzy godziny później, długo po tym, jak w SeaCliff pogasły światła, Jeffrey wrócił do Belvédère, do Julii.

Julia leżała w małżeńskim łóżu, drząc pod kołdrą, choć noc była ciepła. Słyszała, jak Jeffrey brał prysznic i modliła się, żeby następnym odgłosem, jaki usłyszy, nie było pakowanie toreb.

Ale Jeffrey nie zaczął się pakować. Cicho podszedł do łóżka.

W ich małżeństwie nie było utartych schematów kłótni i sprzeczek, rytuałów, które można w takich sytuacjach powtarzać, po prostu dlatego, że właściwie nigdy się nie kłócili. Julii nie przyszło do głowy udawać, że już śpi, odwrócić się do niego plecami, dąsać się i robić scen, ponieważ Jeffrey był jej miłością, jej życiem, jej sercem. Zamiast do ściany, Julia odwróciła się teraz do niego, odważnie patrząc mu w oczy, gotowa ponownie spróbować odpowiedzieć na jego pytania.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że uczyłaś się w Carlton, Julio?

- Nie miało to dla mnie znaczenia. Liczyło się tylko jedno - być z tobą.

- I mieć Merry. - Jeffrey mówił spokojnie, łagodnie, ale i tak słowa te brzmiały oskarżycielsko.

- Być z tobą. I mieć Merry. Tak. - Julia urwała, a po chwili podjęła z wahaniem. - Jeffrey?

- Słucham.

Powiedz mi Julio, proszę. Powiedz mi prawdę.

- Czy masz zamiar od nas odejść?

- Odejść od was? - powtórzył Jeffrey, zaskoczony tym pytaniem i lękiem w głosie żony. Zostawić ją? Przecież to on czuje się zdradzony. Julia niepodzielnie włada jego sercem, ale on nie ma dostępu do tajemnic jej serca.

- Nigdy od ciebie nie odejdę.

Ale mówiąc te słowa, Jeffrey zastanowił się, czy właśnie w tej chwili to on nie zaczął

okłamywać Julii.

Pewnego dnia może będzie musiał od niej odejść. Bo nie może wierzyć w jej miłość, a to go zabija.

Nazajutrz oboje byli wobec siebie wyjątkowo delikatni i czuli. Każde z nich chciało miłości, tylko miłości, a szukając sposobów na wzmocnienie łączącego ich uczucia, pamiętali też o obietnicach, jakie złożyli sobie nawzajem miesiąc wcześniej, w dniu dziesiątej rocznicy ślubu.

- Tego lata będę bardzo zajęty - powiedział Jeffrey przeprasząc, kiedy zadzwonił do domu z pracy w poniedziałek po południu. - Muszę

95 pojechać do Paryża na obchody dwusetnej rocznicy zburzenia Bastylli i szczyt gospodarczy, a także zająć się przekazywaniem informacji z wizyt prezydenta w krajach Bloku Wschodniego.

- Nie wspominając już o zarwanych nocach, kiedy nagle coś się wydarzy. Wiem, rozumiem cię - powiedziała Julia cicho i smutno. Jeffrey nie ma czasu dla niej i Merry, nie chce, żeby byli rodziną. Wyglądało na to, że podobała mu się pierwsza lekcja jazdy konnej Merry, ale pewnie tylko udawał.

- Nie, kochanie, źle mnie zrozumiałaś. Tego lata będę zajęty i trudno mi na razie planować coś konkretnego, ale mam zamiar wziąć urlop w drugim tygodniu września. Wiem, że Merry zaczyna szkołę dopiero osiemnastego, więc będziemy mieli cały tydzień, żeby pobyć trochę razem. - Chciał dostać urlop wcześniej, przed swoim wyjazdem do Europy, i próbował znaleźć kogoś, kto mógłby go zastąpić w wieczornych wiadomościach, ale nic z tego nie wyszło - ci, co mieli dzieci, już dawno zaplanowali swoje urlopy na lipiec i sierpień.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- To znaczy, że będziesz w domu na urodzinach Merry. Och, Jeffrey, dziękuję.

- Nie ma za co, kochanie.

- Jesteś mi winien miesiąc miodowy - szepnęła po chwili Julia.

- Powiedz tylko, kiedy i gdzie chciałabyś pojechać.

- Dzisiaj złożyłam wniosek o paszport.

- Naprawdę?

- Tak. Pomyślałam sobie, że może pojedziemy w październiku albo listopadzie, kiedy Merry będzie już jakiś czas w szkole... - powiedziała Julia odważnie, ponieważ tak bardzo kochała Jeffreya i obiecała mu, że pokona swoje lęki.

- Kiedy tylko zechcesz, Julie, kiedy uznasz, że jesteś już gotowa odparł Jeffrey miękko. - Kocham cię.

'N astępnego dnia po przyjęciu w Somerset Casey przez cały ranek

robiła plany na lato, które miała spędzić w SeaCliff. Sporządziła dokładny harmonogram swoich studiów i równie szczegółowy plan in96 nych zajęć. Zaplanowała wszystko: kiedy będzie się gimnastykować, kiedy i co jeść.

To takiej żelaznej dyscyplinie Casey zawdzięczała swoje sukcesy i swój wspaniały wygląd. Każdego ranka i każdego wieczoru, nawet jeśli było już bardzo późno i czuła się bardzo zmęczona, Casey ćwiczyła, aby jej uda były zawsze jędrne, łydki smukłe, talia wiotka, ramiona prężne, a piersi twarde i dumne. Odżywiała swoje piękne ciało tylko odpowiednią zdrową żywnością, w niewielkich ilościach, i pieczołowicie pielęgnowała opaleniznę. Wiedziała, że nadmiar słońca szkodzi zdrowiu i urodzie, ale wiedziała też, że złocisty odcień skóry podkreśla kolor jej pięknych włosów i stwarza wrażenie, że wszystko przychodzi jej bez najmniejszego wysiłku i może bez końca wylegiwać się w słońcu na plaży.

Wszystko, co robiła, było starannie zaplanowane i nastawione na sukces... i przynosiło pożądane efekty.

Casey starannie przygotowywała swoje wystąpienia w sądzie, uczyła się na pamięć każdego słowa, ćwiczyła intonację i powtarzała to wszystko tak długo, że potem w sądzie wszystkich zdumiewał jej talent retoryczny. W wystąpieniach na sali sądowej unikała

jakiegokolwiek przypadkowego słowa czy gestu, nigdy też nie było nic przypadkowego w jej wyglądzie.

A wygląd Casey zmieniał się w zależności od sędziego prowadzącego daną sprawę, składu ławy przysięgłych, prawników strony przeciwnej i ogólnej atmosfery procesu. Pensje młodych prawników, zatrudnionych w Biurach Prokuratorów Okręgowych, były bardzo skromne, ale wszyscy wiedzieli, że miesięczna wypłata z funduszu powierniczego Casey znacznie przewyższa jej roczne zarobki. Casey nie udawała, że nie ma pieniędzy. Ubierała się u Diora, Chanel, Le Crillona, nosiła biżuterię od Tiffany'ego i zegarki Choparda albo Blancpaina. Czasami przesłaniała też swoje piękne błękitne oczy okularami w szylkretowych lub metalowych oprawkach od Anne Klein.

Całości dopełniały jej bujne, złote włosy. Czasami ściągała je w skromny, ascetyczny kok, czasami spletała w gruby, luźny warkocz albo pozwalała im swobodnie opadać na ramiona - zależnie od okoliczności.

Zanim weszła na salę rozpraw, zawsze spędzała wiele godzin, starając się jak najwięcej dowiedzieć o sprawie i przygotować jak najlepszą strategię obrony. Tyle samo czasu zajmował jej dobór najcelniejszych określeń i najodpowiedniejszego dla danej sprawy wyglądu, bo w jej wyglądzie zawsze kryło się przesłanie.

Podczas procesu gwałciiciela z Nob Hill Casey postanowiła wyglądać naprawdę pięknie - subtelnie i kobieco - a zadecydowało o tym bardziej

97 7 - Melodie miłości jej serce niż rozum. Postanowiła włożyć jedwabną sukienkę, w pastelowych, wiosennych odcieniach. A złote włosy będą jej swobodnie opadać na plecy. Dlatego, że w tej sprawie tak naprawdę chodzi o swobodę. O wolność kobiety, o jej prawo do bycia piękną, seksowną.

Lato, które miała spędzić w SeaCliff, zapowiadało się tak prosto i łatwo. Miała tylko trzymać się swojego harmonogramu, zmierzając do kolejnego sukcesu. Spencerowie obiecali jej spokój i absolutną prywatność. Nic nie powinno jej niepokoić ani rozpraszać.

A jednak coś ją niepokoiło i rozpraszało, coś, co tkwiło w niej samej i nękało ją

obsesyjnymi myślami... Julia.

Dlaczego ciągle o niej myśli? Julia to już przeszłość, to demon pozbawiony swej mocy.

Julia nie stanowiła już żadnego zagrożenia. Tylko że to Julia zwyciężyła. Jak zawsze. Jeffrey Lawrence, który mógł mieć każdą kobietę pod słońcem, wybrał Julię. A jego miłość do niej była tak oczywista, tak widoczna! Jak bardzo Jeffrey kocha swoją żonę, Casey dostrzegła już w chwili, kiedy Julia weszła na taras. Casey obserwowała Jeffreya przez cały wieczór i widziała w jego oczach tyle miłości, czułości, pragnienia tak silnego, że niemal sprawiało ból.

Być kochaną w taki sposób! Za to tylko, że się jest sobą!

Julia rozkwitła w promieniach tej miłości, wypiękniała jeszcze bardziej, ale mimo to była teraz tylko trochę starszą wersją tamtej skromnej, nieśmiałej dziewczynki, która - sama o tym nie wiedząc - tak dręczyła Casey w szkole. Julia się nie zmieniła. Po prostu znalazła człowieka, wspaniałego człowieka, który pokochał ją głęboko właśnie za to, kim była.

Czy ja czasem też ktoś kiedyś pokocha w ten sposób?

Oczywiście wielu mężczyzn kochało się w Casey. Wielu bogatych, przystojnych, wpływowych mężczyzn, których nie przerażały jej osiągnięcia, a oczarowała uroda, wdzięk i prowokujące uśmiechy, pilnie ćwiczone przed lustrem.

Ale czy ci mężczyźni naprawdę kochali ją, czy może tylko zdolną aktorkę, która tak świetnie gra swoją rolę? I dlaczego ona nigdy nie odwzajemniła uczuć żadnego z nich? I dlaczego, mimo odnoszonych sukcesów, mimo wybitnych osiągnięć, mimo zachwyków i uznania, z jakimi się spotykała, nigdy nie odczuwała prawdziwej radości, dreszczu pożądania, prawdziwej satysfakcji?

A jeśli Casey i ta utalentowana aktorka to jedna i ta sama osoba? Jeśli tym właśnie naprawdę jest - niezłą aktorką? I niczym więcej? Po 98 prostu idealną lalką, niezdolną do radości i miłości, zaprogramowaną tak, by odnosiła same sukcesy, której przeznaczeniem

jest praca. Która nigdy nie ma wolnego czasu.

Wolny czas? Czas na wolność?

A może jest jeszcze - oby tak było! - jakaś inna Casey? Czy nie istniała kiedyś mała dziewczynka, która tak lubiła biegać po plaży, uciekać przed falami, gonić słońce? Czy ta mała, szczęśliwa dziewczynka odeszła na zawsze, czy może nadal jest gdzieś w Casey, która teraz porzuciła podręczniki prawa i wybiegła z domu na zew morza?

Tak, ta dziewczynka ciągle istniała i teraz schodziła szybko krętą ścieżką na plażę, czując pod bosymi stopami rozgrzany, miękki piasek. Potem biegła po plaży, goniąc ognistą kulę zachodzącego słońca - pół kilometra, kilometr, nie czując zmęczenia. Roztańczona, swobodna... wolna.

Nagle wyrosła przed nią ściana stromych skał. Plaża przeszła w wąski pas białego piasku, wznający się w morze. Jeśli Casey chce zobaczyć zachód słońca, musi wspiąć się na skały. Albo pobiec dalej wąskim, piaszczystym pasmem...

Casey wybrała tę drugą możliwość. Stanęła na wielkim głazie, próbując dojrzeć słońce, które schowało się już jednak za skałami. Wielkie fale omywały kamień, opryskując jej stopy ciepłymi, słonymi kroplami.

Ale gorące, słone krople na jej twarzy były jej łzami.

Łzy? Casey nigdy nie płakała. Teraz jednak, w tym zapierającym dech w piersiach miejscu, z jej oczu naprawdę spływały łzy. Przyszła tu, wiedziona jakimś odległym wspomnieniem, czy może raczej mglistym przeczuciem przyszłości, by gonić zachodzące słońce.

Czy płakała nad sobą, bo nie udało jej się go schwytać? Bo złotoczerwona kula zniknęła z zasięgu jej wzroku? A może dlatego, że goniła tak naprawdę coś jeszcze ważniejszego i bardziej ulotnego - samą siebie, swoje szczęście, swoją wolność - i tego też nie potrafiła dogonić?

Patrick wciągnął głęboko w płuca słone morskie powietrze. Rozpierało go uczucie radości i spokoju.

Spokój był rzadkim i bardzo mile widzianym gościem w jego zagmatwanym życiu. Przychodził czasem i zostawał na dzień czy dwa, nigdy dłużej, łudząc fałszywą nadzieją, jak zwodnicza cisza w oku szalejącego cyklonu.

Patrick znał już takie chwile spokoju. Próbował zatrzymać je na zawsze, nigdy jednak mu się to nie udało. Stracił nadzieję, że jeszcze

99 kiedykolwiek osiągnie w życiu spokój. Ale oto jest - cudowny dar, który zniknie w chwili, kiedy Patrick znowu będzie zmuszony rzucić się do ucieczki. Zdumiał go ten dar, ofiarowany mu tak nieoczekiwanie, jak promień słońca przedzierający się przez chmury, zaledwie trzy miesiące temu.

Tego marcowego dnia Patrick wybrał się na postój ciężarówek w poszukiwaniu pracy. Miał nadzieję, że znajdzie kierowcę, który będzie potrzebował zmiennika na przejazd przez cały kontynent, albo kogoś, kto właśnie przybył z Zachodniego Wybrzeża i musi rozładować ciężarówkę. Tak wyglądało życie Patricka od prawie pięciu lat. Jeździł po kraju, miał się różnych zajęć, żył z dnia na dzień, z nowym nazwiskiem, ale bez domu.

Ale Patrick nigdy nie miał domu.

Pijąc kawę, sięgnął po egzemplarz *New York Times'a* i odruchowo odszukał rubrykę ofert pracy. Była to codzienna tortura, ponure przypomnienie o tym, co jest teraz jego przeznaczeniem. Nigdy nie dostanie prawdziwej, porządnej pracy, bo wymagałoby to posiadania tożsamości, prawdziwego nazwiska, numeru legitymacji ubezpieczeniowej i odpisu aktu urodzenia. Inna sprawa, że nigdy nie zdarzyło mu się znaleźć interesującej oferty.

Aż do tej chwili.

Instruktor jazdy konnej poszukiwany od zaraz. Klub Southampton. Wymagane doświadczenie. Telefon...

Serce Patricka zabiło mocniej. Gdyby znowu mógł jeździć...

Klub Southampton. Patrick nigdy nie brał udziału w wyścigach o Grand Prix odbywających się w Southampton. Czy jednak nie ścigał się kiedyś z kimś z tego

ekskluzywnego klubu? Nie, na pewno nie. Będzie bezpieczny. Nikt go nie rozpozna.

Wymagane doświadczenie. Patrick nigdy nie uczył jazdy konnej, ale był świetnym jeźdźcem. Skłamię, przedstawi fałszywe referencje w nadziei, że on zaraz oznacza, że ktoś w Klubie Southampton ma nóż na gardle.

Ten ktoś - kierownik - znalazł się trudnej sytuacji. Wkrótce rozpocznie się wiosenna przerwa świąteczna, która kiedyś trwała tydzień, a teraz ciągnie się od połowy marca do połowy kwietnia. Za kilka dni pojawią się dzieci, chcące się uczyć jazdy konnej, a człowiek, który miał się tym zajmować, właśnie postanowił zmienić pracę.

Trzy godziny po rozmowie telefonicznej Patrick siedział w biurze kierownika Klubu Southampton. Chciał umówić się na spotkanie dopiero o następnego dnia, żeby nieco zadbać o swój wygląd. Miał zamiar wydać wszystkie swoje ciężką pracą zarobione pieniądze - całe dwieście dwadzieścia dolarów - na dobrego fryzjera i stosowny strój. Patrick znał upodobania ludzi bogatych. Wiedział, jak nosić świetnie skrojone ubrania i mówić pięknym językiem. Potrafił zmieniać się jak kameleon i już kiedyś wszedł do eleganckiego towarzystwa. Zaadaptował się bardzo szybko, gdyż wszystko w jego zachowaniu i wyglądzie wskazywało na to, że urodził się w bogatej rodzinie, chodził do szkoły na Wschodzie, potem studiował w Harvardzie albo Yale, a wakacje spędzał w najmodniejszych kurortach Europy. Musi znowu się postarać, żeby dostać tę pracę. Ale kierownik klubu nie dał mu czasu ani na zakupy w Brook Brothers, ani na wizytę u fryzjera.

Siedząc w pociągu jadącym z New Jersey do Southampton, Patrick pocieszał się, że najlepsi dżokeje na co dzień jeżdżą w dżinsach, a nie w eleganckich, białych bryczesach.

Patrick znał obyczaje bogaczy, ponieważ, zgrabnie zakamuflowany, przeniknął kiedyś do ich środowiska. Wiedział też, jakie zwyczaje panują wśród najlepszych jeźdźców, bo był kiedyś jednym z nich.

- Uczył pan jazdy konnej? - spytał kierownik, przyglądając się Patrickowi podejrzliwie. Wydawał się jednak zadowolony, słysząc jego akcent. - Patrick wysławiał

się w sposób pełen elegancji, której brakowało jego opadającym na kark włosom i zniszczonym dżinsom.

- Tak.

- Gdzie?

- Wszędzie.

- To praca tylko na miesiąc - zaznaczył kierownik. Potrzebował kogoś od następnego dnia. Kiedy skończy się przerwa wiosenna, będzie miał dwa miesiące na znalezienie kogoś odpowiedniego na wakacje.

- Mógłbym otrzymywać wynagrodzenie w gotówce?

- Jak pan woli.

- Jeśli to praca tylko na miesiąc, wolałbym nie szukać mieszkania. Mogę spać w stajni i myć się wcześniej rano w przebieralniach członków klubu.

- Przy stajniach jest mieszkanie, małe, ale ze wszystkimi wygodami. Może je pan zająć.

Kierownik przypuszczał, że członkowie klubu nie będą zadowoleni z nowego instruktora, przygotował więc sobie drogę odwrotu - tylko na miesiąc. Jednak w tym czasie słyszał na jego temat same pochwały. Okazało się, że Patrick zna się na rzeczy, jest cierpliwy i pogodny. Nawet jego wytarte dżinsy, spłowiałe koszule i zniszczone wysokie buty

zostały zaakceptowane bez zastrzeżeń. Właściwie jego niedbały, kowbojski styl stał się powszechnie obowiązującą modą. Drogie, ręcznie robione swetry od Millera, białe lniane bryczesy, jedwabne golfy od Ralpha Laurena i lśniące skórzane buty do jazdy konnej leżały zapomniane w szafach wielkich posiadłości Southampton. Przegrały z dżinsami, bawełnianymi koszulami i butami sprzed kilku sezonów.

Nawet sportowa biżuteria - drogie broszki i kolczyki zdobne w jeździeckie motywy - spoczywały bezpiecznie w sejfach skrytych za obrazami impresjonistów.

Patrick spędzał wiele godzin na lekcjach jazdy konnej, a w czasie wolnym, aby

zarobić dodatkowo parę dolarów, pracował jako barman na przyjęciach wydawanych w klubie.

Pod koniec przerwy wiosennej kierownik zaproponował Patrickowi, żeby został na dłużej. Patrick zgodził się, choć propozycja była dość mglista. Miał teraz jeszcze luźniejszy związek z Klubem Southampton, ponieważ zamiast pobierania stałej pensji zdecydował się na procent od zysku z lekcji i jednorazowe wypłaty po każdym przyjęciu, na którym pracował. Nie płacił za swoje mieszkanie przy stajniach i żywił się tym, co zostało w klubowej kuchni, prowadzonej przez świetnego kucharza.

Ponieważ oficjalnie nie był pracownikiem klubu, nie musiał przedstawiać żadnych dokumentów ani referencji, nigdy nie wypełnił żadnych formularzy, nie podpisał umowy. W każdej chwili mógł zostać zwolniony i sam mógł odejść bez uprzedzenia.

Kierownik miał jednak nadzieję, że nic takiego się nie stanie, choć Patrick wydawał mu się trochę dziwny. Różnił się od ludzi zatrudnianych zazwyczaj na lato do prowadzenia zajęć sportowych - żeglarstwa, tenisa czy pływania - młodych mężczyzn, którzy sami często stawali się intrygującą letnią rozrywką. Patrick był przystojny, bardzo przystojny, ale choć mówił i zachowywał się elegancko, miał w sobie coś dzikiego. Kierownik był pewny, że piękne, bogate kobiety Southampton będą chciały czegoś więcej niż tylko lekcji jazdy konnej od ładnego instruktora. Ale czy Patrick okaże się dyskretny? Czy będzie przestrzegał zasad?

Kobiety Southampton chciały od Patricka czegoś więcej, jak wszystkie inne kobiety, które w życiu spotkał. Patrick nie stronił zresztą od kobiet, przynajmniej od tych wybranych, z którymi zdecydował się dzielić radością seksu. Seks zawsze był radością, wolnością, darem intymności, cudownym wyróżnieniem...

Ale pięć lat temu Patrick powiedział nie pięknej młodej dziedziczce wielkiej fortuny. On nie chciał jej, ale ona chciała jego, a jej gniew, 202 kiedy usłyszała odmowę, słono go kosztował. Utracił wszystko - wolność, marzenia, spokój.

Przez pięć lat Patrick uciekał. Teraz, ponieważ tak bardzo chciał jeździć, znowu

znalazł się między bogatymi wpływowymi ludźmi, których nienawidził. A piękne, bogate kobiety z Southampton, podobnie jak dziedziczka, która pozbawiła go marzeń, chciały mieć go w swoich zbiorach - jako maskotkę, trofeum, zabawkę - kiedy tylko przyszła im na to ochota.

Patrick raz już odmówił i ta decyzja zmieniła całe jego życie. A teraz? Teraz nie miał już nic do stracenia - poza swoim cennym spokojem. Jeśli odmówi, będzie musiał znowu uciekać.

A jeśli nie odmówi? Jeśli będzie zaspokajał ich zachcianki? Przyjmował drogie prezenty? Nie ma przecież już nic do stracenia - nic, poza swoją ulotną wolnością i poczuciem własnej godności. Nadąsanej młodej dziedziczce z Kentucky Patrick odmówił łagodnie i uprzejmie, a i tak się to na nim zemściło. Teraz odmawiał zimno, krótko i pogardliwie, i to również się na nim mściło - stawał się zdobyczą jeszcze cenniejszą, bo trudną do zdobycia. Jego niechęć sprawiała, że gra stawała się coraz bardziej wciągająca, nagroda coraz bardziej pożądana. Jego pogarda uwodziła, a dzikość pociągała. Bogate, piękne kobiety Southampton chciały go oswoić.

A potem, przez przypadek, Patrick odkrył sposób na przetrwanie w Southampton.

- Patrick, udzielasz też prywatnych lekcji w nocy?

- Nie. - Zazwyczaj odpowiadał, zimno i pogardliwie, ale tym razem, może dlatego, że nagabująca go kobieta nie była tak nachalna i rozkazująca jak inne, dodał łagodnie: - Przykro mi. To naprawdę niemożliwe.

- Jesteś z kimś związany?

- Tak - skłamał. Dostrzegł zmianę w sposobie, w jaki na niego patrzyła. Jej spojrzenie złagodniało, pojawiła się w nim zazdrość, ale i uznanie.

- I jesteś jej wierny?

- Tak. - Niewiele mijał się z prawdą. Wiedział, że gdyby się kiedykolwiek naprawdę zakochał, byłby wierny swojej wybrance.

Odkrył, że imponuje to tym kobietom, mężatkom, których niewierność wynikała z

faktu, że nie znalazły szczęścia w małżeństwie, i ich niezamężnym przyjaciółkom, szukającym prawdziwej miłości. Mówił im, że w jego życiu jest kobieta, której jest wierny, i to wystarczało, żeby zostawiły go w spokoju. Udało mu się przetrwać wśród bogatych i uprzywilejowanych. A nawet więcej - odnalazł spokój.

ą0ł

Spokój wśród ludzi, których nienawidził i którymi pogardzał. Dziwne, że to tu właśnie go odnalazł.

Patrick spoglądał na morze i biały piasek plaży, a pod sobą czuł niespokojną siłę młodego, czarnego ogiera. Zaraz poderwie tego wspaniałego konia do biegu za zachodzącym słońcem, najpierw jednak spróbuje zapamiętać tę scenę. Natychmiast po powrocie do pokoiku przy stajniach zabierze się do malowania tego zapierającego dech w piersiach nadmorskiego pejzażu.

Kiedy tylko mógł, przyjeżdżał na tę piękną białą plażę o zachodzie słońca, odkrył też inne, równie piękne miejsce, w którym lubił patrzeć o świcie na budzący się do życia nowy dzień. Właściciele wspaniałych rezydencji mieli takie cudowne widoki z okien swych domostw, że nie interesowały ich obrzeża posiadłości. Patrick znalazł wiele takich odległych, zapomnianych zakątków, jeżdżąc wijącymi się w gęstym lesie ścieżkami, wędrując wśród skał, przemierzając wielkie, zielone łąki... uczynił z tych miejsc swoje prywatne sanktuaria spokoju i samotności.

Ale dziś nie był tu sam. Kiedy podjechał do stromych skał za opuszczonym letnim domkiem, zauważył, że na końcu wąskiego półwyspu stoi jakaś kobieta.

Półwysep... Patrick spędził wiele godzin, obserwując, co działo się z tym wąskim pasem białego piasku. Szerokość, kształt, samo jego istnienie zależały od poziomu wody i siły fal.

W czasie odpływu półwysep był prawie tej samej szerokości co plaża, jak biały przecinek postawiony na migotliwym błękitcie oceanu. Kiedy jednak zaczynał się przypływ, jego skalisty koniuszek sterczał samotnie wśród fal, oderwany od lądu. Woda

zalewała piasek i skała stawała się wysepką zewsząd otoczoną przez wzburzone morze. W czasie pełni, gdy przypyływ był szczególnie wysoki, półwysep zniknął całkowicie, pochłonięty przez wodę.

Wysepka mogła zniknąć nagle, jak słońce zachodzące za horyzont. Przypyływ już się zaczął, a kobieta, której Patrick nigdy dotąd nie widział w Southampton, stała na zdradzieckim cyplu, urzeczona pięknem oceanu. Patrick przejechał przez wodę, która oddzielała już wysepkę od lądu. Prawdopodobnie tej nocy wysepka nie zniknie całkowicie, ale postanowił jednak ostrzec kobietę przed grożącym jej niebezpieczeństwem.

- Dobry wieczór! - zawołał, zbliżając się do niej. ą04

Miękki piasek tłumił stukot końskich kopyt, ryk fal zagłuszał niemal wszystkie odgłosy, a Casey była głęboko zatopiona w swoich rozmyślaniach. Usłyszała jednak męski głos, wybijający się ponad inne dźwięki. To na pewno Edmund albo Jeffrey. Kiedy się odwróci, zobaczy na twarzy intruza przepraszający uśmiech, bo przecież obiecano jej tu nie przeszkadzać.

Ona też się uśmiechnie, na szczęście nikt nie zdoła dostrzec, że płakała - dotknęła ręką policzka i starła z niego łzy zmieszane z kroplami morskiej wody. Morze pomogło jej ukryć słabość. Jednak woda, która rozbryzgiwała się o skały, zmoczyła nie tylko jej twarz, ale i lekką bawełnianą bluzkę. Mokry materiał, zupełnie teraz przejrzysty, przywarł do jej ciała, uwidaczniając zmysłową krągłość piersi. Casey zauważyła to i w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że włosy, opadające jej swobodnie na plecy, są jeszcze suche. Odwracając się, potrząsnęła głową i wspaniała rudoblond grzywa zaślśniła w słońcu, po czym skromnie przesłoniła jej piersi.

Zupełnie jak Narodziny Wenus. Patrick przypomniał sobie natychmiast obraz Botticellego - piękne, złotorude włosy, okrywające idealne kształty bogini, wynurzającej się z morskich fal. Może to, co teraz objawiło się jego oczom, jest współczesną, skromnie odzianą wersją Wenus, która właśnie przyszła na świat w tym uroczym zakątku Long

Island?

- Och! - Na policzki Casey wypłynął rumieniec. Zazwyczaj, kiedy spotykała nieznanego, przystojnego mężczyznę, uśmiechała się uwodzicielsko i rzucała zmysłowe Cześć... Ale teraz, przy tym uderzająco przystojnym mężczyźnie o czarnych jak heban włosach i szarzielonych oczach, wyćwiczone słowa nie przeszły jej przez gardło.

Czy dlatego, że tak naprawdę należały do innej Casey? Tak, do tej Casey, która nigdy nie płacze. Która nigdy nie porzuciłaby swoich zajęć, żeby gonić za zachodzącym słońcem. Do Casey, która, gdyby już zdecydowała się na taki pościg, nie pozwoliłaby złotej kuli zniknąć z zasięgu wzroku, nie wbiegłaby na półwysep, z którego nie ma odwrotu, nie przemoczyłaby ubrania i na pewno nigdy nie pozwoliłaby sobie na łyzy.

- Co tu robisz? - spytała.

- Pewnie przyjechałem tu po to, by cię uratować.

- Uratować? Przed czym?

Przede mną samą? Przed tą drugą Casey?

- Przed przyływem.

- Przyływem? - powtórzyła Casey. Czy ona śni? Czy to naprawdę rycerz w lśniącej zbroi, który przybył, by uratować ją przed mieszkającym w morskich głębinach potworem? Może to rycerz, ale zapomniał

o swojej zbroi i ma na sobie tylko dzinsową koszulę rozchełstaną na piersiach, szarpaną wiejącym od morza wiatrem.

- Chodź ze mną - powiedział łagodnie, ale stanowczo.

Casey poczuła, jak jej serce nagle zabiło mocniej. Było to cudowne i zupełnie jej nie znane uczucie. Zapragnęła nagle podporządkować się temu mężczyźnie, sprawić, by jego oczy załśniły rozkoszą.

- Dobrze.

- Umiesz jeździć konno?

- Tak - odparła Casey z wahaniem. Brała lekcje jazdy konnej w Klubie Carlton w

Atherton, ale było to wiele lat temu. Poza tym nigdy nie jeździła bez siodła. - Trochę.

- Usiądź za mną i trzymaj się mocno.

- Dobrze.

Patrick podprowadził konia do wzniesienia, z którego Casey bez trudu wspięła się na konia.

- Trzymaj się mocno - powtórzył.

Casey objęła go w pasie ramionami. Podjechali do zalanego wodą miejsca, gdzie morze było już głębsze i bardziej wzburzone. Casey wyczuła niepokój konia i odruchowo objęła Patricka mocniej, przywierając do niego całym ciałem.

Koń przedostał się na plażę, rozbryzgując wodę kopytami i potrząsając gniewnie głową. Patrick uspokoił go szybko, zeskoczył na ziemię i pomógł Casey zsiść, obejmując ją w mocno w talii.

- To nie były żarty - szepnęła Casey cicho, odwracając się i patrząc na znikający pod wodą półwysep.

- Nie.

- Miejsce, w którym stałam, już prawie całkiem zniknęło.

Była tak zupełnie nieświadoma grożącego jej niebezpieczeństwa. A gdyby jej rycerz akurat wtedy nie przejeżdżał?

- Tak, ale cały cypel pewnie dzisiaj nie zniknie. Pełnia była dziesięć dni temu, więc nie zanosi się na duży przyływ. Musiałabyś po prostu poczekać, aż morze zacznie się cofać. Mogłabyś też spróbować dostać się na brzeg, jeśli dobrze pływasz.

Patrick nie umiał pływać. Gdyby morze uwięziło go na półwyspie w czasie pełni, kiedy wszystko, łącznie ze sterzącą na końcu skałą, zalewa woda, na pewno by utonął...

Casey była dobrą pływaczką. Może dotarłaby do brzegu bez jego pomocy, a może nie?

- To nie żarty - powtórzyła cicho i zadrżała pod wpływem lęku, który ją nagle ogarnął. ą06

- Ja nigdy nie żartuję. Zimno ci? Chcesz moją koszulę?

- Nie, dziękuję. Nie jest mi zimno. - Wieczór był ciepły. Bawełniana bluzka zaraz wyschnie i znowu należycie osłoni jej ciało. Chociaż ten mężczyzna bynajmniej nie usiłował zerkać na jej piersi ani biodra. Nie spuszczał uważnego spojrzenia szarozielonych oczu z jej twarzy, zaciekawiony, uśmiechnięty, cierpliwy.

- To dobrze.

- Kim jesteś? - spytała Casey, także zaciekawiona, lecz mniej cierpliwa.

Skąd ten człowiek zna tajemnice faz księżyca i morskich przypływów?

- Nazywam się Patrick James. A ty?

- Casey English.

- A więc, Casey, co robiłaś na mojej plaży?

- Przyjechałam na lato do domku na skałach.

- Tylko na lato?

- Tak. We wrześniu wyjeżdżam do miasta.

- A co tam będziesz robić?

Grac, pomyślała Casey. Będę znowu świetną aktorką, zdumiewającą świat swymi rolami, kostiumami, wiedzą i retoryką...

Patrick jednak nie gra, nie udaje niczego. A gdyby tak przy nim ona również spróbowała być sobą? Gdyby na chwilę przestała być Casey English, dziedziczką fortuny, znakomitym prawnikiem, mistrzynią, która zawsze zwycięża? Gdyby pozostała tylko sobą, dziewczyną biegnącą za zachodzącym słońcem?

- Pracować. Po prostu zarabiać na życie. - Casey poczuła, że musi wyjaśnić, dlaczego spędza lato w SeaCliff. Nigdy przedtem nie myślała o Edmundzie, prokuratorze okręgowym ani o nikim innym jako o swoim szefie. Wszyscy oni byli po prostu starszymi, bardziej doświadczonymi kolegami. Teraz jednak powiedziała:

- Ten domek należy do mojego szefa. Mogę tam pracować przez lato.

- Miło z jego strony. Ale tego wieczora nie pracowałaś.

- Nie - Casey nie wyznała mu prawdy o sobie, nieistotnej prawdy, że jest bardzo bogata i odnosi w życiu same sukcesy. Czowała jednak, że jeśli ma przestać udawać, powinna powiedzieć mu o tym, co jest ważne. - Gonila zachodzące słońce, ale zniknęło za skałami.

Patrick spojrzal na nią zaskoczony. Zaczal już uważać to miejsce za swoją własność, ale chętnie by się nim podzielił z tą dziewczyną, która przyszła na plażę w tym samym celu co on. Kiedy skały zasłoniły słońce, ona śmiało zwróciła się ku morzu. Kiedyś to samo przydarzyło się jemu

o pewnego kwietniowego wieczoru. Ale on wtedy wybrał wspinaczkę po skałach. Wydały mu się bezpieczniejsze niż wzburzone morskie fale.

- Jest tu ścieżka między skałami. Stroma, ale prowadzi na łąkę, z której można patrzeć na słońce, aż schowa się za lasem. Pokazać ci?

- Pokaż.

Patrick przywiązał konia do gałęzi drzewa rosnącego przy skałach, z dala od wody, i poprowadził Casey ścieżką wśród skał, a potem lasem na łąkę.

Zaczarowaną łąkę z mnóstwem fiołków, otoczoną wieżami świerków, skąpaną w łagodnym świetle zachodzącego słońca. Słońce tańczyło nad drzewami coraz niżej i niżej, aż w końcu zniknęło, zostawiając jednak na pamiątkę rozświetlone, błękitno-różowe niebo.

Casey i Patrick w milczeniu patrzyli na to pożegnanie dnia. Nie było słów, które mogłyby wyrazić ich zachwyt i wzruszenie, opisać piękno i spokój tego letniego wieczoru.

Casey nie znalazła słów, ale nagle poczuła na policzkach gorące strużki łez. Och, nie!

- Co się stało, Casey?

- Nie wiem - szepnęła zgodnie z prawdą. Potem skłamała:

- Sądzę, że to może być spóźniona reakcja na to, co się stało na półwyspie.

Ale Patrick jej nie uwierzył.

- Płakałaś już wcześniej - powiedział łagodnie.

- Tak. Przepraszam, ale... - Casey zaczęła przeproszać za swoje łzy, ale urwała, widząc wyraz twarzy Patricka. Wydawał się zmartwiony tym, że ona płacze, ale nie zakłopotany czy rozdrażniony. Jego spokój sprawił, że Casey poczuła się nagle cudownie bezpieczna, cudownie wolna. Jakby nie było nic złego w tym, że płacze. Jakby nie było nic złego w tym, że jest niedoskonała. - Sama nie wiem, dlaczego wtedy płakałam - wyznała po chwili.

- A zawsze wszystko wiesz?

Tak, zawsze. Dotychczas...

- Chyba nie - Casey uśmiechnęła się lekko. Na taki nieśmiały uśmiech, nigdy dotąd sobie nie pozwoliła, nigdy nie ćwiczyła go przed lustrem, ale miał on więcej wdzięku niż wszystkie jej olśniewające, pewne siebie uśmiechy razem wzięte. - Ale to akurat chciałabym wiedzieć.

- I na pewno się tego dowiesz pewnego dnia. Łzy nie są takie złe, wiesz?

- Nie? - spytała Casey z nadzieją. Bo tak naprawdę nie wiedziała tego. Przez dwadzieścia siedem lat córka Kirka Carrola Englisha żyła w przekonaniu, że łzy są tylko oznaką słabości i należy się ich wstydzić. ą08

- Moim zdaniem, nie. Wydaje mi się, że łzy są jak deszcz - a deszcz czasami jest zbawieniem, czasami utrapieniem. Zależy, czy podlewa kwiaty na klombie, czy pada na defilujących żołnierzy. - Uśmiechnął się Patrick.

Casey parsknęła śmiechem. Najpierw nie pozwolił, by utonęła we wzburzonym morzu, a teraz chroni ją przed zatonięciem w jej własnych łzach. Uśmiechał się i trochę przekomarzał, ale w istocie wszystko mówił poważnie.

- Muszę odprowadzić konia do stajni, zanim się ściemni - powiedział Patrick, kiedy pastelowe wieczorne niebo poszarzało.

- Do stajni?

- Do Klubu Southampton. Ale może najpierw odprowadzę cię do domu?

- Och, tak. Dziękuję.

Patrick pierwszy ruszył w dół ścieżką prowadzącą z łąki na plażę. Zatrzymali się na moment, by popatrzeć na półwysep. Pozostała z niego tylko malutka szara wysepka, zewsząd otoczona przez wzburzone fale.

- Jeszcze raz dziękuję za ratunek - powiedziała Casey, kiedy doszli do SeaCliff.

- Pewnie sama też świetnie byś sobie poradziła.

- Przykro mi, że się tak rozkleiłam.

- Naprawdę?

Nie, bo w jej łzach było coś cudownie oczyszczającego... a jego reakcja na ten płacz była jeszcze cudowniejsza.

- Nie - przyznała Casey cicho.

- Pójdę już. Zanim wszędzie księżyc, w lesie będzie bardzo ciemno. Dobranoc, Casey.

- Dobranoc, Patrick.

Patrzyła, jak jego sylwetka powoli roztapia się w mroku. Po chwili zniknął wśród drzew.

Kim jest ten przystojny mężczyzna, który zna sekrety księżycy i morza i tajemnice jej łąz? Poetą? Pisarzem? A może prawnikiem, który spędza tu lato, ucząc się do egzaminów, ale porzucił na chwilę książki, by pogalopować trochę po plaży na tym pięknym koniu?

Patrick mieszka w Southampton. Jest członkiem klubu. Jak swobodnie żartował, pytając ją, co robi na jego plaży, choć musi doskonale wiedzieć,

aż że ten teren należy do Edmunda i Jeffreya. Kiedy Casey usłyszała za sobą jego głos, pomyślała w pierwszej chwili, że to któryś z nich. Patrick należy do tego samego towarzystwa bogatych, wpływowych, odnoszących sukcesy arystokratów. Tak jak Edmund i Jeffrey. Jak Casey.

Ale Casey nie powiedziała Patrickowi prawdy, tej nieistotnej prawdy o sobie.

Powiedziała mu za to o wielu ważnych rzeczach, pozwoliła, by widział jej łzy, czuła się przy nim tak bezpiecznie, tak swobodnie.

Teraz jednak, kiedy już odszedł, zabrał to cudowne uczucie ze sobą.

Patrick odszedł już... i nie wróci.

Powinna była grać jak zwykle. Błyszcząć, uwodzić, olśniewać!

Nie należało odsłaniać przed nim swoich słabości, łez...

W itaj, Diano.

- Chase!

Diana nie rozmawiała z Chase'em od ponad pięciu tygodni, od dnia, kiedy wyprowadził się z domu, mówiąc, że musi się zastanowić i podjąć decyzję. Przez ostatnie dwa tygodnie, od czasu, kiedy Diana otrzymała papiery rozwodowe, porozumiewali się ze sobą za pośrednictwem swoich prawników. Każde z nich miało własnego adwokata - z których żaden nie pracował dla firmy Spencer i Quinn - choć jeden prawnik bez trudu poradziłby sobie z całym rozwodem. Rozwód, na który obie strony wyraziły zgodę, będzie zapewne formalnością. Trzeba się tylko zająć sprawiedliwym podziałem wspólnego majątku Diany Sheperd i Chase'a Andrews'a.

Jakie to proste, jak szybko i gładko można rozwiązać małżeństwo.

Gdyby równie szybko mogła się pozbyć tego nieznośnego bólu.

Miała nadzieję, że Chase zadzwoni. Chciała usłyszeć jego głos. Sprawdzić, czy słyhać w nim nutę gorzkości i gniewu. Utrata jego miłości była już wystarczająco bolesna, lepiej, żeby nie odchodził od niej ze złością.

Jeffrey Lawrence powiedział tamtego dnia w jej biurze, że Chase mógł wybrać lepszy moment. Sławny dziennikarz wcale nie kpił, ale te słowa i tak ją bolały.

Czy Chase nie postanowił czasem dostarczyć jej pozwu o rozwód w przeddzień tak trudnej i ważnej operacji, żeby zdała sobie sprawę, że to jej zbytnie zaangażowanie w pracę zniszczyło ich miłość? ąą0

Byłoby to jednak takie okrutne, złośliwe, takie do niego niepodobne. Chase nie

potrafił być okrutny. Kiedy znalazł się w sytuacji, której nie akceptował, w końcu postanowił odejść - był w tym jednak tylko smutek, żal, nie gniew. Chase chciał, żeby Diana zatrzymała apartament przy Park Avenue, położony pięć minut drogi od Szpitala Memorial.

- Co u ciebie, Diano?

- Cóż, bywało lepiej. Właśnie się rozwodzę. To boli.

- Wiem - odparł Chase łagodnie. - A wścibstwo dziennikarzy nie pomaga przez to przejść, prawda?

- Tak, ale niewiele znaleźli.

- Bo niczego nie mogli znaleźć, Diano.

Wiem, pomyślała Diana. Gorączkowe poszukiwania sensacji i próby odnalezienia innej kobiety spełzły na niczym. Chase był wierny Dianie, a ona jemu.

- Nie masz żadnych zastrzeżeń do podziału majątku, Chase? Naprawdę mogę zatrzymać apartament?

- Oczywiście.

- Dziękuję.

- Diano, byłem w Paryżu, kiedy otrzymałaś mój pozew. Widziałem się z adwokatem przed wyjazdem i poprosiłem, żeby dostarczył ci go, jak tylko będzie gotowy. O operacji radzieckiego ambasadora dopiero się dowiedziałem po powrocie do kraju.

- Miałam nadzieję, że usłyszę coś takiego.

- Bardzo mi przykro.

- W porządku. Kiedyś przecież musiałam otrzymać ten pozew. Ty też musiałeś przejść przez rozmowy z dziennikarzami.

- Tak, ale nikt mnie nie zaatakował w telewizji, na żywo.

- Cóż, już po wszystkim. Cieszę się, że to był tylko przypadek.

- Przysięgam, że tak było. - Chase urwał i wziął głęboki oddech Diano, chciałbym się z tobą zobaczyć. Mam coś dla ciebie.

- Ja też mam coś dla ciebie, Chase.

- A więc dzisiaj? Za godzinę?

- Za godzinę.

Jak należy się ubrać na ostatnie, pożegnalne spotkanie z mężczyzną, który miał być jej mężem do końca życia? Czy jest jakiś strój odpowiedni na tę okazję? Czy podręczniki savoir-vivre'u mówią coś na ten temat?

ąąą

Chase widział już Dianę we wszystkim i we wszystkim ją kochał w sukniach od najlepszych projektantów, które wkładała w kwietniu na Bal Paryski, w prostych sukienkach, na które narzucała fartuch szpitalny, w wełnianych spódnicach i kaszmirowych swetrach, które wkładała, gdy wybierali się na weekend do Maine, i w jedwabnych negligach, które tak szybko i niecierpliwie zawsze z niej ściągał. Chase widział ją i kochał w dżinsie i jedwabiu, w satynie i tweedzie, w koronkach i bawełnie, a najbardziej kochał ją wtedy, kiedy nic na sobie nie miała.

Diana postanowiła, że będzie wyglądać tak pięknie, jak tylko zdoła po kilku tygodniach cierpień. Wybrała w końcu szafirową wąską sukienkę z satyny, w której Chase zawsze bardzo ją lubił, przewiązała włosy wstążką w tym samym kolorze i schłodziła butelkę Dom Pérignon. Stojąc na balkonie, patrzyła na światła Manhattanu i myślała o małżeństwie, które się skończyło.

A miało trwać wiecznie, bez końca. Oboje tego przecież chcieli. Byli tak pewni swojej miłości, przekonani, że ich serca biją tym samym rytmem, i że tak będzie już zawsze. Chase cenił to, że Diana jest tak dobrym chirurgiem. Był dumny ze wspaniałej kariery, jaką zrobiła. Diana była zachwycona stawianymi przez Chase'a budowlami, dumna z jego wyczucia piękna i stylu. Oboje z pasją oddawali się pracy i z równą pasją oddarwali się nawzajem miłością.

Chase powiedział, że niczego nie mogli znaleźć, Diana wiedziała, że to prawda. On nie potrzebował żadnej innej kobiety. A ona nie potrzebowała innego mężczyzny poza

nim. Chase był jedynym mężczyzną, przy którym Diana potrafiła zapomnieć o Samie.

Sam. Przez dziesięć długich lat po tym, jak Sam od niej odszedł, wszelkie próby nawiązania stałego związku z innym mężczyzną kończyły się niepowodzeniem. Kiedy samotność stawała się nie do zniesienia, Diana była jak mityczna bogini łowów. Szukała nowej miłości w nadziei, że pomoże jej to uciec przed bolesnymi wspomnieniami. Pojawiali się w jej życiu mężczyźni, którzy ją kochali, ona jednak nie była w stanie odwzajemnić ich uczuć, bo ciągle żywa pamięć o Samie rzucała mroczny cień na radość nowych znajomości.

Ale pięć lat temu w jej życiu pojawił się Chase Andrews. Znalazł drogę nie tylko do jej łóżka, ale i do serca. Kiedy Chase się z nią kochał, jego delikatne dłonie i czułe pocałunki pozwalały zapomnieć o bolesnych wspomnieniach i Diana odnajdywała samą siebie.

Chase pragnął Diany, tylko Diany, zawsze Diany. A ona pragnęła tylko jego, tego wspaniałego mężczyzny, który przywrócił jej radość życia, wszystko to, o czym od dawna zapomniała. Pragnęli siebie nawzajem ą2 i nikogo więcej. Chcieli, żeby tak było już zawsze. Nie planowali żadnych zmian.

Zanim się pobrali, postanowili wspólnie, że nie będą mieli dzieci. Dla Chase'a najwspanialszymi dziećmi były jego budynki i to właśnie one miały zapewnić mu nieśmiertelność. Diana miała swoją karierę, swoje serce. Diana była absolutnie pewna, że decyzja Chase'a jest nieodwołalna. Nigdy nie zdecydowałyby się za niego wyjść, gdyby było inaczej, bo wiedziała, że już nigdy nie będzie miała dzieci...

Kiedy Chase powiedział jej, że chciałby zostać ojcem, wróciły do niej wszystkie najbardziej bolesne wspomnienia i rzuciły cień na jej miłość do męża, tak jak zdarzało się to już przedtem, kiedy próbowała związać się z innymi mężczyznami.

Diana nigdy nie powiedziała Chase'owi o Janie, o tym darze miłości, jaki otrzymała od Sama, o swojej ukochanej córce, która umarła. Chase i Diana nie opowiadali sobie o przeszłości. Diana uznała, że nie ma potrzeby mówić Chase'owi o Janie, dzielić z nim

tego smutku, skoro postanowili, że nie będą mieli dzieci.

Jednak pół roku temu Chase zmienił zdanie i nagle znaleźli się po przeciwnych stronach przepaści, która stale się pogłębiała, pochłaniając łączącą ich miłość.

Diana omal nie powiedziała mu o Janie, ale w końcu doszła do wniosku, iż nie może prosić Chase'a, by porzucił swe marzenia dlatego, że ona przeżyła kiedyś tragedię. Wiedziała poza tym, co w takiej sytuacji zrobiłby Chase. Przestałby nalegać, ale nadal pragnąłby dziecka. I kiedyś jeszcze by do tego powrócił.

Powiedziałby łagodnie, że mimo śmierci jej córki mogliby mieć dzieci. Oni nie umniejszyłoby to jej miłości do Janie, nie odebrałoby jej drogich wspomnień.

Wtedy Diana musiałaby stawić czoło prawdzie. Kochała Chase'a Andrewsa wystarczająco, by spędzić z nim resztę życia, ale nie dość, by mieć z nim dzieci. Nigdy już nie będzie kochać tak bardzo - tak, jak kochała Sama - to zbyt ryzykowne.

Diana powiedziała więc po prostu, że nie chce żadnych dzieci. A on uznał, że powodem tej odmowy jest jej kariera. Dyskutowali o tym, sprzeczała się, płakali. I w końcu Chase musiał dokonać wyboru. Wybrać z Dianą, ale bez dzieci, czy życie bez Diany, ale z kimś, kto może dać mu dziecko?

Chase podjął decyzję, taką samą, jaką piętnaście lat temu podjął Sam: Mogę żyć bez ciebie, Dianko. I tego właśnie chcę.

8 - Melodie miłości

Chase również ubrał się starannie, specjalnie dla niej. Włożył ciemnopopielatą garnitur, w odcieniu pasującym do jego szarych oczu, w którym zawsze bardzo się Dianie podobał.

- Witaj - powiedział tylko, ale w tym jednym słowie zawierały się wszystkie znaczenia i uczucia - szczęście, że znowu ją widzi, bo za nią tęsknił, smutek, bo przypomniał sobie cel tej wizyty, niepewność, bo czy na pewno tego właśnie chce? I pożądanie, bo jest taka piękna, a on ciągle ją kocha.

- Cześć - powiedziała Diana w taki sam sposób. - Wejdz. Napijesz się szampana?

- Chętnie.

Stuknęli się kieliszkami w milczącym toaście nie bardzo wiadomo za co: czy za to kulturalne, gładkie rozstanie, czy za szczęście, które kiedyś może znowu zawita.

- Wysłałam cię w trzytygodniową podróż do Europy - powiedział Chase, wyciągając z kieszeni grubą kopertę i wręczając ją Dianie. - Ósmego września. Chyba z tak dużym wyprzedzeniem zdołasz załatwić sobie urlop.

- Tak, ale...

- Musisz pojechać, Diano. Wszystko jest już zarezerwowane i zapłacone.

- Oczywiście wysyłasz mnie tam pierwszą klasą, prawda?

- Od początku do końca.

Diana uśmiechnęła się słabo. Chase tak dobrze ją znał. Wiedział, że ona sama nigdy nie wybrałaby się na taki luksusowy urlop, choć byłoby ją na to stać. Wiedział też, że powinna wyjechać gdzieś daleko, wszystko przemyśleć, nabrać dystansu, ochłoniąć. Gdzie jest piękniej niż w Europie wczesną jesienią? Od razu poczuje się lepiej.

Tak. Diana знаła z własnego doświadczenia dobroczynne działanie czasu. Nie zawsze leczy, ale na pewno przytępia ból...

We wrześniu będzie już dość przytępiiony, by mogła stawić czoło myśli, która brzęczy nieprzerwanie w głębi jej mózgu jak natrętna mucha. Przegrałaś. Nie potrafisz dać szczęścia mężczyźnie, którego kochasz... Sytuacja się powtarza.

Ta myśl wymagała dogłębnej analizy. We wrześniu - w Londynie, w Paryżu i innych cudownych miejscach - spróbuje znaleźć na nią odpowiedź.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Chase dał jej pożegnalny prezent. Diana także miała dla niego prezent, pochodzący z zupełnie innego okresu, z czasu początków ich miłości. Prezent, który teraz musiała mu zwrócić. ąą4

- Pomyślałam, że chciałbyś mieć to z powrotem - powiedziała cicho, wyciągając z

kieszeni szafirowej sukienki pierścionek z brylantem.

- To nie jest konieczne, Diano.

- Ale tak będzie lepiej, nie sądzisz? Lepiej, żebym ci go zwróciła.

Diana wyciągnęła rękę z pierścionkiem w stronę Chase'a, a on w końcu go wziął. Dotknął przy tym jej palców: smukłych, utalentowanych, pewnych palców chirurga, które teraz drżały. Chase przytrzymał jej dłoń, a potem powoli, delikatnie przyciągnął Dianę do siebie i zaczął ją całować.

Diana natychmiast poczuła pożądanie, jakie zawsze budził w niej jego dotyk. Czy będą się kochać? Rozsądek kazał im się rozstać, serca uczyły się już, jak żyć teraz, kiedy łącząca je miłość umarła, ale ciała chciały przypieczętować rozstanie ostatnim, zapierającym dech w piersiach pocałunkiem, chciały przeciągnąć ostatnie chwile tej trwającej pięć lat namiętności. Czy to uczyniłoby rozstanie prawdziwszym, bardziej ostatecznym, nieodwołalnym? Jak epilog znakomitej sztuki, po którym wszyscy bez żalu rozchodzą się do domów?

Pocałunek stawał się coraz głębszy, coraz gorętszy, ale Diana nie potrafiła się w nim zatracić. Czy to jednak nie zbyt bolesna tortura? Ta noc, choćby była upojna jak żadna dotąd, nie doprowadzi rano do pojednania.

Diana odsunęła się od Chase'a i spojrzała mu w oczy. Dostrzegła w nich pożądanie i głęboki smutek. Chase chciał się pożegnać i...

- Nie mogę tego zrobić, Chase.

Delikatnie ujął jej twarz w dłonie i uśmiechnął się smutno.

- Rozumiem - powiedział. - Diano, tak mi przykro.

- Wiem.

Chase wyszedł. Zniknął z jej życia na zawsze. Diana stała potem jeszcze długo na balkonie, zupełnie sama, patrząc zamglonymi przez łzy oczyma na dalekie, zimne światła Manhattanu.

Był czwarty lipca. Od wieczora kiedy Patrick spotkał Casey na plaży i pomógł jej

wrócić na ląd, minęło już dziesięć dni. Nie pojawił się dotąd i może już się nie pojawi. Po co miałby wracać?

Po rozstaniu się z Patrickiem Casey przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze sypialni w SeaCliff. Jakiego spustoszenia w jej wyglądzie dokonało morze i łzy. Co za straszna zmiana, pomyślała, patrząc na potargane włosy, zmięte ubranie i spłoszone błękitne oczy. Mogła wydawać się nawet pociągająca, ale w inny niż dotychczas sposób.

ąą5

Ale jeśli nawet mogła się w tym stanie podobać, wszystko psuło to, że nie potrafiła ukryć swych uczuć. Jeśli nawet Patrick zwrócił uwagę na jej piękne ciało, przysłonięte tylko mokrą bawełnianą koszulką, z pewnością szybko stracił całe zainteresowanie jej osobą, kiedy przypomniał sobie jej niepewność, jej łzy, jej słabość.

Teraz Patrick James z pewnością już o niej zapomniał.

Casey wiele czasu poświęcała na naukę, ćwiczyła, jadła tyle co nic, ale każdego dnia chodziła na plażę, by patrzeć na zachód słońca i gonić się z falami. Casey zegnała co dzień wielką ognistą kulę, stojąc u stóp skał, nigdy nie próbując odnaleźć ścieżki wiodącej na łąkę. Łąka była zaczarowanym miejscem Patricka. Może przyjeżdża tam co wieczór, cwałując przez las, żeby uniknąć spotkania z nią... Ale ona już i tak odebrała mu jego plażę.

Casey nie znajdowała odpowiedzi na ważne pytania, ale zapomniane uczucia powoli zaczynały wypływać na powierzchnię z głębi jej duszy; uczucia, których nie mogła kontrolować ani zagłuszyć - radość i szczęście.

Kiedy Patrick zapukał do drzwi SeaCliff wieczorem czwartego lipca, Casey akurat się uczyła.

- Patrick!

- Witaj, Casey. Jak się miewasz?

Odpowiedzią na jego pytanie był jej pełen szczęścia, zaskoczony uśmiech. A on zadał to pytanie, żeby zyskać na czasie i na nowo przyzwyczaić się do jej widoku. Myślał

o niej, usiłując przekonać samego siebie, że powinien trzymać się od niej z daleka, bo jest taka delikatna i śliczna, a on może jej zaoferować tylko swoje wspomnienia i desperackie pragnienie, żeby z nią być.

W ciągu tych dziesięciu dni Casey stała mu przed oczami jak żywa. Zaczął już nawet ją szkicować, próbując uchwycić ten zapierający dech w piersiach wyraz zaskoczenia i bezbronności, który pojawił się na jej twarzy, kiedy się do niego odwróciła, stojąc na cyplu. Patrick zapamiętał ten obraz z fotograficzną niemal dokładnością. Teraz jednak, kiedy Casey stała przed nim znowu, wydała mu się jeszcze delikatniejsza, piękniejsza, bardziej niezwykła niż wtedy.

- Świetnie, Patrick.

- Pomyślałem, że może wybrałabyś się ze mną popatrzeć na fajerwerki.

- Do klubu?

- Nie. Na łąkę.

- Bardzo chętnie. ąą6

Zeszli krętą ścieżką na plażę. Kiedy byli już na dole, Patrick wziął koc, który zostawił na wyrzuconym przez morze pniu drzewa.

- Nie masz dziś konia?

- Zachód słońca to tylko pierwszy akt. Pomyślałem sobie, że pewnie chciałabyś obejrzeć resztę przedstawienia.

- Och tak.

Oglądali bajeczny spektakl zachodu słońca, fajerwerki natury, a potem patrzyli, jak wstają kolejne gwiazdy i księżyc. Znowu zbliżała się pełnia. Na zalanej łagodnym księżycowym blaskiem łące słuchali dźwięków letniej nocy, muzyki cykad, pieśni słowików i cichych szeptów liści poruszanych ciepłym letnim wietrzykiem.

- Ogrom nieba sprawia, że czuję się taka mała. Taka nieważna szepnęła Casey, patrząc w atramentowoczarne niebo, na którym zablęśły miliony gwiazd.

A wszystkie jej osiągnięcia wydawały się teraz tak trywialne.

- Naprawdę? A ja czuję się kimś ważnym, dlatego że jestem częścią wspaniałego wszechświata.

- Och, Patrick. Skąd w tobie tyle mądrości?

- Nie jestem wcale mądry, Casey.

- Mam wrażenie, że wiesz, co jest w życiu ważne, a co nie.

- Naprawdę?

- Tak. - Casey uśmiechnęła się nieśmiało i spytała cicho:

- Co jest dla ciebie najważniejsze na świecie?

- Wolność - odparł Patrick bez wahania.

Wolność... Tak, Patrick jest mądrym człowiekiem.

- Jaka wolność?

- Wolność, która pozwala patrzeć na gwiazdy i morze, wolność, dzięki której mogę galopować po pustej plaży, wolność...

Patrick urwał nagle, bo serce nieoczekiwanie podpowiedziało mu coś, o czym nigdy dotąd nawet nie marzył. Ta wolność była cudownym przywilejem, którego dawno temu został pozbawiony. Dotychczas nie miała większego znaczenia. Teraz jednak okazało się, że jest najważniejsza, że bez niej cały świat nie ma znaczenia.

- Wolność?

Patrick nie odpowiedział, spojrział tylko smutnie w jej ufne, błękitne oczy. Wolność kochania, dokończył w myślach.

ąą7

Patrick pocałował ją na dobranoc. Była północ, a oni stali przed drzwiami jej domku na plaży. Patrick lekko zmarszczył brwi, zanim dotknął ustami jej warg, jakby nie był pewny, czy dobrze robi, ona dostrzegła pożądanie w jego oczach. Był to delikatny, miękki pocałunek, lekkie muśnięcie ustami, najczulsze z pożegnań. Składając go na rozchylnych wargach Casey, Patrick delikatnie głaskał jej złotorude włosy.

Nie musisz być ze mną taki ostrożny, pomyślała Casey. Mam w tej dziedzinie

wystarczające doświadczenie.

Ale Casey nie była przygotowana na te nieznanne, cudowne uczucia, których doznawała, kiedy dotykał jej Patrick. Prawdę mówiąc, dotychczasowe doświadczenia tylko sprawiły, że stała się nieufna. Stała się mistrzynią w uwodzeniu, zdobywała serca najprzystojniejszych, najbardziej wpływowych mężczyzn. Bogaci i sławni pożąдали jej, a ona ich, dopóki się do niej nie zbliżyli. Casey nie czuła nic, kiedy ją całowali, i niewiele więcej, kiedy się z nią kochali. Odczuwała tylko zdumienie i rozdrażnienie, gdy okazywali, jaką im sprawiła przyjemność, złość, kiedy oczekiwali wdzięczności za swoje wysiłki, i dojmujące poczucie klęski, kiedy rano kolejny podbój okazywał się kolejną porażką.

Również w tym wszystkim musi być coś więcej, prawda? Casey widziała po ich oczach, że musi być. Ona jednak doznawała tylko rozczarowania. Miała poczucie, że wbrew dążeniu do doskonałości w każdej dziedzinie życia w łóżku jest zimna jak lód.

Jednak z Patrickiem Casey nie była zimna.

Pocałował ją, a ona oddała mu pocałunek i poczuła, że chce więcej. Zapragnęła nagle spełnić każde życzenie, które dojrzy w jego szarozielonych oczach. Ale Patrick oderwał wargi od jej ust. Jego szarozielone oczy prócz niemego pragnienia, żeby być z nią, wyrażały coś jeszcze. Niepokój.

Och, Patricku, pomyślała Casey Nie jestem już dziewicą.

Co ja, do diabła, wyprawiam? - Zastanawiał się Patrick. Ona jest taka słodka, a ja tak bardzo jej pragnę, ale czy mam prawo ją kochać? Co mogę jej zaoferować? Co mogę jej obiecać? Nic, poza pewnością, że całe życie będę musiał się ukrywać.

- Patrick? - powiedziała Casey głosem pełnym obawy, jakby nie była pewna, czy on jej pragnie. Patrick spojrział jej w oczy i już wiedział, że nie potrafi się z nią tak po prostu rozstać.

- Zobaczmy się jeszcze, Casey?

- Och, tak.

- Jutro pracuję do późna, więc może pojutrze? Koło dziewiątej?
- Zgoda. A co robisz? ąą8
- Uczę jazdy konnej w klubie.
- Rozumiem.

Nie, nic nie rozumiała. Kiedy Patrick już poszedł, leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć, próbując dopatrzeć się w tym, co powiedział, jakiegoś sensu. Patrick powiedział jej, że nigdy nie żartuje, ale przecież teraz chyba zażartował. Może tego lata uczy jazdy konnej w klubie, bo akurat ma na to ochotę, ale zazwyczaj spędza wakacje, pływając własnym jachtem, wylegując się na plażach St. Tropez albo zarządzając swoją firmą na Manhattanie.

Casey próbowała zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, i nagle doznała olśnienia. Serce zabiło jej mocniej, a na jej usta wypłynął uśmiech. Ona i Patrick są tacy do siebie podobni. Oboje są bogaci, uprzywilejowani, odnoszą sukcesy, ale tego lata postanowili odrzucić to wszystko i po prostu cieszyć się wolnością.

Tego lata Patrick James jest tylko instruktorem jazdy konnej, a Casey English po prostu zarabia na życie, jak każdy szary obywatel. Dla obojga najważniejsze jest to, kim naprawdę są, a nie co osiągnęli, zdobyli czy posiadli.

Tego lata Patrick i Casey dzielą się prawdą swoich serc, namiętnymi pocałunkami i...

Casey zadrżała, przypominając sobie pocałunki Patricka i to, jaką rozkosz obiecywały jego szarzielone oczy. Wiedziała, że kiedy wróci do niej za dwa dni, nie skończy się tylko na pocałunkach. Casey drżała z pożądania, ale i ze strachu.

Z pożądania, bo tak bardzo pragnęła Patricka. Ze strachu, bo bała się, że rozczaruje ich oboje.

Casey zamówiła szampana w sklepie w miasteczku. Dostawa kosztowała prawie tyle samo co szampan, bo Casey zależało na czasie. Zamówiła jedną butelkę najtańszego szampana, jakim akurat dysponowali. Była przecież tylko zwykłą, zarabiającą na życie dziewczyną. Najtańszy szampan w sklepie w Southampton i tak kosztował dwadzieścia

dolarów. Zakurzona butelka Mumm'sa stała bezceremonialnie wciśnięta między Kruga a Dom Perignon.

Tego wieczora Casey nie podała jednak Patrickowi szampana. Dała mu tylko siebie. Jej dar został przyjęty radośnie, z wdzięcznością i zachwytem.

Och, Patricku, znowu przybyłeś, by mnie uratować, prawda? pomyślała Casey, kiedy jego usta dotknęły jej ust, dostarczając tak

ąą9 cudownych doznań. A jeśli nie można jej już uratować? Jeśli obudzone w niej uczucia zaraz zginą, zmrożone jej wewnętrznym zimnem? Iskierki pożądania, które zapaliły się w niej pod jego dotykiem, zmieniały się w płomienie, coraz jaśniejsze i gorętsze. Jeśli jednak zaraz zaczną przygasać?

- Szybko, Patricku, spieszymy się.

Patrick dostrzegł w jej oczach pożądanie i strach.

- Nie musimy się spieszyć, Casey.

- Musimy.

- Nie.

Delikatnie, czule, Patrick udowodnił Casey, że jej uczucia nie znikną tak nieoczekiwanie, jak się pojawiły. Ogień ich miłości nie był efektem taniej sztuczki ani zręczności jego dłoni. Był prawdziwy, pochodził wprost z ich serc.

Cudowne doznania, z każdą chwilą stawały się coraz silniejsze. Patrick namiętnie całował całe jej ciało - wargi, szyję, ramiona, piersi... a potem miejsca, których Casey nigdy nikomu nie pozwalała dotąd całować.

Casey nie była oziębła, a cudowne doznania trwały. Kiedy jednak ogarnęły jej całe ciało z nieznaną siłą, znowu opanował ją lęk.

- Och, Casey! - szepnęła czule Patrick, patrząc w jej błękitne oczy. Wyczuł, że jest to jej pierwszy raz - jeśli chodzi o miłość, nie o sam seks - i był tak ostrożny i delikatny, ciągle jednak widział w jej oczach strach. - Nie bój się.

- Patrick, ja...

- W porządku, kochanie. Będzie cudownie. Jestem tu z tobą, Casey.

Patrick naprawdę był z nią całym sobą, obejmując ją, uśmiechając się do niej, sprawiając, że nagle poczuła się tak bezpiecznie...

Wystarczająco bezpiecznie, by bez wstydu pozwolić wybuchnąć nagromadzonym emocjom.

By poczuć się wolną.

- Spójrz na mnie - poprosił Patrick, kiedy ich przyspieszone oddechy i oszalałe bicie serc zaczęły się uspokajać. Casey, zwinęta w kłębek, leżała nieruchomo w milczeniu, z głową opartą o jego pierś. Patrick czuł drżenie jej ciała i gorące lzy na swojej pierś. - Casey?

Kiedy Casey podniosła głowę, Patrick delikatnie odsunął z jej twarzy pasmo złotorudych włosów.

- Cześć.

- Cześć. - Casey uśmiechnęła się nieśmiało. ą20

- Wiesz, jesteś jak kwiat zroszony deszczem na klombie.

Patrick czule dotknął jej gorącego, mokrego od łez policzka. W błękitnych jak niezapominajki oczach dostrzegł radość, cień niepewności, niedowierzanie - jakby nie mogła uwierzyć, że to, co się stało, może się jeszcze kiedyś powtórzyć.

Pocałował ją i mocno do siebie przytulił.

- Co tam włożyłaś? - spytał Patrick, podnosząc plecak spakowany przez Casey.

Plecak okazał się cięższy niż zwykle, najwyraźniej było w nim coś jeszcze poza swetrami i pledami, które zabierali ze sobą, kiedy szli nocą na łąkę. W ostatnim miesiącu Patrick i Casey spędzili razem prawie wszystkie noce - na łące, jeśli Patrick mógł przyjść przed zachodem słońca, albo na plaży lub w domku, jeśli było już ciemno.

- Butelkę szampana.

- Oho.

Casey знаła już takie chwile milczenia, które zapadały czasami w przerwach między

ich rozmowami, znała ciszę, w której tylko tulili się do siebie w środku miłosnej nocy, znała niemy zachwyt, z jakim razem wpatrywali się w zachód słońca i pierwsze gwiazdy pojawiające się na niebie. Potrafili bez skrupowania milczeć dłuższy czas, ale teraz, kiedy szli plażą na łąkę, w milczeniu Patricka wyczuła jakiś niepokój. Przypomniała sobie, że kiedy wspomniała o szampanie, w jego oczach też pojawiło się zaniepokojenie.

- Odpowiada ci ten gatunek? - spytała, wyciągając butelkę z plecaka, kiedy doszli już na łąkę.

- Jasne. Nigdy wcześniej nie piłem szampana.

- No tak, powinnam była cię zapytać, co wziąć. Pewnie wolałbyś wino, burbona albo whisky.

Przez cały ostatni miesiąc Casey nigdy niczym nie częstowała Patricka - nie przygotowywała kolacji, śniadań, nawet kawy - dawała mu tylko siebie, a on niczego więcej od niej nie chciał. Tego wieczora, wiedziona nagłym impulsem, wzięła butelkę szampana, którą kupiła na ich pierwszą miłosną noc.

- Nigdy nie piłem żadnego alkoholu.

- Nigdy? - Casey spojrzała na niego trochę zdumiona. Zdumiona i zmartwiona, gdy dostrzegła w szarzielonych oczach ból. Z pewnością

ą tą jest jakiś powód, dla którego Patrick nigdy nie spróbował żadnego alkoholu, powód, który sprawia mu ból, i jeśli ona mogłaby pomóc...

- Dlaczego? - zapytała po chwili.

Patrick cały czas zastanawiał się, czy tej nocy zdecyduje się powiedzieć jej prawdę o sobie... o przestępstwie, o które został fałszywie oskarżony... Wiedział, że w końcu będzie musiał jej o tym powiedzieć. Wiedział też, że gdy to uczyni wszystko się między nimi zmieni nieodwracalnie - albo skończy. Planował, że powie Casey prawdę tuż przed jej wyjazdem do miasta. W ten sposób, jeśli nie zechce dzielić jego losu, będzie mogła odejść od niego bez trudu, pod pretekstem, że jest bardzo zajęta w pracy.

Ale teraz Casey zapytała go, czemu nigdy dotąd nie pił żadnego alkoholu i Patrick

nie był pewny, czy tej nocy nie powie jej wszystkiego.

- Nigdy nie czułem się dość bezpiecznie, żeby pić.

Casey nie pytała go już o nic, ponieważ nie chciała brutalnie wtrącać się w jego życie. Uśmiechnęła się tylko łagodnie, a kiedy podniósł na nią szarozielone oczy, znowu spokojne i pogodne, domyśliła się, że wyjaśni jej to kiedy indziej, nie tej nocy.

- A teraz, Patricku, czujesz się bezpiecznie? - zapytała w końcu, cicho, błagając w duchu, żeby czuł się przy niej tak bezpiecznie, jak ona przy nim!

- Nawet bardzo - uśmiechnął się Patrick. - Spróbujmy więc tego. Sięgnął po butelkę i otworzył ją z wprawą. Natychmiast dostrzegł na twarzy Casey zaskoczenie i niepokój. Na pewno pomyślała, że ją okłamał. - Pracuję dorywczo jako barman - wyjaśnił szybko, chcąc ją uspokoić. Sam jednak zrozumiał, że stąpa po cienkim lodzie. O, Casey, czy będziesz się czuła bardzo oszukana, kiedy w końcu powiem ci prawdę o sobie?

- I nigdy nie próbowałeś drinków, które przyrządzasz?

- Nie. Ale zawsze byłem ciekaw, jak smakuje szampan.

Szampan, pity z zabranych przez Casey kieliszków, bardzo Patrickowi smakował, wolał jednak od niego upajający smak złotowłosej kobiety, która mu go podała. Szybko też poczuł jego działanie i doszedł do wniosku, że miał rację, wystrzegając się dotychczas alkoholu. Nawet w tym spokojnym, idyllicznym miejscu, przy kobiecie, którą kochał, czuł, jak szampan powoli przytępia jego czujność. Nagle poczuł się odważny i beztrojski. Było to cudowne uczucie. Na Casey alkohol działał wspaniale - była ciepła, radosna, więcej się śmiała. Ale Patrick przypomniał sobie dom w slumsach, w którym upłynęło jego dzieciństwo. Tam, gdzie na brudnych, ciemnych przedmieściach nawet 22 dzieci biegały po ulicach z bronią, zamroczenie alkoholem mogło kosztować życie. Tam alkohol zabijał - powoli niszczył serca i umysły, odbierając nadzieję. Tam chwila nieostrożności mogła skończyć się tragicznie, bo między betonowymi blokami toczyła się nieustanna, okrutna wojna.

Szampan nie miał wpływu na to, jak się kochali, bo ich namiętność od początku nie

znała ograniczeń, pomógł jednak Patrickowi pozbyć się zahamowań, zmuszając go do wypowiedzenia na głos słów, które już od dawna powtarzał radośnie w myślach.

Patrick powiedział Casey tej nocy tylko jedną prawdę. Tę, którą chciał jej wyznać później, na samym końcu, prawdę o sobie, którą powinna znać... najważniejszą ze wszystkich.

- Kocham cię, Casey. Kocham cię.

- Och, Patricku, ja też cię kocham.

- Kiedy wyjeżdżasz do miasta? - spytał Patrick następnego ranka, przed powrotem do stajni.

- Moje rzeczy zostaną przesłane z Kalifornii w ostatnim tygodniu sierpnia. Wtedy pojadę, żeby wprowadzić się do swego mieszkania.

Żeby rozpakować swoje ciuchy od najlepszych projektantów, wyjąć biżuterię ze skrzynki depozytowej, upewnić się, że jej mercedes przybył do Nowego Jorku bez zadrapań... i żeby zdać egzaminy. Casey nie martwiła się tym, że będzie musiała ujawnić przed Patrickiem kilka nieistotnych faktów ze swojego życia, zakładała, że on jest jej winien podobne wyznanie. Nie spieszyła się więc. Oboje będą wkrótce musieli wrócić do życia pełnego pracy, obowiązków i sukcesów, na razie jednak Casey nie chciała kończyć tego cudownego lata pełnego swobody i miłości.

- Pracę zacznym dopiero we wrześniu, wrócę więc w piątek i zostanę na weekend. W piątek będę musiała też pójść na pewne przyjęcie. - Nie dodała, że miało być wydane na jej cześć. Popatrzyła w oczy Patricka. - Mógłbyś pójść tam ze mną?

- W piątek przed długim weekendem?

- Tak.

- Niestety, nie.

- Na pewno?

- Tak. W ten piątek będę musiał pracować do późna. Ale możemy zaplanować coś na jutrzejszy wieczór.

- Jestem wolna.
- Świetnie. Wybierzmy się więc na kolację.

ą2ł

- Piknik na łące z szampanem w świetle księżycy?
- Co tylko sobie zamarysz.

##

Southampton, Long Island

sierpień 1989 Wypłoszył cię deszcz? - zapytał Jeffrey z uśmiechem, kiedy Julia pojawiła się w drzwiach biblioteki.

Ostatnia niedziela sierpnia rozpoczęła się nieznośnym, wilgotnym upałem, ale koło południa z ciężkiego, szarego nieba zaczął padać deszcz. Merry była na kinderbalu, a Jeffrey i Julia postanowili, że będą pracować do kolacji, on w bibliotece, ona w swoim ogrodzie różanym.

- Owszem. Chyba pójde na zakupy. Chciałbyś coś specjalnego?
- Ciebie.
- Na obiad.
- Ta sama odpowiedź.
- Możesz mnie dostać na deser.
- Obiecujesz?
- Oczywiście.
- Zgoda. Więc na kolację chcę coś, co można zjeść bardzo szybko.
- Tatusiu? Mogłabym porozmawiać z mamusią?
- Mama poszła do sklepu, Merry.
- Kiedy wróci?

Jeffrey dosłyszał nutkę paniki w cienkim głosiku po drugiej stronie.

- O co chodzi, skarbie? - zapytał łagodnie.
- Muszę wrócić do domu. Mógłbyś poprosić mamę, żeby przyszła po mnie, jak tylko

wróci? - Głosik zaczynał niebezpiecznie drżeć.

- Oczywiście, ale to trochę potrwa.

- To może zadzwonię do cioci Paige i wujka Edmunda.

- A może ja po ciebie pojadę?

- Dobrze.

- Zaraz tam będę. - Jeffrey przypomniał sobie, jaka odległość dzieli Belvédère od posiadłości Montgomerych. - Za sześć minut, zgoda? ą24

- Zgoda.

Danielle Montgomery nie odprowadziłaby Merry do samochodu, gdyby za kierownicą siedziała Julia, i z całą pewnością nie przeprosiłaby jej nawet jednym słowem. Merry jest po prostu przewrażliwiona, nic więcej. Ale za kierownicą siedział Jeffrey.

- Jeffrey, najmocniej cię przepraszam. Powinam była zapytać najpierw Julię... ale nie spodziewaliśmy się, że zacznie padać. Myślałam, że całe popołudnie spędzimy w ogrodzie. Inna rzecz, że większość dziewięciolatków widziała już ten film.

Jeffrey pokiwał w roztargnieniu głową, prawie nie patrząc na Danielle. Merry miała łzy w wielkich brązowych oczach i wydawała się taka przerażona, bezbronna. I tak bardzo starała się być dzielna.

Sześciominutową przejażdżkę z powrotem do Belvédère odbyli w milczeniu. Jeffrey spoglądał na Merry, uśmiechając się współczująco, ona jednak nie odezwała się ani słowem. Walczyła z napływającymi jej do oczu łzami, poza tym najwyraźniej czuła się nieswojo w jego obecności.

Czemu miałyby być inaczej? Przecież nawet go nie zna. Jadąc do Montgomerych, Jeffrey uświadomił sobie, że ta krótka rozmowa, jaką właśnie przeprowadzili, była ich pierwszą rozmową przez telefon. A teraz, jadąc ostrożnie po śliskiej, mokrej od deszczu drodze, patrząc na tę małą dziewczynkę, tak dzielnie walczącą ze łzami, zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie był z nią sam na sam.

Kiedy podjechali przed Belvédère, Merry szybko wysiadła z samochodu i pobiegła

do domu w poszukiwaniu Julii. Gorączkowo biegała od pokoju do pokoju. Jeffrey słyszał, jak wołała rozpaczliwie **M**amo? Gdzie jesteś? □

- Merry? - powiedział łagodnie, patrząc na małą, drżącą figurkę, stojącą samotnie w tym wielkim pokoju, gdzie zakończyły się jej poszukiwania, i na jej łzy, których nie potrafiła już powstrzymać.

Na dźwięk jego głosu Merry podniosła głowę. Jeffrey zobaczył jej bladą twarzyczkę i zagryzł wargi. Merry była taka zagubiona, przerażona, delikatna, wyglądała zupełnie jak Julia tamtego wieczora, kiedy wyznała mu, że ma dopiero szesnaście lat. I tak, jak chciał to uczynić przy Julii wiele lat temu, również teraz Jeffrey pragnął osuszyć te łzy na zawsze, sprawić, by ich miejsce zajął radosny uśmiech.

- Powiedz mi, co się stało, kochanie. - Jeffrey ukląkł przed nią na dywanie.

- Tam... widziałam film. Pokazali go nam, bo zaczęło padać. Ten film był strasznie smutny.

- Co to był za film?

ą25

- Nazywał się Stary śpiewak.

Stary śpiewak. W jednej z tych rzadkich chwil, kiedy w Victorii budziły się uczucia macierzyńskie, postanowiła zabrać na ten film Jeffrey'a. Miał wtedy dziewięć lat. Wszystkie dzieci widziały Starego śpiewaka i bardzo im się podobał, tak przynajmniej słyszała. Jego jednak ten film głęboko zasmucił. Jeffrey nigdy nikomu o tym nie powiedział, nawet swoim dziadkom. Ukrył łzy przed całym światem. Teraz jednak znowu odczuł dawny, przejmujący smutek.

Gdyby wiedział, że Merry ma tego popołudnia oglądać Starego śpiewaka, z pewnością zaprotestowałby, tak jak uczyniłaby też Julia. Julia poświęcała całe swoje życie na roztaczanie nad córką parasola ochronnego.

- Kiedy byłem małym chłopcem, mniej więcej w twoim wieku, też widziałem Starego śpiewaka - powiedział Jeffrey, patrząc w śliczne, smutne brązowe oczy. - I potem

byłem bardzo, bardzo smutny.

- Naprawdę? - w głosie Merry zabrzmiała nadzieja.

- Tak. Naprawdę.

- Dlaczego on musiał umrzeć, tato? - spytała Merry tak, jak pytał dwadzieścia siedem lat temu mały Jeffrey. Głos znowu zaczął jej drżeć, a w oczach pojawiły się łzy.

- Nie wiem, czemu musiał umrzeć, kochanie - odparł Jeffrey cicho. - Czasem zdarzają się w życiu smutne rzeczy.

Merry pokiwała głową w zamyśleniu. Potem odważnie spojrzała mu w oczy.

- Wiadomości w telewizji też są czasem bardzo smutne, prawda? A musisz mówić o nich ludziom. Czy zdarza ci się płakać z tego powodu?

- Czasami - przyznał cicho Jeffrey. - Merry, skąd wiesz o telewizyjnych wiadomościach?

- Co wieczór oglądam cię razem z mamą.

Przed oczami Jeffreyego stanęły nagle te filmy, których Merry nie powinna oglądać. Przypomniały mu się zdjęcia z masakry na rzymskim lotnisku, w której zginęła córka dziennikarza. Zdarzyło się to trzy i pół roku temu, ale on nigdy tego nie zapomni. A wiadomości z ostatnich czterech miesięcy jakże były pełne przerażającej przemocy - niewyobrażalne rytualne okrucieństwo w Matamoros, tragedia na meczu w Sheffield, morderstwo w Kalifornii, popełnione przez ojca na jego dwóch małych córkach, wypadki na placu Niebiańskiego Spokoju, gdzie zginęło tylu chińskich studentów...

W ciągu kilku sekund wszystko to przesunęło się przed oczami Jeffreyego, jak na przyspieszonym filmie. O tym wszystkim Merry nie powinna nawet słyszeć. Nie mógł uwierzyć, że Julia na to pozwoliła. ą26

- Oglądasz wiadomości z mamą?

- Oglądamy cię. Mama zawsze ogląda pierwsza i nagrywa to, co mogę potem zobaczyć. Kiedyś, jak byłem młodsza, mogłam widzieć więcej, ale teraz więcej rozumiem, więc oglądam mniej - wyjaśniła Merry, której ten paradoks wydawał się

oczywisty. Najwyraźniej omówiły to z Julią. - Ale oglądam wszystkie twoje programy o polityce i gospodarce.

Jeffrey uśmiechnął się. Nagle ogarnęło go wzruszenie. A więc Merry ogląda wiadomości, żeby zobaczyć jego? Swojego tatę? Wyczeniem Julii było, aby w końcu stali się prawdziwą rodziną, ale czyżby ta śliczna, wrażliwa mała dziewczynka także czegoś od niego oczekiwała? Czyżby istotnie potrzebowała jego miłości?

Jeffrey zakładał, że Merry niczego od niego nie oczekuje. Wiedział, że w jej życiu nie brak miłości. Julia kochała córkę całym swoim sercem, a Edmund i Paige także obdarzali Merry niemal rodzicielskim uczuciem. Tego lata Jeffrey kilkakrotnie miał okazję przekonać się, jak silnie tych kilka wspólnie spędzonych w Southampton lat scementowało przyjaźń Merry i Julii z Amandą, Paige i Edmundem. On pozostawał na marginesie tego kółka, mającego wspólne wspomnienia radosnych chwil. Zawsze tak było. Teraz, kiedy próbował się tam włączyć, ponieważ obiecał to Julii, czuł się wśród nich niezręcznie, niepewnie i nie na miejscu. Oczywiście był mile widziany, ale nie należał do nich, był wśród nich obcy... bo nie był na piknikach, nie brał udziału w zabawach, nie chodził na spacer z Merry jak inni ojcowie ze swoimi córkami.

Tego lata, widząc, jak swobodna i roześmiana jest Merry przy Edmundzie, a jak nieśmiała i milcząca staje się przy nim, zaczął żałować, że nie brał w tym wszystkim udziału.

- Merry?

- Mama! - oczy Merry rozbłysły na widok matki. Pobiegła, by ją powitać. - Nareszcie jesteś.

- Tak, kochanie - Julia ukłękła przed nią, tak jak przedtem Jeffrey, i spojrzała w brązowe oczy. Poglaskała córkę po głowie. - Co się stało? - spytała łagodnie.

- Pokazali nam film. Nazywał się Stary śpiewak i był bardzo smutny. Chciałam wrócić do domu i zadzwoniłam. Tata po mnie przyjechał. Powiedział mi, że też widział ten film, jak był mały, i też zrobiło mu się potem bardzo smutno. - Merry mówiła do Julii,

patrzac ufnie na matke, na ktora zawsze mogla liczyc, jak na najbezpieczniejsza przystan, ale przy ostatnich slowach odwrócila sie i usmiechnela niezmialo do Jeffreya. - Tatus uratowal mnie tak, jak tamta dziewczynke w Bejrucie.

ą27

- Dziękuję - szepnęła Julia do Jeffreya i wzięła Merry za rękę. Chodź, pomożesz mi w kuchni, Merry, a tatuś skończy swoją pracę.

- Już skończyłem. Mogę wam pomóc?

- Oczywiście. Razem z Merry nakryjecie do stołu.

- Mogę ci pokazać, jak się robi ciasteczka czekoladowe, tatusiu, jeśli chcesz - zaproponowała Merry cicho.

- Bardzo chcę.

Jeffrey usmiechnął się do Merry, ale w sercu czuł niepokój. Tak, pragnie poznać tę małą dziewczynkę. Chce, żeby wiedziała, że na niego też zawsze może liczyć, że może mu ufać tak, jak ufa Julii, Paige i Edmundowi.

A może chcesz jeszcze więcej? Chyba naprawdę stali się rodziną?

Tak. Niewątpliwie. Obiecał Julii, że spróbuje, i była to obietnica złożona z miłości, nie był jednak pewny, czy dotrzyma słowa.

Ale teraz...

Jeffrey nie wiedział, czy Merry chce, żeby był jej tatą, czy potrzebuje jego miłości, ale postanowił, że da jej wszystko, czego będzie od niego potrzebowała - jeśli mu na to pozwoli i jeśli zdołają pokonać tę nieśmiałość, jaka wobec siebie odczuwają.

Kiedy usmiechnął się do wielkich brązowych oczu i małych usteczek, które złożyły mu tak śmiałą propozycję, a one odpowiedziały mu uśmiechem, Jeffrey uwierzył nagle, że wszystko jest możliwe. Wiem, że Merry nie może być twoją córką. Ale możesz kochać ją tak, jakby nią była, tak jak ja kocham ją jak swoją prawnuczkę□

Idąc za Merry i Julią do kuchni, Jeffrey przypomniał sobie mądre słowa grandmère. Miałaś rację, babciu, pomyślał, bo choć nic się nie zmieniło, wielki ciężar spadł mi z

serca. A tam, gdzie dotąd spoczywał, zakiełkowała teraz nadzieja.

- Będę za tobą tęsknił - wyszeptał Patrick, delikatnie całując Casey w szyję. Byli w saloniku w SeaCliff i patrzyli na strugi deszczu spływające po szybach. Patrick stał za Casey, obejmując ją w talii.

- Ja też będę za tobą tęsknić. Pięć nocy. Nie zmieniłeś zdania co do piątkowego przyjęcia?

- Nie. Naprawdę nie mogę. Przykro mi. Ale chciałem z tobą porozmawiać o naszej kolacji w sobotę. Pomyślałem, że może byłoby lepiej, gdybyśmy poszli do restauracji, a nie na naszą łąkę. W Southampton jest miła restauracyjka, nazywa się Chez Claude.

Chez Claude. Paige wspominała jej o tej drogiej, romantycznej francuskiej restauracji. ą28

- Pewnie nie można się tam pokazać w dżinsach ani w szortach.

- Możemy iść gdzie indziej, jeśli chcesz.

- Mam co włożyć. I bardzo chętnie pójdę z tobą do Chez Claude.

- Więc zarezerwuję stolik.

- Cudownie. - Casey spojrzała mu w oczy. - Czemu tak spoważniałeś na myśl o kolacji przy świecach i szampanie?

- Bo musimy porozmawiać.

- O tym, jak będziemy się spotykać, kiedy już wyjadę do miasta?

- Tak. - Patrick ucałował jej usta, przypieczętowując swoje słowa. Będziemy się nadal spotykać, najdroższa, jeśli będziesz tego chciała po tym, co ci o sobie powiem. - Ale jest jeszcze kilka innych spraw, o których chciałbym z tobą porozmawiać.

- Ja też muszę ci coś powiedzieć.

Patrick bał się tej rozmowy. Czy Casey poczuje się zraniona faktem, że nie powiedział jej prawdy wcześniej? Czy poczuje się oszukana i zdradzona? Czy będzie chciała od niego uciec? Na wszelki wypadek postanowił, że nie będzie jej tego utrudniał. Dlatego wybrał teren neutralny, wołał pójść z nią do restauracji, a nie na ich zaczarowaną

łąkę.

Casey nie bała się tej rozmowy. Nie obawiała się reakcji Patricka na to, co mu powie o sobie, nie bała się też tego, co on będzie miał jej do powiedzenia. Wiedzieli już o sobie nawzajem to, co najważniejsze. Szczegóły historie ich bogactwa i sukcesu - to drobiazg. Casey widziała, że Patrick niepokoi się tym, co będzie jej musiał powiedzieć, i domyśliła się, że jego niepokój wynika z poczucia winy. Udawał kogoś, kim nie jest, podobnie jak ona, i zwlekał trochę zbyt długo z wyznaniem prawdy. Jeśli to go tak martwi, to już wkrótce oboje będą się z tego śmiać.

A jeśli jest coś jeszcze?

Cóż, to także nie wzbudziło w Casey niepokoju.

Kochała Patricka i wiedziała, że on kocha ją. Nic innego nie miało znaczenia.

O godzinie trzeciej pracownicy firmy świadczącej usługi transportowe zniknęli i Casey mogła zacząć rozpakowywać swoje rzeczy w nowym, luksusowym apartamencie przy Central Park. Zaczęła od swoich książek prawniczych, bo to byli jej starzy przyjaciele. Została prawnikiem, ponieważ tego życzył sobie K.C. English. Jednak tego lata, rozmyślając o różnych rzeczach w swoim życiu, Casey uświadomiła sobie, że naprawdę wierzy w to, co robi. Nie musi być najlepszym prawnikiem na ziemi, ale kocha swój zawód.

ą29 9 - Melodie miłości

Podręczniki prawa były jej dobrze znanymi, drogimi przyjaciółmi. Podobnie jak komplet wiklinowych mebli z pastelowymi poduszkami. Lekkie, eleganckie fotele przywodziły jej na myśl SeaCliff.

Wieszając swoje eleganckie, kosztowne stroje w przestronnych szafach, Casey zmarszczyła brwi. Lniane suknie Ralpha Laurena, jedwabie Diora i szyfony Chanel bardzo różniły się od prostych bawełnianych ubrań, jakie nosiła przez całe lato, a które Patrick zdejmował z niej tak delikatnie, drżącymi rękami. Te drogie, wyszukane stroje należały do dawnej Casey, do utalentowanej aktorki, która odnosiła same sukcesy, ale nie

potrafiła się nimi cieszyć. Czy nowa Casey nie zniknie, kiedy nałoży którąś z tych pięknych sukien?

Nie! Pod lśniącym jedwabiem i satyną w dalszym ciągu pozostanie nowa, prawdziwa Casey. Tylko Patrickowi trochę więcej czasu zabierze ściągnięcie z niej tych strojów.

Casey uśmiechnęła się do swoich pięknych rzeczy i wybrała dwie sukienki, które weźmie na ostatni weekend w Southampton.

Na przyjęcie, które miało się odbyć w klubie na jej cześć, wybrała naszywaną cekinami suknię Cassiniego. Znany projektant nie wymyślił tej kreacji specjalnie dla Casey English, ale niezwykle pasowała do jej typu urody. Cekiny mieniły się delikatnymi odcieniami bladego błękitu i lila, które cudownie współgrały z kolorem jej oczu i pięknie odbijały od złotej, słonecznej lamy, na którą zostały naszyte. Casey postanowiła włożyć tę olśniewającą suknię w piątek, bo tego wieczora powinna wszystkich olśnić.

Na sobotę, na kolację przy świecach z Patrickiem, wybrała kremową suknię Laury Ashley. Była to delikatna, romantyczna sukienka z kremowej koronki, wyglądająca jak suknia ślubna z innej epoki. Casey kupiła ją na Union Square tydzień przed wyjazdem z San Francisco i jeszcze nigdy nie miała jej na sobie. Uznała to za nieprzemysłany, niemądry zakup, ponieważ suknia zupełnie nie była w jej stylu. Teraz jednak Casey uśmiechnęła się, patrząc na nią i pomyślała: może już wtedy, zanim wyjechałam z San Francisco, wiedziałam, że istnieje jeszcze inna, nowa Casey?

- W czym mogę panu pomóc? - spytała młoda sprzedawczyni, nie kryjąc dezaprobaty, kiedy Patrick wszedł do ekskluzywnego sklepu z męską odzieżą Yankee Pedler w Southampton.

- Potrzebuję kilku rzeczy.

Patrick początkowo miał zamiar kupić sobie tylko coś, w czym mógłby pójść w sobotę na kolację z Casey. Jeśli po tym, co jej oznajmi, Casey ął0 zechce spotykać się z nim w dalszym ciągu, wróci tu i kupi więcej rzeczy - dodatkową parę spodni, kilka koszul i swetrów - w których będzie odwiedzał ją w Nowym Jorku. A może lepiej od razu zrobić

większe zakupy?

Patrick miał dość pieniędzy. Całe lato ciężko pracował, ucząc jazdy konnej i mieszając drinki na różnych przyjęciach w klubie. Kilka razy z powodu dodatkowych zajęć musiał zrezygnować ze spotkania z Casey, tak jak w ten piątek. Wiedział jednak, że wraz z rozpoczęciem roku szkolnego zmaleje liczba lekcji, a najprawdopodobniej także i przyjęć, postanowił więc pracować bez wytchnienia, by zarobić na całą zimę. Chyba mógł potem jeździć do miasta i spotykać się z Casey.

Kiedyś, dawno temu, Patrick ubierał się tak, jakby należał do towarzystwa ludzi bogatych i uprzywilejowanych. Dlatego też z nieomylnym wyczuciem wybrał kilka eleganckich, gustownych ubrań. Kiedy wyszedł z przebieralni, żeby się przejrzeć w wielkim, potrójnym lustrze, ekspedientce na chwilę odebrało mowę.

- Wiem, kim pan jest! - powiedziała w końcu.

- Wątpię - odparł Patrick uprzejmie, ale serce zabiło mu niespokojnie. Wiedział, że choć ma dłuższe niż niegdyś włosy, wygląda tak samo jak wtedy, gdy bywał w eleganckim towarzystwie, zbierającym się w klubach takich miasteczek jak Southampton, gdzie odbywały się zawody Grand Prix. Tu ukrywał się dobrze w swoich starych dżinsach i zniszczonych butach, jeśli jednak ta kobieta naprawdę go rozpoznała...

- Nie, jestem pewna. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Jest pan modelem Calvina Kleina, prawda? Widziałam pana w ostatniej reklamówce.

Casey przeglądała się w lustrze, ubierając się do wyjścia na przyjęcie w klubie. Olśniewająca suknia z cekinami nagle przestała jej się podobać. Połyskliwe, pastelowe cekiny wyglądały okropnie na tle bladej skóry jej ramion - bo teraz jej niegdyś starannie utrzymywana opalenizna zniknęła, mimo słonecznego lata. Casey całe dni spędzała w domu, ucząc się pilnie, aby móc wieczorami spotykać się z Patrickiem. Było to lato księżycy, nie słońca, a Patrick tak się zachwycił bielą jej skóry skąpanej w księżycowym blasku.

Patrick powiedziałby jej pewnie, że suknia wygląda pięknie, że uroczo kontrastuje z

białoróżowym odcieniem jej skóry, i pewnie miałby ramię.

Casey uświadomiła sobie w końcu, że to nie suknia jest problemem, ale przekonanie, że ona, Casey, musi znowu zacząć olśniewać.

ąłą

Tego wieczora, wśród najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi Nowego Jorku, powinna oczarowywać, zachwycać, wypowiadać się pewnie i śmiało, panować nad sobą w stu procentach.

Powinna być w szczytowej formie, w każdej rozmowie zdumiewać dowcipem i intelektem. Ale Casey nie miała już ochoty olśniewać. Co gorsza, nie była nawet pewna, czy jeszcze potrafi.

Spojrzała na sukienkę - symbol dawnej, olśniewającej Casey. Zmarszczyła brwi, dochodząc do wniosku, że tego wieczora będzie potrzebowała symboli nowej, prawdziwej Casey, symboli związanych z Patrickiem i ich miłością.

Postanowiła, że rozpuści włosy tak, jak nosiła je przez całe lato. A w ich jedwabiste złotorude pasma wplecie fiołki, tak jak Patrick robił to na ich łące. Casey nie zwróciła uwagi na to, jak to robił, drżąc pod dotykiem jego palców, ale widziała efekt: niezwykle, artystyczny nieład złotych włosów i kwiatowych płatków po miłosnej nocy.

Dziś wieczorem wplecie kwiaty we włosy i będzie to tak, jakby Patrick był tam razem z nią.

Ale Casey nie potrafiła wpleść fiołków we włosy. Silne, delikatne palce Patricka wyplatały z jej włosów i kwiatów prawdziwe dzieła sztuki. Jej palce były niezgrabne, sztywne. Kwiatki wyślizgiwały się z włosów, opadały, odwracały się łodyżkami na zewnątrz i choć Casey robiła, co mogła, nie chciały się ułożyć.

A robiło się późno, coraz później. Casey była już spóźniona.

W końcu, Casey zwinęła swoje gęste włosy w kok i spięła jej złotą klamrą.

Natychmiast odzyskała panowanie nad sytuacją. Jednak nie była to już całkowicie dawna Casey i wcale tego nie chciała. Gdy jechała sportowym mercedesem coupé do

klubu, brakowało jej dawnej promiennej pewności siebie.

Po prostu musi być sobą, taką, jaką kocha Patrick.

A jeśli potrafi być sobą tylko przy Patricku?

Paige, bardzo przepraszam za spóźnienie! - zawołała Casey, wcho@

dząc do klubowego holu. Paige stała tam zaniepokojona, czekając na jej przybycie.
ął2

- Nic nie szkodzi, Casey - zapewniła ją Paige szybko. - Wszystko w porządku?

- Och, tak. Po prostu całe lato nosiłam tylko szorty i podkoszulki, których włożenie zajmuje pół minuty. Wysłałam z wprawy.

- Wyglądasz przepięknie.

- Dziękuję.

W holu pojawił się Edmund. Jego uśmiech mówił, że wszystkie przeprosiny są zbędne.

- Jak poszedł ci egzamin, Casey? Dali ci żyć?

- Cóż, powiedzmy, że zadawali właściwe pytania.

- Na te tematy, które właśnie wczoraj powtarzałaś?

- Coś w tym rodzaju - zaśmiała się Casey

- Więc jesteś gotowa na spotkanie z paroma osobami?

- Chyba tak - odparła Casey cicho i poważnie, bo nagle ogarnęła ją panika.

To nie parę osób było w klubie, ale ponad dwieście elegancko ubranych, przystrojonych kosztowną biżuterią gości, krążących wokół suto zastawionego bufetu w Sali Azaliowej, przechadzających się po ogrodzie, gdzie grała orkiestra, tańczących w świetle księżycy.

Ci ludzie będą twoimi klientami, uspokajała Casey swoje mocno bijące serce. A ty zrobisz dla nich wszystko, co w twojej mocy. Nic ponad to nie jest konieczne. Nie musisz już grać ani olśniewać.

Casey nie grała, ale udało jej się ich olśnić, choć tego nie zamierzała. Zauroczyła

wszystkich swoją naturalnością, skromnością, uprzejmym uśmiechem i cichym "dziękuję" którym odpowiadała na komplementy i gratulacje. Za każdym razem, gdy jej kogoś przedstawiano, czuła się spokojniejsza. W końcu pomyślała: uda mi się, potrafię być sobą.

A potem zobaczyła Patricka.

Nad ogrodem wisiały różnobarwne lampiony, poruszane lekkim, ciepłym wietrzykiem, rzucające światło w odległe zakątki ogrodu - również tam, gdzie był bar.

Casey widywała dotąd Patricka w spłowiałych dżinsach i starych butach, a najlepiej znała jego silne, niczym nie osłonięte smukłe ciało. Teraz miał na sobie obcisłe czarne spodnie i czerwoną marynarkę, typowy uniform służącego z ekskluzywnego klubu. Patrick był barmanem, kimś niewiele lepszym od podobnie ubranych chłopców, którzy odprowadzali samochody, i kelnerów, krążących wśród gości ze srebrnymi tacami pełnymi przekąsek i przyjmującymi zamówienia. Kelnerzy przekazywali zamówienia na drinki Patrickowi, a on szybko i sprawnie przyrządzał koktajle dla

ągł bogatych i sławnych ludzi, którzy zebrali się w klubie na przyjęciu. Przyjęciu wydanym na jej cześć.

Patrick był tu służącym, choć w rzeczywistości powinien znajdować się u jej boku.

Uczę w klubie jazdy konnej. Pracuję trochę jako barman" Tak powiedział i była to prawda.

A ona powiedziała mu, że "prostu zarabia na życie"

Tylko... Casey powiedziała "prostu", jakby chciała go przeprosić, że nie jest kimś lepszym, podczas gdy Patrick nigdy nie przeproszał za to, kim jest i co robi. Patrick nigdy nie powiedział "prostu" uczyć jazdy konnej"

Casey założyła, że tak naprawdę Patrick jest kimś innym. Kimś lepszym? Dlatego, że Casey English nie mogłaby się zakochać w kimś, kto jest "prostu" instruktorem jazdy konnej?

Dawna Casey nie mogłaby.

Ale nowa Casey mogła. I zakochała się.

To, co robi Patrick, nie ma żadnego znaczenia!

Casey patrzyła na niego ze swojego miejsca po drugiej stronie ogrodu, marząc o tym, żeby jego szarozielone oczy spojrzały w jej stronę, ale on był zajęty mieszaniem drinków dla jej przyszłych klientów. Ona także była zajęta, z wdziękiem zapoznając się z kolejnymi wpływowymi osobami, choć w głębi ducha życzyła sobie, by wszyscy zniknęli, a ona została tu sama z Patrickiem.

Rozpaczliwie pragnęła do niego podejść i powiedzieć mu, że to wszystko nie ma znaczenia, zapewnić go o swojej miłości.

Jej serce zmartwiało z przerażenia.

Fakt, że ona jest dziedziczką fortuny i świetnym prawnikiem, a on instruktorem jazdy konnej i barmanem nie miał dla niej żadnego znaczenia... ale bała się, że może mieć to bardzo duże znaczenie dla niego.

Patrick wyczuł obecność Casey natychmiast, kiedy tylko pojawiła się w ogrodzie. Wyczuł ją, choć nie spojrzął w tamtą stronę ani razu. Oczekiwał jej pojawienia się. Zanim przyszła, zdążył się też nasłuchać rozmów, z których dowiedział się wszystkiego o Casey English, takiej jakiej nie znał - o pięknej, wybitnie uzdolnionej prawniczkę, dziedziczkę wielkiej fortuny, olśniewającej złotej dziewczynie, która grała o wysokie stawki i zawsze wygrywała.

Patrick zawsze miał się na baczności przed bogatymi, pięknymi kobietami, które chciały go mieć dla swojej przyjemności, na własność, jako trofeum, maskotkę. Zawsze miał się przed nimi na baczności... ął4 a jednak nigdy nie przyszło mu do głowy, że Casey udaje, że gra. A tak właśnie było. Piękna dziedziczka, błyskotliwa pani prawnik - i instruktor jazdy konnej. Czy on i ich noce spędzane wspólnie przy świetle księżycy były dla niej tylko nagrodą za wyczerpaną naukę do egzaminów?

Och, Casey, pomyślał Patrick smutno. Nie wiedziałem, że tylko się mną bawiłaś, że grałaś. I wygrałaś w tej grze, bo zakochałem się w tobie. Naprawdę się w tobie zakochałem.

- Szampana? - spytał Patrick, kiedy Casey w końcu udało się do niego podejść. - Obawiam się, że nie mamy niczego poniżej stu dolarów za butelkę. A może przestałaś już odgrywać lady Chatterley?

Casey sądziła, że usłyszy w jego głosie gniew, wyrzut, ale ta chłodna uprzejmość była jeszcze gorsza. Zamiast złości, która byłaby przynajmniej dowodem, że mu na niej zależy, Patrick prezentował tylko zdawkową, obojętną grzeczność. Nawet jego drwiące pytanie zostało zadane uprzejmym tonem służącego, jakby nigdy nic między nimi nie było, jakby byli sobie zupełnie obcy. A kiedy padło na niego światło latarni, Casey zobaczyła, że jego przygasłe oczy także nie wyrażają niczego, jakby przesłoniła je jakaś chmura, nie pozwalająca jej zajrzeć do jego serca. To puste spojrzenie i chłodna uprzejmość, z jaką się do niej zwracał, nagle oddaliła go od niej... od ich miłości.

- Nie odgrywałam lady Chatterley, Patricku. Myślałam, że ty... - Casey urwała. Nie mogła przyznać się, że sądziła, iż należy on do jej sfery. W ten sposób jeszcze bardziej by go do siebie zraziła.

Ale Patrick dokończył za nią.

- Myślałaś, że ja też się z tobą zabawiam? Arystokrata i dziewczyna pracująca? Nie. Przykro mi, że cię rozczarowałem, Casey.

- Nie rozczarowałeś mnie, Patricku. To ja cię rozczarowałam, prawda? - spytała cicho.

- Powiedzmy, że myliłem się co do ciebie, podobnie jak ty myliłaś się co do mnie.

- Nie pomyliłaś się co do mnie.

- Nie? Cóż, to już bez znaczenia. Powiedzmy więc, że to ty pomyliłaś się co do mnie i zakończmy tę sprawę.

- Zakończmy sprawę? - powtórzyła Casey, coraz bardziej przerażona. Opanowała lęk i ciągnęła z nadzieją. - Oczywiście, teraz nie możemy rozmawiać. Ale, Patricku, może spotkalibyśmy się później, po przyjęciu? Wtedy wszystko ci wyjaśnię.

- Niczego nie musisz wyjaśniać.

ą15

- Ale chciałabym - odparła Casey cicho. - Jutro wieczorem, podczas kolacji - dodała szeptem.

- Nie sądzę, Casey.

Podszedł do nich kelner z zamówieniami na drinki i Patrick wrócił do swoich zajęć, do mieszania koktajli dla jej gości. Nie patrzył na nią, zachowywał się tak, jakby jej tam wcale nie było... i w końcu Casey wróciła do gości.

Patrick jest zły, to oczywiste, i czuje się zraniony, choć wydaje się tak przerażająco spokojny, jakby już zdecydował, że ich miłość umarła. Jakby łatwo mu przyszło podjąć tę decyzję.

Czy nigdy nie pozwoli jej się wytłumaczyć?

Na pewno pozwoli. Potrzebuje tylko trochę czasu, a tu i tak nie mogliby rozmawiać.

Casey spoglądała na Patricka z nadzieją, szukając w jego oczach cienia uczucia. On jednak unikał jej wzroku.

W końcu, zrozpaczona, odwróciła się na pięcie i rozejrzała po ogrodzie, gdzie kilka par tańczyło na tarasie w świetle księżyca. Wtedy jej wzrok padł na Jeffreya i Julię. W tańcu przytulali się do siebie, a Jeffrey patrzył na Julię zakochanymi, niebieskimi oczyma.

Julia. Tego wieczora rozpuściła włosy, tak jak Casey chciała to zrobić, ale jej się to udało... W długich, lśniących czarnych włosach tkwiły, zręcznie wplecione, małe, fioletowe kwiatki...

Julia potrafiła zrobić to, z czym Casey nie mogła sobie poradzić.

Jak zawsze Julia była lepsza.

Próbowałam być taka jak ty, Julio, chciałam, żeby ktoś mnie pokochał za to, kim naprawdę jestem. I byłam już tak blisko tego, tak bardzo blisko wolności i szczęścia, a teraz...

Teraz muszę już stąd iść.

Casey wiedziała, że nie może uciec do SeaCliff, ale rozpaczliwie pragnęła odrobiny

prywatności, kilku chwil wśród róż, z dala od Patricka i od Julii.

- Najmocniej przepraszam, panie Lawrence - chłopiec wysłany do sławnego dziennikarza był wyraźnie zakłopotany. Łatwiej byłoby przeszkodzić Jeffreyowi Lawrence'owi w dyskusji o wojnie z narkotykowymi gangami w Kolumbii niż w tańcu z jego piękną żoną.

- Tak?

- Telefon do pana.

- Dziękuję. - Jeffrey uśmiechnął się przeproszająco do Julii. Telefony tego rodzaju zawsze oznaczały, że musi rzucić wszystko i wracać łąć do pracy, jechać do miasta i wystąpić w specjalnym wydaniu wiadomości albo lecieć tam, gdzie właśnie wydarzyła się jakaś tragedia. - Zaraz wracam, kochanie.

Kiedy Jeffrey poszedł do telefonu, Julia została sama wśród morza twarzy, znajomych, ale nieprzyjaznych - chyba że był z nią jej mąż.

Pomyślała, że naprawdę powinna porozmawiać z Casey.

Julia myślała o tym wielokrotnie tego lata, ale nic w tym kierunku nie zrobiła. Paige oczywiście wspominała o tym, jak bardzo Casey jest zajęta i jak bardzo cieszy się swoją samotnością, ale to nie dlatego Julia nie zdobyła się na telefon do niej.

Długo nie mogła zapomnieć o tamtej kolacji w Somerset. To Casey wywołała gniew Jeffreya, Casey, która, sama o tym pewnie nie wiedząc, była dla niego symbolem tajemniczej przeszłości Julii. Od tej chwili Julia wołała trzymać się od niej z daleka.

Teraz jednak wspomnienie tamtej kolacji zatarło się już w jej pamięci, zbladło, straciło na ważności.

Jeffrey i Julia przetrwali tamtą noc. Ich cudowna, radosna miłość znowu rozkwitła.

A ostatnie pięć dni było pełne niezwykłych wydarzeń.

Wszystko zaczęło się w niedzielę, kiedy Julia wróciła z zakupów i znalazła Jeffreya i Merry w salonie. Spędzili razem, we troje, cały wieczór. Merry pokazała Jeffreyowi, jak się robi ciasteczka czekoladowe, a podczas kolacji zazwyczaj małowówna i nieśmiała w

obecności ojca Merry naprawdę z nim rozmawiała. Merry w towarzystwie Julii trajkotała zwykle jak nakręcona, tryskając pomysłami, zadając pytania, myśląc na głos, ale kiedy pojawiał się Jeffrey, natychmiast milkła. Jednak tamtego wieczora Jeffrey ośmielił Merry, tak jak kiedyś Julię, okazując jej zainteresowanie, zadając pytania, zachęcając ją do mówienia uśmiechem i spojrzeniem.

Tak, ta magia zaczęła się w niedzielę i nie zniknęła wraz z zachodem słońca. Teraz każdego dnia Jeffrey wychodził do pracy trochę później niż zwykle, spędzał więcej czasu przy śniadaniu, rozmawiał z Merry i niechętnie opuszczał w końcu dom, bo wiedział, że zobaczą się znowu dopiero za dwadzieścia cztery godziny.

Nie planowali na razie niczego na ten weekend, poza tym, że Jeffrey miał zostać w domu. Jeśli jednak okazałoby się, że będzie musiał wyjechać, to i tak zostawał im jeszcze cały następny weekend i cały tydzień. Merry i Julia już zaczęły robić plany na wakacje z tatą. Merry, podekscytowana i przejęta, chciała mieć pewność, że ich pomysły spodobają się Jeffreyowi. Pierwsze trzy dni mieli spędzić wraz ze Spencerami na

77 Manhattanie, zwiedzając Nowy Jork. Czy tata będzie chciał zobaczyć Statuę Wolności? Czy tata lubi balet? Mamo, jesteś pewna? □

Julia uśmiechnęła się na wspomnienie tych pytań. Czowała, że Casey już nie zagraża ich szczęściu. Może teraz całkiem bezpiecznie z nią porozmawiać. Julia chciała uprzejmie pożegnać się z Casey i życzyć jej powodzenia.

Ale Casey nie było w ogrodzie różanym. Kiedy Julia weszła na schody prowadzące do ogrodu, dostrzegła ją idącą w stronę zatoczki, gdzie kołysały się jachty. Nie poszła za nią. Wiedziała, że Jeffrey będzie jej szukał w ogrodzie. Patrzyła więc tylko, jak Casey znikną w ciemności, a potem odwróciła się, żeby sprawdzić, czy Jeffrey już jej nie szuka. W cieniu dojrzała jednak inną znajomą twarz.

- Dobry wieczór, pani Lawrence - powiedział Patrick, kiedy podeszła. Uśmiechnął się ciepło do młodej matki, która z taką troską i dumą śledziła postępy córki w jeździe konnej.

- Dobry wieczór, Patricku. Dziewczynki są bardzo przejęte pokazem, czy jak wolisz turniejem hippicznym.

Wielka jeździecka gala miała się odbyć zaraz po ich powrocie z Nowego Jorku. Na widowni zasiądą wszyscy rodzice, ponieważ Jeffrey dostał już urlop, a Edmund obiecał, że wróci tego dnia z pracy przed czwartą. Tego dnia, czyli we wtorek, dwunastego września, w urodziny Merry. Umiejętności jeździeckie dziewczynek miały zaskoczyć Jeffrey'a i Edmunda, którzy nie widzieli ich na koniach od czasu pierwszej lekcji, ale Merry i Amanda chciały, aby turniej hippiczny był niespodzianką także dla Paige i Julii. Podczas ostatnich dwóch tygodni mamom nie wolno było przychodzić na próby.

- Sądzę, że pokaz spodoba się pani. Obie dziewczynki nieźle już sobie radzą.

- Skaczą przez przeszkody?

Merry i Amanda wymogły na Patricku obietnicę, że nie zdradzi szczegółów pokazu.

Ale Julia była tak zaniepokojona...

- Przez bardzo niskie. To zupełnie bezpieczne, pani Lawrence.

Julia westchnęła ciężko.

- Naprawdę - powtórzył Patrick uspokajająco.

- Czytałeś Przemięło z wiatrem?

- Nie. Dlaczego pani pyta?

Ale zanim Julia zdążyła odpowiedzieć, pojawił się Jeffrey.

- A, tu jesteś.

- Jeffreyu, pamiętasz Patricka. Uczy Merry jazdy konnej.

- Tak, oczywiście. - Jeffrey uśmiechnął się uprzejmie do Patricka, po czym spojrział na żonę. - Muszę jechać do studia, Julie. ął8

- Coś w Medellin? - spytała Julia cicho, modląc się w duchu, żeby tylko nie musiał tam lecieć.

- Nie, to nie Kolumbia, ale Bliski Wschód. Nad Morzem Śródziemnym eksplodował samolot.

- Ekspłodował?

- Tak. Zamach bombowy. Chciałabyś zostać dłużej?

- Nie, wrócę do domu.

Casey wyszła z przyjęcia o północy. Część gości tańczyła jeszcze pod gwiazdami, ale większość opuściła już klub. Była tu wystarczająco długo. Pomyślała też, że jeśli wyjdzie, przyjęcie szybciej się skończy i może będzie mogła zobaczyć się z Patrickiem.

Po powrocie do SeaCliff Casey zdjęła szybko wspaniałą suknię z cekinami i włożyła szorty i bawełnianą bluzę. Napisała do Patricka liścik, w którym poprosiła go, żeby spotkał się z nią na łące, i zostawiła go w drzwiach.

Czy on naprawdę podjął już nieodwołalną decyzję, że ich miłość się skończyła, nie pozwalając jej, Casey, nawet dojść do głosu? Tylko dlatego, że ona jest bogata, a on biedny? Ponieważ ona jest wybitnym prawnikiem, a on dorabia jako barman do swojej pensyjki instruktora konnej jazdy? Czy to tylko jego duma?

A może chodzi o coś innego, ważniejszego, co niełatwo przyjdzie jej odkryć?

Może Patricka zraził fakt, że go oszukała? Na samym początku powiedział, że nie żartuje. I nie żartował, a teraz pewnie myśli, że to ona sobie z niego zażartowała.

Nie powiedziała mu o sobie całej prawdy, ale miała po temu taki ważny powód. Tak chciała, żeby Patrick pokochał ją tylko za to, kim naprawdę jest, nie dlatego, że jest bogata, wykształcona i odnosi w życiu same sukcesy.

Patrick powiedział jej o sobie prawdę. Powiedział też jeszcze coś ważniejszego, najprawdziwszego: bcham cię, Casey

Patrząc w roziskrzone gwiazdami niebo, słuchając dźwięków nocy, nasłuchując wśród nich szelestu paproci, który oznaczałby, że Patrick zaraz się przy niej pojawi, Casey powtarzała w myślach te cudowne słowa, jak zaklęcie. bcham cię, Casey

To, co zamierzał uczynić, było dość lekkomyślne, ale Patrick nie miał nic do stracenia.

ą19

Potrzebował tej chwili radości.

Długo przed wschodem słońca wyciągnął z szopy przeszkody. Niektóre z nich używał już wcześniej, ustawiając poprzeczki dla swych uczniów tuż nad ziemią. Teraz wyciągnął z szopy wszystkie przeszkody, ustawił wysokie płotki i murki, a poprzeczki założył najwyżej, jak się dało. Wystarczająco wysoko, by stanowiły wyzwanie nawet dla mistrza.

A w stajniach Klubu Southampton mieszkało teraz dwóch mistrzów Patrick i Nocny Tancerz. Czarny jak noc ogier przybył do klubu w czerwcu. Krótco po tym, jak został wycofany z zawodów o Grand Prix, zakupiono go do klubowej stajni dla dwunastoletniej dziewczynki, która chciała nauczyć się skakać. Patrick rozpoznał Nocnego Tancerza, a po miesiącu lekcji z jego nową właścicielką stwierdził, że ogier ciągle świetnie pokonuje przeszkody.

Ustawienie przeszkód zabrało Patrickowi dwie godziny, osiodłanie konia zaledwie dziesięć minut. A potem była już tylko radość, rozpierająca konia i jeźdźca, poczucie upajającej wolności, kiedy lekko jak wiatr przeskakiwali przeszkodę za przeszkodą.

Radość ta była jednak dla Patricka równocześnie torturą, ponieważ przypomniała mu znowu o tym wszystkim, co utracił, i o tym, że jeszcze wczoraj życie wydawało mu się tak piękne i pełne obietnic.

Życie Jamesa Patricka Jonesa nie zaczęło się szczególnie obiecująco. Nie miał ojca, a matka nie opiekowała się nim należycie. Ale chociaż mały James rzadko ją widywał, pozostały mu wyraźne wspomnienia jej kasztanowych włosów i zielonych oczu - jak barwne nitki wplecione przypadkowo w szary krajobraz betonowych slumsów Chicago.

Często te zielone oczy zachodziły mgłą, co oznaczało, że matka znowu sięgnęła po narkotyki. Wtedy James po raz kolejny trafiał do domu dziecka albo do rodziny zastępczej. Matka pojawiała się w jego życiu po kilku tygodniach lub miesiącach, z oczami pełnymi łez, i odbierała syna, po to tylko jednak, żeby wkrótce znowu zapomnieć o jego istnieniu.

Kiedy James miał jedenaście lat, matka zniknęła na dobre. Nigdy się nie dowiedział, czy zmarła, czy po prostu straciła resztki zainteresowania synem, bo jej uzależnienie od narkotyków i mężczyzn wzięło w końcu górę nad i tak dość słabą miłością macierzyńską.

James nauczył się żyć zarówno z matką, jak i bez niej. Kiedy był z nią, dopuszczał się czasami niewielkich wykroczeń przeciw prawu kradł jedzenie, kiedy głodował, ubrania i koce, kiedy mroźne noce stawały się nie do zniesienia. Kiedy matka zniknęła, James, przenoszony 40 bez końca z jednej rodziny zastępczej do drugiej, szybko zrozumiał, że przetrwa tylko wtedy, jeśli będzie ostrożny i nieufny wobec pozornego spokoju i miłości.

Był tak w mrocznym, pozbawionym nadziei świecie, pełnym przemocy i nienawiści, ale jego młode oczy nawet tam dostrzegały piękno barw i form. Miał oczy i ręce artysty i potrafił nadać swoim wizjom realny kształt. Jego rówieśnicy znajdowali ucieczkę w alkoholu i narkotykach, on za pomocą farb i pędzli malował swój własny, lepszy świat.

Sztuka pozwoliła mu przetrwać - sztuka i nieufność.

W wieku czternastu lat James doszedł do wniosku, że na świecie z pewnością istnieją lepsze miejsca niż te, w których dorastał. Był to akt wiary, ale James uporczywie powtarzał sobie, że takie miejsca po prostu muszą istnieć.

Pewnej nocy uciekł ze swojego nowego domu, w którym przebywał niecały miesiąc. Dwa dni później znalazł się w rajku pełnym żywych barw i nieopisanego piękna - wśród cudownych, szmaragdowych wzgórz Kentucky. Znalazł pracę w stajni. Nigdy wcześniej nie miał kontaktu z końmi, ale czuł instynktowną miłość do tych wspaniałych, łagodnych stworzeń. Pewnego dnia wskoczył na konia bez siodła i okazało się, że ma do tego talent, równie cudowny jak zdolności plastyczne.

Jego wrodzoną zdolność do konnej jazdy szybko zauważono. Bogaci ludzie zaczęli mu płacić za skakanie na ich cennych, rasowych wierzchowcach. James zdobywał wstęgi, głównie niebieskie, i puchary, głównie złote. W elitarnych kręgach jeździeckich zyskał sławę jednego z najlepszych dżokejów świata.

Mroczne slumsy Chicago należały już do przeszłości, koszmar ten mógł jednak wrócić w każdej chwili, gdyby ci, którzy mu płacili, poznali grzechy jego smutnego dzieciństwa. Postanowił, że aby przetrwać w towarzystwie bogatych i sławnych ludzi, musi się do nich upodobnić: nabrać ich wyszukanych manier, ich bezbłędnego akcentu i swobody, z jaką nosili eleganckie, drogie ubrania. James przystosował się błyskawicznie i choć unikał pytań na temat swego pochodzenia, zakładano powszechnie, że pojawił się z Wschodniego Wybrzeża - może z Greenwich albo St. Paul's, wspomniano też coś o Yale, o Harvardzie...

W styczniu 1884 roku sędzia Frederick Barrington wynajął Jamesa do pokazów jeździeckich, na których miał dosiąść jego najlepszych koni. Najlepszych w tym roku, którego ukoronowaniem miała być olimpiada w Los Angeles. W tym czasie James, jeśli nie podróżował, biorąc udział w zawodach Grand Prix, mieszkał w domku ogrodnika na Barrington Farm, posiadłości sędziego położonej na obrzeżach Louisville.

44

James wiedział, że sędzia jest wdowcem, nie wiedział natomiast, że Frederick Barrington ma córkę. Przekonał się o tym w czerwcu, kiedy siedemnastoletnia Pamela wróciła do domu na lato po roku spędzonym w ekskluzywnej szkole dla dziewcząt w Genewie. Pamela była bardzo piękna, bardzo zepsuta i bardzo niebezpieczna, jeśli nie dostała tego, na co miała ochotę. Zazwyczaj jednak jej żądania i zachcianki były bezzwłocznie spełniane.

Po powrocie do domu siedemnastoletnia Pamela zapragnęła dwudziestopięcioletniego Jamesa. Ale James jej nie chciał. Była zbyt młoda i zbyt zepsuta, a romans z nią mógłby być zbyt niebezpieczny. James po raz pierwszy w życiu czuł się tu dobrze i nie miał zamiaru ryzykować. Grzecznie, łagodnie, dyplomatycznie odrzucił awanse pięknej Pameli.

Pamela jednak nie rozumiała słowa nie. Nigdy go wcześniej nie słyszała i nie miała zamiaru słyszeć w przyszłości. A kiedy się okazało, że James nie spełni jej żądań,

zareagowała gniewem i żądzą zemsty.

Tamtej czerwcowej nocy James malował w domku ogrodnika, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Otworzył i ujrzał Pamelę, trzymającą w ręce o długich, pomalowanych paznokciach butelkę burbona, opróżnioną do połowy. Najwyraźniej sporo już wypila. Oznajmiła, że właśnie kochała się z jednym z chłopców należących do złotej młodzieży, zbierającej się w posiadłości jej ojca. Powiedziała, że teraz pragnie mężczyzny. Jamesa.

James odmówił delikatnie, ale Pamela nie dawała za wygraną, przekonana, że zawsze musi dostać to, czego chce, rozdrażniona, że ktoś ośmielił się czegokolwiek jej odmówić. Kiedy spróbowała przytknąć mu butelkę burbona do ust, szorstko odepchnął jej dłoń. Kiedy władczo, namiętnie, otoczyła jego szyję rękami i wspięła się na palce, by dosięgnąć jego ust, odsunął się zdecydowanie. Wtedy jeden z jej długich, ostrych paznokci zagłębił się w skórce jego szyi, zostawiając głęboki, krwawy ślad.

W końcu, wrząc z gniewu, upokorzona Pamela opuściła domek. James żałował, że ją rozgniewał, ale był szczęśliwy, że nareszcie sobie poszła.

Dziesięć minut później usłyszał brzęk tłuczonego szkła i przeraźliwy krzyk. Wybiegł na zewnątrz i kierował się w stronę domu Barringtonów, skąd dochodziły krzyki. Na ganku stała Pamela, przerażona, w podartej, brudnej sukience, dysząc ciężko i płacząc. Kiedy James podszedł do niej, chcąc jej pomóc, na ganku pojawił się sędzia. Pamela rzuciła się w stronę ojca. 42

- James mnie zgwałcił, tato! Zgwałcił mnie!

James słuchał tych słów skamieniały ze zdumienia i przerażenia. Z pewnością sędzia, którego James tak szanował, który czasem nazywał go synem, da sobie sprawę...

Ale James dojrzał w jego oczach tylko wściekłość i zrozumiał, że jeśli chce przeżyć, musi uciekać. Uciekając, słyszał w nocnej ciszy, zakłóconej już krzykiem Pameli, wycie syren i ujadanie psów - znak, że go szukają i będą szukać aż do skutku. Już nigdy nie odzyska spokoju.

James uciekł dosłownie w jednej koszuli. Reszta jego rzeczy, ubrania, niewielkie

oszczędności, dokumenty - odpis aktu urodzenia, paszport, prawo jazdy - które potwierdzały jego tożsamość i jego obrazy zostały w domku. James musiał pożegnać się z nimi na zawsze. Musiał się też na zawsze pożegnać z czymś znacznie ważniejszym - z wolnością i marzeniami.

Wiedział, że nigdy więcej nie pofrunie, lekki jak ptak, nad wysoką poprzeczką, może w ogóle nigdy już nie dosiądzie konia. I już nigdy więcej nie będzie Jamesem Patrickiem Jonesem.

Będzie musiał zmienić nazwisko i spędzić resztę życia w ukryciu. Nie wątpił, że gdyby został schwytany, jego następnym domem - w którym z pewnością zamieszkałby na dłużej - byłaby więzienna cela. Taki byłby wynik procesu, w którym jego słowo, słowo drobnego złodziejzaka, przeciwstawiono by słowu ukochanej córki ogólnie szanowanego sędziego.

James Patrick Jones stał się Patrickiem Jamesem. Przez pięć lat żył z dnia na dzień, pracując dorywczo dla różnych ludzi, jeżdżąc po kraju, unikając nawiązywania bliższych znajomości i zostawiania po sobie jakichkolwiek śladów.

Aż w końcu, w marcu ubiegłego roku, odpowiedział na ogłoszenie zamieszczone w gazecie *The New York Times* - znowu dosiadał koni i za ich sprawą odzyskał trochę dawnego spokoju, mimo że ponownie wkroczył między ludzi, którzy przypominali mu Pamelę Barrington. Jeździł konno, znowu zaczął malować, a pewnego czarodziejskiego, czerwcowego wieczoru, tuż przed zachodem słońca, spotkała go największa niespodzianka jego życia, najpiękniejsza nagroda. Poznał Casey English i zakochał się w niej.

I planował, że dziś powie jej prawdę.

Co też by się stało, gdyby wyznał jej, kim jest, zanim ona zdążyłaby mu powiedzieć prawdę o sobie?

Jego Casey, śliczna, bezpretensjonalna, bezbronna Casey, którą pokochał, na pewno by mu uwierzyła. Nie zdradziłaby nikomu jego tożsamości,

ą4ł mimo że pomagając w ten sposób poszukiwanemu przez policję, oskarżonemu o gwałt człowiekowi ryzykowałaby swoją karierę prawniczą. Jego Casey tak właśnie by postąpiła, i nie przyniosłoby to jej niczego dobrego.

A ta druga Casey, rozpieszczona dziedziczka wielkiej fortuny, która tylko się nim bawiła, ta ambitna, błyskotliwa prawniczka, której najbardziej spektakularnym zwycięstwem było wygranie sprawy gwałciela z Nob Hill? Czy ona uwierzyłaby w niewinność człowieka, który od dziecka był na bakier z prawem, uciekł z miejsca przestępstwa i tyle lat ukrywał się przed policją? A może ta Casey wezwałaby policję?

Tego Patrick nie wiedział, nie miało to już zresztą znaczenia. Ponieważ tak czy owak, miłość Patricka Jamesa i Casey English już się skończyła.

Musiała się skończyć.

Casey obchodziła stajnie, szukając mieszkania Patricka. W stajniach panowała cisza, przerywana tylko parsaniem koni i piskami myszy. Nawet stajenni nie przyszli jeszcze do pracy. Ale dochodząc do wybiegu, usłyszała inny dźwięk, miękki stukot końskich kopyt o darń. Poszła w tamtą stronę i po chwili zobaczyła Patricka.

Stała w cieniu i patrzyła jak lekko, zręcznie bierze największe przeszkody. Jako nastolatka Casey często oglądała najlepszych dżokejów w zawodach Grand Prix, organizowanych w Klubie Carlton. Od dziecka nauczyła się rozpoznawać i cenić ich umiejętności. Teraz była pewna, że Patrick musi być jeźdźcem światowej klasy, jednym z najlepszych.

Ukryta w cieniu czekała, aż Patrick i jego piękny koń zakończą swoje śmiałe wyczyny. W końcu jeździec ściągnął wodze i poklepał czule konia, szepecząc coś do niego uspokajająco. Wtedy Casey zebrała się na odwagę i ruszyła w jego stronę.

- Casey - powiedział Patrick spokojnie, choć na jej widok serce zabiło mu mocniej.

Wczorajszego wieczora, kiedy rozmawiali, światło latarń padało zza jej pleców, rozbłyskując w cekinach jej pięknej sukni i tworząc świetlistą aureolę wokół jej złotorudej głowy, nie pozwalając dojrzeć jej twarzy. Wczorajszego wieczora oczy Casey krył cień, a

on rozmawiał z nią tak, jakby była kimś obcym, jakby była bogatą, piękną kobietą, która chciała się z nim zabawić i do której nie czuł nic poza pogardą. 44

Teraz jednak miał przed sobą swoją dawną, dobrze znaną Casey, stojącą w pełnym słońcu ze złotorudymi włosami jeszcze wilgotnymi po porannym prysznicu. Patrzyła na niego błękitnymi oczyma, niepewnymi i pełnymi lęku. Wydała mu się nagle taka bezbronna i potrzebująca miłości.

Zeskakując z konia, Patrick upomniał siebie surowo, że jego miłość może ją tylko zranić. A jeśli to już nie jest ta słodka Casey, której oddał swoje serce, to ona może zadać mu ból.

- Patricku, tak mi przykro, że nie powiedziałam ci prawdy. Chciałam to zrobić dzisiaj. Nie przypuszczałam, że dla ciebie będzie to miało takie znaczenie.

- Ale ma.

- Dlaczego?

- Jest wiele powodów. - Patrick pomyślał, że trzeba z tym jak najszybciej skończyć. Ale dostrzegł w jej oczach ból, zdumienie, smutek i chciał zrobić to tak, by oszczędzić jej cierpienia.

Casey dostrzegła czułość w jego oczach, czułość, której wczoraj nie okazał, i w jej serce wstąpiła nadzieja.

- Przytul mnie, Patricku.

- O nie, Casey - powiedział łagodnie, ale stanowczo.

Jeśli ją przytuli, swoją kochaną Casey, nie pozwoli już jej odejść.

Łagodny ton jego głosu dodał Casey odwagi. Nieśmiało objęła go za szyję drżącymi rękami, pogłaskała czarne włosy i wspięła się na palce, żeby go pocałować.

- Proszę, Patricku, kochaj się ze mną.

- Nie.

- Nie?

Patrick usłyszał w jej głosie zdumienie, jakby nie miał prawa jej odmówić, i

przypomniął sobie, że kobieta, która przed nim stoi, może być tą Casey, której on nie zna - rozpieszczoną dziedziczką, zawsze otrzymującą to, czego chce. Przypomniął sobie Pamelę, to, co mu zrobiła, co mu odebrała...

- Nie chcę cię, Casey.

Casey odsunęła się od niego gwałtownie. Jej palce nie zostawiły na jego szyi krwawego śladu, przeciwnie, to ona wyglądała tak, jakby właśnie została głęboko zraniona jego słowami, jego szorstkim, chłodnym tonem.

- Jeszcze w niedzielę miałam wrażenie, że nie potrafisz się ze mną rozstać, Patricku - przypomniała mu cicho, błagalnie.

- A dziś już potrafię.

45 40 - Melodie miłości

- Patricku - szepnęła Casey z bólem, od którego serce mu się krajało - przecież my się kochamy.

- Kochamy się? - Patrick usłyszał nutę okrucieństwa w swoim głosie, konieczną nutę. Jeśli zdoła sprawić, żeby Casey go znienawidziła, może łatwiej przyjdzie jej o nim zapomnieć.

- Tak. Powiedziałeś, że mnie kochasz.

- Byłem pijany.

- Może wypileś trochę szampana za pierwszym razem. Ale później ciągle mi to powtarzałeś!

- Bo to właśnie chciałeś słyszeć. Ale chodziło tylko o seks, Casey. O nic więcej.

Jego okrutne słowa tak głęboko ją raniły! Widząc to, Patrick omal nie wyszeptał: **Œ**rzywiście, że cię kocham, Casey **Œ** tak bardzo pragnął jej to powiedzieć. Ale zwalczył to pragnienie. Milczał. I wtedy dostrzegł zmianę w jej błękitnych oczach... zrozumiał, że słusznie miał się na baczności przed tą Casey, której nie znał. Ból i smutek zniknęły z jej twarzy, a ich miejsce zajęła podejrzliwość i gniew.

- Kim ty właściwie jesteś, Patricku Jamesie? - spytała, spoglądając znacząco w stronę

przeszkód, przez które tak zręcznie przeskakiwał jeszcze dziesięć minut temu.

- Wiesz, kim jestem, Casey.

- Nie, nie wiem. Ty też nie powiedziałeś mi prawdy, Patricku. Dziś na kolacji miałeś mi o czymś powiedzieć.

- To nic ważnego. Wszystko o mnie wiesz.

- Nie sądzę - rzuciła mu ostatnie gniewne, ostrzegawcze spojrzenie.

Musi się tego dowiedzieć.

Kiedy Casey odeszła, Patrick zaczął znosić przeszkody z powrotem do szopy. Powtarzał sobie, że nie ma sposobu, by Casey odkryła jego tożsamość. Tak skrzętnie zacierał za sobą wszystkie ślady, był tak ostrożny, nigdy niczym się nie zdradził - aż do dzisiejszego ranka, kiedy okazał się tak lekkomyślny! Casey widziała go, jak skakał, i na pewno jego zręczność wydała jej się zastanawiająca.

Ale to taka mglista, niewiele znacząca wskazówka.

Tak, ale jeśli jednak istnieje na świecie ktoś wystarczająco bystry i zdeterminowany, aby go zdemaskować, to jest nim urażona, zraniona Casey English.

Instynkt samozachowawczy, który kazał mu opuścić slumsy Chicago w poszukiwaniu raju i który później kazał mu jak najszybciej ten raj opuścić, obudził się znowu i nakłaniał go do ucieczki. Trzeba stąd wiać jak najszybciej. Zaraz, jeszcze dziś.

Patrick westchnął ciężko. Tak, ucieknij stąd, nie ma innego wyjścia, ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie dziś. Jest tak zmęczony ciągłym uciekaniem.

#! E ksplozja samolotu nad Morzem Śródziemnym, z powodu której Jef@

frey został wezwany w nocy do studia i musiał opuścić przyjęcie, rozpoczęła tydzień terroru.

Epicentrum jak zwykle znajdowało się na Bliskim Wschodzie, ale zło rozprzestrzeniło się błyskawicznie, znajdując ujście w brutalnych zamachach terrorystycznych na całym świecie.

Na czterdzieści osiem godzin świat oszalał.

A potem nagle zapanował spokój. Czy była to złowroga cisza przed kolejną burzą? A może to cisza po bitwie, oznaczająca, że przy życiu nie został już nikt, kto mógłby dalej walczyć? Może był to znak czegoś innego, czegoś dobrego?

Tak, w tej ciszy i spokoju narodziła się nadzieja, jak feniks wstający z popiołów. Nadzieja na pokój, na nowy początek. Stało się to, na co świat niemal przestał już czekać. Odwieczni wrogowie zgodzili się na spotkanie przy jednym stole, z przywódcami najpotężniejszych państw świata w roli arbitrów. Będą rozmawiać i może, może...

Historyczna konferencja pokojowa miała się zacząć w poniedziałek w Londynie.

W piątek wieczorem, kilka minut po tym, jak Jeffrey i Julia wrócili do Belvédère, po Jeffreeya przyjechała limuzyna, żeby zabrać go na Manhattan. Wrócił dopiero w czwartek, o wpół do jedenastej wieczorem. Przez sześć pełnych napięcia dni i nocy Jeffrey był w Nowym Jorku, informując kraj i rozmawiając z korespondentami rozsianymi po całym świecie, w nadziei, którą podzielali wtedy wszyscy, że nie jest to tylko początek końca. W tym trudnym czasie Jeffrey rzadko mógł sobie pozwolić na odpoczynek.

W końcu, kiedy o pokoju coraz głośniejsze zaczęto mówić na świecie, Jeffrey mógł wrócić, choć nie na długo, do Belvédère.

ą47

- Och, kochanie, tak się cieszę, że jesteś w domu - Julia czule ucałowała go na powitanie.

- Ja też się cieszę, skarbie - Jeffrey przyciągnął ją do siebie. Chciał być blisko niej, wiedząc, że to, co ma do powiedzenia, nie będzie się jej podobało.

Julia usłyszała nutę niepewności w jego głosie, wyczuła jego napięcie.

- Jeffrey?

- Muszę polecieć do Londynu, kochanie. Jutro rano. Zatrzymam się w Dorchester.

- Nie.

- Julie?

- Nie rób tego, Jeffrey.

- Muszę, skarbie. Bardzo mi przykro, naprawdę.

- Przykro? Obiecałeś spędzić cały przyszedły tydzień z nami. Nie pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam. Ale zrozum, to może być najważniejsze wydarzenie polityczne naszych czasów. Jestem ekspertem w kwestii Bliskiego Wschodu. Jestem jedynym dziennikarzem, który będzie mógł przeprowadzić wywiad z...

- Z kim? Z jakimś terrorystą? Wywiad z terrorystą jest dla ciebie ważniejszy niż obietnica, jaką nam dałeś?

- Nie - odparł Jeffrey cicho, głosem płynącym prosto z serca. Wakacje z Julią i Merry były dla niego dużo ważniejsze. W ciągu sześciu ostatnich dni tęsknił za Julią, jak zawsze, i tęsknił za Merry. Wyjazd na historyczną konferencję pokojową nie był dla niego ważniejszy, ale Jeffrey czuł, że jest zobowiązany tam pojechać i że jego osobiste pragnienia nie mają tu nic do rzeczy. - Naprawdę nie mam wyboru, Julie. Muszę tam polecieć.

Julia wiedziała, że to prawda, że Jeffrey po prostu nie ma wyboru, ale ten głos rozsądku, który słyszała gdzieś na peryferiach umysłu, zginął we wrzawie emocji, jakie nagle ją ogarnęły. Podobnie jak Jeffrey, Julia od dawna żyła z głęboką raną, którą tak jak on osłaniała swoją wielką miłością do niego i wiarą, że pewnego dnia ta rana w końcu się zablizni. Ponieważ pewnego dnia Jeffrey pokocha swoją córkę.

Julia zaczynała już wierzyć, że ta chwila jest blisko. Wszystko zaczęło się zaledwie dwa tygodnie temu, zakiełkowało jak pierwszy wiosenny kwiat. Merry tak cierpliwie czekała na ojca, którego z daleka kochała i tak bardzo potrzebowała. Czekwała, żyjąc obietnicami, składanymi przez Julię: Tataś cię kocha, kotku, bardzo cię kocha, ale jest zajęty, musi wiele pracować. Pewnego dnia będzie miał więcej czasu w czasie dwóch ostatnich tygodni brązowe oczy zaczęły patrzeć w stronę Jeffrey'a z nadzieją. Merry zaplanowała wraz z Julią takie wspaniałe wakacje.

Merry okropnie to przeżyje. To będzie gorsze niż wszystkie dotychczasowe ciche

rozczarowania. Bo Merry zaczęła już wierzyć, że może być inaczej.

A teraz...

Julia czuła, że ogarnia ją gniew, którego nie potrafi opanować.

- Och, Jeffrey, nigdy mi nie wybaczysz, prawda?

- Co miałbym ci wybaczyć? - spytał Jeffrey zaskoczony pytaniem i gniewem, którego nigdy dotąd nie widział w jej fiołkowych oczach.

- Tego, że urodziłam Merry. Jeszcze teraz, po dziesięciu latach, żałujesz, że przyszła na świat.

- To nieprawda.

- Ależ tak, to prawda! Chciałeś, żebym usunęła tę ciążę.

- Mój Boże, Julio, nie! Jak mogłaś choćby pomyśleć o czymś takim?

- Bo to prawda. Widziałam to w twoich oczach, kiedy powiedziałam ci, że spodziewam się dziecka.

- Nie, to nieprawda - powtórzył Jeffrey stanowczo, z mocą, szczerze. Wiedział, co Julia zobaczyła wtedy w jego oczach - nieznośny ból, jaki odczuł na myśl o tym, że kochał ją, zapewne z wzajemnością, inny mężczyzna; pragnienie, aby to jednak nie było prawdą; smutek, że inny mężczyzna dał jej to, czego on nigdy nie będzie mógł jej dać. W tych trudnych chwilach chciał tylko nauczyć się na nowo żyć z tym, czego się właśnie od niej dowiedział. Oczywiście chciał, żeby jej ciąża okazała się kłamstwem, wymysłem, naiwną próbą skłonienia go do małżeństwa. Nigdy jednak nie pomyślał nawet o tym, że mogłaby nie urodzić swojego dziecka. - Nigdy nie chciałem, żebyś usunęła ciążę. Musisz w to uwierzyć, Julio.

Julia prawie nie słyszała jego słów, bo jej także stanął przed oczami tamten wieczór sprzed ponad dziesięciu lat. A to wspomnienie sprawiło, że jej gniew zwrócił się przeciw niej samej.

Merry będzie tak okropnie rozczarowana, ponieważ Jeffrey nie zrobi tego, co ona obiecała córce. Ale to jej, Julii, wina, nie Jeffreya. Tamtego majowego wieczora Julia,

dobrze pamiętająca swoje smutne, pozbawione miłości dzieciństwo, powinna była posłuchać głosu rozsądku. Widziała przecież w chmurnych oczach Jeffreya, że on wcale nie chce tego dziecka. Zamiast tego posłuchała swego serca. Wiedziała, że powinna

odejść od tego człowieka, żeby chronić swoje nie narodzone dziecko, ale jej serce było pełne nadziei, obiecywało, że pewnego dnia Jeffrey pokocha je, a ona uwierzyła w to, ponieważ tak bardzo go kochała.

Julia uwierzyła w obietnice swojego serca, ale była to samolubna wiara, podtrzymywana pragnieniem, by spędzić życie u boku człowieka, którego pokochała... Ale jaką cenę musiała za to zapłacić jej córka, jej druga, wielka miłość?

- Jeffrey - powiedziała znowu spokojnie Julia. Jej gniew na męża, na samą siebie zniknął pod wpływem smutku, jaki odczuwała ze względu na Merry. - Proszę, nie krzywdź Merry. To nie jej wina, że zaszłam w ciążę.

- Nigdy nie skrzywdziłbym Merry... - zaczął Jeffrey, ale dalsze słowa Julii sprawiły, że serce stanęło mu w piersi. - A czyja to wina, Julio? - Jeffrey urwał i dodał bardzo cicho: - Nie moja.

- Nie, nie twoja. To moja wina - przyznała Julia spokojnie, wspominając tamtą szesnastoletnią dziewczynę, która udawała, że jest dorosła i doświadczona, bo gdyby on wtedy kazał jej odejść, odczułaby pustkę większą niż po wszystkich innych stratach, jakich doznała w swoim krótkim życiu. - To moja wina. Tylko ja jestem za to odpowiedzialna.

- Co jeszcze, Julie? - spytał miękko, patrząc w fiołkowe oczy, które patrzyły najpierw tak gniewnie, a potem z takim niewysłowionym smutkiem. Julia wreszcie zaczęła mówić prawdę. W końcu przyznała, że miała innego kochanka. Jeffrey musiał usłyszeć całą resztę. Wtedy to wszystko się skończy i stara rana w końcu się zagoi. - Powiedz mi, kochanie. Powiedz mi prawdę.

W Jeffreya wstąpiła nowa nadzieja. Może z tego gniewu, cierpienia i bólu, na zgliszczach tych wszystkich kłamstw w końcu narodzi się prawda. Jeffrey bardzo na to

liczył, choć ciągle słyszał słowa Julii, ciągle czuł ból na myśl o jej cichym cierpieniu, które zaowocowało takim gniewem. Czy Julia naprawdę sądziła, przez wszystkie te lata, że on chciał, by pozbyła się swego nie narodzonego dziecka?

Czekając, aż Julia przemówi, Jeffrey podjął decyzję. Nie poleci do Londynu. Spędzi ten tydzień z Julią i Merry i zrobi wszystko, żeby zagoić stare rany.

Powiedz mi całą prawdę, Julie, ponaglał ją w milczeniu, uśmiechając się czule do jej smutnych fiołkowych oczu. Powiedz mi prawdę, żebyśmy mogli odzyskać spokój i cieszyć się cudem naszej miłości.

Ale kiedy Julia w końcu przemówiła, jej pełen bólu szept zniszczył całą nadzieję.

- Nie powinnam była za ciebie wyjść. ą50

Powinna była sama wychowywać ich córkę. Mogłaby jej powiedzieć, jakim wspaniałym człowiekiem był jej ojciec, i oszczędzić jej całego tego bólu i rozczarowania.

Jeffrey patrzył na Julię w osłupieniu, a w głowie kołatała mu się tylko jedna myśl. Zawsze chciał, żeby powiedziała prawdę, i zawsze bał się, że kiedy to w końcu nastąpi, nie zdoła tego znieść.

Miał wrażenie, że jego serce rozpadło się na tysiąc kawałków, z których każdy krwawi i wyje z bólu. Instynkt samozachowawczy kazał mu podejść do biurka, gdzie w górnej szufladzie leżały kluczyki do jaguara. Musi natychmiast opuścić to miejsce. Paszport miał w teczce, ubrania i bagaż czekały na niego w apartamencie na Manhattanie. Nie sądził, że może być ból większy od tego, który w tej chwili odczuwał. Zrozumiał jednak, że się myli, kiedy przypomniał sobie dzień, w którym tak samo wyciągał z szuflady biurka kluczyki do jaguara. Wtedy wszedł do samochodu, żeby zabrać do domu przerażone dziecko. Dziewczynkę, która nie jest jego córką.

- Jeffrey...

Usłyszał ten cichy szept, ale się nie odwrócił. Nie mógł.

- Gdzie jest tatuś? - spytała Merry następnego ranka.

Kiedy kładła się spać wieczorem, Julia powiedziała jej, że tatuś wróci późno w nocy

i że zobaczy się z nim rano, zanim wyjdzie do pracy. Ostatni raz przed ich wspólnymi wakacjami.

- Och, kochanie, tatuś musiał polecieć do Londynu na konferencję pokojową. Było mu bardzo smutno z tego powodu, ale nie mógł nic zrobić.

- Rozumiem, mamusiu.

Wiem, że rozumiesz, kochanie, pomyślała Julia, patrząc na bardzo rozczarowaną, ale starającą zachowywać się dzielnie dziewczynkę. Jej bystre, inteligentne dziecko mimo smutku i rozczarowania zachowuje rozsądek. Julia gorzko żałowała, że nie udało jej się go wczoraj zachować.

- Może zapytamy Patricka, czy dałoby się nagrać turniej hippiczny na wideo? - zaproponowała z nadzieją, choć chciało jej się płakać. Merry całe życie oglądała swojego ojca głównie na kasetach wideo, a teraz... - A kiedy tatuś wróci do domu pokażemy mu film i opowiemy wszystko o weekendzie w Nowym Jorku.

A jeśli Jeffrey nie wróci? Był taki zły, kiedy wychodził.

To oczywiste, że był zły. Nic dziwnego, że wyszedł. Czego się spodziewała? W gniewie, który czuła zresztą bardziej na samą siebie, powiedziała takie straszne rzeczy.

ą5ą

Musi pojechać do niego i wyjaśnić, dlaczego powiedziała takie okropne rzeczy. Przysięgła sobie, że pojedzie.

Diana patrzyła na swoje odbicie w lustrze, nie kryjąc dezaprobaty. Znajdowała się w damskiej toalecie na lotnisku Kennedy'ego. Tylko jej ciemne loki nie ucierpiały w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Długie, gęste, lśniące stanowiły piękne obramowanie bladej twarzy, która od czerwca tak bardzo wychudła. W tej szczupłej twarzy niebieskie oczy wydawały się jeszcze większe. Były smutne, tajemnicze, nawet intrygujące. Ale Diana знаła prawdę o tych oczach, wiedziała, że za ich smutkiem nie kryje się tajemnica, tylko ból.

Tego ranka pod błękitnymi oczyma widniały ciemne, głębokie, sine kręgi. Świeże, bo

o trzeciej nad ranem wezwano Dianę do operacji człowieka z raną postrzałową klatki piersiowej. Diana oficjalnie nie była na dyżurze - następnego dnia miała wyruszyć na urlop do Europy - ale faktycznie pracowała właściwie cały czas od chwili, kiedy otrzymała od Chase'a papiery rozwodowe.

Patrząc krytycznie na swoją umęczoną twarz, pomyślała, że za mało o siebie dbała. Diana czuła przymus pracy. Mało jadła, mało spała, niewiele czasu spędzała w samotności. Wszystko po to, żeby nie dopuszczać do siebie przykrych myśli.

Jako lekarz z powołania Diana czuła się w obowiązku nieustannie pocieszać kobietę, którą widziała w lustrze. Powinna zadbać o siebie, trochę odpocząć.

Chase zorganizował wakacje, które miały jej to ułatwić. Pierwsza klasa, pięciogwiazdkowe hotele, najlepsze apartamenty. Na takie wakacje mogli pozwolić sobie tylko najbogatsi ludzie świata.

Będzie mieszkała w luksusie należnym tylko królowym, ale wiedziała, że wcale nie odpocznie. Czeka ją bezsenna noc. Jej umysł, pozbawiony ucieczki, jaką dotąd była praca, z całą mocą skupi się na analizie problemu, o którym dotąd nie chciała myśleć. Diana zbada to, na czym zna się najlepiej... własne serce.

Diana westchnęła i odsunęła niesforne pasmo włosów z twarzy. Musi dojść do tego, jak to się stało, że już dwa razy zblądziła, że już dwa razy miłość, która miała trwać wiecznie, została jej odebrana.

Do odlotu ciągle jeszcze miała ponad dwie godziny. Nalała sobie filiżankę herbaty i znalazła wygodny fotel w rogu poczekalni pierwszej ą52 klasy. Mogła z niego obserwować z jednej strony samoloty, ustawiające się w kolejce do startu, z drugiej ludzi w poczekalni. Piła herbatę i czuła, jak ogarnia ją senność. W pracy była skoncentrowana, teraz jednak pozwoliła, by otuliła ją ciepła, bezpieczna, senna mgła.

Bezpieczna, ponieważ wykorzystuje zmęczenie jako wymówkę, żeby nie myśleć, nie zaczynać swojej podróży w przeszłość.

Zacznę jutro, obiecała sobie Diana. Wyśpię się porządnie w Dorchester i wezmę się

do pracy nad sobą. Rozpracuję wszystkie znaki i sygnały, które pomogą mi zdiagnozować moją sytuację. Dowiem się, dlaczego odniosłam tak wielki sukces w życiu zawodowym i tak wielką porażkę w prywatnym.

Teraz jednak najlepsza będzie drzemka...

W tej właśnie chwili do poczekalni wszedł Jeffrey Lawrence.

Z pewnością wybiera się na konferencję pokojową do Londynu, gdzie poleci pierwszą klasą, być może tym samym co ona samolotem.

Silna, pewna siebie kobieta podeszłaby teraz do niego i przeprosiła za atak hysterii w jego biurze.

Tak postąpiłaby silna, pewna siebie kobieta, taka, jaką Diana znowu się stanie za trzy tygodnie.

Teraz jednak chciała uniknąć spotkania z nim. Sięgnęła po ilustrowany magazyn, leżący na stoliku. Spojrzała nań i zmarszczyła brwi. Na okładce widniał portret pięknej, pewnej siebie kobiety o wielkich niebieskich oczach, uśmiechu Mony Lisy i niesfornych kasztanowych włosach, zmysłowo wymykających się spod turkusowej maski chirurgicznej... jej portret.

Był to *Times* czwartego września, poświęcony osobie Diany Sheperd. Diana nie czytała jeszcze artykułu towarzyszącego pochlebnemu wizerunkowi na okładce i teraz także nie miała zamiaru go czytać. Zagięła okładkę, żeby nikt nie rozpoznał jej na portrecie. Była zdumiona długością artykułu o sobie, stanowił szczegółową kronikę jej kariery, jej wielkiego sukcesu, osiągnięć naukowych - tego wszystkiego, do czego już doszła, choć skończyła dopiero trzydzieści sześć lat. Najwięcej miejsca zajmował opis sztucznego serca, zresztą Diana tylko dlatego zgodziła się na ten artykuł. Tekst uzupełniały liczne fotografie uśmiechniętych, szczęśliwych pacjentów, którym wszczepiono nowe serce.

Diana szybko odwróciła te strony i równie szybko minęła wydarzenia ze świata. Numer pochodził sprzed tygodnia, zanim jeszcze świat został opanowany przez terror, ale

wiadomości nawet z takiego spokojnego tygodnia były pełne przemocy i ludzkich tragedii. Diana odwróciła jeszcze kilka stron w poszukiwaniu informacji poświęconych teatrowi, kinu, sztuce i zwykłym ludzkim sprawom.

ą5ł

Nagle znów zobaczyła swoje nazwisko. Krótka notka sucho i zwięźle informowała o jej największej życiowej porażce:

Rozwiedli się doktor Diana Sheperd, sławna kardiochirurg, i Chase Andrews, multimilioner, działający w branży budowlanej. Pobrali się pięć lat temu. Nie mieli dzieci

Nie mieli dzieci. Diana patrzyła na te słowa przez dłuższą chwilę, westchnęła i odwróciła stronę. Wśród zdjęć znanych osób, notek o nowych filmach, premierach, wernisazach, przyjęciach od razu natknęła się na wzmiankę dotyczącą Sama: Sam Hunter wraca do domu. W ubiegłym tygodniu Sam Hunter, piosenkarz i kompozytor, który już sześciokrotnie zdobył Nagrodę Grammy, przeniósł się z Londynu, w którym mieszkał od piętnastu lat, do Kalifornii, gdzie nabył luksusowy dom na plaży w Malibu. Pochodzący z Dallas piosenkarz podpisał kontrakt na trzy płytowy album z Capitol Records. Nie planuje na razie tournée po Stanach Zjednoczonych, ale jego rzecznik nie wyklucza takiej możliwości. Zapytany, dlaczego znany piosenkarz postanowił zakończyć swe dobrowolne wygnanie, rzecznik odparł, że już był na to czas. Ogromną popularność poetyckich piosenek Huntera potwierdza fakt, że aż dziesięć z nich zajmowało pierwsze miejsca na wielu różnych listach przebojów muzyki pop, rock i country. Najnowszy singiel, Zatańcz ze mną, od dwóch miesięcy należy do najczęściej granych utworów, a za ostatni album, Obietnice, Hunter otrzymał już platynową płytę

Diana przeczytała notkę pięć razy, choć natychmiast zapamiętała każde słowo. Niczego więcej nie mogła się już dowiedzieć z tych kilku linijek, ale między nimi kryło się piętnaście lat życia.

Powoli zamknęła magazyn i położyła go na stoliku. Właśnie rozpoczęła podróż w przeszłość, bo najważniejszą postacią był w niej właśnie Sam Hunter.

Sam Hunter, który wkroczył w jej życie pewnego słonecznego, jesiennego dnia, w Dallas w 1970 roku.

Diana siedziała przy jednym z wielu stolików w holu liceum imienia Teodora Roosevelta. Było południe, w holu tłoczyli się uczniowie i ich koledzy, krążąc wśród stolików, na których leżały stopy przeznaczonych do sprzedaży przedmiotów - szkolnych swetrów i odznak, biletów na potańcówki, okładek na książki, ciastek i krówek.

Diana niczego nie sprzedawała, czekała tylko cierpliwie na ochotników, którzy chcieliby się zapisać na pokaz młodych talentów. Pokazy tego rodzaju nie były w szkole Roosevelta niczym nowym - zazwyczaj odbywały się co roku na wiosnę i były bardzo udane - ale pokaz Diany miał się odbyć w środę wieczorem przed Świętem Dziękczynienia. Dochód z imprezy zamierzono przeznaczyć na nowy dom dziecka. Jesienny pokaz talentów był pomysłem Diany. Zdobyła już poparcie nauczycieli i rady uczniowskiej. Miała teraz nadzieję, że choćby garstka utalentowanej młodzieży zechce poświęcić swój czas dla tego projektu.

Dianie pozostawała tylko nadzieja, ponieważ nie mogła nikogo do tego zmusić. Siedziała cicho przy swoim stoliku, żałując, że sama nie ma żadnego talentu, poza zdolnościami organizacyjnymi.

W następnym wcieleniu będzie obdarzona pięknym głosem. Diana uwielbiała piękne piosenki lat sześćdziesiątych. Muzyka zawsze towarzyszyła jej w życiu, nawet wówczas, gdy uczyła się pilnie, aby na świadectwie pojawiały się same piątki. Diana знаła słowa wszystkich tych pięknych piosenek i często nuciła je sobie pod nosem, nie potrafiła jednak śpiewać. Została obdarowana przez los w inny sposób - była bardzo inteligentna i chętnie dzieliła się swym szczęściem z tymi, którzy tego potrzebowali.

- Cześć.

- Cześć - odpowiedziała zdumiona Diana. Dlaczego przy jej stoliku zatrzymał się Sam Hunter, gwiazda szkolnego futbolu? Nad stolikiem wisiała przecież kartka Zapisy na pokaz młodych talentów□

- Chciałbym się zapisać.

Diana wiedziała, że dzięki Samowi drużyna Dzikich Jeźdźców ze szkoły imienia Roosevelta zdobyła mistrzostwo stanu. Sam Hunter to był ktoś, znano go w całym Dallas. Jego udział zagwarantowałyby sukces pokazu. Jeśli Sam chce pokazać na scenie, co potrafi, należy mu to umożliwić.

Sam patrzył na nią wyczekująco.

- Potrafię śpiewać - dodał w końcu.

Zanim Diana zdążyła odpowiedzieć, pojawiła się Cheryl, dziewczyna Sama. Cheryl była śliczną, seksowną blondynką. W grupie kilku innych dziewcząt zagrzewała kibiców przed meczami.

- A, tu jesteś, kotku.

- Zaraz do ciebie przyjdę, Cheryl.

- Myślałam, że wybierzemy się na przejażdżkę. - Prowokacyjnie wyduła usta, wyraźnie dając do zrozumienia, że bardziej niż sama jazda samochodem interesuje ją to, co będą robić, kiedy już gdzieś zaparkują.

- Tak, za chwilę. Jak tylko skończę.

- Chodźmy już. - Ponagliła go Cheryl, zabawiając się guzikami jego koszuli i uwodzicielsko spoglądając mu w oczy. Po chwili jej palce przesunęły się w stronę paska u jego spodni. Na policzki Diany wypłynął rumieniec. Była tak zażenowana, że chciała się zapaść pod ziemię.

ą55

Sam spojrzął z ukosa na Cheryl i łagodnie, lecz stanowczo przerwał tę wstępną grę miłosną. Palce, którymi ujął nadgarstek Cheryl, nie były tak grube i masywne, jak u większości sportowców, lecz smukłe, delikatne, podobnie jak on sam.

- Spotkamy się przed szkołą za pięć minut, Cheryl.

- Czekam.

- Więc... - zaczął Sam, kiedy Cheryl odeszła - co chcesz o mnie wiedzieć? Nazywam

się Sam Hunter.

Czy naprawdę sądził, że ona nie wie, kim on jest? Nie spotkali się wcześniej, to prawda. I nie tylko z powodu rozmiarów szkoły, gdzie na jednym roku uczyło się pięciuset uczniów. Po prostu Diana Sheperd i Sam Hunter żyli w dwóch różnych światach.

Przystojny futbolista należał do niewielkiej, elitarnej grupy atrakcyjnych, pewnych siebie, doświadczonych na polu seksu młodych ludzi. Grupa Diany miała więcej doświadczenia w dziedzinie nauki, nie interesując się tak życiem towarzyskim. Diana i jej przyjaciele wygrywali olimpiady przedmiotowe, a nie mecze piłki nożnej i konkursy piękności, czytali Hobbita, słuchali Beatlesów i Khalil Gibrana i dostawali najlepsze oceny w ogólnokrajowych testach. W weekendy spotykali się w grupie, a nie w parach. Dziewczeta narzekały czasami na swój brak doświadczenia w sprawach seksu, szybko pocieszając się wśród wybuchów wesołego śmiechu, że na wszystko przyjdzie czas - na seks, na miłość, na spełnienie marzeń.

Diana i Sam nigdy się nie spotkali, ale Diana oczywiście wiedziała, kim on jest.

- Tak, wiem. Jestem Diana Sheperd.

- Wiem. Głosowałam na ciebie.

- Naprawdę?

- Jasne. Byłaś najlepszym kandydatem.

- Dziękuję.

Podczas ostatnich wyborów na przewodniczącego rady szkolnej przeciwnikiem Diany był jeden z kolegów Sama. Jednak Sam, po wysłuchaniu przemówień kandydatów, uznał, że to Diana powinna zostać przewodniczącą rady, pierwszą dziewczyną na tym stanowisku w liczącej sześćdziesiąt lat historii szkoły.

- Proszę bardzo. Więc, co jeszcze będzie ci potrzebne?

- Musiałbyś przyjść na przesłuchanie. - Oczywiście, gdyby nawet Sam nie miał żadnych zdolności muzycznych, Diana i tak pozwoliłaby mu wystąpić. - Muszę usłyszeć

to, co chcesz zaśpiewać, i zobaczyć, gdzie cię umieścić. ą56

- Dobrze. Kiedy będą te przesłuchania?

- W przyszłym tygodniu, po szkole. Ale pewnie masz wtedy trening?

- Owszem. Może wyznaczysz mi inny termin, taki, który tobie też będzie pasował?

Pokaz talentów był wypieszczonym, ukochanym pomysłem Diany, jednak o wynikach przesłuchań miało decydować kilkoro innych członków rady. A teraz Sam Hunter, szkolny bohater, gwiazda futbolu, który prawdopodobnie przyciągnie na pokaz najwięcej ludzi, pyta, czy Diana może zorganizować specjalnie dla niego prywatne przesłuchanie. Zna swoją wartość.

- Jasne. Kiedy chcesz. Jaki termin by ci najbardziej odpowiadał?

- W tym tygodniu gram w piątek wieczorem, więc może w sobotę? Rano albo po południu.

Diana domyśliła się, że w sobotę wieczorem Sam i Cheryl będą wspólnie świętować kolejne zwycięstwo na szkolnej potańcówce.

- W soboty po południu pracuję w szpitalu, więc lepiej spotkajmy się rano.

Przez kolejne trzy dni Diana zastanawiała się nerwowo, o czym będą rozmawiać z Samem podczas krótkiej przejażdżki spod jej domu, skąd o dziesiątej rano miał ją zabrać swoim samochodem do Parku Lincoln. Poprosił, żeby właśnie tam odbyło się specjalne przesłuchanie.

Nie mają ze sobą nic wspólnego, to oczywiste. On zapewne uważa szczęśliwy, niewinny świątek Diany i jej przyjaciół za beznadziejnie nudny.

Diana postanowiła rozmawiać z nim o futbolu. Ze szkolnego tygodnika dowiedziała się więcej na temat osiągnięć Sama w ostatnim sezonie. Zapytała o jego dalszą karierę.

No i musi udać, że śpiew Sama zrobił na niej wrażenie, nawet jeśli będzie daleka od zachwyty.

Jednak w sobotę rano Sam pierwszy zadał jej pytanie:

- Czy dochód z imprezy zostanie przeznaczony na dom dziecka?

- Tak.

- Myślałem, że budowa już się zakończyła.

- To prawda. Jest otwarty od pół roku. Pieniądzy starcza na podstawowe potrzeby, ale dochody z tego rodzaju imprez przydadzą się nam na specjalne okazje.

- Nam?

- Pracuję tam jako wolontariuszka.

ą57

- Tam właśnie idziesz dzisiaj po południu?

- Nie. Dzisiaj pracuję w szpitalu dziecięcym, a we wtorki po szkole chodzę do domu dziecka. - Może warto kiedyś zabrać dzieciaki na mecz futbolowy, w którym będą grać Dzicy Jeźdźcy?

Sam nie odrywał oczu od drogi. Diana ze zdumieniem i ulgą stwierdziła, że jest bardzo dobrym, ostrożnym kierowcą. Patrzył uważnie przed siebie, ale jego twarz spoważniała.

- Nie sądzę, żeby dzieci, nad którymi znęcano się fizycznie lub psychicznie, dobrze bawiły się, oglądając tak brutalny sport.

Diana nie wiedziała co na to odpowiedzieć, by nie okazać braku zainteresowania sportem, który był przyszłością Sama. Zanim znalazła właściwe słowa, dojechali na miejsce.

Diana nie musiała uczyć się niczego na temat futbolu. Nie musiała też martwić się, co zrobi, jeśli okaże się, że Sam nie umie śpiewać.

Brakowało jej tylko słów - i nigdy ich nie znalazła - na wyrażenie tego, co czuła, słuchając głosu Sama. Zaśpiewał jej ulubione piosenki o miłości tak pięknie, z takim uczuciem, jak nikt przedtem. Jego silne, smukłe palce czyniły prawdziwe cuda z gitarą.

A jego zmysłowe, ciemne oczy i miękkie, głęboki głos oczarowały Dianę.

Nie pytając nawet, co chciałaby usłyszeć, zaśpiewał piosenki, które najbardziej lubiła:

- Dlaczego nigdy przedtem nie brałeś udziału w pokazach młodych talentów? Jesteś bardzo... świetnie grasz.

- Dopiero ten cel wydał mi się wart zachodu. No i co, będziesz mogła mnie wykorzystać?

- Chciałabym - powiedziała Diana, patrząc w jego ciemnobrązowe, pełne niepewności oczy - zorganizować twój recital.

W prawdzie pokaz młodych talentów, który odbył się w przeddzień

Święta Dziękczynienia, nie był recitalem Sama Huntera, ale z pewnością Sam okazał się tu pierwszą gwiazdą, tak jak cztery dni wcześniej błyszczał na stanowych rozgrywkach futbolowych. ą58

Pokaz był bardzo udany, przyszło mnóstwo ludzi, między innymi dlatego, że w mieście głośno było o występie Sama, który postanowił wypróbować swą wartą milion dolarów rękę w grze na gitarze. Wyglądało na to, że nikt, nawet Cheryl, nie wiedział o talentach muzycznych Sama. Nikt, poza jego rodzicami, ale Diana nie była w stanie rozpoznać ich wśród tłumu otaczającego go po koncercie.

Później Sam tylko uśmiechał się nieśmiało do niej, kiedy spotykali się na szkolnym korytarzu, nie miał jednak powodu, żeby się zatrzymać: nie musieli już ustalać kolejności piosenek, omawiać bisów, decydować, jak rozpocząć i zakończyć jego występ. W ogóle nie mieli powodu ze sobą rozmawiać.

Mogli rozejść się do swoich światów.

- Cześć, Diano.

Była połowa grudnia, trzy tygodnie po pokazie talentów. Diana siedziała w biurze rady uczniowskiej, kiedy w drzwiach ukazał się Sam.

- O, Sam. Jak się masz.

- Co słyszeć?

- W porządku.

- Zastanawiałem się właśnie, czy nie potrzebujecie jeszcze ochotników do pracy w

domu dziecka. Sezon się skończył, więc mam wolne wtorkowe popołudnia.

- Cudownie! Zresztą to nie musi być wtorek. Możesz nam pomagać w każdy inny dzień.

- Ale ty chodzisz tam we wtorki, prawda?

- Tak.

- Wolałbym zacząć z tobą. Ąbyś mi pokazała, jak się to robi.

- Chętnie, chociaż to bardzo proste. Bawimy się z dziećmi i robimy wszystko, żeby poczuły się bezpieczne i kochane.

W rzeczywistości z nieletnimi dziećmi, nieufnymi, z zaburzeniami emocjonalnymi było sporo roboty. Jednak nawet one z czasem zaczynały robić postępy przy fachowej pomocy psychologów i lekarzy, a ich pierwsze nieśmiałe uśmiechy były warte włożonego w to trudu.

- Czy Cheryl także chce zostać ochotniczką?

- Cheryl? Och, nie.

Początkowo Sam był w towarzystwie dzieci bardzo skrępowany. One jednak szybko poczuły się przy nim swobodnie. Futbol był w Dallas

ą59 bardzo popularnym sportem, co pomogło Samowi na starcie. Później zauroczył dzieci swym niepewnym uśmiechem, skromnością i pięknymi balladami, które śpiewał. Pierwsze lody zostały przełamane, szybko i trwale.

W lutym Diana zebrała się na odwagę i spytała go o coś, co od kilku już tygodni chodziło jej po głowie. Czy nie zechciałby zaśpiewać dla dzieci, które leżą w szpitalu? Oczywiście wie, że jest on bardzo zajęty, już i tak hojnie dzieli się swoim czasem w każdy wtorek. Sam zgodził się bez namysłu. Tak, oczywiście zagra z przyjemnością dla chorych dzieci.

Koncert zaplanowano na drugi czwartek marca, na godzinę siódmą wieczorem, w sali konferencyjnej szpitala. Dzieci z domu dziecka również miały przyjść, by posłuchać swojego przyjaciela.

Sam powiedział Dianie, że przyjedzie po nią piętnaście po szóstej. Będzie miał więc dość czasu, żeby sprawdzić nagłośnienie sali i odwiedzić znajomych małych pacjentów przed koncertem.

Kiedy minęła szósta piętnaście, a potem szósta dwadzieścia, Diana zaczęła się trochę martwić.

Dziesięć minut opóźnienia, piętnaście.

W książce telefonicznej było wielu abonentów o nazwisku Hunter. Diana wybrała numer z ulicy znajdującej się w rejonie ich szkoły.

Telefon był zajęty. Może Sam dzwoni właśnie do niej? Szybko odłożyła słuchawkę.

Ale Sam nie zadzwonił. O szóstej czterdzieści Diana zadzwoniła jeszcze raz. Numer znowu był zajęty. Zadzwoniła więc do szpitala z wiadomością, że koncert rozpocznie się z opóźnieniem. Mogła sama pojechać do szpitala, ale przecież była tylko organizatorem. To Sam miał być gwiazdą. Ale co się z nim stało?

Może spotkał się z Cheryl? Może to ona odciągnęła jego uwagę od koncertu, czarując swymi wdziękami tak, że zapomniał o całym świecie, o chorych, smutnych dzieciach w szpitalu i o swoim zobowiązaniu?

Nie, Sam by tak nie postąpił.

Ale przecież ona prawie go nie zna.

Oczywiście rozmawiali ze sobą we wtorki, jadąc razem do domu dziecka i z powrotem. Ale to głównie Sam zadawał pytania, a Diana na nie odpowiadała. Powiedziała mu, że ma zamiar zostać pediatrą. Chociaż zdawała sobie sprawę, jak smutna i ciężka będzie ta praca wśród cierpiących, bezbronnych istot, nie rozumiejących, dlaczego dopadła je choroba. Jednak uważała, że będzie mogła im pomóc, zrobić wiele dobrego. Chciała nieść ulgę, wywołać uśmiech na ich buziach, dać im trochę radości. ą60

Diana nie pytała Sama o jego plany na przyszłość - nie zebrała się jeszcze na odwagę - ale dowiedziała się o nim wielu rzeczy, po prostu go obserwując. Widziała, że ma świetne podejście do dzieci. Czasami uśmiechał się równie nieśmiało jak one i może

właśnie dlatego nawet te najbardziej nieufne czuły się przy nim bezpiecznie. Był kimś, kto nigdy nie zawiedzie.

Zrobiło się już naprawdę późno. Siódma. Siódma piętnaście. Wpół do ósmej.

Numer, który mógł zresztą należeć do kogoś zupełnie innego, był ciągle zajęty. W końcu do Diany zadzwonił opiekun ze szpitala. Zadał jej mnóstwo pytań, na które nie znała odpowiedzi.

Koncert Sama miał trwać do ósmej trzydzieści. Dzieci zostały w sali do tego czasu i śpiewały piosenki. Za piętnaście dziewięta opiekun zadzwonił jeszcze raz pytając, czy Sam wyznaczy inny termin na swój występ. Diana nie miała o tym pojęcia i dzieci nie usłyszały żadnych wyjaśnień ani obietnic.

Diana z początku była zła na Sama, a potem coraz bardziej zaczęła się o niego martwić. Coś musiało mu się stać. Jeździ ostrożnie, ale może jednak miał wypadek...

Żeby tylko nic mu się nie stało...

Sam zadzwonił o dziesiątej wieczorem.

- Diano, tak mi przykro.

- Gdzie jesteś?

- W domu.

- Co się stało? Miałeś wypadek?

- Nie, nie. Po prostu nie mogłem przyjść. Naprawdę strasznie mi przykro.

Teraz, kiedy Diana wiedziała już, że Sam jest cały i zdrowy, jej gniew wrócił ze zdwojoną siłą.

- Jak mogłeś im to zrobić?

- Przykro mi.

- Czy wiesz, jak bardzo je zawiodłeś? Pomyślałeś o tych dzieciach, które są z ciebie takie dumne?

- Możemy ustalić inny termin?

- A skąd mam wiedzieć, że znowu nam tego nie zrobisz? Czy możesz

zagwarantować, że znowu nie pojawi się coś, albo ktoś, kto okaże się ważniejszy? Nie masz pojęcia, co im zrobiłeś. Te dzieci ci zaufały, a tak trudno wzbudzić w nich zaufanie. Wszystko zepsułeś!

ą6ą ą6 - Melodie miłości

- Przykro mi, Diano.

- Mnie również.

Diana odłożyła słuchawkę. Nie trzasnęła nią gniewnie, ale położyła na widelki cicho, ze smutkiem. Dopiero potem dotarło do niej, że Sam nie próbował się tłumaczyć, nie szukał wymówek. To, co zrobił, było niewybaczalne, obojętne, co go do tego skłoniło. Musiał o tym wiedzieć.

Nazajutrz, w piątek, Sama nie było w szkole. Diana sprawdziła jego numer telefonu w dzienniku szkolnym. Właśnie tam wydzwaniała wczoraj wieczorem. Czyżby Sam i Cheryl posprzeczali się, a później godzili ze sobą przez telefon, co zabrało im tyle godzin?

Diana przez cały weekend była na niego zła i postanowiła, że w poniedziałek zażąda wyjaśnień.

Sam jednak znalazł ją pierwszy. Czekał na korytarzu przed jej salą. Diana była zaskoczona jego wyglądem, złość nagle jej przeszła. Co mogło mu się przydarzyć? Wyglądał na chorego, był bardzo blady, a ciemne oczy miał zamglone, podkrążone.

- Co się stało, Sam?

- Nic. Nie mogłem zasnąć z powodu tego, co zrobiłem. Diano, naprawdę ogromnie mi przykro. Bardzo chciałbym dać ten koncert w innym terminie. Chcę, żebyś wiedziała, że możesz mi ufać.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Po prostu tak się stało.

- Ale już się nie powtórzy?

- Nie.

Diana spojrzała w jego smutne oczy. Wcale jej nie przekonał. A i chyba on nie mógł

zagwarantować, że to się nie powtórzy.

Sam nie powiedział Dianie, co się stało. Ale wkrótce przestało to być tajemnicą. Cała szkoła wiedziała, że Sam i Cheryl zerwali ze sobą.

Nowy termin koncertu wyznaczono na połowę kwietnia. Sam przeprosił dzieci i przyrzekł, że następnym razem na pewno do nich przyjdzie.

Przez trzy tygodnie poprzedzające koncert Sam jeździł z Dianą do domu dziecka, jak zwykle zabierając ją i odwożąc swoim samochodem. Po drodze zazwyczaj milczeli. W trakcie zajęć z dziećmi zachowywali się pogodnie i wesoło, ale nie mieli sobie nic do powiedzenia, kiedy byli sami. Diana czekała na dzień koncertu z niepokojem. ą62

Sam przyjechał po nią pięć minut przed umówioną godziną i po raz pierwszy od trzech tygodni uśmiechnął się naprawdę szczerze, szeroko, jakby i on odczuł wreszcie ulgę.

Koncert miał się skończyć o wpół do dziewiątej, ale trwał godzinę dłużej. Po występie Sam nie odwiózł Diany prosto do domu. Zabrał ją do Parku Lincoln. Usiedli na trawie w świetle wiosennego księżycy, a on śpiewał tylko dla niej. Tej kwietniowej nocy zaśpiewał wszystkie jej ulubione piosenki o miłości i jedną, której nigdy wcześniej nie słyszała, piękniejszą od wszystkich innych, piękną i smutną - gorzką piosenkę o miłości i tęsknocie.

- Co to za piosenka?

- Nazywa się Kochając ciebie.

- Kto ją napisał?

- Ja.

- Ty? A więc ta piękna i smutna piosenka o miłości została napisana dla Cheryl, ukochanej Sama, którą utracił. A jeśli Cheryl zadzwoni dzisiaj do niego i będzie chciała się z nim pogodzić? Diana wzdrygnęła się lekko. Wtedy smutek zastąpiłby tę cudowną, wiosenną magię.

- Chciałem zaśpiewać ją specjalnie dla ciebie trzy tygodnie temu.

- Już wtedy ją napisałeś?
- Pracowałem nad nią od stycznia.
- Jest piękna.

Kochając ciebie była jedną z wielu pięknych, oryginalnych piosenek o miłości, jakie Sam śpiewał dla Diany tej wiosny. Co wtorek, kiedy pożegnali się już z dziećmi, Sam i Diana szli do parku.

Sam śpiewał dla niej, a pewnej bezksiężycowej, majowej nocy pocałował ją. Całował ją potem każdego wtorkowego wieczora, najpierw między jedną piosenką a drugą, później odkładał gitarę i tylko całował ją, czule i gorąco, a Diana zapominała o całym świecie.

Nikt nie wiedział o ich miłości. Mimo że chodzili co tydzień do parku, gdzie się całowali, a Sam śpiewał jej swoje miłosne piosenki, nigdy nie umówili się na oficjalną randkę. Ale pewnej gwiazdzistej nocy, kiedy siedzieli w swoim ulubionym zakątku Parku Lincolna, Sam zaprosił Dianę na bal szkolny.

Kiedy Sama nie było przed jej domem pięć minut po umówionej godzinie w dniu balu, Diana postanowiła nie patrzeć na zegarek. Kiedy

ośmi był już spóźniony o cały kwadrans, zaczęła się o niego martwić i cicho prosiła w duchu: □□by tylko nic mu się nie stało□□

W końcu przyszedł, spóźniony o czterdzieści pięć minut. Diana od razu zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Rozpogodził się na jej widok, ale jego oczy pozostały ciemne i bardzo smutne.

- Sam, co się stało?
- Nic. Przepraszam za spóźnienie. Pięknie wyglądasz.
- Dziękuję. - Sam był taki przystojny i taki przygnębiony. Dlaczego? Czy żałuje, że nie idzie na ten bal z Cheryl? Diana szybko odrzuciła tę myśl, bo Sam uśmiechnął się do niej i czule ją ucałował, przypinając do jej sukienki bukiet białych orchidei.

Czuła się cudownie w jego ramionach, sunąc po parkiecie w takt muzyki, którą oboje kochali. Sam przytulał ją mocno do siebie, ale nagle zeszytywniał i Diana wyczuła, że

wstrzymał oddech. Spojrzała mu w twarz i zobaczyła, że zbladł, a na czole zalśniły mu kropelki potu, jakby starał się opanować ból. Po chwili odetchnął, uśmiechnął się słabo i znowu przyciągnął ją do siebie.

Diana, patrząc na niego z niepokojem, pomyślała, że chyba coś mu zaszkodziło i ma mdłości.

Wcześniej wyszli z balu, bo chcieli pobyc w świetle księżycy w ich ulubionym zakątku parku.

- Nie weźmiesz gitary? - spytała Diana, kiedy Sam, nie otwierając bagażnika, skierował się w tamtą stronę.

- Nie. Dziś nie będę śpiewał.

Nie będzie śpiewał. Dianie zakręciło się w głowie. Więc będą się tylko całować? Tańczyć przy muzyce miłości pod księżycem?

Tańczyli, a ich ciała tuliły się do siebie tak, jak ich usta. Raz, kiedy Diana objęła go mocno w pasie ramionami, Sam skrzywił się nieznacznie i odsunął trochę, ale wkrótce przytulił ją znowu i musnął wargami jej szyję.

- Kochaj się ze mną, Sam - szepnęła Diana odważnie.

Diana nigdy się jeszcze z nikim nie kochała. Był 1974 rok, epoka wolnej miłości. Ale Diany nie obchodziła moda ani sugestie jej rówieśników. Już dawno postanowiła, że pozostanie dziewicą aż do nocy poślubnej. Wtedy odda się człowiekowi, którego będzie kochała, swojemu mężowi i przyszłemu ojcu swoich dzieci. Trojga, może nawet czworga. Diana tak bardzo kochała dzieci. Wiedziała, że te, którymi opiekowała się jako wolontariuszka, nie wystarczą jej. 164

Nie obchodziła jej moda ani rówieśnicy. Ale Diana słuchała piosenek swojego serca, a teraz były to piosenki o miłości, o tym, jak cudownie będzie kochać się z Samem, i że nie ma w tym nic złego.

- Och, Diana - odparł Sam cicho - nie mogę.

- Czy to z powodu Cheryl?

- Cheryl? Ależ nie. Tylko i wyłącznie z twojego powodu.

- Z mojego powodu?

- Ponieważ jesteś taka śliczna, słodka i taka cudowna. I taka niewinna.

- Nie chcę być już niewinna.

Sam uśmiechnął się czule, z miłością, ale po chwili jego przystojna twarz spoważniała.

- Moja droga, kochana Diano, dzisiaj widzimy się po raz ostatni. Już się nigdy nie spotkamy.

- Nigdy? - Diana wiedziała, że odtąd będzie im trudno spotykać się ze sobą. Ona za dwa dni miała polecieć do Bethesdy w ramach letniego programu dla stypendystów. Kiedy pod koniec sierpnia wróci na krótko do domu, przed swoim wyjazdem do college'u w Bostonie, Sam będzie już trenował ze swoją nową drużyną w Los Angeles. Rozpoczną studia na dwóch różnych krańcach kontynentu - ona w Radcliff, on w Southern Cal - ale przecież mogą do siebie pisywać. Mogą spotykać się w czasie przerw świątecznych i podczas wakacji. - Nie wrócisz do Dallas na Boże Narodzenie?

- Nie. Mój ojciec właśnie dostał posadę trenera w Denver.

- Trenera?

- Jest trenerem futbolu.

- Ach tak - Diana nie wiedziała, że ojciec Sama był trenerem, nie wiedziała też nic o jego matce ani nawet tego, czy Sam ma rodzeństwo. Jednak myśl o rozstaniu na zawsze nappełniła ją smutkiem i strachem.

Może przeżyje resztę życia, nigdy więcej nie czując tego, co czuje przy nim - tego szczęścia, radości, tego pragnienia, które dodaje jej odwagi?

- Och, Diano - szepnął Sam, widząc łzy w jej pięknych niebieskich oczach. Ucałował jej wilgotne policzki i usta i mocno ją do siebie przytulił. - Nie płacz, proszę.

- Będę za tobą tęskniła.

- Ja też będę za tobą tęsknił.

- To ty utrzymywałaś mnie przy życiu. Nie wiem, co się ze mną stanie, kiedy cię zabraknie.

ą65

##

Cambridge, Massachusetts

wrzesień ą974 Diana wstała od biurka, przy którym się uczyła, i podeszła do stosu płyt leżących koło adaptera. Były to stare, ulubione płyty, które towarzyszyły jej w szkole średniej, w ciągu trzech lat spędzonych w college'u w Radcliff i teraz, podczas jej pierwszego roku na Harvardzie, gdzie studiowała medycynę.

Wracając, zatrzymała się przy oknie swojego małego mieszkania i uśmiechnęła do wielkich kropli deszczu padających na szybę. Jak tu przytulnie, ciepło i miło, za oknem deszcz - idealne warunki do uczenia się anatomii przy muzyce Beatlesów.

Kiedy zadzwonił telefon, Diana była pewna, że to koleżanka z roku, dla której tempo dzisiejszego wykładu z biochemii było zbyt duże, chce pożyczyć jej staranne, dokładne notatki. Koleżanka albo Alan. Alan był studentem drugiego roku, z którym Diana spotykała się od kilku miesięcy. Sypiała z nim, mimo że wiedziała, iż nie jest to człowiek, za którego chciałaby wyjść za mąż. Nie była tego pewna cztery miesiące temu, kiedy po raz pierwszy kochała się z nim, ale teraz nie miała już co do tego żadnych wątpliwości i czuła, że musi go jak najszybciej o tym poinformować.

Jeśli to Alan, zaprosi go do siebie i powie mu wszystko, postanowiła podchodząc do telefonu.

- Diana? Mówi Sam Hunter.

- Sam?

- Pamiętasz mnie?

- Och, oczywiście, że cię pamiętam. - Nie wierzyła, że się jeszcze spotkają. Oczywiście ten telefon wcale nie oznacza, że muszą się zaraz zobaczyć. Diana wiedziała, że Sam jest w Los Angeles i przygotowuje się do sobotniego meczu z drużyną

Washington. Diana znalazła harmonogram rozgrywek Uniwersytetu Kalifornii Południowej. Oglądała wszystkie mecze transmitowane przez telewizję, a o innych czytała w gazetach. Śledziła rozwój błyskotliwej kariery Sama i wiedziała, że w tym roku jego drużyna najprawdopodobniej zdobędzie mistrzostwo Ameryki, a on sam Puchar Heismana.

- Co u ciebie?

- W porządku. Mokro.

- Mokro? - serce podskoczyło jej w piersi. Spojrzała na deszcz spływający po szybach. Przecież w Kalifornii nigdy nie pada! - Gdzie jesteś? ą66

- W budce telefonicznej naprzeciw restauracyjki Coop.

- W Cambridge? - szepnęła Diana. To tylko cztery przecznice dalej. Ale co on tu robi?

- Tak. Chciałem się z tobą zobaczyć, Dianko. Może poszlibyśmy kiedyś na kawę, na lunch czy na kolację?

- Gdzie się zatrzymałeś?

- Jeszcze nigdzie.

Sam dopiero przyjechał. Kierowca, z którym przejechał ostatni etap swojej autostopowej podróży przez cały kontynent, wysadził go kilometr od Harvard Square. Sam wiedział, że Diana jest nadal w Cambridge. Sprawdził to, zanim opuścił Los Angeles. Dowiedział się, że studiuje teraz medycynę.

Sam miał pieniądze na hotel, ponieważ sprzedał samochód, książki, nuty - wszystko z wyjątkiem ubrań, które miał w plecaku, i gitary. Chciał do niej zadzwonić dopiero wtedy, kiedy już znajdzie pokój i przebierze się w ciepłe rzeczy. Ale nie mógł dłużej czekać. Musiał usłyszeć jej głos.

Teraz, kiedy go już usłyszał, rozpaczliwie chciał się z nią zobaczyć. A ona z nim.

- Cześć.

- Cześć. - Uśmiechnął się do niej niepewnie zsiniałymi z zimna wargami. Z mokrych włosów kapąły mu na policzki wielkie krople wody.

Podczas gdy Sam brał prysznic i przebierał się w suche ubrania, Diana przygotowała gorącą czekoladę i nastawiła swoją ulubioną płytę.

Potem tańczyli, zaczynając swój taniec od tego miejsca, w którym przerwali tamtej czerwcowej, księżycowej nocy. I tym razem dokończyli ten miłosny taniec.

Wtedy, w czerwcu, poruszali się w powolnym, leniwym rytmie. Teraz opanował ich gorączkowy, rozpaczliwy pośpiech, niespokojne pragnienie bycia razem.

Jakby los w każdej chwili mógł im odebrać ich szczęście.

Jakby ktoś mógł im niespodzianie przeszkodzić, kiedy oboje stopili się ze sobą w ogniu miłości.

Od samego początku towarzyszyła im niepewność, rozpaczliwe pragnienie, żeby ocalić łączące ich uczucie. Jakby nie było realne, nie mogło trwać, było tylko złudzeniem... choć ich serca śpiewały z radości.

ą67

- Po prostu miałem już dość futbolu - powiedział Sam trzy dni później.

- Wszyscy oczekiwali, że zdobędziesz w tym roku Puchar Heismana.

- Skąd wiesz?

- Wiem wszystko o twojej karierze. Możesz mnie przeegzaminować. Zapytaj, ile bramek wbiłeś w zeszłym roku i czyj rekord pobiłeś.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Z telewizji i z prasy.

- Naprawdę?

- Oczywiście - uśmiechnęła się Diana. Przesunęła łagodnie palcami po jednej z wielu blizn na jego ciele i pogłaskała nieduże zagłębienie z prawej strony jego klatki piersiowej

- Cieszę się, że rzuciłeś futbol. Wolę śledzić twoją karierę muzyczną, a poza tym dość już oberwałeś na boisku. Twoje ciało powinno odpocząć.

- Owszem. Ale miłość dobrze mu robi, więc...

- Ile będziemy mieć dzieci? - spytała Diana pewnego dnia pod koniec października,

kiedy spacerowali po parku, gdzie dzieci, śmiejąc się głośno, dokazywały wśród opadłych liści.

- Ile zechcesz. Będziesz cudowną matką.

- A ty cudownym ojcem. - Diana uśmiechnęła się i spytała:

- Myślałeś o tym, jakie im damy imiona?

- Naszym dzieciom?

- Tak.

- Nie, jeszcze nie. - Sam uśmiechnął się do niej z czułością. Potem jego ciemne oczy spoważniały i dodał:

- Chyba chciałbym, żeby jedna z naszych córek nosiła imię po mojej matce. Miała na imię Jane.

- Miała? - powtórzyła Diana cicho. Tyle godzin spędzali ze sobą, rozmawiając o swojej miłości, o jego piosenkach, o ich wspólnych marzeniach na przyszłość, o kochającej rodzinie Diany. Ale mimo jej nalegań Sam ciągle nie chciał mówić o swoich rodzicach. - Twoja matka nie żyje?

- Nie żyje.

- Jaka ona była?

- Dobra. Odważna. - Sam westchnął cicho, patrząc gdzieś bardzo daleko. - Zginęła w wypadku samochodowym, kiedy miałem sześć lat.

Zginęła, bo chciała go uratować. ą68

Trzy tygodnie po rozmowie o matce Sama Diana poznała jego ojca.

Uczyła się w swoim mieszkaniu, słuchając kaset, które nagrał dla niej Sam. Były tam wszystkie jej ulubione piosenki, również te, które napisał Sam i zaśpiewał specjalnie dla niej. Mieszkając w Los Angeles, Sam spędził wiele godzin, słuchając kurantów wygrywanych przez dzwony na wieżach kościelnych. Tak powstała Pieśń kurantów, jego najpiękniejszy utwór.

Tego listopadowego wieczora Sam był w Dwóch Latarniach, modnym klubie, w

którym pracował jako kelner i śpiewał. Kiedy o jedenastej rozległ się dzwonek do drzwi, Diana spojrzała przez otwór judasza. Wydawało się jej, że przed drzwiami stoi Sam. Pewnie musiał zapomnieć kluczy. Ale był to jakiś mężczyzna bardzo podobny do Sama.

Diana uśmiechnęła się do niego. Podobieństwo było tak duże, że omal nie powiedziała: Pan musi być ojcem Sama. Jak to miło, że nas pan odwiedził! Ale coś kazało jej mieć się na baczności. Ten człowiek jest równie jak Sam przystojny, smukły, ciemnowłosy, ma te same ciemnobrązowe oczy... Nie, oczy ma inne. Oczy Sama są pełne ciepła i miłości, a oczy tego człowieka patrzą zimno i twardo.

- Słucham pana - powiedziała.

- Szukam Sama.

- Sama?

- Pani Diana Sheperd?

- Tak.

- Więc zna pani Sama Huntera.

Diana zmarszczyła brwi, po czym uśmiechnęła się.

- Sama Huntera? Oczywiście. Chodziliśmy w Dallas do tej samej szkoły. Pan jest jego bratem?

- Jestem jego ojcem.

- Ach, tak! Co mogę dla pana zrobić, panie Hunter?

- Gdzie jest Sam?

Żeby się tylko nie zaczerwienić. Wytrzymać jego spojrzenie. Ten człowiek musi jej uwierzyć. Diana nigdy nie kłamała i nie bardzo wiedziała, jak się to robi.

- Niestety, nie mam pojęcia.

- Kiedy ostatni raz widziała go pani, albo słyszała o nim?

- Zaraz, niech pomyślę. To musiało być na balu pożegnalnym w szkole. Nie miałam z kim pójść na bal i Sam mnie zaprosił. A o co chodzi? Czy coś mu się stało?

Ojciec Sama uśmiechnął się lekko i Diana uspokoiła się trochę. Jednak był to z jego

strony tylko wybieg, który miał uspić jej czujność.

ą69 Kiedy już zaczęło się jej wydawać, że źle oceniła tego człowieka, jego uśmiech zmienił się w drwiący grymas, a w zimnych, twardych oczach pojawił się błysk szaleństwa.

Diana zadrżała, w jednej chwili pojęła, że grozi jej niebezpieczeństwo i powinna uciekać. Ponieważ jednak nie miała dokąd uciec, usiłowała zebrać myśli przed kolejną rundą. Zanim zdążyła otworzyć usta, chwycił ją za ramiona.

Nigdy dotąd nie czuła takiego przerażenia, jak wówczas, kiedy twarde, silne palce tego człowieka wbiły się w jej miękkie ciało.

- Nie wierzę ci, panienko - wysyczał. - On tu jest, prawda?

- Nie! Proszę mnie puścić! Jak pan śmie?!

- Jak śmiem? - zaśmiał się szyderczo, przyciągnął ją do siebie jednym szarpnięciem i powtórzył z wściekłością:

- Jak śmiem?

Diana poczuła alkohol i przypomniała sobie to, czego była świadkiem, pracując jako wolontariuszka na izbie przyjęć szpitala w Bostonie. Przywożono tam czasami ludzi, którzy wpadli w szał pod wpływem alkoholu lub narkotyków, przekonała się, że w postępowaniu z nimi najważniejszy jest spokój. Wtedy była tylko obserwatorem, ale...

- Panie Hunter... - zaczęła spokojnie, starając się nadać głosowi łagodne, uprzejme brzmienie. Nie wiedziała, czy jej się to udaje, bo równocześnie słyszała walenie własnego przerażonego serca. - Naprawdę nie wiem, gdzie jest pański syn. Wiem natomiast, że jest pan pijany i mimo woli sprawia mi pan ból. Jeśli mnie pan nie puści, będę musiała zacząć krzyczeć, a moi sąsiedzi wezwą wtedy policję. Jestem przekonana, że tego by pan sobie nie życzył.

- Tak? Skąd ta pewność? - zadrwił, patrząc na nią oczyma, w których nie było strachu.

Diana groziła mu policją bez większego przekonania. Wiedziała, że ściany starej

kamienicy są grube, a jej sąsiedzi to przeważnie starsi ludzie, którzy już dawno poszli spać. Nie miała jednak innej broni poza słowami, a właśnie dotarło do niej coś jeszcze, od czego włosy zjeżyły jej się na głowie z przerażenia.

Oto słyhać już Pieśń kurantów i za chwilę z magnetofonu popłynię głos Sama. A najdalej za piętnaście minut Sam wróci do domu.

- A więc, panie Hunter, mam wezwać policję?

- Spokojnie... Już wychodzę. Na pewno będę miał okazję jeszcze tu zajrzeć.

Przy ostatnich słowach, które zabrzmiały jak ostrzeżenie, wbił palce jeszcze głębiej w jej ciało. Potem puścił ją i przez chwilę, która wydała się jej wiecznością, wpatrywał się w jej twarz błędnym wzrokiem. W końcu zaśmiał się dziko i odszedł.

Diana zamknęła za nim drzwi. Drżała na całym ciele. Odetchnęła kilka razy głęboko, ale ciągle miała wrażenie, że się dusi. Podeszła do okna i z ulgą zobaczyła, że ojciec Sama wsiada do samochodu i odjeżdża z piskiem opon, lekceważąc znak stopu na rogu ulicy.

Nie tracąc czasu na wkładanie płaszcza, mimo że listopadowy wieczór był chłodny, Diana postanowiła pobiec do Dwóch Latań, żeby ostrzec Sama. Kiedy otworzyła drzwi, krzyknęła ze strachu.

Wydawało się jej, że wrócił tamten człowiek, ale tym razem był to Sam, nie jego ojciec. Objął silnie Dianę, a ona łkając, przytuliła się do niego. Sam jest przy niej, kochający i czuły. Nic już jej nie zagraża.

- Diano, kochanie, co się stało? - spytał, kiedy jej łkania ucichły. Bał się tego, co ma usłyszeć; dostrzegł w jej oczach przerażenie. - Diano?

- Był tu twój ojciec.

Tej nocy Diana dowiedziała się, że nie wszystkie blizny na ciele Sama pochodzą ze zranień odniesionych na boisku. Większość z nich była smutnymi śladami innych zmagają, trwającej nieprzerwanie całe życie wojny z okrutnym, nieobliczalnym ojcem, który stale chciał go za coś karać.

- Przez długi czas zastanawiałem się, dlaczego doprowadzam go do wściekłości i co

powinienem uczynić, żeby temu zapobiec.

- Przecież nie robiłeś niczego złego, prawda?

- Robiłem to, czego ode mnie chciał. Ojciec marzył kiedyś, żeby zostać gwiazdą futbolu, ale nigdy mu się to nie udało. Więc przeniósł to marzenie na mnie. A ja robiłem wszystko, żeby go zadowolić. Aż do teraz.

- Tamtego wieczora, kiedy miałeś śpiewać w szpitalu... - szepnęła Diana. Dobrze pamiętała tamten dzień, swój strach i złość, głos Sama, kiedy ją przeproszał, ale niczego nie wyjaśniał, jego pociemniałe oczy i twarz, śmiertelnie bladą jeszcze cztery dni później.

- Tamtego wieczora... zadzwoniłem, jak tylko byłem w stanie.

- Och, Sam! Dlaczego nalegałeś, żeby zorganizować koncert trzy tygodnie później, choć nie mogłeś mieć pewności, że ten koszmar się nie powtórzy?

- Chciałem to zrobić, dla ciebie, dla dzieci, dla siebie samego. Nie mam pojęcia, czemu mój ojciec nie pozwolił mi zaśpiewać w szpitalu za pierwszym razem. Trzy tygodnie później powiedział, że to świetny pomysł. To zupełnie nieobliczalny człowiek. Zawsze taki był, odkąd

ą7ą pamiętam. Moja matka próbowała mnie przed nim chronić, kiedy byłem mały, ale sama była jego ofiarą.

- Czy to on prowadził samochód, kiedy twoja matka zginęła?

- Nie. Prowadziła matka, a on nas ścigał. Miałem sześć lat i zrobiłem coś, co mu się nie spodobało. Rzucił się na mnie, a mama próbowała mnie bronić. To go rozwścieczyło. Chciał ją uderzyć, ale uciekliśmy. Sam westchnął ciężko. - Tak dobrze pamiętam, co się wtedy stało. Jechałem z matką samochodem. Wszystko to trwało najwyżej pięć czy sześć minut. Matka cały czas mówiła, że mnie kocha, że zawsze będziemy razem, z dala od niego i że już nigdy tam nie wrócimy. Przeczynałem, że zaraz się rozbijemy. Nie bałem się, bo wiedziałem, że pójdziemy do nieba. Ale tylko ona tam poszła.

A ty wróciłeś do życia, które było czystym piekłem, pomyślała Diana, czując, że w jej sercu budzi się nowe, nieznanne dotąd uczucie: gniew.

- Och, Diano, jak on się o tobie dowiedział? - spytał Sam z rozpaczą. Kochał się w Dianie w czasach szkolnych, ale nigdy nie śmiał marzyć o tym, że będą razem. Ukrywał tę miłość jak cenny klejnot, żeby przynajmniej tego ojciec nie zatrzał, nie zbrukał, nie zniszczył. - Nigdy nie interesował się moim życiem prywatnym, od czasu do czasu tylko pozwalając sobie na wulgarne aluzje dotyczące seksu, a ja robiłem wszystko, żeby nigdy się o tobie nie dowiedział. Kochałem się w tobie, ale spotykałem się z innymi dziewczętami i chodziłem na imprezy ze swoją paczką.

- Zabrałeś mnie na pożegnalny bal.

- Tak. To była nasza pierwsza i ostatnia randka. Postanowiłem, że jeśli mnie spyta, powiem, że idę z kimś innym. Ale nie spytał. Aż do dziś byłem pewny, że nic o tobie nie wie. Pewnie dowiedział się później. Musiało mu bardzo zależeć, żeby to odkryć.

Diana pomyślała o tamtym wieczorze, kiedy odbył się bal. Sam spóźnił się czterdzieści pięć minut, dziwnie zeszywniały, jakby go coś bolało.

- Musiało mu bardzo zależeć, bo wyczuł, że to ma dla ciebie duże znaczenie. Poszedłeś na bal, mimo że... - Diana opanowała drżenie głosu i w końcu zapytała szeptem: - Więc co się wtedy stało?

- Stało się to, że choć bardzo chciałem się z tobą kochać, nie byłem w stanie.

Tamtego wieczoru ojciec złamał Samowi żebro, które sprawiało mu nieznośny ból przy każdym oddechu i ruchu. Sam nie mógł się tej nocy kochać z Dianą, ale musiał się nią zobaczyć, po raz ostatni, bo była jedyną oazą szczęścia w jego życiu. ą2

Ale teraz, najdroższa, mogę się z tobą kochać, pomyślał Sam. I tego właśnie chcę... tej ostatniej cudownej miłosnej nocy, zanim odejdę. Zanim będę musiał cię opuścić na zawsze.

Tej nocy kochali się inaczej niż dotąd, powoli, spokojnie, jakby mroczna tajemnica związana z ojcem Sama sprawiała, że ich miłość była przedtem tak rozpaczliwa.

Kochali się czule, delikatnie, niespiesznie... jakby w końcu uwierzyli, że ich miłość będzie trwała wiecznie, że już nikt ani nic im jej nie odbierze.

Ale rano, kiedy blade listopadowe słońce rozjaśniło niebo, Sam objął Dianę mocno i powiedział:

- Muszę już iść, Diano.

- Iść? - powtórzyła zdziwiona. - Ach, rozumiem - dodała spokojnie. - Idziesz do niego, prawda? Powiesz mu, że już nie wrócisz do sportu, choćby bardzo tego chciał, i ostrzeżesz go, że jeśli jeszcze raz spróbuje nas niepokoić, wezwiemy policję.

- Och, moja droga, chciałbym, żeby to było takie proste. Mój ojciec nie boi się policji.

- A jednak, kiedy mu powiedziałam, że zawołam policję, zaraz sobie poszedł.

Sam uśmiechnął się do niej z miłością. Jak ona mocno wierzy w ludzką dobroć, jak bardzo go kocha, skoro teraz zaprzecza faktom. Przecież opowiedziała mu wszystko ze szczegółami, również to, jak jego ojciec kpił sobie z jej gróźb, a teraz próbuje zapomnieć o tym jak o złym śnie. Jego ojciec wydaje jej się postacią zbyt okrutną i złą, by mogła być prawdziwa.

Jeśli nawet Dianie uda się kiedyś całkiem zapomnieć o tym spotkaniu - czego Sam życzył jej z całego serca - on nigdy nie zapomni jej przerażenia, jej łez, niedowierzania, z jakim patrzyła na ciemne sińce w miejscach, gdzie palce jego ojca wpijały się w jej ramiona.

Sam dobrze wiedział, jak bardzo jego ojciec może być niebezpieczny. Wiedział, że nie ustanie w wysiłkach, by dopaść syna, który śmiał mu się sprzeciwić. Będzie jak drapieżne zwierzę tropiące swą ofiarę. A kiedy już go znajdzie, zatruje mu życie. Będzie pojawiał się śród nocy, żeby napawać się przerażeniem Sama, pławić się w rozkoszy, jaką daje mu władza nad nim. Sprawি, że jego syn będzie żył w ciągłym poczuciu zagrożenia. Aż pewnego dnia doprowadzi Sama do śmierci, tak jak kiedyś, dawno temu, jego matkę, która wierzyła, że uda im się uciec. Pewnego dnia ojciec,

ą71 stając się z wiekiem coraz bardziej nieobliczalny, pojawi się u niego z nożem albo rewolwerem, których miał całą kolekcję.

Sam nie bał się już ojca. Gdyby mógł zostać z Dianą, mieć z nią dzieci... Wiedział, że gdyby wówczas ojciec zagroził jego rodzinie, bez lęku oddałby życie w obronie swoich bliskich.

Ale Sam wiedział, że to niemożliwe. Nie może poprosić Diany, żeby razem z nim żyła w ciągłym strachu, nie może wystawić jej na takie niebezpieczeństwo. Chciał, żeby Diana zawsze była szczęśliwa i radosna. A to oznaczało, że dopóki jego ojciec żyje, nie mogą być razem.

- Kochanie, mój ojciec wyszedł, ponieważ akurat miał na to ochotę - powiedział łagodnie. - Nie dlatego, że zagroziłaś mu policją.

- Więc nie masz zamiaru się z nim spotkać?

- Nie.

Gdyby go teraz zobaczył, mógłby go zabić. Sam odrzucił tę myśl ze wstrętem, ale na wspomnienie przerażenia Diany i siniaków na jej rękach poczuł, że tym razem podjąłby walkę. To, że dotychczas nigdy tego nie zrobił, nie wynikało z tchórzostwa ani strachu przed śmiercią. Sam nigdy nie odpowiedział przemocą na przemoc, gdyż czuł, że wówczas nie byłby lepszy od ojca. Byłoby to też znakiem, że w jego żyłach płynie ta sama zatruta krew. A tego naprawdę się bał.

- Więc dokąd chcesz iść?

- Jeszcze nie wiem. Jak najdalej stąd. Potem zadzwonię do niego, powiem mu, gdzie jestem, że cały czas tam właśnie byłem.

- I wrócisz do mnie.

- Nie, najdroższa, nigdy nie wrócę. Nie rozumiesz, kochanie? Przy mnie nigdy nie będziesz bezpieczna. Musisz o mnie zapomnieć, Dianko. Musisz związać się z kimś innym i żyć z nim długo i szczęśliwie.

- Ale ja kocham ciebie, Sam! Nasza miłość jest silniejsza od twojego ojca. Jestem gotowa podjąć każde ryzyko.

- Nie pozwolę ci ryzykować.

Sam wyjechał, opuścił Dianę tak jak kiedyś, żegnając się z nią na zawsze. Ale Diana i tym razem mu nie uwierzyła. Wiedziała, że on wróci. Wiedziała to, zanim jeszcze zorientowała się, że ich ostatnia miłosna noc powołała do życia nowe istnienie. Ich dziecko - dar miłości Sama, słodkie wspomnienie i obietnica na przyszłość. On wróci. Zostawił jej przecież cząstkę samego siebie, żywy symbol łączącego ich uczucia.

- Czujemy się naprawdę świetnie - zapewniała Diana rodziców po raz setny w ciągu ich tygodniowego pobytu w Bostonie. Jej matka właśnie 74 po raz kolejny oznajmiła, że wraz z ojcem Diany - oboje byli znanymi archeologami - postanowili zrezygnować z planowanych od dawna prac wykopaliskowych w północnej Afryce. Dziecko Diany miało przyjść na świat w sierpniu, a zakończenie prac w Afryce przeniesiono dopiero na wrzesień. - Jedźcie!

- Trudno będzie się z nami skontaktować, Diano.

- Nie będę musiała się z wami kontaktować. Poza tym, mamo, pierwsze dzieci zazwyczaj rodzą się z opóźnieniem, prawda? Mam zamiar zdać jeszcze w lecie wszystkie egzaminy.

Diana dała córce na imię Jane, po matce Sama, tak jak planowali pewnego jesiennego popołudnia w bostońskim parku.

Janie przyszła na świat na początku sierpnia, szybko i łatwo - piękny, zdrowy owoc miłości. Miała ciemnobrązowe oczy Sama i ciemne włosy obojga rodziców. Była śliczna, uśmiechnięta, cudowna...

- To bardzo rzadka wada, Diano - powiedział dziecięcy kardiolog w Szpitalu Stanowym Massachusetts, kiedy Janie miała trzy dni.

Płuca dziecka, które sprawnie działały zaraz po narodzinach, teraz z coraz większym trudem wciągały powietrze.

Lekarz wyjaśnił, na czym polega wada serca u małej Janie. Diana doskonale go rozumiała, mając celujące oceny z anatomii, fizjologii i embriologii.

- Musi zostać zoperowana - powiedziała stanowczo Diana.

- Nie operujemy w takich przypadkach, Diano. Niestety.

Diana dobrze rozumiała znaczenie tych słów. Jej mała Janie potrzebuje nowego serduszka, ale medycyna nie jest w stanie go jej dostarczyć. Dopiero niedawno zaczęto przeprowadzać transplantacje serca u dorosłych, a ich wyniki nadal nie spełniały oczekiwań. Nawet w najlepszych klinikach specjalizujących się w przeszczepach nie przeprowadzano tego typu operacji na noworodkach.

Nauka nie miała dziecku Diany nic do zaoferowania. Serce, które ona i Sam dali swojej córce, nie działało prawidłowo i nikt nie mógł go naprawić.

Janie przeżyła jedyny miesiąc swojego życia w małym mieszkanku, gdzie została poczęta. Mieszkanie to nadal było pełne miłości. Diana tuliła swoje dziecko, całowała je, szeptała do niego czule.

- Kocham cię, moja mała Janie, tak bardzo cię kocham.

Diana szeptała ciche, uspokajające słowa i opowiadała Janie o jej wspaniałym ojcu. Razem słuchały jego piosenek.

ą75

Diana także śpiewała dla swojej córki i w ciągu tego jednego miesiąca ona - która zawsze kochała muzykę, ale nie potrafiła powtórzyć żadnej melodii - ani razu nie zafalszowała.

Janie umarła w ramionach Diany, cicho i spokojnie wydając ostatnie tchnienie.

Rodzice Diany przyjechali do Bostonu dwa dni po śmierci ich wnuczki. Pełen radości list, który Diana napisała do nich w dniu urodzin Janie, dotarł do ich obozu w Afryce, kiedy już mieli wracać do domu. Próbowali namówić ukochaną córkę, żeby przerwała studia i przyjechała wraz z nimi do Dallas.

Jednak Diana z uporem twierdziła, że nic jej nie jest. Zakuła swoje serce w stalową zbroję, wróciła na studia i drugi rok ukończyła równie celująco jak pierwszy. Była dzielna, ale w pięknych błękitnych oczach nie było już radości, a na jej pobladłej twarzy pojawił się wyraz czujności i niepokoju, jakby nie oczekiwała już od życia niczego poza

bólem. Przez pierwszy rok po śmierci Janie Diana nie pozwoliła sobie na rozpamiętywanie bólu, na żal i łzy. Nie dopuszczała do siebie myśli, która była teraz jedyną iskierką nadziei w jej życiu - rozpaczliwej nadziei na powrót Sama.

Pewnego wrześniowego wieczora, rok po śmierci Janie, Diana siedziała w ciemności w swoim mieszkaniu, gdzie rozkwitła i umarła jej wielka miłość. Po pewnym czasie, nie zastanawiając się nad tym, co robi, nastawiła piosenki, które nagrał dla niej Sam.

I właśnie wtedy zadzwonił telefon.

- Witaj, Diano.

- Sam... - Nie krzyknęła, nie pozwoliła sobie na okazanie emocji, ale ciepło jego głosu otuliło ją, jakby był tuż przy niej, jakby mogła w każdej chwili skryć się w jego ramionach i uciec przed cierpieniem, zbyt wielkim, by o nim mówić. Zamknęła oczy, przywołując w pamięci twarz Sama. - Gdzie jesteś?

- W Londynie. Mieszkam tu od czasu wyjazdu z Bostonu.

- Widziałeś się z ojcem?

- Rozmawiałem z nim - odparł cicho Sam.

Zadzwonił do ojca zaraz po przyjeździe do Londynu. Potem, kiedy mijały tygodnie, a ojciec nie przyjeżdżał, by wyładować na nim swój gniew, Sam zaczął wierzyć, że piekło w jego życiu już się skończyło. Ojciec na pewno zrozumiał w końcu, że Sam nie ma zamiaru być więcej jego ofiarą. Ale potem ojciec zaczął do niego dzwonić, czasami groził ą76 mu i krzyczał jak szaleniec, czasami zachowywał się przerażająco spokojnie. Telefony odebrały Samowi resztki nadziei. Słuchając pytań o swoje życie osobiste, o kobiety w swoim życiu, zrozumiał, że nic się nie zmieniło, że obłąkańcza wściekłość ojca nie wygasła. Ojciec zaczął po prostu szukać innych sposobów, by ukarać swego zbuntowanego syna, by zranić go przez zadanie bólu tym, których Sam pokochał.

Szaleństwo ojca jeszcze pogłębiło się z wiekiem. Stał się zimny i wyrachowany, jak bomba zegarowa tykająca złowieszczo. Każdy dzwonek telefonu, każda chwila ciszy, która po nim następowała, mówiły Samowi, że musi żyć w samotności, by nikogo innego

nie narażać na to, przez co sam przechodził.

Myślał jednak o Dianie każdego dnia i każdej nocy. Tęsknił za nią rozpaczliwie, ale wiedział, że musi zwalczyć pragnienie, by znowu się z nią spotkać. Przez prawie dwa lata udawało mu się to - przecież rozmowa z nią i tak niczego by nie zmieniła. Ale tego wieczora serce wygrało bitwę z rozsądkiem.

Może chciał po prostu usłyszeć, że jest szczęśliwa, że znalazła już nową, szczęśliwszą miłość. Może gdyby dowiedział się, że tak się stało, zdołałby w końcu przestać marzyć o tym, co na zawsze musiało pozostać w marzeniach, wspomnieniach i miłosnych piosenkach.

- Nic się nie zmieniło, Diano - wyszeptał w końcu Sam cicho, głosem pełnym smutku.

- Nie wracasz?

- Nie. Chciałem się tylko dowiedzieć, co u ciebie... - Urwał, żeby nie zdradzić, czego naprawdę pragnął, powstrzymać słowa cisnące się na usta.

- U mnie wszystko w porządku - powiedziała Diana stanowczo, tak jak przez cały rok odpowiadała każdemu, kto ośmielił się okazać jej zainteresowanie i współczucie.

- Jak studia?

- Świetnie. Wcześniej zaczęłam praktyki w klinice, więc studia prawdopodobnie także skończę przed czasem.

- Tak jak college. Jesteś taka zdolna, Diano - szepnął Sam, dumny z kobiety, którą kochał. Jakim świetnym lekarzem będzie Diana, ile dobrego zdziała jej bystry umysł i hojne serce. Tak często pozwalał sobie marzyć o powrocie do niej. Mogliby spotykać się potajemnie, ukryć swoją miłość przed światem. Ale ona musiałaby wtedy zrezygnować z tak wielu rzeczy, a Sam nie chciał, żeby rezygnowała z czegokolwiek. Gdyby nawet postanowiła poświęcić się dla niego, on i tak nie mógłby jej zagwarantować, że jego ojciec ich nie znajdzie.

ą77 ą2 - Melodie miłości

Sam wiedział, co może zaoferować Dianie - miłość, swoje serce... i życie w strachu. A ona zasługuje na znacznie więcej! Wiedział, a była to bolesna świadomość, że w jej życiu pojawią się inni mężczyźni, inne miłości, w których Diana odnajdzie szczęście i radość. Sam życzył jej tego z całego serca.

- A co u ciebie, Sam? - spytała Diana po chwili. Nadal go kochała, ciągle, zawsze, mimo że nie chciał do niej wrócić. - Wszystko w porządku?

- Tak - skłamał.

- Śpiewasz?

- W pubach - odparł i dodał, jakby sam się temu dziwił. - Miesiąc temu podpisałem kontrakt z BMI na dwupłytowy album.

- Och, to cudownie! - Diana uśmiechnęła się. Przypomniała sobie jego ciemnobrązowe oczy, piękne, ale zawsze takie niepewne, jakby uwierzył ojcu, że i tak nic nie jest wart.

- Album ukaże się latem przyszłego roku.

- Będę mogła go dostać?

Chciał zawołać, że osobiście przywiezie, ale powstrzymał się. Wiedział, że dzwoni do niej ostatni raz. Czekala na niego, choć powiedział, żeby tego nie robiła. Dziś, zanim się z nią pożegna, Diana musi zrozumieć, że ich miłość nie ma przyszłości.

- Tak, jeśli zechcesz - odpowiedział po chwili - Album ukaże się jednocześnie w Stanach i Wielkiej Brytanii.

- Kupię go, jak tylko się ukaże, zanim zniknie ze sklepów. Jestem z ciebie taka dumna, Sam.

- Ja też jestem z ciebie bardzo dumny.

Diana poczuła przyływ nadziei, słysząc czułość w jego głosie. Rozmawiali o planach na przyszłość, jakby nie było ostatnich dwóch lat. Diana miała wrażenie, że rozstali się zaledwie wczoraj, że jutro znowu się spotkają, by wspólnie marzyć, robić plany, cieszyć się życiem.

- Wróć do mnie Sam. Proszę cię.

- Nie mogę, kochanie. Naprawdę nie mogę.

- To znaczy, że nie chcesz - szepnęła Diana. Straciła już nadzieję, pozostał jej tylko gniew.

- Nie Diano, bardzo chcę. Kocham cię i...

- Nie, ty mnie nie kochasz! Nigdy mnie nie kochałeś. Kiedy się kogoś kocha, nie zostawia się go samego, chce się z nim spędzić życie i nic innego się nie liczy. - Gdyby ją kochał, oczekiwaliby razem na narodziny ich dziecka, a później płakaliby na jego grobie...

- Kiedy się kogoś kocha, nie odchodzi się od niego nagle, bez powodu! ą78

Bez powodu! Te słowa zabolowały Sama. Tęsknił za Dianą rozpaczliwie, myślał o niej w każdej sekundzie swojego życia, ale nigdy, ani przez chwilę, nie miał wątpliwości, że podjął słuszną decyzję. Diana nie rozumiała, że jego ojciec stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo, nie rozumiała więc także, że Sam odszedł od niej, bo bardzo ją kochał - za bardzo.

- Mój Boże, Diano! - szepnął Sam. - Proszę, uwierz, że kocham cię całym sercem.

Ból w jego głosie sprawił, że gniew Diany zniknął nagle, a może po prostu już się wypalił. Przez cały rok gruba stalowa zbroja broniła wszelkim emocjom dostępu do jej serca. Ale tego wieczora niezdojbyta forteca runęła w końcu, a serce Diany zalały uczucia, nad którymi nie potrafiła już zapanować. Miłość... gniew... smutek...

Jednak Diana chciała je opanować, bo tej nocy potrzebna jej była tylko miłość. Znała już bolesną prawdę: Sam nie kochał jej na tyle, by z nią zostać. Ale teraz chciała tylko słuchać jego głosu, poczuć jego ciepło, ostatni raz poczuć się kochaną. Diana potrzebowała jego miłości, takiej, jaką mógł jej dać. Będzie jej musiała wystarczyć na długo.

Rozmawiali przez prawie trzy godziny, niekiedy milknąc na jakiś czas, wiedząc, że prędzej czy później będą musieli pożegnać się na zawsze, ale chcąc odsunąć tę chwilę jak najdalej. W ciemności rozlegał się nawet śmiech, w którym brzmiała nuta zdziwienia, bo

oboje od tak dawna się nie śmiali.

A potem, kiedy zbliżał się czas pożegnania, Sam zadał Dianie pytanie, które cisnęło mu się na usta, gdy zdał sobie sprawę, że ona wątpi w jego uczucie.

- Będziesz słuchała moich piosenek, Diano? - spytał cicho i spokojnie, choć rozpaczliwie chciał usłyszeć odpowiedź twierdzącą. Diana nie rozumiała, jakim zagrożeniem jest jego ojciec, a Sam nie zamierzał tracić cennego czasu na opisywanie szczegółów koszmaru, które przekonałyby nawet jej niewinne serce. Chciał jednak, żeby uwierzyła w jego miłość, żeby wiedziała, jak bardzo była kochana. Jeśli więc słuchała jego piosenek, specjalnie dla niej napisanych, uwierzy.

- Tak, oczywiście. Wiesz, że będę ich słuchać.

Dwadzieścia minut później pożegnali się na zawsze i Diana została sama w zimnym, ciemnym mieszkaniu. Spojrzała w oczy twardej, gorzkiej prawdzie, a jej osierocone serce wyło z bólu.

Sam kochał ją, ale nie dość mocno. Opuścił ją.

Tuż przed świtem Diana wyjęła kasetę z magnetofonu i zebrała wszystkie inne taśmy z piosenkami, które nagrał dla niej Sam. Nie rozbila

79 tych tak niegdyś dla niej cennych kaset na tysiąc kawałków, bo nie czuła gniewu, tylko wielki smutek. Wyrzuciła je wszystkie do pojemnika stojącego przed domem. Potem, kiedy wstał już dzień, rozpraszając mrok i zagłuszając wspomnienie czulego głosu w słuchawce telefonu, Diana znowu zakuła serce w zbroję ze stali... na zawsze.

- Co za straszna tragedia. I pomyśleć, że w tym roku Sam Hunter miał grać o mistrzostwo kraju.

- Słyszałem, że coś się stało trenerowi?

- Został wczoraj zabity. Zastrzelony.

- Zastrzelony?

Dwaj lekarze, którzy rozmawiali o śmierci czołowego trenera futbolu amerykańskiego odwrócili się na dźwięk cichego, kobiecego głosu:

- Zabity?

Wszyscy troje siedzieli w pokoju lekarzy na oddziale chorób wewnętrznych w Szpitalu Głównym Massachusetts. Diana od czterech lat pracowała tam jako chirurg. Poproszono ją właśnie o konsultację w sprawie pacjenta, u którego podejrzewano zapalenie mięśnia sercowego. Był koniec listopada, cztery lata po tamtej nocnej rozmowie telefonicznej, sześć lat po tym, jak Sam zniknął z życia Diany.

- Został zastrzelony - potwierdził jeden z lekarzy.

- Kto go zastrzelił? - spytała cicho Diana. Śmierć tego człowieka wcale jej nie wzruszyła - chyba że był w to zamieszany Sam.

- Jeden z jego współpracowników. Widziałem rozmowę z tym biedakiem. Czuje się okropnie, chociaż był to wypadek.

- Wypadek?

- Polowali razem.

- Ach, rozumiem - szepnęła Diana z ulgą. Była lekarzem, robiła wszystko dla ratowania życia innych ludzi, ale wiadomość o śmierci tego potwora przyjęła z nadzieją, która graniczyła z radością.

Są teraz bezpieczni. Jeśli Sam ją kocha, wróci do niej.

Ale Sam nie wrócił. Mógłby ją łatwo odnaleźć, gdyby chciał, ponieważ pracując w szpitalu cały czas mieszkała w swoim dawnym, małym mieszkanku. Dlaczego została w tym miejscu, gdzie umarła miłość i nadzieja? Czy czekała na Sama? A może to życie z dnia na dzień było tak wyczerpujące, że nie starczyło jej energii na poszukanie nowego lokum? ą80

Diana sama nie wiedziała tego. Po prostu chciała jakoś przetrwać najcięższy okres. Porzuciła marzenia o pediatrii, nie zastanawiając się, dlaczego to robi, i została kardiochirurgiem. Rozpoczęła pracę nad sztucznym sercem, które w przyszłości będzie mogło ratować życie najmłodszych pacjentów. Dlaczego? Nad tym również się nie zastanawiała.

Tamtej nocy powiedziała Samowi, że będzie słuchała jego piosenek. Ale wiedziała, że nie dotrzyma tej obietnicy. Kiedyś z radością słuchała muzyki. Teraz jednak muzyka przywodziła jej na myśl bolesne wspomnienia miłości, którą utraciła. Dlatego przestała jej słuchać.

Cały świat słuchał pięknych miłosnych ballad Sama Huntera, cały świat, z wyjątkiem Diany. Dlatego nie dowiedziała się, że Sam kochał ją bardzo, że chciał dla niej lepszego życia niż to, które mógłby jej dać. Słuchając jego muzyki, Diana uwierzyłaby w jego miłość, a po śmierci jego ojca usłyszałaby najpiękniejszą ze wszystkich jego piosenek, wołał ją po imieniu, w której prosił, by do niego przyszła, jeśli nadal go kocha.

Jeśli nadal go kocha... Sam był przekonany, że Diana na pewno związała się z kimś innym. Życzył jej szczęścia i powiedział, żeby nie czekała na miłość, która może nigdy się nie spełni. Dlatego zwracał się do niej tylko za pośrednictwem swojej muzyki. Minęło wiele lat, zbyt wiele, żeby mógł tak po prostu pojawić się na progu jej domu, jak duch z przeszłości. Jeśli nadal go kocha, jeśli jakimś cudem nie pokochała nikogo innego, to usłyszy jego piosenki i odezwie się do niego. A jeśli usłyszy, ale już go nie zechce, albo nie usłyszy, zajęta kimś innym, jej milczenie będzie najbardziej wymowną odpowiedzią.

Po tym okresie nadziei w piosenkach Sama pojawił się nowy temat smutne, poetyckie pożegnanie wielkiej miłości, która umarła.

Przez długi czas serce Diany było odrętwiałe, bez czucia. Potem stało się zimne jak lód. A w końcu, na przekór jej samej, serce zapragnęło ciepła, choćby kilku nic nie znaczących iskierek uczucia. Zaczęła wpuszczać do niego gości, nikomu jednak nie pozwalając zamieszkać w nim na stałe.

Potem spotkała Chase'a i oddała mu swe serce. Kiedy jednak Chase powiedział jej, że chciałby mieć dzieci, Diana uświadomiła sobie, że w jej sercu jest coś, czego nigdy nikomu nie odda. Bo to coś należało tylko do Sama i Janie. Kiedy Chase sięgnął po to, ich miłość się skończyła.

Życie prywatne Diany było jedną wielką porażką, ale w pracy odnosiła same sukcesy.

Stworzyła sztuczne serce, które mogło uratować życie nawet najmniejszym dzieciom.
Śpiewano hymny na jej cześć, nazywając

ją Królową Serc. Tak jakby posiadała jakąś tajemną wiedzę i poznała sekrety miłości. Tylko ona wiedziała, jak bardzo ten przydomek nie pasował do niej.

Bo nie potrafiła utrzymać ani Sama, ani Chase'a.

Bo nie potrafiła uratować swojej ukochanej Janie. I to była największa porażka jej życia.

#\$

Lotnisko Kennedy'ego

wrzesień 1989 Diana westchnęła i otrząsnęła się ze wspomnień o Samie i Janie w samą porę, żeby zdążyć na samolot do Londynu. Po co zgodziła się na ten luksusowy urlop w Europie? Jaki to ma sens? Tak naprawdę powinna odbyć podróż w głąb własnego serca. Pogrążona w smutnych rozmyślaniach nawet nie zauważyła pięknego otoczenia.

Miejsce Diany w pierwszej klasie miało numer 2B. Na miejscu 2A siedział Jeffrey Lawrence.

- Dzień dobry - powiedział uprzejmie, bez śladu kpiny w głosie.

Diana oczekiwała jakiejś aluzji do ich ostatniego spotkania i jej karygodnego zachowania, ale przystojna twarz Jeffreya była poważna i trochę zatroskana. A w jego ciemnoniebieskich oczach kryło się coś jeszcze.

Czy wstrząsnęły nim tak te wszystkie okropności, które działy się teraz na świecie? Nie, ten wyraz bólu w jego oczach musiał mieć inną przyczynę, bardziej osobistą.

Jak zwykle w takich sytuacjach Diana chciałaby mu pomóc, ale nie mogła się wtrącać w nie swoje sprawy. Uśmiechnęła się więc tylko ciepło.

- Witam - powiedziała przyjaźnie.

Chciała jeszcze coś dodać, przeprosić za swoje zachowanie, ale kiedy umieściła już swoją torbę podręczną pod siedzeniem i zapięła pas, Jeffrey patrzył w zamyśleniu przez

okno. A gdy samolot wystartował i Jeffrey oderwał wzrok od błękitu nieba, Diana była znowu pogrążona we własnych niewesołych rozmyślaniach.

Nie rozmawiali więc ze sobą. Oboje trzymali przed sobą otwarte książki i siedzieli nieruchomo, pozornie pochłonięci lekturą, choć żadne z nich nie czytało, ani nawet nie odwracało kartek. Jeffrey popijał czystą ą82 whisky, już drugą, a Diana powoli sączyła szampana. Oboje zrezygnowali z lunchu.

Diana powiedziała sobie, że musi go przeprosić, zanim wysiądzie z samolotu. Jak tylko skończy się film. Będzie jeszcze półmrok, co ułatwi jej zadanie. A jeśli nawet jej słowa zabrzmiały niezręcznie, to wkrótce potem samolot wyląduje na Heathrow i już nigdy więcej nie spotka tego człowieka.

- Panie Lawrence...

- Słucham.

- Jestem panu winna przeprosiny za to, co powiedziałam tamtego wieczoru w pańskim biurze. Nie powinnam była oskarżać pana o złamanie danego mi słowa. Bardzo mi przykro.

- Nic się nie stało. Zresztą mogła pani sądzić...

W tym momencie podeszła do nich stewardesa.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Chciałabym zamienić słowo z panią Dianą Sheperd.

- O co chodzi? - zapytała Diana.

- Mamy nagły przypadek. Na liście pasażerów zauważyłam pani nazwisko, więc pomyślałam, że...

- Oczywiście.

Tym nagłym przypadkiem była pięcioletnia dziewczynka o brązowych, przerażonych oczach, którą okropnie bolał brzusek. Miała na imię Becky i podróżowała sama - wracała do domu, do mamy, po miesięcznym pobycie u ojca w Stanach.

- Dzień dobry, Becky. - Diana uklękła między siedzeniami koło dziewczynki i

uśmiechnęła się do niej łagodnie. - Jestem doktor Sheperd i przyszedłam, żeby ci pomóc.
Zgoda?

- Zgoda - powiedziała dziewczynka niepewnie.

- Dobrze. Boli cię brzusek?

Becky kiwnęła głową.

- Pokażesz mi, gdzie?

Postawienie najbardziej prawdopodobnej diagnozy zabrało Dianie tylko parę minut, w czasie których zadała dziewczynce jeszcze kilka pytań, bardzo delikatnie dotykając bolącego miejsca.

- Muszę porozmawiać z pilotem - powiedziała Diana do stewardesy. - Czy do końca lotu mogę siedzieć koło Becky?

ą8ł

- Oczywiście. Jest komplet pasażerów, ale coś wymyślimy.

- Może posadzimy Becky na moim miejscu, a ja usiądę tutaj?

Diana odwróciła się szybko. Nie zdawała sobie sprawy, że Jeffrey poszedł za nią.

- To bardzo miło z twojej strony. Dziękuję.

- Zanieść ją tam? - spytał Jeffrey.

- Tak, proszę. - Diana uśmiechnęła się i dodała miękko:

- Dziękuję ci.

- Cześć, Becky. - Jeffrey przyklęknął przy Dianie, tak że jego twarz znalazła się na poziomie przerażonych brązowych oczu, które dzielnie walczyły z łzami. A te brązowe oczy przypomniały mu małą dziewczynkę, której nie znał, a tak bardzo chciał poznać. - Nie bój się, skarbie. Wiem na pewno, że doktor Sheperd jest jednym z najlepszych lekarzy na świecie. Gdybym zachorował, chciałbym, żeby właśnie ona się mną zajmowała. Teraz zabiorę cię do przodu, żeby mogła być przy tobie przez cały czas, aż do lądowania.
Zgoda?

Diana słuchała tej rozmowy, mile zaskoczona łagodnością i ciepłem Jeffrey.

Pamiętała pożar w Bejrucie i domyśliła się, że Jeffrey darzy dzieci szczególną sympatią, tak samo jak ona. Było też coś jeszcze, co ich ze sobą łączyło - jakiś smutek czający się w głębi ich błękitnych oczu, choć oboje uśmiechali się do Becky.

Jeffrey przy pomocy stewardesy umieścił Becky na swoim miejscu. Kiedy Diana wróciła z kabiny pilotów, podszedł do niej.

- Myślę, że to zapalenie wyrostka robaczkowego. - Klasyczny przypadek. Brzuch jest miękki, a to dobry znak. Prawdopodobnie nie doszło do perforacji. Na lotnisku będzie czekać na nią karetka, a w pobliskim szpitalu chirurgdy.

Diana siedziała koło Becky, uspokajając ją i pocieszając, podczas gdy jej doświadczone dłonie cały czas kontrolowały tętno na nadgarstku dziecka, temperaturę i oddech.

Kiedy samolot wylądował, karetka już czekała. Lekarze i matka Becky weszli do samolotu. Diana przekazała lekarzom informacje o stanie dziewczynki, uspokoiła jej zdenerwowaną matkę, a następnie, ponieważ Becky ufała tylko poznanej w podróży pani doktor, sprawnie wbiła w jej rączkę grubą igłę wenflonu.

- Czy to pani ją zoperuje? - zapytała matka Becky. ą84

- Och nie...

Nie chodziło tylko o to, że była za granicą i że niezręcznie by się czuła, przyjeżdżając do obcego szpitala w charakterze gwiazdy. Diana operowała i nadzorowała operacje w różnych częściach świata. Ale była kardiochirurgiem, a Becky czekało wycięcie wyrostka robaczkowego. Diana od lat nie wykonywała operacji tego typu.

- Nie operuje pani dzieci?

- Wykonuję tylko operacje serca. A tę operację powinien przeprowadzić chirurg ogólny. Tak będzie znacznie lepiej dla Becky.

Zanim sanitariusze wnieśli nosze i ułożyli na nich Becky, inni pasażerowie zdążyli wysiąść. Z wyjątkiem Jeffreya. Wrócił po swoją torbę i zaczął, aż Diana będzie gotowa do wyjścia. Potem zabrał też jej torbę podręczną i poszedł za Dianą po resztę bagaży i do

odprawy celnej.

- Gdzie się zatrzymasz, Diano?

- W Dorchester.

- Ja też. Może weźmiemy jedną taksówkę do miasta?

- Dobrze.

W taksówce oboje milczeli. W samolocie rozpamiętywali własne trudne sprawy, aż do chwili, kiedy pojawiła się stewardesa i trzeba było zająć się chorą dziewczynką. Teraz byli zbyt wyczerpani, żeby podziwiać londyńskie widoki za oknami samochodu. Dobrze się czuli w tej ciszy i Diana nie zapytała Jeffreya, co mogłoby usprawiedliwić jej napastliwe zachowanie w jego biurze. Lepiej zostawić to w spokoju i po prostu pożegnać Jeffreya Lawrence'a, dziękując mu za pomoc z uprzejmym uśmiechem.

Jeffrey nie mógł spać. Może jednak nie był aż tak zmęczony. Było jeszcze dość wcześnie, za oknem dopiero zapadał zmierzch. Ale on od tygodnia prawie nie spał, a ostatniej nocy, w Nowym Jorku, w ogóle nie zmrużył oka.

Teraz przewracał się z boku na bok. W końcu dał za wygraną. Wstał, wziął prysznic, ubrał się i zaczął przeglądać notatki, które przywiózł ze sobą na konferencję. Jutro spędzi cały dzień w londyńskim biurze swojej sieci telewizyjnej, przygotowując się do przekazywania informacji z historycznego spotkania na szczycie.

Właściwie nie musiał korzystać z notatek. Wiedział dokładnie, co będzie mu potrzebne: mapy, wykresy, zestawienia dat, fotografie przywódców i zakładników. Znał historię konfliktu. Spędził całe lata w jego ogniu.

ą85

Odłożył notatki i nalał sobie whisky do dużej szklanki. Czuł, jak alkohol sływa palącą strużką do pustego żołądka, który natychmiast dał mu o sobie znać.

Za dużo whisky. Za mało jedzenia. Za dużo nerwów. Za mało snu. Za dużo bólu.

Bólu, którego nie ma czym ukoić.

Nie powinnam była za ciebie wychodzić□Od ponad dwudziestu czterech godzin

słowa te bezustannie dźwięczały mu z uszach. Jeffrey nie mógł o nich zapomnieć ani na chwilę. W końcu usłyszał prawdę, na której tak mu zależało. Będzie musiał nauczyć się z tym żyć.

Przez chwilę Jeffrey niespokojnie przechadzał się po swoim przestronnym apartamencie. W końcu, wiedziony nagłym impulsem, podszedł do telefonu i zadzwonił do szpitala, do którego zabrano Becky. Potem wykręcił jeszcze inny numer.

- Diana? Mówi Jeffrey. Nie śpisz?

- Nie. - Diana zaśmiała się cicho. - Chyba jestem zbyt zmęczona, żeby spać.

- Ja też. Mam dobre wieści. Becky jest już po operacji, wszystko w porządku. Twoja diagnoza okazała się trafna - zapalenie wyrostka robaczkowego, bez perforacji.

- To dobrze. Dziękuję, że sprawdziłeś, co u niej. Właśnie chciałam dzwonić do szpitala.

- Masz ochotę na kolację?

- Na kolację? Chyba tak.

- Czy to oznacza, że raczej nie?

- To oznacza, że zdecydowanie tak. Ale jestem zbyt zmęczona, żeby spać, i zbyt głodna, żeby jeść.

- Napijesz się czegoś? - spytał Jeffrey, kiedy usiedli pod lustrzanym sufitem restauracji.

- Mleka.

Jeffrey zamówił dwie szklanki mleka. Kiedy kelner je przyniósł, Diana wzniosła toast:

- Za pokój. - Podniosła głowę i dodała, patrząc Jeffreyowi prosto w oczy: - Za pokój na ziemi i w naszych sercach.

Jeffrey wytrzymał jej spojrzenie i uśmiechnął się smutno. Poczuł nagle chęć, żeby powiedzieć Dianie o Julii. Zdziwił się, że przyszło mu to do głowy, bo zawsze traktował swoją miłość jako coś bardzo osobistego. ą86

Czemu miałby opowiadać o sprawach, z których nigdy nikomu się dotąd nie zwierzał, tej kobiecie, której nawet dobrze nie zna? Czy dlatego, że stał się mimowolnym świadkiem pogrzebu jej miłości, a teraz, zrządzeniem losu, ona stała się świadkiem pogrzebu jego miłości? Czy dlatego, że te szafirowe oczy obiecują dyskrecję i delikatność wobec tajemnic jego serca? A może to dlatego, że urodzili się tego samego dnia trzydzieści sześć lat temu...

Podczas gdy Jeffrey rozmyślał nad tym, co sprawia, że chciałby porozmawiać z nią o swoim życiu, Diana próbowała zapanować nad pragnieniem zwierzenia się Jeffreyowi. Dlaczego tak ją kusi, żeby temu odnoszącemu same sukcesy dziennikarzowi opowiedzieć o swoich życiowych porażkach? Chyba zrozumiałby ją i byłby delikatny.

Oboje zwalczyli jednak to pragnienie zwierzeń i spędzili następne pół godziny, rozmawiając o konferencji pokojowej i o tym, jakie nadzieje wiązał z nią Jeffrey. A potem Jeffrey zapytał Dianę, co sprowadza ją do Londynu.

- Jesteś tu służbowo czy dla przyjemności?

Diana nie odpowiedziała, a w jej oczach Jeffrey dostrzegł zakłopotanie.

- Diano? - ponaglił ją łagodnie.

- To niespodziewanie trudne pytanie. Nie jestem tu ani służbowo, ani dla przyjemności.

- Więc?

- Wybrałam się w podróż do Europy, żeby w ciągu tych trzech tygodni spróbować zrozumieć sens mojego dotychczasowego życia.

- Ach, więc o to chodzi.

- Tak. - Zaśmiała się Diana. - O to.

Nie rozwinęła jednak tematu, choć pod jego spokojnym, łagodnym spojrzeniem poczuła nagły przypływ energii. Zaczęła opowiadać o planowanych wakacjach, o miastach, które zamierzała zwiedzić, o fantastycznych hotelach, w których będzie mieszkała: w Paryżu miał to być Ritz, w Monte Carlo Loew, w Rzymie Lord Byron, we

Florencji Excelsior, a w Wenecji Cipriani.

- A potem, za dwa tygodnie, popłynę w pięciodniowy rejs na wyspy greckie.

- Cudownie - powiedział Jeffrey.

Właśnie coś takiego wybrałby sam, zabierając Julię w tę spóźnioną, obiecaną podróż poślubną.

ą87

- Co więc mogłoby usprawiedliwić moje zachowanie w twoim biurze?

Kolacja dobiegła końca, skończyli też prawie ciepłe mleko, zamówione przez Jeffrey'a jako łagodny środek nasenny. Diana postanowiła zadać mu to pytanie i zrobiła to szybko, żeby się nie rozmyślić. W pierwszej chwili miała wrażenie, że Jeffrey nie odpowie. Jego niebieskie oczy pociemniały nagle z bólu, który dostrzegła w nich już przedtem. Diana pożałowała, że zadała to najwyraźniej zbyt osobiste i zbyt bolesne pytanie.

- Czulaś się wówczas nieszczęśliwa. - Jeffrey uśmiechnął się słabo. - Domyślałem się tego, choć nie jestem ekspertem w sprawach złamanych serc. Co mówi na ten temat literatura naukowa?

- Medycyna nie zajmuje się tymi sprawami.

- A co ty o tym sądzisz? Czy można uleczyć złamane serce?

- Myślę, że samo może się uleczyć. Ale to wymaga czasu.

- A potem będzie jak nowe? Albo nawet lepsze, jak złamana kość? Trzy lata temu miałem złamany obojczyk i lekarz powiedział mi, że zrośnięta kość będzie mocniejsza niż przedtem.

- Na złamanym sercu pozostaje blizna. Ale może być twardsze, bardziej nieufne.

- Nie da się już go powtórnie złamać.

- Może nie dokładnie w tym samym miejscu, ale przecież serce składa się wielu kruchych, delikatnych kawałków.

Diana czuła, że wkroczyli na teren bardzo bliski ich własnym sercom i że może się to

okazać dla nich niebezpieczne. Postanowiła posunąć się jeszcze dalej.

- Opowiesz mi o sobie? Nie jestem ekspertem, ale mam trochę doświadczenia.

- Zjesz jutro ze mną kolację? - Jeffrey odpowiedział pytaniem na pytanie, choć wiedział, że wszystko jej opowie. Czuł, że może złożyć w jej ręce swoje umęczone, obolałe serce.

Następnego wieczora, jedząc kolację w Tante Claire, opowiedzieli sobie wszystko o utraconych miłościach i utraconych córkach.

- Naprawdę sądzisz, że twoje małżeństwo się skończyło? - spytała Diana cichym, głosem.

- Julia powiedziała, że nie powinna była za mnie wychodzić.

- Była zła i czuła się zraniona. W gniewie ludzie mówią różne rzeczy.

- Czasem dopiero wtedy są szczerzy.

- Może wtedy, w tej konkretnej chwili, Julia rzeczywiście żałowała, że za ciebie wyszła. Ale dziesięć lat temu postanowiła za ciebie wyjść. A poza tym z tego, co mówisz, wynika, że te dziesięć lat były pełne miłości.

- Tak mi się wydawało. Naprawdę wierzyłem, że mimo tajemnicy, której Julia nie chciała mi powierzyć, nasza miłość jest silna i przetrwa.

- Ja także w to wierzę na podstawie tego, co mi powiedziałaś. Jeffrey opisał swoje małżeństwo słowami pełnymi miłości. - Porozmawiasz z nią, prawda?

- Muszę. Choćby po to tylko, żeby usłyszeć całą prawdę, jeśli zechce mi powiedzieć. Może kiedy usłyszę wszystko ze szczegółami, łatwiej mi przyjdzie ją zniechęcić.

- Nie liczyłabym na to.

- Ty nie czujesz do Sama nienawiści.

- To bardzo stara historia.

Diana widziała, jak wielka jest miłość Jeffreya do Julii, a Jeffrey dostrzegł, że ona ciągle kocha Sama. Jej serce, złamane niedawno przez Chase'a, zrośnie się szybko i niemal bez śladu. Ale słuchając opowieści o Samie, widząc jej zamglone smutkiem

spojrzenie, kiedy wypowiadała jego imię, zrozumiał, że rana zadana jej przez jej pierwszą miłość ciągle jest otwarta. Miłość do niego nigdy nie umarła.

- Mam dziwne wrażenie, że między tobą a Samem nie wszystko się skończyło.

- Czy nikt ci jeszcze nie powiedział, że jesteś niepoprawnym romantykiem?

- Tylko Julia.

- Tak czy inaczej to zamknięty rozdział mojego życia. Po tym, co widziałam w szpitalach psychiatrycznych i w telewizji, zrozumiałam, że ojciec Sama naprawdę stanowił dla mnie zagrożenie. Jednak Sam mógł do mnie wrócić po śmierci tego psychopaty, dziesięć lat temu. Mógł wrócić, ale tego nie zrobił. Koniec, kropka.

- Jednak nie czujesz do niego nienawiści.

- Próbowałam go zniechęcić. Ale właściwie jaką popełnił zbrodnię? Ę nie kochał mnie wystarczająco mocno? Ę jego miłość nie wytrzymała próby czasu? Wiesz przecież, gdzie kończą się logiczne argumenty.

- O, tak. - Jeffrey dobrze to wiedział, bo podobnie jak Diana był człowiekiem krytycznym i wymagającym wobec siebie. Nie obwiniął Julii za to, co się stało, obwiniął siebie. To jego wina, że go pokochała. Ale, Diano...

- Słucham?

Jeffrey zawahał się. Tego wieczora tak bardzo sobie nawzajem zaufali. Jeffrey chciał, by Diana wiedziała, że to, co miał zamiar jej teraz

powiedzieć, wynikało z jego troski o nią. Bał się jednak, że ją obrazi. Już raz rozgniewał ją, chcąc jej pomóc. Ale było to zanim powierzyli sobie nawzajem tajemnice swoich serc, które teraz wiązały ich ze sobą.

- Co chciałeś mi powiedzieć?

- Jeśli chcesz, możesz wierzyć przez resztę życia, że Sam nie kochał cię równie mocno, jak ty jego, ale przestań obwinać się o śmierć Janie.

- Jeffrey...

- Już czas, żebyś sobie wybaczyła, Diano.

- Chyba będę musiała wrócić do domu, kochanie - powiedziała Julia Merry o ósmej rano w niedzielę.

Znajdowały się w swoim apartamencie, przylegającym do apartamentu Spencerów w hotelu Plaza. Poprzedniego dnia były razem z Spencerami na poranku w Imperial Theater, gdzie obejrzały Broadway Jeremiego Robbinsa. Po teatrze udali się wszyscy na obiad do Taverny. Na niedzielę zaplanowali wczesny lunch w Plaza Garden Court i przejażdżkę dorożką po Central Parku, a potem chcieli obejrzeć balet. W poniedziałek dziewczynki zwiedzą World Trade Center, wjadą na Empire State Building i Statuę Wolności. Powrót do Southampton miał nastąpić wczesnym wieczorem, żeby Merry i Amanda zdążyły dobrze wypocząć przed wtorkowym turniejem hippicznym.

- Wrócę z tobą, mamusiu.

- Nie, Merry. Zostań ze Spencerami i dobrze się baw. Ja położę się do łóżka i porządnie wyśpię. Chcę być w formie, kiedy wrócisz jutro do domu.

Julia uśmiechnęła się do córki z miłością. Merry była wczoraj duszą towarzystwa, ale Julia zauważyła, że chwilami ogarniał ją smutek, jakby co jakiś czas uświadamiała sobie, że wyprawa do Nowego Jorku byłaby jeszcze bardziej ekscytująca, gdyby towarzyszył im tata.

Tatusz będzie z nami następnym razem, kochanie, przysięgła sobie Julia w duchu, musi być.

- Pewnie to grypa - powiedziała Julia do Paige piętnaście minut później.

- Czy już wczoraj nie byłaś przypadkiem chora, Julio? Byłaś taka błada.

- Tak, czułam się nie najlepiej. Dzisiaj jest jeszcze gorzej. Chyba wrócę do domu, wyłączę telefon i spróbuję to przespać. Mogłabym zostawić Merry z wami?

- Oczywiście. Ale może wszyscy powinniśmy z tobą wrócić? ą90

- Nie ma takiej potrzeby. Zaraz dojdę do siebie.

- Masz mdłości?

- Tak. - W ostatnich dniach jadła tak niewiele, że aż robiło jej się słabo.

- Może jesteś w ciąży?

- Nie, Paige, to nie to.

Przez szesnaście lat Julia często budziła się w nocy pod wpływem powracającego w snach koszmaru, w którym najpierw następowała ogłuszająca eksplozja, a potem samolot z niewiarygodną prędkością spadał do ciemnego, zimnego morza. Na początku w koszmarze tym ginęli tylko jej rodzice, później także Jeffrey i Merry.

Nawet kiedy się już obudziła, nie mogła o tym zapomnieć. Śniło się to jej szczególnie wtedy, kiedy leciała gdzieś samolotem.

Strach sprawił, że nigdy nie podróżowała z mężem, choć on bardzo tego chciał, a ona wiedziała, że scementowałyby to ich związek. Wsiadając do DC 40, Julia nie myślała o katastrofie, która wydarzyła się szesnaście lat wcześniej, nie miała przed oczami przerażających wizji ze swoich snów, nie pamiętała o niedawnych katastrofach samolotów tego typu w Sioux City i Trypolisie. Nie myślała o tym, że właśnie wsiada do latającej trumny.

Weszła do samolotu spokojnie i bez cienia lęku.

Julia nie bała się już latania. Teraz bała się tylko jednego - utraty Jeffreya.

- Czy masz zamiar oglądać mumie przez całe popołudnie, czy tak to cię interesuje?

- Wcale mnie nie interesuje. A ty chcesz cały dzień spędzić nad Magna Carta?

- Chętnie rzuciłbym okiem zarówno na Magna Carta, jak i na mumie - uśmiechnął się Jeffrey, który spodziewał się tego rodzaju problemów.

Postanowili, że spędzą popołudnie, podziwiając cuda zgromadzone w British Museum. Mieli jednak zupełnie inne zainteresowania i inny sposób zwiedzania.

- Więc gdzie się spotkamy, panie redaktorze?

Jeffrey zajrzał do przewodnika po muzeum.

- Może w Sali Zegarów?

- W Sali Zegarów?

494

- Tak. Zgromadzono tam zegary skonstruowane przed i po wynalezieniu wahadła.
- A więc zobaczymy całą historię czasu. Ciekawe.
- I ja tak sądzę. A więc o piątej w Sali Zegarów?
- Dobrze. Do zobaczenia.

Diana przysła kilka minut przed umówioną godziną. Wędrując od zegara do zegara wśluchiwała się w ich ciche tykanie. Brzmiało tak łagodnie, uspokajająco, jak bicie serca, które słyszymy w łonie matki.

O piątej, kiedy zaczęły bić wszystkie zegary, salę wypełniła niespodziewana symfonia dźwięków.

Diana miała wrażenie, że nagle, jak za sprawą złego ducha, znalazła się w samym środku Pieśni Kurantów. Kuranty nakładały się na siebie, jeden przechodził w drugi - przypominało to wspaniałą kaskadę dźwięków wypływających spod zmęczonych palców Sama.

Diana chciała uciec, ale nie mogła. Stała bez ruchu na samym środku sali, jakby otoczona niewidzialnym murem dźwięków, w więzieniu bolesnych wspomnień, z którego nie było ucieczki.

Jeffrey przyszedł na spotkanie tuż po piątej, kiedy odezwały się już zegary. Widział zmianę, jaka zaszła w twarzy Diany, widział, jak zbladła, jak spokojny uśmiech zamarł na jej wargach, ustępując miejsca grymasowi przerażenia. Wszystko to stało się bardzo szybko. Już po chwili kuranty umilkły i w sali znowu rozlegało się tylko ciche, rytmiczne tykanie niezliczonych zegarów. Koszmar się skończył, Diana wróciła do rzeczywistości, ale wyglądała tak, jakby przeszła przez piekło. Jeffrey objął ją i trzymał chwilę w ramionach. Potem wziął ją delikatnie za rękę i wyprowadził z muzeum na popołudniowe łagodne słońce.

- Kiedy Sam mieszkał w Kalifornii - wyjaśniła Diana - chodził w niedzielne popołudnia słuchać kurantów do kościołów różnych wyznań. Potem napisał piosenkę, a właściwie kanon, w którym wszystkie te kuranty nakładają się na siebie... zupełnie tak,

jak w Sali Zegarów. Puszczałam taśmę z nagraniem Pieśni Kurantów Janie, kiedy kładłam ją spać. Jak ona to lubiła! Zawsze zasypiała z wyrazem takiego spokoju na buzi... - Głos Diany zaczął drżeć, a jej oczy nagle wypełniły się łzami.

- Diano, tak bardzo, bardzo mi przykro...

- To nie twoja wina. Nie wiedziałeś o tym. Mnie też nie przyszło to głowy, nawet wtedy, kiedy już weszłam do tej sali... ą92

Kiedy taksówka skręciła na Park Lane, zbliżając się do Dorchester, Julia oderwała wzrok od własnych dłoni zaciśniętych nerwowo na kolanach i spojrzała przez okno na rozświetlony jesiennym słońcem Hyde Park. Widok bawiących się dzieci, kobiet pchających przed sobą wózki, rodzin siedzących na trawie i trzymających się za ręce zakochanych par przypomniiał jej odległe niedzielne popołudnie w Parku Ghirardelli, od którego zaczęła się miłość jej i Jeffreya. Wspomnienie to dodało Julii otuchy. Może później, kiedy już wszystko sobie wyjaśnią i znowu wyznają sobie miłość, także pójdą do parku na romantyczny spacer.

Ale Jeffrey już był na romantycznym spacerze w parku.

Na spacerze... z Dianą Sheperd. Julia natychmiast rozpoznała sławną lekarzkę, widziała ją w czerwcu w telewizji, a ostatnio w Timesie. W ostatnim tygodniu Julia, samotnie spędzająca bezsenne noce, stęskniona za Jeffreyem i niespokojna z powodu napiętej sytuacji politycznej, przeczytała cały artykuł na temat Diany Sheperd. I była zdumiona jej geniuszem.

A teraz Jeffrey i Diana spacerują razem w niedzielnym tłumie wypełniającym Hyde Park. Stanowią taką piękną parę. On obejmuje ją lekko ramieniem, zdaje się światła poza nią nie widzieć, ona patrzy mu w oczy... rozmawiają i uśmiechają się do siebie, a jesiennie słońce ozłaca ich włosy, zapala w oczach iskierki...

Julia zobaczyła, że nagle Diana stanęła przed Jeffreyem. Julia dokładnie widziała teraz jego twarz. Miała wrażenie, że Jeffrey patrzy na nią z tą samą dobrze jej znaną czułością, której tak rozpaczliwie potrzebowała. Ale dzisiaj czułe spojrzenie Jeffreya było

przeznaczone dla Diany. A potem Jeffrey zrobił coś, co - jak sądziła Julia - należało tylko do niej: pochylił się i bardzo delikatnie dotknął policzka Diany, odsuwając z jej twarzy pasmo kasztanowych włosów, żeby dobrze widzieć jej oczy.

Gdyby Julia zobaczyła Jeffreya kochającego się z inną kobietą, nie czułaby się tak zdradzona i zraniona jak teraz, kiedy patrzyła na tę intymną, czułą scenę. Julia wiedziała, że zanim się poznali, Jeffrey miał wiele kochanek. Wiedziała, że potrafił cieszyć się seksem, z którym nie wiązało się żadne głębsze uczucie. Gdyby w przyływie wściekłości i bólu spowodowanego jej słowami wybiegł z domu i poszedł do łóżka z inną kobietą, Julia czułaby się zraniona do żywego, ale ich miłość może by przetrwała.

Jednak to, co zobaczyła w Hyde Parku, nie było przejawem zwykłej żądz. To czułość, uczucie, miłość. Julia wiedziała, jak Jeffrey patrzy na kogoś, kogo kocha, znała jego gesty i wyraz oczu w chwilach intymnych

ą! ą! - Melodie miłości zwierzeń. Teraz zobaczyła, że patrzy na Dianę, że dotyka jej w sposób, który zawsze wydawał jej się przeznaczony tylko dla niej.

Julia ze smutkiem doszła do wniosku, że romans Jeffreya i pięknej Królowej Serc musiał zacząć się już dawno temu. Zachowywali się tak, jakby znali się od lat.

Od kiedy są kochankami? Czy to z powodu ich romansu nie dochodziło do spotkań przygotowanych przez Spencerów? Czy przyczyną rozvodu Diany z Chase'em był Jeffrey?

Julia przypominała sobie tamtą czerwcową noc, kiedy Jeffrey wrócił bardzo późno po wywiadzie z Dianą. Był dziwnie przygnębiony i potem spał tak niespokojnie.

Czy w przeddzień rozvodu Diany nagle poczuł się rozdarty między dwiema kobietami? A może naprawdę spotkali się po raz pierwszy tamtego wieczora, ale on natychmiast poczuł, że jest między nimi coś szczególnego? Przecież w niej także zakochał się tak szybko dziesięć lat temu.

Dziesięć lat temu Julia prosiła cicho w duchu: kochaj mnie, tak długo, jak potrafisz. Ale w ciągu tych lat, pełnych czułości z jego strony takiej samej czułości, jaką teraz

Jeffrey obdarza Dianę - uwierzyła w jego miłość i w to, że potrafi ją utrzymać.

Nabrała z czasem pewności, że Jeffrey naprawdę ją kocha. Uwierzyła, że jego cudowna miłość spłynie w końcu i na ich córkę. Odważyła się prosić Jeffreya, by część swego cennego czasu, w którym realizował swoje marzenia, poświęcił spełnieniu jej najgorętszego pragnienia - a ona chciała przecież tylko mieć prawdziwą rodzinę.

Julia patrzyła na Jeffreya i Dianę w Hyde Parku i czuła, jak jej marzenia umierają. Wszystkie marzenia: o jego miłości do niej, o jego miłości do Merry, o rodzinie, którą już nigdy się nie staną.

Kiedyś, zanim jeszcze odkryła, że jest w ciąży, może zgodziłyby się dzielić miłość Jeffreya z inną kobietą. Może nawet teraz, gdyby chodziło tylko o nią, potrafiłaby żyć ze świadomością, że Jeffrey ją zdradza. A może nie - bo przecież zdążyła już uwierzyć w siebie i w cudowny dar swojej miłości.

Nieistotne zresztą, co by zrobiła, bo nie chodziło już tu tylko o nią, o jej uczucia. Słodka mała Merry tak cierpliwie czekała, aż daleki, nieobecny ojciec okaże jej trochę uczucia. Julia wierzyła całym sercem, że pewnego dnia Jeffrey pokocha swoją córkę. Wierzyła w niego i wierzyła także, że cudowna miłość, jaką ją obdarza, zostanie przelana także na ich dziecko.

Ale jego miłość okazała się mniej niezwykła, mniej cudowna, niż jej się kiedyś wydawało. ą94

Marzenia umarły. Julia uchroni przed dalszymi rozczarowaniami swoje wrażliwe dziecko, które tak cierpliwie czekało na coś, co nigdy nie nastąpi.

Kilkanaście godzin przedtem spokojnie wsiadała do samolotu. Teraz, wiedzona odwiecznym instynktem, każącym matkom chronić swoje dzieci, powiedziała taksówkarzowi, żeby nie zatrzymywał się w Dorchester i odwiózł ją na Heathrow.

Jeffrey objął Dianę ramieniem, ponieważ znowu umilkła, zatopiona w bolesnych wspomnieniach o dziecku, które tak lubiło słuchać kurantów. W odpowiedzi na to Diana uśmiechnęła się z wdzięcznością. Ponieważ Jeffrey chciał, żeby przestała rozmyślać o

przeszłości, zapytał:

- Zjesz ze mną kolację dziś wieczorem?

- Nie boisz się pokazywać publicznie z taką płacziwą, nieobliczalną kobietą?

- Myślałem o kolacji w moim apartamencie, ponieważ prawdopodobnie przez cały wieczór będę musiał odbierać telefony z biura. Jeśli zaś chodzi o pokazywanie się z taką płacziwą kobietą w miejscach publicznych, to naprawdę nie miałbym nic przeciw temu.

Wtedy właśnie Diana stanęła przed nim, a on delikatnie odsunął pasmo ciemnych włosów z jej smutnych szafirowych oczu.

- Jest pan bardzo miłym człowiekiem, panie Lawrence.

- A pani jest uroczą kobietą, doktor Sheperd.

Rzeczywiście podczas kolacji w apartamencie Jeffreya telefon dzwonił wielokrotnie. Nie przeszkadzało im to jednak w rozmowie, bo Jeffrey i Diana byli tego wieczora wyjątkowo milczący i zamyśleni. Oboje wiedzieli, że to pożegnanie. Diana leciała nazajutrz rano do Paryża, a Jeffrey miał zacząć pracę przy konferencji pokojowej.

Ten cudowny weekend, zawieszony w czasie, wymykający się regułom, według których oboje żyli, dobiegał końca. Ale ten wspólnie spędzony czas bardzo im się obojgu przydał. Zostawił im nadzieję. Mroczne tajemnice zostały w końcu wystawione na jasne światło słońca, które odebrało część złowrogiej mocy i niszczącej siły.

Oboje próbują poradzić sobie ze swoimi tajemnicami.

Diana ruszy w dalszą drogę w swojej podróży we własną przeszłość. I mimo że Jeffrey nie będzie już jej przewodnikiem, wie już, jak unikać dręczącego poczucia winy. Diana zapamiętała to, czego się od niego nauczyła, i może z czasem rzeczywiście sobie wybaczy.

ą95

A Jeffrey porozmawia z Julią i spróbuje uratować miłość, która go z nią łączy. Pod wpływem Diany nabrał nadziei, że to możliwe. Na pewno jest na to jakiś sposób.

Kiedy Jeffrey odprowadził Dianę do jej apartamentu, najpierw długo na nią patrzył, a

potem ją pocałował.

Miał to być pocałunek pożegnalny, ale nagle stał się głębszy i gorętszy, bardziej czuły i namiętny, niż się spodziewali.

- Lekarz tego nie zaleca? - spytał Jeffrey, kiedy Diana się odsunęła.

- Nie wiem, a jak sądzisz? - Diana odsunęła się od niego, ale nadal mu ufała, wiedziała, że zawsze będą wobec siebie szczerzy i uczciwi.

- Nigdy nie byłem niewierny wobec Julii.

- Nie jestem zaskoczona. Bardzo ją kochasz.

- Nawet nigdy nie pomyślałem o tym, że mógłbym ją zdradzić. Aż do tej chwili.

- Mimo niezliczonych okazji? - zażartowała Diana. Wiedziała, że nie mogłaby tego zrobić. Oboje o tym wiedzieli.

- Więc może w przyszłym życiu?

- Będę czekać.

#% Dłoń Jeffreya drżała, a serce waliło mu jak młotem, kiedy wystuki@wał wieczorem numer Belvédère.

Był wtorek. Jeffrey w swoim apartamencie w Dorchester przygotowywał się do wystąpienia na żywo następnego dnia.

Wtorek. Dwunasty września. Dzień dziesiątych urodzin Merry.

Jeffrey chciał jej złożyć życzenia i powiedzieć, jak bardzo jest mu przykro, że nie zobaczy turnieju hippicznego. Postanowił jej obiecać, że kiedy wróci, będzie często przychodził na jej lekcje konnej jazdy.

W końcu uzyskał połączenie i usłyszał w słuchawce charakterystyczny, znajomy sygnał. Od ponad dziesięciu lat po tym sygnale odzywał się do niego znajomy, pełen miłości głos.

Ileż to razy dzwonił do Julii tylko po to, żeby powiedzieć: Cześć Julie, Kocham cię□
Ile to razy słyszał w jej głosie radość i jej cichą odpowiedź: Ja też cię Kocham, Jeffrey□
ą96

Jakie to było cudowne! Musi znaleźć sposób, żeby ta wspaniała, radosna miłość i zaufanie wróciły, żeby znowu mogli się nimi cieszyć.

- Halo?

Jej głos brzmiał dziwnie obco.

- To ja. Co słyszeć?

- W porządku.

- Julie, musimy porozmawiać. - Jeffrey czuł rozpaczliwą potrzebę tej rozmowy, potrzebę, którą wzmógł jeszcze jej miękki, daleki głos. Tak bardzo jej potrzebował. Tak bardzo potrzebował jej miłości. Tak bardzo tęsknił do jej śmiechu, jej rąk, jej fiołkowych oczu. - Pewnie przyjadę do domu w sobotę.

- Nie mamy o czym rozmawiać, Jeffrey.

- Nie? - spytał Jeffrey głosem pełnym nadziei, ale także smutku. Pełnym nadziei, bo jeśli nie muszą rozmawiać, to znaczy, że Julia mu wybaczyła i ich miłości nic nie zagraża. I pełnym smutku, bo czyż nie powinni w końcu raz na zawsze skończyć z tajemnicami i sekretami? Czyż nie powinni pozwolić zabliznić się w końcu starym ranom? Jeffrey wiedział, że wyznanie Julii sprawi mu wielki ból, ale wiedział też, że nic nie sprawi mu bólu większego niż utrata ukochanej żony.

Nigdy cię nie kochałam□Te słowa sprawiłyby mu większy ból. Ale Julia ich nie wypowiedziała, ponieważ go kochała, nadal go kocha. Przecież ich miłość i wspólne życie nie były iluzją.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia, Jeffrey.

- Och, kochanie, sądzę, że mamy sobie bardzo wiele do powiedzenia.

- Nie, Jeffrey. To koniec.

Głos Julii był cichy i niewyraźny, dochodził przecież z bardzo daleka, ale Jeffrey wyraźnie usłyszał w nim przerażającą, zdecydowaną nutę. Brzmiał tak, jakby mówiła żegnaj□

- Koniec czego? Julie?

Jeffrey wstrzymał oddech, a kiedy cisza po drugiej stronie zaczynała się przeciągać, powtórzył pytanie. W końcu Julia odezwała się i Jeffrey usłyszał te straszne słowa, które zdawały się od dawna wisieć gdzieś w dzielącej ich czarnej przestrzeni.

- Naszego małżeństwa.

- Naszego małżeństwa? Julio, dlaczego?

- Wiesz dlaczego.

- Nie wiem. Powiedz mi. - Prosi, żeby zadano mu ból. Prosi, żeby powiedziała to, czego najbardziej bał się usłyszeć. To, w co tak bardzo nie chciał uwierzyć. - Powiedz mi!

ą97

Julia zastanawiała się ze smutkiem, dlaczego on to robi. Czy próbuje ją wybadać, sprawdzić, czy dowiedziała się o jego romansie? Dlaczego nie przyjmuje jej decyzji z ulgą, że tak łatwo zwrócono mu wolność? Czy nadal czuje się rozdarty, choć wydawało się, że już dokonał wyboru?

- Julio?

- Ponieważ jest ktoś inny - wyszeptała w końcu stanowczo i wyraźnie, by nie dosłyszał w jej głosie łez. Opanowała się, przypominając sobie Jeffreya i Dianę na spacerze w Hyde Parku i ciągnęła dalej:

- Przyjedziesz w sobotę zabrać swoje rzeczy? Lepiej, żeby nie było nas wtedy w domu, więc jeśli powiesz mi kiedy...

- Niczego nie potrzebuję.

Z wyjątkiem tego, czego nie może mieć. Belvédère było pełne bezcennych przedmiotów i dzieł sztuki, ale ani ta cudowna kobieta, ani ta śliczna mała dziewczynka już do niego nie należą.

Zapadła cisza, a potem w słuchawce rozległ się ciągły sygnał. Żadne z nich nie wiedziało, kto pierwszy odłożył słuchawkę. A może to linia nie wytrzymała tego pełnego bólu napięcia?

Jeffrey stał chwilę bez ruchu, w całkowitej ciszy i pustce. Przypomnił sobie, po co

zadzwoił do Belvédère - chciał złożyć Merry życzenia urodzinowe i znaleźć sposób, by miłość i zaufanie między nim a Julią wróciły, żeby było tak, jak dawniej. Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. I już nigdy nie zrobi.

Stracił dziś połowę swego serca.

Dla Julii jej małżeństwo skończyło się z chwilą, kiedy zobaczyła Jeffreya z Dianą w londyńskim parku. Od dwóch dni przygotowywała się do tej rozmowy, wiedząc, że w końcu nastąpi. Hartowała swoje serce, dobierała słowa, robiła wszystko, by nie czuć bólu.

Ale nie była przygotowana na to, co usłyszała: na ten łagodny głos, smutek i lęk - choć to przecież on znalazł już nową miłość - a to tylko pogłębiło jej cierpienie.

Pół godziny po tym, jak rozmowa została przerwana, Julia ostatkiem sił otrząsnęła się z odrętwienia. Musi się przebrać i iść do dziewczynek, które już są w stajni, obejrzeć turniej hippiczny, a potem zjeść w Somerset urodzinową kolację. Musi teraz jeszcze bardziej kochać swoją córkę. Powinna też spróbować sprostować wszystkie swoje kłamstwa. Tatusz cię kocha, skarbie. Jest tylko bardzo zajęty. Ma bardzo odpowiedzialną pracę□

Bajki! Takie same jak te, którymi Julia okłamywała się, chcąc zapomnieć o swoim smutnym, pozbawionym miłości dzieciństwie. A potem ą98 omamiła własne dziecko taką samą złudną nadzieją i bzdurnymi fantazjami. Teraz będzie musiała stopniowo, delikatnie wyjaśnić córce, że się myliła, że popełniła błąd, wychodząc za Jeffreya.

Jeffrey patrzył na ślubną obrączkę z dwóch stopionych ze sobą na zawsze odcieni złota, która była symbolem ich miłości. Teraz stała się po prostu smutnym symbolem tego wszystkiego, co utracił.

Przyrzekli sobie nosić je całe życie.

Jeffrey istotnie nigdy nie zdjął obrączki i nadal nie miał ochoty tego zrobić. Czuł jednak, że musi. Wiedział, że nie będzie w stanie oglądać jej codziennie na swoim palcu.

Diana tak szybko zdjęła wszystkie pierścionki. Kiedy jeszcze Jeffrey jej nie znał, pomyślał, że ma zimne serce i chciała w ten sposób usunąć Chase'a ze swego serca. Ale

teraz wiedział już, choć nigdy o tym nie rozmawiali, że zdjęła pierścionek zaręczynowy i obrączkę z tych samych powodów, dla których on musiał to teraz zrobić: żeby nie patrzeć co chwila na symbol klęski, jaką jest utrata miłości najważniejszej w życiu osoby.

Jeffrey zdjął swoją obrączkę i przez chwilę wpatrywał się w wąskie pasmo nie opalonej skóry na palcu. Miejsce to, od tylu lat zawsze przykryte obrączką było zupełnie białe, zdawało się symbolizować czystość i niewinność nowo narodzonej miłości. Był to gorzki, bolesny symbol, przypominający o tym, co zostało mu odebrane - tak jak przedtem elegancka złota obrączka.

Jeffrey zdał sobie sprawę z tego, że ten ból może dręczyć go już zawsze. Wtedy, przed dziesięciu laty, w przeddzień ich ślubu, Julia powiedziała mu szeptem, że nie ma dla niej znaczenia, czy na obrączkach zostaną wygrawerowane słowa miłości, bo już i tak na zawsze są wyryte w ich sercach.

Chowając obrączkę głęboko na dnie dolnej szuflady komody w swoim nowojorskim apartamencie, Jeffrey czuł taki ból w sercu, jakby wyryte tam słowa miłosnej przysięgi stały się nagle krwawiącymi ranami.

- Och, Julie! - wyszeptał. - Zawsze będę cię kochał.

Julia i Merry nie miały żadnych konkretnych planów na wakacje z tatą prócz weekendu w Nowym Jorku, turnieju hippicznego i wtorkowego przyjęcia urodzinowego w Somerset.

- Jestem pewna, że mimo wakacji tatuś będzie chciał trochę popracować - powiedziała Merry poważnie.

ą99

- Możliwe - zgodziła się Julia.

Jej ukochane, wrażliwe dziecko było tak nieśmiałe w stosunku do własnego ojca i tak niepewne jego uczuć. A przecież tak bardzo potrzebowało jego miłości! Jednak Jeffrey stale był dla niej nieosiągalny. Choć niedawno zaczął zauważać swoją córkę, Merry nie miała dość śmiałości, by uwierzyć, że zechciałby poświęcić jej cały tydzień swojego

urlopu. Na szczęście nie planowały więc niczego i Merry uniknęła przynajmniej cierpienia związanego z kolejnymi rozczarowaniami.

W środę Julia zaproponowała wprawdzie, żeby zrobiły coś wspólnie z Paige i Amandą, ale Merry sprzeciwiła się temu.

- Ciągle masz jeszcze grypę, mamusiu. Pójdę z Amandą do klubu. Pojeździmy konno i może trochę popływamy.

W sobotę Paige zorganizowała w klubie ostatnie letnie przyjęcie dla dzieci z klasy Amandy.

W innych okolicznościach Julia na pewno także by na nie poszła, żeby opowiedzieć dziewczynkom jedną ze swych historii. Opowieści dojrzywały wraz ze swymi słuchaczkami, ale ciągle były baśniami, a nie romansami. Z każdym rokiem jednak stawały się coraz poważniejsze.

Ale Julia nie poszła na sobotnie przyjęcie do klubu.

- Czy Jeffrey wraca dzisiaj do domu? - spytała Paige, kiedy Julia przyprowadziła Merry do Somerset, ale sama nie chciała wejść do środka.

- Tak.

- Ciągle źle wyglądasz i powinien cię zabrać do lekarza.

- Nic mi nie będzie, naprawdę, Paige. Z każdym dniem czuję się lepiej.

- Nie wyglądasz ani trochę lepiej, kochanie.

- Ale dochodzę do siebie, naprawdę.

To nie była prawda. Julia czuła się coraz gorzej, każdy dzień zdawał się zbliżać ją do śmierci, dręcząc bólem, którego nie potrafiła opanować.

Czuła jednak, że musi wziąć się garść. Musi zrobić to dla Merry.

Wróciła do Belvédère i chodziła teraz niespokojnie z pokoju do pokoju, szukając odpowiedzi na swoje pytania, ale odnajdując tylko duchy przeszłości. Dzień był wietrzny, bardziej już jesienny niż letni. Niebo wcześniej pociemniało, zasnuwane ponurymi burzowymi chmurami. Przy każdym głośniejszym porywie wiatru uderzającego w okna, jej serce

zamierało. Czy to samochód Jeffreya? Czy postanowił mimo wszystko przyjechać do Belvédère po swoje drobiazgi? Czy będzie z nim Diana?

Julia wiedziała, że w takim momencie nie powinna być w domu. 200

Wyciągnęła z szafy stare, zapomniane džinsy, które miała na sobie tego dnia, kiedy poznała Jeffreya, džinsy, z którymi nie potrafiła się rozstać; te które Jeffrey tak umiejętnie z niej ściągnął z cichym śmiechem szczęścia i pożądania tuż po tym, jak sama zdjęła sweter i bluzkę.

Julia włożyła teraz te stare, workowate džinsy, bluzkę, sweter i tenisówki i wyszła z domu do ogrodu, gdzie Jeffrey pewnego wiosennego poranka przesadzał róże, a potem obiecał, że wróci na lato, żeby zobaczyć je w pełnym rozkwicie.

Należy spojrzeć w oczy duchom przeszłości, żeby zapomnieć o miłości, która umarła.

Tamtego pięknego majowego dnia powędrowała z Jeffreyem przez gęsty las na urwisko, z którego roztaczał się widok na ocean. Julia szła teraz tą samą wąską ścieżką, wydeptaną przez sarny, potykając się o wystające korzenie drzew, bo oczy zaszyły jej łzami na myśl, że właśnie tutaj tak bardzo się kiedyś kochali. Z urwiska patrzyła przez chwilę na spieniony gniewnie Atlantyk i kłębiące się nad nim ciemne burzowe chmury. Jesienne niebo zdawało się gniewnie marszczyć brwi, spoglądając niechętnie na ziemię, a morze odpowiadało mu rycząc wściekle i grożąc coraz wyższymi falami.

Łąka, na której się kiedyś kochali wśród fiołków, była teraz naga, kwiaty już przekwitły, a trawa zrudziała pod palącymi promieniami słońca, które świeciło co dzień przez całe lato. Ziemia była śliska, bo przed chwilą zaczął padać deszcz. Julia zeszła krętą ścieżką na plażę, nad sam brzeg morza. Woda burzyła się u jej stóp z nieokiełznaną, groźną siłą, ale Julia stała jak zahipnotyzowana, wcale nie odczuwając strachu.

Zawsze bała się nieba i wody. Strach przed lataniem pokonała, lecąc do Londynu, a teraz patrzyła bez lęku na wzburzony ocean, uśmiechając się do siebie.

ęgnaj, strachu!

Stała dokładnie w tym samym miejscu, do którego doszła wtedy w maju u boku Jeffreya. Teraz jednak spojrzała dalej, tam, gdzie jasne pasmo piaszczystego półwyspu wrzynało się daleko w morze. Odległą skałę bezlitośnie chłostały wysokie fale, chwilami prawie odcinając ją od lądu.

Julia postanowiła pójść dalej, na półwysep, tam, dokąd nigdy jeszcze nie odważyła się zapuścić, nawet w towarzystwie Jeffreya.

Postanowiła tam pójść, ponieważ na tym właśnie będzie odtąd polegało jej życie - na odkrywaniu nowych miejsc bez Jeffreya u boku i samotnym pokonywaniu lęku.

20ą

Julia doszła do końca półwyspu i wspięła się na skałę. Zimny wiatr przenikał przez jej cienki sweter, mokry od deszczu i morskiej wody. Chwiała się pod jego gwałtownymi uderzeniami, osłabiona brakiem snu i jedzenia, ale postanowiła, że stawi czoło wiatrowi i morzu.

A morze, które wyło i ryczało u jej stóp, uderzając z wściekłością o kamienie, było w tej chwili takie piękne. Wrogie niegdyś morze było źródłem jej lęków, prezentując teraz swą niepokonaną potęgę wydało się Julii nadspodziewanie przyjazne. Wzywało ją i uwodziło, szeptało do niej i wołało, zapraszając do szmaragdowych głębi i obiecując jej wieczny spokojny sen na swym dnie.

Jak łatwo byłoby przyjąć to zaproszenie! Morze wzywało, wiatr popychał ją, wilgoć wody morskiej, deszczu i leż przenikała ją na wskroś.

Jak łatwo...

Kiedy Patrick wyjechał z lasu na plażę, zdumiała go zmiana, jaka zaszła w przyrodzie od chwili, gdy opuścił wybieg przed stajniami. Ciemne chmury otworzyły się nad ziemią i we wzburzone fale chlustały teraz szarpane wiatrem strugi deszczu.

Patrick postanowił spróbować przenieść na płótno groźne widowisko. Zwykł malować wieczorem i w nocy, ale ostatnio te późne godziny wypełniała mu miłość. Teraz o tej porze dręczyło go zawsze wspomnienie Casey. Próbował namalować jej portret,

uchwycić ten wyraz zaskoczenia i bezradności, który dostrzegł na jej twarzy, kiedy odwróciła się do niego, stojąc na cyplu.

Patrick spojrział przez półprzejrystą zasłonę deszczu w stronę półwyspu, na końcu którego stała wtedy Casey. Dziś półwysep zniknie zupełnie. Była pełnia i morze piętrzyło się coraz bardziej. Ocean pochłonie go szybko jednym haustem. Patrick miał zamiar obserwować to widowisko z bezpiecznej odległości, stojąc na brzegu.

Kiedy jednak podniósł wzrok i spojrział na skały na samym końcu półwyspu, serce zabiło mu mocniej. Wydało mu się, że ktoś tam stoi.

Pewnie to złudzenie, figiel spleatany mu przez pamięć i zamglone przez deszcz oczy. Patrick wyteżył wzrok, ale dziwne zjawisko nie zniknęło. Przerażony wbił pięty w boki konia. Ogier zareagował natychmiast, zastrzygł uszami i pocwałował po mokrym piasku.

Gdy Patrick podjechał bliżej, przekonał się, że to nie omamy. Na końcu znikającego coraz szybciej pod wodą półwyspu stała jakaś kobieta.

W czerwcu Patrick dostrzegł w tym samym miejscu inną kobietę, ale wtedy morze było spokojne, ciepłe, nie takie wzburzone jak teraz. Stojącej 202 na cyplu kobiecie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Półwysep został już odcięty od plaży przez gniewne, ryczące morze. A ta skała zniknie dziś całkowicie, pochłonięta przez ocean. Nawet jeśli stojąca na niej kobieta jest dobrą pływaczką, fale i podwodne wiry wyrzucą ją daleko w morze, skąd nie zdoła już dopłynąć do brzegu.

Jeśli spróbuje ją ratować, mogą oboje zginąć w morskich odmętach.

Jednak Patrick nie wahał się. Nie mógł stać spokojnie na brzegu i patrzeć na śmierć tej kobiety.

Ogier zatrzymał się gwałtownie na brzegu, kiedy Patrick skierował go ku zdradzieckiej, syczącej kipieli. Instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo i zaczął nerwowo dreptać w miejscu.

- No, dalej. - Patrick ponaglił łagodnie konia. - Dalej!

Ogier ruszył niepewnie do przodu, ale kiedy spieniona woda sięgnęła jego pęcín,

cofnął się gwałtownie. W końcu jednak zebrał się w sobie i rzucił naprzód w stronę skały, która nie zniknęła jeszcze całkiem pod wodą.

- Pani Lawrence! - zawołał Patrick, kiedy zbliżył się do zapatrzonej w morze kobiety.

- Patrick?

- Musi pani zaraz wracać ze mną na ląd!

Patrick skierował konia ku wielkiemu głazowi na cyplu, na którym stała Julia, chwiejąc się na nogach, i usadowił ją przed sobą na grzbiecie konia. Chwytał wodze, otaczając Julię z obu stron ramionami, i oplótł jej nogi swoimi, żeby nie spadła.

- Proszę chwycić konia za grzywę i w żadnym wypadku nie puszczać - powiedział, kierując ogiera w stronę przesmyku między wysepką a lądem. Jednak w ciągu tych kilku krótkich chwil wszystko się zmieniło. Woda była teraz znacznie głębsza i pojawiały się groźne wiry.

Kiedy koń stracił grunt pod nogami, wszyscy na moment znaleźli się pod wodą. Patrick puścił wodze, objął Julię jedną ręką, a drugą schwytał się końskiej grzywy.

Teraz wszystko zależało od tego, czy ogierowi starczy sił, czy jego instynkt samozachowawczy zwycięży strach.

Najpierw, podczas tych długich jak wieczność minut, kiedy koń stracił grunt pod nogami, woda zalała ich całkowicie i odepchnęła od brzegu. Potem, kiedy ogier zaczął płynąć, wydostali się znowu na powierzchnię, ale nadal dryfowali na pełne morze, gdzie czekała ich nieunikniona śmierć.

- Dalej, dalej - szeptał Patrick do konia, który walczył o swoje i o ich życie. - Jeszcze trochę. Uda ci się.

201

Koń dzielnie walczył z falami. Ilekroć zdołał posunąć się kilka metrów do przodu, zaraz fale z powrotem go spychały. W końcu, jakimś cudem, zdołał dopłynąć do miejsca, w którym jego nogi znowu znalazły oparcie na dnie. Chwiejąc się i potykając wyszedł na piaszczysty brzeg. Stał tam ciężko dysząc, z bijącym głośno sercem. Patrick pochylił

się do przodu, żeby poklepać go po szyi i chwycić wodze. Dotknął przy tym Julii i poczuł wstrząsające jej szczupłym ciałem dreszcze. Należało jak najszybciej odwieźć ją do Belvédère.

Znał dobrze ścieżki łączące posiadłości Southampton i wybrał najkrótszą drogę do jej domu, inną niż ta, którą Julia przyszła na plażę. Trzymał ją przed sobą mocno, dotykając piersią jej drżących pleców. Julia milczała całą drogę, nie odpowiedziała na żadne z jego pytań.

Sprawiła wrażenie chorej, zmęczonej i czymś udręczonej. Wyglądała jeszcze gorzej niż na turnieju hippicznym, kiedy Merry powiedziała mu, że mama ma grypę. Jeśli jednak była chora, dlaczego poszła nad morze w taki zimny, deszczowy dzień?

Musiało się stać coś, co wyгнаło ją z domu, choć pogoda nie zachęcała do spacerów, co przerażało ją bardziej niż wzburzone morze.

Musiało się stać coś gorszego niż to, co spotkało ją na półwyspie. Coś gorszego niż śmierć. Czy chodzi o Merry? W oknach Belvédère nie paliło się ani jedno światło. Pewnie jej mąż jest jeszcze w Londynie, ale gdzie jest Merry? Gdyby coś się jej stało...

Gdyby coś stało się Merry, Julia Lawrence tak by właśnie wyglądała. Patrick nie miał co do tego wątpliwości, bo obserwował ją w czasie lekcji jazdy konnej i widział jej bezgraniczną miłość do córki.

Wjechali na podjazd przed domem. Patrick zeskoczył z konia, objął Julię w talii i pomógł jej zsiąść. Zachwiała się lekko, kiedy postawił ją delikatnie na ziemi, ale szybko odzyskała równowagę i uśmiechnęła się słabo.

- Dziękuję ci, Patricku. Uratowałeś mi życie.

Patrick spojrział w jej zmęczone, podkrążone oczy. Pomyślał, że tej kobiecie nadal zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Chciał jej zaoferować pomoc, ale ona już szła w stronę drzwi. Odwróciła się na progu.

- Dziękuję - powiedziała raz jeszcze i zniknęła.

Patrick miał ochotę pójść za nią, zapytać, co się stało, czy czegoś nie potrzebuje, ale

nie zrobił tego. Wyglądała tak, jakby chciała zostać sama, a on był odpowiedzialny za konia, który im obojgu uratował życie. 204

Dzielny ogier był na szczęście cały i zdrowy, a podczas drogi do stajni rozgrzał się trochę. Jednak Patrick najpierw starannie wytarł go do sucha, a dopiero potem sam wziął prysznic i przebrał się.

Cały wieczór spędził w swoim mieszkaniu. Burza minęła, ale ciągle padało. Ta cisza nie uspokoiła go jednak. Ciągle miał przed oczami drobną, szarpaną wiatrem sylwetkę Julii stojącej na cyplu, jej udręczone, nieobecne oczy, ciemny, ponury dom, wyraz śmiertelnego zmęczenia w jej oczach.

W końcu, o dziesiątej wieczorem, poszedł do biura, znalazł książkę z adresami i numerami telefonów członków klubu, zapisał numer Belvédère, wrócił do siebie i podniósł słuchawkę.

Julia była w sypialni, leżała na łóżku, ale nie spała - patrzyła tylko w ciemność i słuchała nocnej ciszy. Na dźwięk telefonu zmartwiała z przerażenia. W pierwszej chwili pomyślała o Merry, ale uspokoiła się, zanim jeszcze podniosła słuchawkę. Merry jest z Paige i nic jej nie zagraża. Gdyby jej, Julii, coś złego przytrafiło dziś nad morzem, gdyby Patrick jej nie uratował, Paige i Edmund, rodzice chrzestni Merry, zajęliby się nią jak własnym dzieckiem. Paige byłaby dla niej kochającą matką, a Edmund ojcem i Merry miałyby nawet siostrę.

Gdyby Julia utonęła dziś w oceanie, Merry miałyby matkę, ojca i siostrę - a więc dużo więcej niż ona sama mogła jej dać.

Kiedy zadzwonił telefon, Julia pomyślała, czy nie byłoby jednak lepiej, gdyby leżała teraz spokojnie na dnie morza. Czy nie byłoby tak lepiej dla Merry.

- Słucham.

- Pani Lawrence?

- Patrick?

- Chciałem tylko zapytać, jak się pani czuje.

- Dobrze. Wszystko w porządku. Dzięki tobie. Dziękuję.
- To dobrze.
- Tak. Dziękuję - powtórzyła Julia uprzejmie, ale bez większego przekonania.
- Czy coś... stało się Merry?
- Nie, z Merry wszystko w porządku.
- No, cóż, chciałem się tylko upewnić, czy nic się pani nie stało.
- Czuję się zupełnie dobrze. Jeszcze raz dziękuję.
- W takim razie dobranoc.
- Dobranoc.

Patrick odłożył słuchawkę i stał chwilę obok telefonu.

- Nie czujesz się dobrze - powiedział na głos.

205

Julia także odłożyła słuchawkę.

- Dziękuję ci za wszystko, Patricku - wyszeptała cicho.
- Jak się czujesz, mamusiu? - zapytała Merry, kiedy wróciła do domu z Somerset w niedzielę po południu.

- Lepiej, kochanie.

- To dobrze. Czy tatuś już wrócił?

- Och, Merry - westchnęła Julia. Czule pogłaskała córkę po złotej główce, uklękła przy niej i spojrzała w jej wielkie, brązowe oczy. - Kochanie, tatuś nie będzie już z nami mieszkał.

- Nie? Dlaczego? - Merry zadała to pytanie, ale Julia prawie natychmiast dostrzegła w jej bystrych oczach zrozumienie. I wielki smutek.

- Zdecydowaliśmy, że będzie lepiej, jeśli się rozstaniemy.

- Czy ty i tatuś... wy weźmiecie rozwód?

Julia nie myślała dotąd o prawnych konsekwencjach rozstania z mężem.

- Chyba tak.

- To przeze mnie, prawda?

- Och, Merry, nie! Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo tak jest przypadku niektórych moich koleżanek.

- Kochanie, to nie ma z tobą nic wspólnego. Tatusz bardzo cię kocha. Zawsze cię będzie kochał. - Julia musiała się bardzo starać, żeby zabrzmiało to przekonująco, choć od lat bez zająknięcia mówiła takie kłamstwa Merry. Kiedyś Julia wierzyła całym sercem, że Jeffrey stanie się kiedyś kochającym ojcem dla swojej córki. Teraz wiedziała już, że nie ma na to nadziei, ale postanowiła kłamać jeszcze przez jakiś czas, tak długo, aż zapanuje nad własnymi emocjami.

- To dlatego byłaś chora, prawda?

- Tak.

- Rozchorowałaś się ze smutku.

- Jesteś bardzo mądra, kochanie. - Julia uśmiechnęła się do niej czule. - Teraz jestem smutna, ale poradzę sobie z tym. Obie sobie poradzimy. Możemy o tym porozmawiać, kiedy tylko będziesz chciała, możesz mnie pytać o wszystko. Dobrze?

Merry kiwnęła głową. Będzie miała mnóstwo pytań. A właściwie jedno pytanie, które będzie jej się cisnęło na usta ciągle od nowa: Dlaczego?□

- A więc, kotku, jak udało się przyjęcie? Wszyscy są pewnie bardzo podekscytowani jutrzejszym rozpoczęciem nowego roku szkolnego? Jeśli chcesz, możemy tu zaprosić całą twoją klasę. 206

- Wolałabym posiedzieć tylko z tobą.

- Dobrze - odparła Julia cicho, z oczyma pełnymi łez. - Bardzo cię kocham, Merry.

- Ja też cię bardzo kocham, mamusiu. - Merry zarzuciła Julii ręce na szyję i mocno ją uściskała. Kiedy się odsunęła, Julia dostrzegła w jej brązowych oczach niepokój, sygnał, że Merry ma jakieś pytanie, ale nie jest pewna, czy może je zadać.

- O co chodzi, kochanie? - spytała.

- Czy będziemy jeszcze oglądać tatusia w telewizji?

- Oczywiście, jeśli tego chcesz.

- Myślę, że powinnyśmy, mamusiu - powiedziała Merry poważnie bo jestem pewna, że tatuś do nas wróci.

Niedzielę spędziły przy kominku, grając w karty, oglądając ulubione filmy, piekąc ciasteczka czekoladowe i rozmawiając. W poniedziałek rano, dwie godziny po tym, jak Merry wyszła do szkoły, Julia zapakowała najładniejsze ciastka do ręcznie malowanej cynowej puszki i pojechała do klubu.

Ponieważ zaczął się rok szkolny, a do tego ciągle mżyło, w stajniach było tak pusto, jak wtedy, kiedy Julia i Paige pierwszy raz spotkały Patricka. Julia dobrze знаła teraz to miejsce i bez trudu trafiła do biura Patricka. Patrick nie usłyszał jej kroków, bo tym razem miała na nogach tenisówki, a nie pantofle na wysokich obcasach.

- Patrick?

- Pani Lawrence! Witam. - Patrick wstał zza biurka z uśmiechem. Patrząc na Julię pomyślał, że wygląda trochę lepiej. Ciągle jest taka blada i krucha, ale chyba ma więcej sił.

- Chciałam ci tylko podziękować... Ale w ogóle to powinieneś mówić mi po imieniu.

Wywoła to ogólne zgorzenie w całym Southampton. Tego się po prostu nie robi. On jest służącym, a ona damą. Choć tak naprawdę nikt jej tu nie uważał za damę. Julia dobrze o tym wiedziała, ale wiedziała też, że nie po raz pierwszy stanie się przyczyną ogólnego zgorzenia. Jakże nie cierpiała tych wszystkich pretensjonalnych form!

- Dobrze. Wolisz, żebym mówił Julia czy Julie? - spytał Patrick, bo słyszał obie wersje jej imienia. Paige nazywała ją Julią, ale Patrick był pewny, że tamtej nocy podczas przyjęcia na cześć Casey Jeffrey mówił do niej Julie.

- Julia.

207

- Dobrze - zgodził się Patrick, choć bardziej mu się podobała ta druga wersja imienia.

- Dobrze, Julio.

- Przyszłam, żeby ci jeszcze raz podziękować i... - Julia urwała, bo nagle poczuła się zawstydzona swoim banalnym darem, który przyniosła w podzięcie za uratowanie jej życia.

- I co?

- Przyniosłam ci trochę ciasteczek czekoladowych.

- Dziękuję - powiedział Patrick, biorąc cynową puszkę. Był dziwnie wzruszony jej nieśmiałością. Nieśmiałością, która sprawiła, że natychmiast po spełnieniu swej misji Julia zaczęła się szybko cofać w stronę drzwi. - Może oboje zjemy po ciasteczku, Julio? I napijemy się kawy?

Julia zawahała się, wyraźnie skuszona propozycją.

Wiedziała, co ją czeka, kiedy opuści stajnię. Samotność w wielkim, pustym domu. Kiedyś w tej ciszy był spokój pełen oczekiwania, przerywany radosnymi dzwonekami telefonu - Cześć, Julie, co słychać? □ Kocham cię, Julie □ ale teraz ta cisza przypominała jej tylko o marzeniach, które już nigdy się nie spełnią.

Julia bała się powrotu do pustego domu, bała się też tego, co musiała jeszcze zrobić po drodze. Albowiem postanowiła wstąpić do Somerset i powiedzieć Paige - jeśli jeszcze ona nie wiedziała o tym - że Jeffrey ma romans z Dianą, jej bliską przyjaciółką.

- Nie, dziękuję, Patricku. Mam jeszcze coś do zrobienia. Chciałam ci tylko podziękować.

- Cieszę się, że akurat tam się znalazłem.

- Pewnie zobaczymy się jutro na lekcji Merry.

- Dobrze. Więc do zobaczenia jutro. Julio...

- Słucham.

- Gdybyś chciała kiedyś porozmawiać, zawsze mnie tu znajdziesz. Teraz, kiedy zaczęła się szkoła, mam dużo wolnego czasu.

W fiołkowych oczach Julii pojawiła się nieśmiała wdzięczność.

- Dziękuję, Patricku - wyszeptala cicho.

- Och, nie, Julio. To niemożliwe. Ty i Jeffrey...

- To koniec, Paige. Naprawdę nie wiedziałaś?

- Wiedziałam, że coś cię dręczy, ale nie miałam pojęcia, że chodzi o twoje małżeństwo.

- Nie wiedziałaś, że Jeffrey zakochał się w kimś innym? 208

- Nie, Julio. Skąd miałabym wiedzieć? Nie mogę w to zresztą uwierzyć.

- Sama zobaczysz, że to prawda. - Tak, cały świat to zobaczy. Jeffrey i Diana nie muszą się już ukrywać. Julia wstała gwałtownie, choć w domu czekał na nią tylko ból i samotność. - Muszę iść.

- Może przyszedłbyś do nas z Merry na kolację dziś wieczorem? Edmund pojechał w interesach do Bostonu. Posiedziałybyśmy sobie w czwórkę.

- Nie wiem, Paige. Zapytam Merry.

Merry nie chciała iść na kolację do Paige i Amandy. Wolała zostać z Julią i obejrzeć wieczorne wiadomości.

- Tatuś jest bardzo smutny, mamusiu - powiedziała Merry cicho, kiedy na ekranie telewizora pojawił się Jeffrey. - Jestem pewna, że za nami tęskni.

Dla Julii widok Jeffrey'a był męką. A więc jest teraz na Manhattanie, zaledwie sto kilometrów od Belvédère, ale nie należy już do niej. Julia nie wiedziała, czy jego ciemnoniebieskie oczy wyrażają smutek, ale musiała zgodzić się z Merry, że Jeffrey wygląda tego wieczora jakoś inaczej. Może zresztą tylko tak się jej wydawało, bo patrzyła na niego przez łzy.

Jest inny. Kocha już kogoś innego, chociaż ona ciągle kocha go całym swoim sercem.

#& W szystko w porządku, Jeffrey?

- Oczywiście. - Jeffrey podniósł wzrok znad notatek, które przygotowywał do swojego wystąpienia w czwartkowych wieczornych wiadomościach, i spojrzął na producenta. - Dlaczego pytasz?

- Widzowie niepokoją się o ciebie.

- Naprawdę? - Czy jego cierpienie jest aż tak widoczne? Czy obnosi się ze swoim bólem? On, znany ze swojego obiektywizmu, dzięki któremu nawet jego polityczne przekonania i osobisty stosunek do omawianych spraw pozostawały zawsze dla wszystkich tajemnicą? On, doświadczony, bezstronny dziennikarz. - A co mówią widzowie?

209 4 - Melodie miłości

- ę jesteś czymś przygnębiony. W zeszłym tygodniu, kiedy byłeś w Londynie, wyglądało to na zmęczenie pracą. Ale teraz... Martwią się o ciebie.

Wiele osób dzwoniło i pisało do telewizji, wyrażając troskę o lubianego powszechnie dziennikarza. Zmiana, która w nim zaszła, była wyraźnie zauważalna, choć nikt nie potrafił określić, na czym właściwie polegała. Jakby nagle czegoś mu zabrakło.

A tym czymś była Julia... Stracił poczucie, że kocha i jest kochany.

Nie ma już Julii i brak mu tamtej radosnej pewności siebie. Przedtem ta radość, płynąca prosto z serca, była widoczna w oczach Jeffreya, w wyrazie jego twarzy. Tak było, kiedy w jego sercu mieszkała Julia. A teraz Julii nie było, w oczach Jeffreya nie lśniły już radosne isierki, a jego głos utracił całe swe ciepło.

Jeffrey czuł się pusty, wypalony, przegrany, ale wierzył, że dobrze to ukrywa. Najwyraźniej się jednak mylił.

Widzowie zauważyli, że z ich ulubionym dziennikarzem dzieje się coś dziwnego i pisali do telewizji w nadziei, że dowiedzą się, co jest przyczyną jego przygnębienia. Producent i reszta ekipy również zauważyli, że Jeffrey się zmienił. I łatwo się domyślili, o co tu chodzi.

- Jeffrey, od tygodnia nie pokazujemy twoich rąk.

- Moich rąk?

- Ze względu na obrączkę.

- Chcesz powiedzieć, że widzowie zauważyliby brak obrączki na moim palcu?

- Natychmiast.

Jeffrey westchnął. Widzowie zauważyli jego przygnębienie, w studio dostrzeżono brak ślubnej obrączki na jego ręce. Koledzy z pracy chcieli dać mu czas, żeby zebrał siły na tę chwilę, kiedy rozejdzie się wiadomość o rozpadzie jego małżeństwa.

- Może wezmę tydzień urlopu.

- Czemu nie? Niedawno musiałeś zrezygnować z wakacji. John na pewno cię chętnie zastąpi.

Po programie Jeffrey wykręcił numer, po którym usłyszał najpierw znajomy sygnał centrali w Southampton. Tym razem nie dzwonił do Belvédère, lecz do sąsiedniej posiadłości.

- Edmund? Mówi Jeffrey.

- Witaj.

- Rozmawiałeś może z Julią? 2ą0

- Tak. Oboje z nią rozmawialiśmy.

- A więc już wiesz?

- Tak. Strasznie nam przykro.

- Mnie też. Czy Julia wyjaśniła wam, co jest tego przyczyną?

- Powiedziała, że jest ktoś inny.

- Tak - Jeffrey nie spytał, czy Edmund wie, kto jest nową miłością Julii. To nie miało już znaczenia. Ważne było jedynie, że Julia zdecydowała się poinformować o swojej decyzji Paige i Edmunda. Znaczyło to, że nie miała wątpliwości co do słuszności podjętej decyzji. - Czy Julia poprosiła cię, żebyś wystąpił w jej imieniu o rozwód?

- Nie - odparł Edmund zgodnie z prawdą. Julia nie poprosiła go o to, ale ponieważ nalegał, zgodziła się omówić z nim tę kwestię. Edmundowi zależało, żeby Julia uniknęła przedwczesnego ujawnienia swojego rozwodu i związanej z tym sensacji, co stało się niestety udziałem Chase'a i Diany. Tylko dlatego, że prawnik, który się tym zajmował, nie wykazał się dostateczną wrażliwością i delikatnością. Sam rozwód będzie dla Julii bardzo

bolesny. Edmund chciał jej oszczędzić dodatkowych cierpień. - Julia nie prosiła mnie, żebym wystąpił o rozwód w jej imieniu. Czy ty masz zamiar mnie o to prosić?

- Och, nie. Ja na pewno nie wystąpię o rozwód.

- Rozumiem.

Edmund pomyślał, że być może do rozwodu w ogóle nie dojdzie, ponieważ Julia powiedziała dokładnie to samo.

W sobotę rano Jeffrey wsiadł w Nowym Jorku do concorda i poleciał do Paryża. Na lotnisku Charles'a de Gaulle'a przesiadł się na samolot linii Alitalia, którym dotarł bezpośrednio do portu lotniczego Marco Polo - Tessera pod Wenecją.

W Wenecji, w luksusowym hotelu Cipriani, mieszkała teraz Diana. Nazajutrz, o ile Jeffrey dobrze zapamiętał, miała rozpocząć rejs po wyspach greckich.

Jeffrey, płynąc na wyspę Giudecca do wspaniałego hotelu, zastanawiał się, co właściwie tutaj robi. Poleciał na inny kontynent tylko po to, żeby spytać Dianę, czy zje z nim kolację.

A jeśli ona ma już inne plany? Jeśli poznała kogoś, albo chce w spokoju i samotności kontynuować podróż we własną przeszłość?

Jeffrey wierzył, że jeśli tak jest, Diana będzie wobec niego szczerą.

2ąą

- Si, signore - odparł recepcjonista, kiedy Jeffrey zapytał go, czy w hotelu mieszka pani Sheperd.

- Czy mógłby pan do niej zadzwonić? - spytał Jeffrey wskazując na złoty aparat telefoniczny, stojący na marmurowym blacie.

- Certo.

Diany nie było jednak w jej apartamencie. Nie było jej też godzinę później, kiedy Jeffrey rozpakował już swoje rzeczy, wziął prysznic i znowu spróbował się z nią skontaktować. Odświeżony, postanowił przejść się po Wenecji. Zarezerwował w hotelowej restauracji stolik dla dwóch osób i zostawił w recepcji liścik o następującej

treści: Diano, czy widzisz kolację dziś o ósmej, czy za tydzień na Manhattanie? Jeffrey□

Z hotelu udał się na Piazza San Marco. Nie wszedł jednak na słynną kampanię, nie zwiedził Pałacu Dożów, nie oglądał bizantyjskich mozaiek. Bywał już przedtem w Wenecji i wiele razy miał okazję zachwycać się jej cudami - zawsze żałując, że nie ma z nim Julii.

Dziś postanowił więc po prostu powłóczyć się trochę po krętych uliczkach i pełnych wdzięku mostkach, typowych dla Miasta Kanałów. Nie miał ze sobą mapy, ale bez wahania wybrał drogę, jakby zmierzając do jednego z góry określonego punktu. A przecież szedł przed siebie bez celu, kierując się po prostu tam, gdzie coś go zafrapowało - jakiś uroczy mostek, tajemnicza sylwetka maskarona na dachu odległego budynku, pełna wdzięku rzeźba Verocchio albo zapach świeżej pizzy dolatujący z pizzerii. W końcu ten spacer, na którym ulegał wyłącznie swoim kaprysom, nieoczekiwanie przywiódł go do Diany.

Siedząc przy jednym z kilku wystawionych na chodnik stolików malutkiej kafejki, z daleka od tłumów turystów biegających po San Marco i nad Canale Grande, Diana piła cappuccino, przyglądając się brązowej fontannie, ozdobionej postaciami syren.

Jeffrey zwolnił kroku. Przyjechał tu, bo jej potrzebował, bo jej zaufał, bo chciał znowu spojrzeć w jej szafirowe oczy i usłyszeć jej szczere słowa.

Ale w ten sposób zakłóci jej prywatność.

Diana uśmiechnęła się ciepło na jego widok. Ciepło i trochę smutno, bo natychmiast dostrzegła pustkę w jego niebieskich oczach i brak obrączki na jego ręce. Ale w jej uśmiechu kryła się też radość, bo Diana ucieszyła się na jego widok. Tęskniła za nim.

- Cześć.

- Cześć. Przyleciałem tu, żeby życzyć ci szczęśliwej podróży. 2a2

- Wyglądasz przepięknie, Diano.

- To zasługa tych świec.

- Nie, coś więcej.

- Może masz rację. Czuję się dużo lepiej. Dzięki tobie. - Powierzyła mu swe bolesne tajemnice, o których nigdy dotąd nie mówiła i czuła się teraz naprawdę dużo lepiej. - Nie wiem, czy miałabym w sobie teraz tyle siły i nadziei, gdybym nie rozmawiała z tobą w Londynie.

- Z pewnością poradziłabyś sobie sama.

- Nie sądzę. - Spojrzała na niego uważnie. - A co się tobie stało?

- Kiedy zadzwoniłem do Julii, powiedziała mi, że nasze małżeństwo się skończyło. Ma kogoś innego. Nie wiem, kto to jest.

- Bardzo ci współczuję.

- Niestety, to już koniec.

- Nie powiesz mi nic więcej?

- Nie. Nie przyjechałem tu, żeby zanudzać cię swoimi sprawami. Urwał na moment. Sam dobrze nie wiedział, po co właściwie przyjechał. Tak czy owak nie chciał rozmawiać o Julii.

O północy, kiedy odprowadził ją do jej pokoju i pocałował, nie odsunęła się tak, jak wtedy, w Londynie. Przeciwnie, zaprosiła go do swojego eleganckiego apartamentu. Bo przecież właśnie zaczęło się jej nowe życie.

Diana zadrżała pod dotykiem jego rąk, ale także dlatego, że nagle ogarnął ją lęk. Czy jest na to gotowa? A Jeffrey dopiero co został tak strasznie zraniony i jest teraz zupełnie bezbronny.

Ale oboje są tacy samotni.

Jeffrey ujął w dłonie piękną twarz Diany i spojrzał w jej oczy wzrokiem, który przypominał jej, jak szczególnie więź ich łączy, jak uczciwi byli zawsze wobec siebie nawzajem, jak bardzo sobie ufali.

- O czym myślisz, Diano?

- O tym, że oboje jesteśmy bardzo samotni.

- I o czym jeszcze?

- ě to będzie straszna katastrofa.

- Naprawdę?

- Zna się pan na seksie, panie redaktorze? - spytała uwodzicielsko, uśmiechając się figlarnie i zmieniając ton rozmowy.

W ciemnych oczach Jeffreya błysnęła iskierka rozbawienia i pożądania.

- Chciałaby to pani zbadać, pani doktor?

Zął

- Tak.

Powoli, delikatnie zaczęli odkrywać nawzajem tajemnicę swoich ciał. Uśmiechali się do siebie czule, szeptali i żartowali, by pokryć zmieszanie i lęk, by dodać sobie odwagi, by cieszyć się każdą chwilą.

- Wiesz, że jesteś bardzo piękna?

- Nie wiem. Ale dziękuję za komplement. A ty jesteś bardzo przystojny. Z pewnością wiesz o tym.

- Nie mam pojęcia.

Wkrótce spowaźnieli, bo zaczęła ich ogarniać gorączka pożądania. Kochali się spontanicznie, radośnie.

Kiedy Jeffrey szeptał: Jesteś taka piękna, Diana, nie miał na myśli jej zmysłowego ciała, jej szafirowych oczu, jej miękkich ust. W ten sposób dawał wyraz temu, co jego serce czuło do jej serca.

- Wiesz co? Możesz czuć się zaproszony.

- Zaproszony?

- Na rejs po Morzu Śródziemnym, razem ze mną.

- Naprawdę chciałem ci tylko życzyć szczęśliwej podróży.

- I zrobiłeś to wspaniale... Wiem jednak, że wolisz być teraz sam, więc...

- Przyjmuję twoje zaproszenie z wdzięcznością.

- Naprawdę? Tak się cieszę!

- Mogę pani w czymś pomóc?

- Szukam Patricka.

- Prawdopodobnie znajdzie go pani za tymi zielonymi drzwiami.

- Dziękuję.

Julia poszła kamiennym chodnikiem między stajniami i wkrótce zobaczyła ciemnozielone drzwi. Zapukała.

- Otwarte!

Kiedy Julia pchnęła drzwi, zrozumiała, że to mieszkanie Patricka.

- Julia? - Patrick był równie zaskoczony jak ona. Sądził, że to puka któryś z jego współpracowników. - Wejdz, proszę.

Mieszkanie było małe i nie miało okien. Z korytarza wchodziło się wprost do niewielkiego salonu, połączonego z aneksem kuchennym. Oddzielnie znajdowała się łazienka i sypialnia.

Pozbawione okien mieszkanie byłoby ciemne i ponure, gdyby nie to, że zostało zmienione w pracownię malarza, zastawioną kolorowymi 244 kubkami pełnymi ołówków i pędzli, obrazami olejnymi, szkicami i akwarelami.

Patrick zdjął z kanapy wilgotny jeszcze obraz i uprzejmym gestem zaprosił Julię, żeby usiadła. Jednakże ona stała zmieszana przy drzwiach, czując nagle onieśmienie.

- Jak się czujesz? - spytał Patrick. Nie widział jej od ponad dwóch tygodni, od dnia, kiedy przyniosła mu czekoladowe ciasteczka. We wtorek zadzwoniła Paige i powiedziała, że dziewczynki nie będą przychodzić już na lekcje.

- Dobrze, dziękuję.

- Napijesz się kawy?

- Jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

- Najmniejszego. Z mlekiem? Z cukrem?

- Proszę trochę mleka.

Podczas gdy Patrick przygotowywał kawę na wyłożonym linoleum blacie

oddzielającym kuchnię od saloniku, Julia oglądała obrazy.

- Wspaniale malujesz, Patricku.

- Dziękuję. Oto twoja kawa.

- Sprzedajesz swoje dzieła?

- Nie.

- Co więc z nimi robisz?

- Kiedy zaczyna mi brakować miejsca, wyrzucam najstarsze albo zamalowuję.

Patrick nie przywiązywał się do przedmiotów od czasu, gdy musiał wszystko zostawić w domku ogrodnika w Kentucky. Zresztą w ciągu ostatnich pięciu lat nie zdarzyło się nic, o czym chciałby pamiętać. Z jednym wyjątkiem. Na sztalugach rozstawionych w sypialni stał portret, nad którym Patrick pracował od pewnego czasu. Musiał go namalować, choć to jedno jedyne wspomnienie, które chciał zachować, było najboleśniej ze wszystkich.

- Dlaczego malujesz?

- To mnie uspokaja.

Julia uśmiechnęła się smutno ze zrozumieniem, jakby i ona straciła spokój ducha i nie potrafiła go już odzyskać.

- Czy mógłbyś namalować smoka?

- Smoka? - spytał Patrick, patrząc w jej poważne fioletowe oczy. A jakiego ma być koloru?

- Zmienia kolor zależnie od nastroju. - Na białe policzki Julii wypłynął uroczy rumieniec. - Smoczyca Daphne, niezwykle przyjazna i łagodna, jest bohaterką ulubionych opowiadań Merry. Zapłaciłabym ci, oczywiście, gdybyś ją namalował.

2ą5

- To nie byłoby konieczne. Chciałabyś, żebyś zrobił powiększenie ilustracji z książki?

- Nie... nie ma żadnych ilustracji, są tylko opisy. Chciałabym ci jednak zapłacić.

- Tylko ciasteczkami czekoladowymi. - Patrick podniósł rękę, bo Julia już chciała zaprotestować. - Mówię poważnie.

- Zgoda.

- W takim razie muszę coś najpierw przeczytać o Daphne.

- Przyniosę ci jutro jedną z tych historii. Dobrze?

- Zgoda.

Julia wyszła cicho, nie tknąwszy nawet swojej kawy. Nie usiadła na kanapie, nie powiedziała mu też, po co właściwie przyszła.

Przecież nie dlatego, że jestem malarzem. Miała jakiś inny powód. Może chciała porozmawiać? Patrick miał nadzieję, że o to chodziło, że Julia pamiętała o jego propozycji i postanowiła z niej skorzystać. Potrzebuje rozmowy, ale jest taka nieufna, płochliwa jak ptak.

Patrick wiedział, że zdobycie jej zaufania może zająć mu bardzo dużo czasu. Zrobi jednak wszystko, by Julia przestała się bać.

- Proszę, oto opis Daphne - powiedziała Julia następnego ranka. Otworzyła swoje pierwsze opowiadanie o Daphne na stronie czwartej. Tekst został wydrukowany dużą, pogrubioną czcionką. Ma być napisane tak wyraźnie, żebym mogła czytać te historie mojej wnuczce, powiedziała grandmère, kiedy kupiła dla Julii komputer, drukarkę i ryzę różowego papieru.

Patrick nie potrafił skupić się na tekście, ponieważ Julia patrzyła na niego z napięciem, a poza tym miał mnóstwo pytań.

- Co to właściwie jest, Julio?

- Opowiadanie.

- Skąd je wzięłaś?

- Sama napisałam. To jedno z ulubionych opowiadań Merry, a Daphne jest jej dobrą, starą przyjaciółką.

Julia pamiętała ze smutkiem, że Merry potrzebuje teraz swoich starych przyjaciół -

łagodnych smoków, wesołych węży, cudownych jednoroźców, księżniczek z bajki.

- Czy mogłabyś zostawić mi to opowiadanie do jutra, Julio? Chyba powinienem przeczytać je całe. 2a6

Kiedy Julia wróciła o godzinie dziesiątej rano następnego dnia, Patrick kończył już szkic Daphne. Przeczytał fantastyczne opowiadanie Julii nie raz, ale kilka razy, i dowiedział się wiele o Daphne i jej przyjaciółach. Potem poszedł na długi spacer, podczas którego rozmyślał nad wizją baśniowego świata Daphne.

Wrócił do domu po północy i od razu zaczął przenosić na papier swoją wizję łagodnej, nieśmiałej smoczyicy.

- Świetnie, Patricku! Tak właśnie wyobrażałam sobie Daphne.

- Ponieważ wygląda tu na zadowoloną, dałam jej kolor jasnożółty. Zaraz skończę. Nalej sobie kawy i przysuń krzesło.

- Nie będzie ci przeszkadzało, że się przyglądam?

- Ani trochę - powiedział Patrick stanowczo. Nie chciał, żeby odeszła.

Julia Lawrence, ten delikatny, nieśmiały wróbelek, siedziała cicho i niemal bez ruchu. On malował, a ona się przyglądała. W końcu Patrick przerwał pełną skupienia ciszę.

- Może chciałabyś, żebym zrobił ilustracje do całego opowiadania? Mam już pewną wizję Roberta, Andrew i Cecily, i zamku. Oczywiście mogę się mylić...

- Nie pomyliłaś się co do Daphne.

- Cieszę się. Więc moglibyśmy pracować razem. Mówiłabyś mi, czy podobają ci się moje rysunki, czy wydają ci się trafione.

- Ale to tyle pracy!

- Mówiłem już, że malowanie mnie uspokaja. A twoje opowiadanie bardzo mi się podoba. Napisałaś więcej takich historii?

- Całe mnóstwo.

- Chciałbym przeczytać je wszystkie. Jutro, kiedy przyjdiesz, przynieś znowu kilka.

Kiedy już zrobię ilustracje do tej historii, a ty je zaakceptujesz, mógłbym zająć się innymi.

- Och, Patricku, Merry będzie zachwycona!

- A co słyhać u Merry, Julio? Dobrze się czuje?

Julia zawahała się i westchnęła. Merry nie czuła się dobrze. Straciła nadzieję, że tata wróci wkrótce do domu, i pogrążyła się w cichej rozpacz. W wieczornych wiadomościach pojawił się inny prezenter, ponieważ Jeffrey udał się na zasłużony urlop. A przecież obiecywał, że pojedą razem na wakacje.

- To trudny czas dla Merry, Patricku. Jeffrey i ja nie jesteśmy już razem.

- Trudny czas dla was obu.

- Tak.

2ą7

E dmund?

- O, witaj, Casey. Wejdz, proszę.

Stąpając bezgłośnie po grubym dywanie, Casey podeszła do biurka, przy którym pracował Edmund.

- Proszę, to materiały do sprawy Wrighta.

Casey położyła grubą teczkę na biurku.

- Wrighta? Dostałaś tę sprawę zaledwie w piątek po południu.

- Nie jest zbyt skomplikowana. Łatwo było znaleźć kilka precedensów.

- Musiałaś chyba pracować nad tym cały weekend. - Edmund uśmiechnął się ciepło do najjaśniejszej z młodych gwiazd na firmamencie nowojorskiej palestry. - Doceniam twoją pracę, Casey, ale pamiętaj, że powinnaś też czasem spać, a nawet pójść do kina.

- Wiem. - Casey też się do niego uśmiechnęła. Chciała, żeby był to jej dawny, olśniewający, pewny siebie uśmiech, ale dawna Casey musi dopiero wrócić. Gdzie też się teraz podziewa, kiedy tak jest tu potrzebna? Gdzie jest Casey, która lubiła ryzykowne gry i zawsze wygrywała? Co stało się z tą zdolną aktorką, która zawsze grała rolę zwycięzcy? Z Casey o sercu z kamienia? Jej zdolności i wiedza nie zawiodły, bo należały do obu

Casey, i choć wyniki egzaminu zostały ujawnione dopiero tydzień temu, uchodziła za najcenniejszy nabytek firmy Spencer i Quinn. Znowu była zawsze zwycięska, bardzo zajęta i... okropnie nieszczęśliwa.

- Wszystko w porządku, Casey?

- Jak najbardziej. Lubię, kiedy mam co robić.

Kiedy mniej pracowała, odczuwała taką pustkę, jakiej już nigdy nie chciałyby doświadczyć.

- To dobrze - Edmund nie był całkiem przekonany, że Casey dobrze się czuje, choć odnosiła sukcesy wykraczające daleko poza jego najśmielsze oczekiwania. Wyglądała na spiętą i zmęczoną, ale może to u niej normalne. Edmund i Paige, którzy zawsze wierzyli, że potrafią wczuć się w sytuację innych, zachodzili ostatnio w głowę, jak to możliwe, że nie zauważyli zawczasu żadnych symptomów rozpadu małżeństw swoich najbliższych przyjaciół, uważając, że są to zgodne, kochające się pary. Nie przewidzieli nadciągającej katastrofy. Szczególnie bulwersowało ich nieoczekiwane odejście Jeffreya od żony i córki. Edmund przypomniał sobie, że Julia i Casey znały się ze szkoły. 2a8

- Rozmawiałaś ostatnio z Julią, Casey?

- Z Julią? Nie.

- My też nie. Od kilku tygodni. Julia zupełnie się od nas odsunęła. Nawet Merry i Amanda widują się teraz tylko w szkole.

- Edmundzie, tak mi przykro, ale... Czy coś złego przytrafiło się Julii?

- Widzę, że cały czas poświęcasz pracy.

Trzeba było się naprawdę bardzo starać, żeby nie wiedzieć nic o rozstaniu Jeffreya i Julii Lawrence i romansie Jeffreya i Diany Sheperd. Tylko ktoś, kto nie miał ani chwili czasu na czytanie rubryk towarzyskich w gazetach i kolorowych magazynów, ani na oglądanie telewizji, zwłaszcza takich programów, jak kronika towarzyska Manhattanu, Przegląd Viveki czy Świat dziś wieczorem mógł o tym jeszcze nie wiedzieć, bo nawet najmniej spostrzegawczy widzowie zdążyli już zauważyć śródziemnomorską opaleniznę

na dłoni Jeffreya, tam, gdzie kiedyś nosił złotą, ślubną obrączkę. Sławny prezenter wiadomości zawsze był bardzo popularny, a romans z piękną Królową Serc jeszcze zwiększył zainteresowanie jego osobą. Jeffrey i Diana unikali rozgłosu, ale parę razy pokazali się razem na przyjęciach dobroczynnych, a w zeszłym tygodniu najnowsza para Manhattanu pojawiła się na dorocznym balu na rzecz Instytutu Kardiologii.

Wszyscy wiedzieli już o Jeffreyu i Dianie - wszyscy, z wyjątkiem Casey. Jej wysiłek, by koncentrować się tylko i wyłącznie na pracy, najwyraźniej przyniósł pożądane efekty.

- Jeffrey i Julia rozstali się - sprecyzował Edmund.

- Co?

- Najwyraźniej Jeffrey zakochał się w Dianie Sheperd.

- Ale przecież nie widział świata poza Julią!

- Nam też się tak wydawało.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- A jednak to prawda - powiedział Edmund z westchnieniem. - Julia jest zdruzgotana

- dodał cicho.

- Chcą się rozwieść?

- Oboje zdają się ku temu skłaniać, choć żadne nie złożyło pozwu.

- Znosi się na wojnę?

- Nie sądzę. Belvédère już należy do Julii, więc pozostaje tylko kwestia podziału reszty majątku, opieki nad dzieckiem i alimentów.

- Belvédère należy do Julii? - zdumiała się Casey.

- Tak. Babka Jeffreya zapisała jej tę posiadłość w spadku. - Edmund westchnął ciężko. - Mam nadzieję, że nie dojdzie do rozwodu.

2a9 Jeśli jednak stanie się inaczej, ta sprawa będzie wymagała szczególnej delikatności i dyskrecji. Musi się nią zająć ktoś, kto zna Julię, lubi ją i szanuje i robi wszystko, by oszczędzić jej dalszych cierpień.

Wracając do swojego biura, Casey zatrzymała się na widok czekającego na nią

mężczyzny.

- Pan Tyler! - powiedziała spokojnie, choć serce zabiło jej mocniej. John Tyler był prywatnym detektywem, z którego usług firma Spencer i Quinn korzystała dość często. Casey miała już z nim do czynienia przy kilku sprawach, ale wiedziała, że dziś przyszedł do niej w związku z czymś, za co będzie musiała zapłacić mu z własnej kieszeni. - Proszę wejść.

Tydzień wcześniej poleciła mu, żeby dowiedział się wszystkiego o jakimś Patricku Jamesie.

John Tyler przewidywał, że zajmie mu to około tygodnia.

- Nic dla pani nie mam - powiedział detektyw, kiedy już weszli do biura i zamknęli za sobą drzwi.

- Nie rozumiem. Nie znalazł pan żadnego sposobu, żeby porozmawiać na temat tego człowieka z kierownikiem klubu, nie zdradzając swoich intencji?

To był podstawowy warunek - nikt nie mógł znać prawdziwego powodu nagłego zainteresowania Patrickiem Jamesem.

- Oczywiście, że mogłem. Wystarczył jeden telefon. Powiedziałem, że chciałbym sprawdzić informacje, przedstawione przez Patricka Jamesa we wniosku o przyznanie mu kredytu. Kiedy zacząłem dyktować numer książeczki ubezpieczeniowej, rzekomo przez niego podany - nawiasem mówiąc, mój własny - dowiedziałem się od razu, że oni nie znają jego numeru. Nie jest tam zatrudniony. Płacą mu za wykonane usługi. Wygląda na to, że bardzo mało. Jego roczny dochód nie przekracza pewnie nawet granicy ubóstwa. Zapytałem o jego poprzednich pracodawców, tłumacząc, że przecież muszę sprawdzić to, co mi powiedział, ale dowiedziałem się, że nie przedstawił żadnych referencji.

- Sprawdzał pan inne źródła?

- Oczywiście, ale niczego nie znalazłem. To zapewne zmyślone nazwisko. Ten człowiek się ukrywa, panno English. Niewykluczone, że już od dłuższego czasu.

- Ukrywa się?

- To chyba jedyne wytłumaczenie.

- I to wszystko? Nic więcej nie może pan zrobić? 220

- Mogę, ale najpierw chciałem porozumieć się z panią. Kierownik powiedział, że ten Patrick dorabia sobie trochę jako barman. Mam smoking, który wkładam czasem, kiedy mam do wykonania szczególnie delikatne zadanie. Mogę wpaść na chwilę na jakieś przyjęcie, gdy Patrick będzie stał za barem, i bez problemu zdobyć bardzo wyraźne odciski jego palców na kryształowej szklance do whisky.

- Odciski palców?

- Identyfikacja potrwa jakiś czas. Chociaż ostatnio udało się umieścić odciski palców większości poszukiwanych przestępców w scentralizowanym systemie komputerowym, więc jeśli niedawno popełnił jakieś przestępstwo, szczęście może się do nas uśmiechnąć.

- Przestępstwo?

- Cóż, być może zdjęli mu odciski palców tak jak pani, jeśli pracował w którejś z prokuratur okręgowych. Ale zgodzi się pani, że to chyba mało prawdopodobne.

- Muszę to wszystko przemyśleć - mruknęła Casey, choć wiedziała, że nie ma się nad czym zastanawiać. Patrick nie był przestępcą!

- Jasne. Wie pani, jak się ze mną skontaktować.

Kiedy John Tyler wyszedł, Casey zaczęła rozmyślać o tym, czego się dowiedziała. Nigdy nie uwierzy, że jej miłość była iluzją! To niemożliwe! Okrucieństwo Patricka tamtego ranka koło stajni było takie sztuczne, rozpaczliwe.

Im dłużej Casey o tym myślała, tym większej nabierała pewności, że Patrick zerwał z nią z powodu czegoś, o czym chciał jej powiedzieć na kolacji, do której nigdy nie doszło. Wiedziała, że dręczyło go to, zanim jeszcze dowiedział się prawdy o niej.

Casey chciała poznać tę tajemnicę. Pójdzie do niego i powie, że go kocha, a to, co przed nią ukrywał, nie ma dla niej żadnego znaczenia. Teraz nie dowie się już, co jest jego sekretem, chyba że on sam jej powie. Ale pójdzie do niego, bo musi to zrobić, i powie mu o swojej miłości.

Pojedzie do Southampton i porozmawia z Patrickiem. A potem, kiedy już znowu będą razem, w drodze powrotnej wstąpi do Belvédère, do Julii, i zapyta, czy mogłaby jej w czymś pomóc.

- Wtedy nad morzem chyba chciałam utonąć, Patricku.

Trzymająca pędzel dłoń Patricka na moment znieruchomiała w powietrzu. Nagłe wyznanie Julii zupełnie go zaskoczyło. Zmusił się jednak do malowania, nie chcąc jej spłoszyć swoją przesadną uwagą.

22ą

Julia przychodziła do jego maleńkiego mieszkanca prawie codziennie od trzech tygodni. Patrzyła, jak maluje on postacie z jej opowiadań i opowiadała mu trochę o sobie. Były to tylko suche fakty, wyprane z emocji, ale Patrick usłyszał dość, by dostrzec, jak bardzo ich życiorysy są do siebie podobne.

Oboje byli sierotami. Wychowywali się sami, sami musieli o siebie dbać. Patrick przetrwał długie lata swojego ciężkiego dzieciństwa, wypełniając szary, betonowy świat barwnymi wizjami, Julia - wymyślając zaczarowane królestwa pełne przyjaznych smoków i łagodnych węży. Fantazje te pomogły im przeżyć, kiedy byli dziećmi. Dlatego też, kiedy już dorosli, nadal wierzyli, że ich marzenie może się spełnić.

Jednak jako uciekinierzy ze świata nędzy i beznadziei byli intruzami w świecie bogatych szczęśliwców. I choć oboje byli już bardzo blisko spełnienia swoich marzeń, w końcu ponieśli klęskę. Biedne, niekochane sieroty, które ośmieliły się sięgnąć po gwiazdkę z nieba, boleśnie poparzyły sobie palce.

To, co Julia opowiedziała Patrickowi o sobie, było zaledwie ogólnikowym szkicem, ale jej milczenie i wyraz fiołkowych oczu świadczyły wystarczająco wymownie o głębokim smutku, jakiego doświadczyła. Teraz jednak ten płochliwy ptak otworzył przed nim swoje serce.

- Chciałaś utonąć, Julio? - powtórzył Patrick, nie odrywając wzroku od obrazu.

- Tak. Myślę, że w pewnym sensie tak byłoby lepiej.

- Dla kogo?

- Dla Merry.

- Na pewno nie byłoby dla niej lepiej, Julio. - Patrick odłożył pędzel i odwrócił się do niej. Zaczekał, aż podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. - Ani dla mnie.

Julia zarumieniała się lekko.

- Dziękuję ci, Patricku.

- Musiałaś wtedy bardzo się starać, żeby nie wpaść do wody. Coś sprawiło, że oparłaś się sile wiatru i oceanu.

- Być może.

- Myślę, że kochasz Merry zbyt mocno, by ją porzucić. - Patrick zawahał się i dodał:

- A może masz też nadzieję, że Jeffrey do was wróci.

- To nigdy się nie stanie.

- Nie?

- Nie. - Julia odważnie spojrzała mu w oczy. - Kochałeś kiedyś kogoś?

- Tak, raz. Ale kobieta, którą pokochałem, nie była taka, za jaką ją uważałem. 222

- Myślę, że mnie przytrafiło się to samo.

- Ale ty ciągle go kochasz, prawda, Julio? Mimo tego, co zrobił.

- Tak. - Julia spuściła głowę. - A ty? Też ciągle ją kochasz, Patricku? - spytała cicho.

- Tak. Kocham.

Casey postawiła swojego mercedesa na parkingu dla gości klubu. Znała drogę do stajni przez las, bo szła nią tamtego ranka po przyjęciu, a teraz otrzymała dodatkowe wskazówki od ogrodnika. Kiedy znalazła się na wyłożonym kamieniami dziedzińcu, jeden ze stajennych wskazał jej drzwi mieszkania Patricka.

Casey już miała zapukać, kiedy usłyszała głosy za zielonymi drzwiami - głos Patricka i inny, wyższy, bardziej miękki. Cofnęła się szybko, stanęła w bramie do stajni i czekała. Jechała do Southampton z bijącym mocno sercem, pełna nadziei i radości, teraz jednak ogarnęło ją złe przeczucie.

Patrick znalazł sobie kogoś innego.

Casey postanowiła jednak przypomnieć mu o ich cudownej miłości. Kimkolwiek jest ta kobieta.

Ale tą kobietą była Julia. Odwieczny wróg Casey. Julia... i Patrick.

Czy Jeffrey odszedł od Julii? A może to ona się go pozbyła, bo znalazła kogoś, na kim zależało jej bardziej?

Wczoraj, kiedy Casey dowiedziała się o rozpadzie małżeństwa Julii, poczuła, że szczyrze jej współczuje z powodu utraty ukochanego człowieka.

Ale Julia niczego nie utraciła.

Przeciwnie, zwyciężyła. Jak zwykle dostała to, czego chciała.

Ze wszystkich rzeczy, które Julia jej odebrała, liczyła się teraz tylko miłość Patricka.

- Zobaczymy się jutro, Julio. - Patrick mówił te słowa codziennie, ale tego dnia miały one głębsze niż zazwyczaj znaczenie, była w nich obietnica przyjaźni i wzajemnego zaufania, pod które dziś położyli podwaliny.

- Tak, Patricku - odparła Julia cicho - Do jutra.

Casey słyszała to pożegnanie. Widziała bladoróżowy rumieniec na policzkach Julii i jej niewinne, a zarazem tak uwodzicielskie spojrzenie, kiedy patrzyła na Patricka.

Czy Patrick i Julia kładą się razem na czarodziejskiej łące nad półwyspem? W gruncie rzeczy łąka należy do Julii, jest jednym z uroczych zakątków jej posiadłości. Patrick i Casey kochali się na kwitnącej, pełnej fiołków łące, ale byli tam intruzami.

221

A teraz Patrick chodzi na łąkę z jej prawowitą właścicielką.

Cóż pozostało Casey po jej wielkiej miłości? Tylko zazdrość, gniew, poczucie klęski. Tylko te złe, niskie uczucia, które po raz pierwszy doszły do głosu dziesięć lat temu, również z powodu Julii. Nabrała wtedy pewności, którą odczuwała także w tej chwili, że albo wygra, albo umrze w męczarniach.

Skoro tylko Julia zniknęła za rogiem, Casey wyszła ze stajni.

- Witaj, Patricku.

- Casey! - Serce Patricka drgnęło, zawierając w tym jednym słowie całe pragnienie i tęsknotę, jaką odczuwał, ale rozsądek nakazywał mu mieć się na baczności. - Witaj.

- Próbowałam się dowiedzieć, kim jesteś.

- Wiesz, kim jestem.

- Wiem tylko, że Patrick James nie istnieje. Dlaczego ukrywasz się za wymyślonym nazwiskiem? Czy to z powodu długiej listy dam z towarzystwa i ich żądnych zemsty małżonków?

- Daj spokój, Casey.

Casey, patrząc na mężczyznę, którego kochała tak, jak nikogo przedtem, pomyślała, że wybaczyłaby mu wszystko, absolutnie wszystko, gdyby tylko i on ją kochał.

Ale Patrick jej nie kochał, bo spotkał kogoś lepszego.

Kogoś lepszego, najlepszego... Julię.

- Mam nadzieję, że twój sekret zniszczy ci życie - szepnęła Casey zimno. Było to życzenie zrodzone ze starej, ale wiecznie żywej nienawiści do Julii i całkiem świeżej nienawiści do Patricka.

Z pewnością zniszczy. Patrząc, jak odchodziła, Patrick pomyślał, że kto jak kto, ale Casey potrafi odkryć jego sekret. Inteligentna, bystra, mściwa Casey. Jego miłość, jego największy wróg.

Patrick wiedział, że powinien wziąć nogi za pas. I tak za długo już pozostaje w jednym miejscu. Ale teraz, z powodu Julii, nie może stąd odejść. Julia jest taka delikatna, tak boleśnie została zraniona, i potrzebuje go.

A Patrick czuł, że też jej potrzebuje.

Potrzebował jej dobroci.

Potrzebował jej cudownych opowieści.

Casey weszła do biura Spencera i Quinna o godzinie jedenastej.

- Dzień dobry, Casey! - powitała ją sekretarka, wyraźnie zdziwiona. - Myślałam, że

przyjdiesz dopiero po południu. 224

- Nie mogłam wytrzymać w domu. Połącz mnie z Johnem Tylerem.

- Już łączę.

Czekając w swoim pokoju na połączenie, czuła, jak wraca do niej dawna Casey. Dawna Casey objawiła swą olśniewającą obecność nagłym przyływem siły i opanowania. Siły, która niszczy. Opanowania, które zdusi słabość jej złamanego serca.

Kiedy sekretarka połączyła ją w końcu z detektywem, Casey była już przerażająco spokojna.

- Pan Tyler? Proszę postarać się o te odciski.

- Diana? Mówi Mark Hall.

- Cześć, Mark. - Diana spojrzała na zegarek przy łóżku. Było dwanaście po trzeciej.

Spała trzy godziny i dwanaście minut. Całkiem niezłe, pomyślała. Była na dyżurze, a ta pracowita noc zaczęła się już o czwartej po południu nagłym wypadkiem, wymagającym natychmiastowej operacji, która trwała do jedenastej. Kiedy Diana wróciła wreszcie do domu, była prawie północ. Telefon od doktora Halla oznacza, że potrzebują jej pomocy przy nowym pacjencie. - O co chodzi tym razem?

- Rana zadana nożem w klatkę piersiową, naruszone serce.

- I żyje?

- Założyliśmy kilka szwów na prawej komorze. Teraz trzeba zrobić bypasy.

- Zaraz tam będę.

Człowiek ranny nożem przeżył. Operacja skończyła się o szóstej rano, Diana miała więc czas, by wrócić do domu, wziąć prysznic, zmienić ubranie i bez trudu zdążyć na zebranie Komitetu Instytutu Kardiochirurgii, zaczynające się o wpół do ósmej.

W połowie zebrania Dina poczuła ogarniające ją zmęczenie. Wiedziała, że musi sięgnąć do swoich najgłębszych rezerw energii, by stawić czoło Tomowi Chandlerowi w sporze o skład załogi helikopterów, które miały wkrótce zacząć latać na usługach szpitala.

- Ciężka noc? - spytała sekretarka, kiedy Diana weszła do jej biura o dziewiątej.

225 a5 - Melodie miłości

- Gorsze było to zebranie, z którego właśnie wracam - uśmiechnęła się Diana. - Co tam mamy?

- Na razie jest dość spokojnie. Ale wczoraj, kiedy już poszła pani na salę operacyjną, był do pani telefon.

- Tak?

- Jakiś mężczyzna z Kalifornii. Bardzo mu zależy na spotkaniu z panią. Nie chciał powiedzieć jednak niczego poza tym, że to bardzo pilna sprawa i że musi się z panią spotkać jak najszybciej. Będzie tu dziś o czwartej.

- Dobrze. Podał swoje nazwisko?

- Tak. Nazywa się Sam Hunter.

- Sam Hunter? - powtórzyła Diana cicho.

- Powiedział tylko, że chodziliście razem do szkoły w Dallas. Czy to ten piosenkarz?

- Tak - odparła Diana spokojnie, zdumiona swoim opanowaniem. Serce waliło jej jak młotem, jak zawsze, kiedy słyszała jego imię. - Będzie tu dziś o czwartej?

- Jeśli samolot się nie spóźni.

Diana bez słowa wycofała się do swojego biura.

Sam! Tutaj! Dziś! Ale po co on tu przyjeżdża? Czy czytał artykuł na jej temat w Timesie i zauważył tę krótką notkę dotyczącą rozwodu? Czy przyjedzie teraz do niej, po tylu latach, żeby w końcu przyznać, że nigdy nie powinien był jej opuszczać? We wzmiance na jego temat, którą widziała w tym samym numerze Timesa nie było słowa o jego żonie ani o rodzinie. A jeśli Sam jest wolny i chce się z nią spotkać, ponieważ dowiedział się, że i ona jest teraz wolna?

Ale Diana nie była wolna. W jej życiu i sercu był teraz Jeffrey. Jeffrey, jej cudowny kochanek i najlepszy przyjaciel. Jeffrey, któremu zaufała tak, jak nigdy przedtem nie ufała nikomu. Jeffrey, który poznał wszystkie jej tajemnice, łącznie z tą najważniejszą, niezmienną prawdą, że Sam Hunter, jej pierwsza i największa miłość, ciągle żyje w jej

sercu i zawsze będzie w nim żył.

- Jeffrey Lawrence - oficjalnie przedstawił się Jeffrey, odbierając telefon w swoim biurze.

- Dzień dobry.

- Cześć - jego głos złagodniał. - Jak minęła noc?

- Byłam trochę zajęta.

- To znaczy, że nie spałaś. 226

- Spałam od dwunastej do trzeciej.

- Chcesz odwołać kolację dziś wieczorem?

- Jeffrey, czy masz coś wspólnego ze spotkaniem, które mam dziś o czwartej?

- Co?

- Dziś o czwartej mam się spotkać z Samem Hunterem.

- Z Samem? Nie, nie mam z tym nic wspólnego, kochanie. Dlaczego chce się z tobą zobaczyć?

- Nie wiem. Nie chciał nic powiedzieć sekretarce. Poza tym, że to bardzo pilna sprawa.

- Wszystko w porządku?

- Denerwuję się trochę. A poza tym - westchnęła Diana - wolałabym iść na to spotkanie po dobrze przespanej nocy.

- Poradzisz sobie. Wszystko będzie dobrze.

- Cokolwiek to znaczy.

- Jestem tu, Diano.

- I znajdziesz kogoś na zastępstwo, jeśli będę cię pilnie potrzebować tuż przed twoim programem?

- Na pewno.

W gęstych ciemnych włosach na skroniach widniało kilka siwych pasm, wokół oczu czas nakreślił siateczkę drobnych zmarszczek, wiek dodał mu

klasy i uroku, ale był to Sam. Ciemne oczy nadal zdradzały wrażliwość i nieśmiałość, mimo odniesionych sukcesów. Uśmiech był równie niepewny jak zawsze... i równie czuły.

Tak, to był Sam, a ona ciągle go kochała.

Ale on jej nie chciał, przypomniała sobie Diana, uśmiechając się odważnie do jego ciemnych oczu, nie chciał jej wtedy, a dziś nie przyjechał, by powiedzieć, że się mylił. Diana dostrzegła ciepło w jego oczach, iskrę przyjaźni, sympatii, ale nie miłości, która zawsze przyprawiała ją o drżenie. Diana miała nadzieję, że jej oczy nie zdradzą prawdziwych uczuć.

Sam opanował ogarniające całe jego ciało drżenie miłości równie szybko i niepostrzeżenie jak Diana.

Jego ukochana, najdroższa Diana. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, w jej szafirowych oczach lśniło szczęście i przekonanie, że życie jest

227 dobre i piękne. Gorzka prawda o jego życiu zasmuciła te oczy. A teraz Sam zobaczył w nich ten sam smutek, tylko głębszy, jakby zaznała jeszcze wiele bólu, choć on modlił się, by tak nie było.

Jakże chciał wykrzyczeć teraz całą swoją miłość! Wyszepać wszystkie czułe słowa, którymi wezbrało jego serce! Ale przecież od lat śpiewał jej o swojej miłości. Kiedy jednak mógł zacząć śpiewać o miłości spełnionej i bezpiecznej, było już dla nich za późno. Może słuchała tych pełnych nadziei piosenek i czuła tylko cichy smutek, że to, na co czekała, przyszło za późno... a może wtedy nie słuchała już jego muzyki, bo znalazła nową miłość i zapomniała o starej... Cokolwiek było tego przyczyną, Diana nie odpowiedziała na jego wołanie. A on dobrze zrozumiał jej milczenie.

Ona go nie chciała!

Sam nigdy nie zdobyłby się na to, by jeszcze raz spróbować się z nią spotkać, gdyby nie zdarzyło się coś, co znaczyło dla niego więcej niż złamane, obolałe serce.

- Witaj, Diano.

- Witaj, Sam. Wejdz, proszę.

Idąc przez swoje wielkie biuro słyszała tylko oszalałe bicie własnego serca.

- Co u ciebie? - spytał Sam, kiedy już usiedli.

- W porządku. A u ciebie? Wiem, że odniosłeś wielki sukces.

- Podobnie jak ty. Myślałem, że jesteś pediatrą w Teksasie. A później zobaczyłem ten artykuł w Timesie □

- Zmiana planów - Diana wzruszyła ramionami. - Przyleciałeś do Nowego Jorku na koncert?

- Nie. Przyleciałem, żeby spotkać się z tobą.

- Tak?

- Diano, moja córka musi przejść operację serca.

- Twoja.. córka?!

Kiedyś już miałeś córkę, która także wymagała operacji serca.

- Tak - Sam wyciągnął z teczki gruby plik dokumentów. - Przywiozłem całą historię choroby, zdjęcia, wyniki badań, opinie lekarzy... Ma sześć miesięcy. Przyszła na świat z ubytkiem przegrody międzykomorowej. Lekarze sądzili, że ubytek będzie się zmniejszać w miarę upływu czasu. Jednak trzy tygodnie temu pojawiła się niewydolność serca. Moją córeczkę trzeba jak najszybciej operować. Leczy ją doktor Anthony Jones. Powiedział mi, że cię zna.

Tak, zna Tony'ego. To jeden z tych mężczyzn, z którymi sypiała, kiedy tak rozpaczliwie chciała zapomnieć o Samie. 228

- Tony jest świetnym kardiochirurgiem dziecięcym. Mogę być konsultantem, ale jeśli Tony uważa, że operacja jest konieczna, zapewne ma rację.

- Nie przyjechałem do ciebie po konsultację, Diano. Chcę cię prosić, żebyś sama zoperowała moją córkę. Na całym świecie nie ma nikogo innego, komu mógłbym powierzyć moją małą Janie.

Janie! Diana wstała gwałtownie i podeszła do okna. Wbiła wzrok w ruchliwą ulicę, a gorące łzy napływały jej do oczu. Przypomniała sobie, jak bezskutecznie próbowała

uratować pierwszą córkę Sama, ich Janie.

- Diano?

Diana nie mogła spojrzeć mu w twarz.

- Czy twoja żona woli, żeby operacja odbyła się tu, a nie w Los Angeles? - zapytała.

Ciekawe, czy jego żona wie o nas? A może dla Sama to taka stara, nic nie znacząca historia, że nawet jej o tym nie wspomniał? Może tylko powiedział, że chodziliśmy razem do szkoły średniej, jestem dobrym lekarzem i kocham dzieci?

- Nie mam żony. Matką Janie była Roxanne.

- Roxanne?

- Gwiazda brytyjskiego rocka - wyjaśnił Sam, trochę zdziwiony. Był pewien, że Diana, która tak kochała muzykę, musiała słyszeć o słynnej piosenkarce. - Byliśmy ze sobą niecały rok. Kiedy zaszła w ciążę, nasz związek już się rozpadał. Roxanne nie chciała dziecka nawet wtedy, kiedy wszystko się jeszcze między nami dobrze układało. Ale ja nalegałem, by je urodziła.

- Musiałeś ją przekonać, bo w przeciwnym wypadku pewnie pozbyłaby się ciąży.

- Zapłaciłem jej, żeby się zgodziła. Prawdę mówiąc, kupiłem moje własne dziecko. Może trudno uwierzyć, że pieniądze miały dla niej takie znaczenie, ale Roxanne była uzależniona od narkotyków i wydawała na nie wszystko, co zarobiła. Zgodziłem się zapłacić jej dziesięć milionów dolarów w zamian za urodzenie dziecka i przekazanie mi wyłącznego prawa do opieki nad nim. Drugim warunkiem było to, żeby całkowicie zrezygnowała z narkotyków w czasie ciąży. Przez pięć i pół miesiąca, od czasu, kiedy dowiedziałem się o jej ciąży, do rozwiązania, Roxanne przebywała w ekskluzywnej klinice odwykowej pod Londynem. Chodziłem tam codziennie i towarzyszyłem jej za każdym razem, kiedy musiała pojechać do studia. Wiem na pewno, że w tym czasie nie brała niczego, poza lekami, które łagodziły skutki odstawienia narkotyków. Zastanawiam się jednak, czy Janie nie zaszkodziło to, że narkotyzowała się na początku ciąży.

Może tak, a może nie. Może po prostu, przeznaczeniem Sama są córki z wadami serca. Przeznaczeniem, bo genetyka niewiele ma z tym wspólnego. Ani jedna, ani druga wada nie jest dziedziczna. Serce, z jakim córka Sama i Diany przyszła na świat, nie mogło zostać uratowane przy ówczesnym poziomie wiedzy medycznej. Ale serduszko dziewczynki, o której Sam mówi z taką miłością, jeśli zostanie zoperowane, będzie żyć, rosnąć i kochać.

Diana odwróciła się w końcu i spojrzała na Sama suchymi już oczyma.

- Nie wiem, czy zawiniły tu narkotyki. Tego rodzaju wady pojawiają się często zupełnie bez powodu.

- Tony powiedział to samo.

- A Roxanne tak po prostu oddała swoje dziecko, kiedy się już urodziło?

- Nie zawahała się ani chwili.

- Czy to z jej powodu wyjechałeś z Anglii? Na wypadek, gdyby jednak zmieniła zdanie?

- Częściowo także dlatego. Ale już od dłuższego czasu nosiłem się z zamiarem powrotu do domu.

- I Roxanne nie przyjechała tu za tobą?

- Roxanne zmarła z powodu przedawkowania narkotyków miesiąc po narodzinach Janie.

- Ach tak...

Sam i Diana pomyśleli w tej chwili o tym samym. Janie nie ma matki. Zobaczyli w swoich oczach bezmiar bólu i tęsknoty.

- Czy Tony uważa, że Janie może bezpiecznie odbyć tę podróż?

- Bezpośrednim lotem i z aparatem tlenowym.

- Kiedy chciał ją operować?

- Za trzy dni, w piątek.

Im więcej Diana się dowiadywała, tym gorzej to wszystko wyglądało. Janie była w

złym stanie, jej małe serduszko, które z takim trudem pompowało krew, utrzymywało się przy życiu tylko dzięki lekom. Oznaczało to, że ryzyko jest wyższe, niż początkowo sądziła. Czasem operacja tej wady serca nie jest konieczna. Jednak nie w przypadku sześciomiesięcznego dziecka, u którego już pojawiły się komplikacje. Tutaj operacja jest sprawą życia lub śmierci.

- Muszę zapoznać się z historią choroby i porozmawiać z Tonym.

- Naturalnie. - Sam wstał. Nie spytał Diany, kiedy podejmie decyzję, nie chciał jej naciskać, ale ona dostrzegła to nieme pytanie w jego ciemnych oczach. 210

- Gdzie się zatrzymałeś, Sam?

- Nigdzie. Przyjechałem tu prosto z lotniska i zamierzałem wracać zaraz po rozmowie z tobą. Chyba że... byłbym ci tutaj potrzebny.

Och, Sam, bardzo, bardzo byłeś mi potrzebny.

- Nie, możesz zaraz wracać. Zadzwońię do ciebie do Los Angeles jutro rano. Powiedzmy o ósmej waszego czasu.

- Dobrze. Zostawię ci numer naszego domowego telefonu.

Diana przysłała do biura Jeffreya pod koniec jego programu. Kiedy wszedł do pokoju, siedziała na kanapie ze spuszczoną głową, pogrążona w myślach.

- Martwiłem się o ciebie.

Diana podniosła głowę na dźwięk jego głosu.

- Jeffrey...

- Opowiadaj - Jeffrey zamknął za sobą drzwi i usiadł obok niej na kanapie.

- Sam ma sześciomiesięczną córkę z wadą serca, wymagającą natychmiastowej operacji. Jeffrey, ona ma na imię Janie, a Sam chce, żeby ją zoperowała.

- I co postanowiłaś? - Jeffrey zadał to pytanie ostrożnie, z góry znając odpowiedź.

Diana nie może tego zrobić.

- Jeszcze nic. Muszę to przemyśleć. Możemy zjeść tę kolację innym razem?

- Oczywiście, Diano. Jestem tu, żeby ci pomóc, jeśli będę potrafił.

- Pomagasz mi. Naprawdę.

Diana podjęła decyzję dokładnie o północy. Długo i bez skutku rozmyślała nad tym, co powinna zrobić. Ale jej serce знаło odpowiedź. Gdy już się zdecydowała, nagle poczuła spokój, a bystry umysł podsunął jej pomysł, w jaki sposób można ograniczyć ryzyko.

- Cześć, Diano. Masz dziś rano operację? - Tom Chandler nie zauważył jej nazwiska na grafiku.

- Nie. Przyszedłam zobaczyć się z tobą. Chciałam cię prosić o przysługę.

- Słucham cię.

Złą

Tom sądził, że chodzi o coś, czego nie będzie miał ochoty zrobić, spodziewał się jakiegoś podstępu, ale nigdy jeszcze szafirowe oczy Diany nie były takie poważne i bezbronne.

- Chciałabym, żebyś zoperował razem ze mną pewien przypadek. To mała dziewczynka z ubytkiem przegrody międzykomorowej, ma dopiero sześć miesięcy. Pojawiła się już niewydolność serca, na razie leki ratują sytuację, ale operacja jest konieczna, i to jak najszybciej. Chciałabym operować w piątek, ale jeśli ci to nie odpowiada, możemy przełożyć to na weekend albo na początek przyszłego tygodnia.

- Sprawdzę jeszcze, ale chyba może być piątek. Diano, czy jest coś, czego nie wiem? Oczywiście zbadam tę małą i zapoznam się z całą dokumentacją, ale chciałbym wiedzieć, o co właściwie chodzi.

- Problem polega na tym, że jestem w to zaangażowana osobiście. Nie mogę odmówić, ale boję się, że na sali operacyjnej nie zapanuję nad emocjami.

- Nie sądziłem, że dopuszczasz do siebie emocje na sali operacyjnej, Diano.

- Staram się nie dopuszczać, tak samo jak ty, ale tym razem może mi się nie udać.

Tom spojrział na nią uważnie. Dziwne było już to, że Diana Sheperd obawia się popelnienia błędu. Ale że jeszcze przyznała się do tego przed nim...

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Chcę, żebyś mnie obserwował i przejął tę operację, jeśli zauważysz, że coś robię nie tak, jak należy.

- Przeprowadziłaś setki takich operacji. Cieszysz się opinią jednego z najlepszych dziecięcych kardiochirurgów na świecie.

- Tak jak ty, Tom.

- Ale dlaczego pomyślałaś akurat o mnie? Masz własny zespół zdolnych chirurgów.

- Bo wiem, że ty nie popuścisz mi nawet o milimetr. I liczę na to.

Tom zrozumiał znaczenie tych słów: Liczę na ciebie, Tom. Ufam ci □

- Zgoda, Diano - powiedział cicho. - Ani o milimetr.

- Przecież nie lubisz tego człowieka, a z tego, co mówiłaś, zrozumiałem, że on też za tobą nie przepada.

- Ale to doskonały chirurg, Jeffrey. Nie dopuści do tego, żeby coś stało się Janie. Może się zdarzyć, że będzie interweniował za wcześnie, ale nie za późno. 212

- Masz własny zespół świetnych chirurgów, którym ufasz, z którymi codziennie pracujesz. Dlaczego nie poprosisz o to któregoś z nich?

- Bo to mój zespół. Jestem ich szefem. Boję się, że nawet jeśli uznają, iż popełniam błąd, nie przejmą operacji, a w każdym razie mogliby to zrobić za późno. Nie rozumiesz?

- Nie bardzo.

- No dobrze. Wyobraź sobie, że masz przed sobą bardzo trudne zadanie, wystąpienie na żywo na jakiś niebezpieczny temat. Najmniejsze potknięcie może wywołać panikę w całym kraju, a ty, z jakichś powodów, wątpisz, czy sobie z tym poradzisz. Kogo poprosiłbyś o wsparcie? Współpracownika, który uważa, że jesteś najlepszy, czy dziennikarza z konkurencyjnej stacji, kogoś takiego jak Dan?

Jeffrey westchnął ciężko. Nie mógł zaprzeczyć logice jej rozumowania. Jego zespół □ przejął kontrolę nad sytuacją dwa tygodnie temu, delikatnie, lecz stanowczo naciskając, żeby wziął urlop, bo widzowie niepokoją się o niego. Ukrywali też przed światem fakt, że

na jego dłoni nie ma już obrączki. Wiedzieli, że Jeffrey ma kłopoty, ale kryli go, chronili, nie chcieli urazić.

- Problem w tym, Diano, że nic, co robię, nie jest sprawą życia i śmierci. A tak jest w przypadku każdej operacji na otwartym sercu.

- Mogę nie lubić Toma, ale nie mam wątpliwości, że jest doskonałym chirurgiem. Wiem, że zareaguje natychmiast, kiedy nie spodoba mu się to, co będę robić, i wiem, że najważniejsze dla niego jest zawsze dobro pacjenta.

- Czemu więc nie poprosisz go, żeby przeprowadził tę operację za ciebie?

- Bo teraz rozumiem, że od śmierci mojego dziecka życie prowadziło mnie do miejsca, w którym się teraz znajduję. To dlatego zostałam kardiochirurgiem. I znam się na tym. Muszę to zrobić dla Janie.

- Dla której Janie, Diano?

- Dla wszystkich Janie tego świata.

- Cześć, Janie. Jak się masz? - szepnęła Diana do dziewczynki leżącej w łóżeczku na oddziale intensywnej terapii Szpitala Memorial. Córka Sama spojrzała na nią ciemnobrązowymi oczami swojego ojca i uśmiechnęła się. - Lżej ci już oddychać? Tak? To dobrze. Och, jaka jesteś śliczna, skarbie. A twój tatuś tak cię kocha. Wiesz o tym? Wiesz, prawda? Bardzo cię kocha. Wkrótce będziesz zdrowa, kochanie. Zupełnie zdrowa.

211

Był czwartek, wpół do dziesiątej wieczorem. Janie została przywieziona do szpitala o godzinie trzeciej. Oddychała teraz łatwiej, spokojniej, co oznaczało, że zaczęły działać leki, które miały usunąć nadmiar płynów z jej płuc.

Sam był w hotelu Clairmont po drugiej stronie ulicy. Diana namówiła go, żeby poszedł do swojego pokoju o godzinie ósmej, kiedy kończyła się pora odwiedzin, choć zgodnie z zasadami panującymi w szpitalu mógł zostać z córką na noc.

Sam potrzebował jednak odpoczynku. Tak jak Diana i Janie.

Diana stanowczo nalegała, by Sam poszedł się przespać. Jednak był też ktoś, kto

postanowił się upewnić, że i ona pójdzie tej nocy do domu i odpocznie.

- Cześć - Diana uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła Jeffreya w korytarzu.

Jeffrey poszedł do niej do domu po swoim programie, czekał godzinę, aż w końcu postanowił jej poszukać.

- Cześć. Jak ona się czuje?

- Jest gotowa do operacji.

- A ty?

- Ja też.

- Musisz się porządnie wyspać.

- Naprawdę chcesz napoić mnie ciepłym mlekiem, opatulić kołdrą i tak po prostu wyjść? - zażartowała. Jednak z wielu powodów chciała tej nocy spać sama.

- To właśnie mam zamiar zrobić.

Mała Janie, mała Janie, mała Janie.

Serce Diany biło jak oszalałe, nie potrafiła opanować ogarniających ją emocji. Tego dnia nie potrafiła wyrzucić swoich uczuć za drzwi sali operacyjnej.

Stare duchy atakowały ją ze wszystkich stron, nie zdołały jednak zdławić tego wszystkiego, co zawsze towarzyszyło jej w trakcie operacji - wiedzy, którą nabywała latami. Próbowwała się skoncentrować, przywołać atmosferę skupienia i magii, obcowania z małym, bijącym sercem, któremu mogła podarować długie, zdrowe życie. W tych sercach była taka czystość i niewinność, taka cudowna perfekcja. Jak we wszystkim, co dotyczyło dzieci. Serca dorosłych nosiły ślady, ślady dalekiego od ideału sposobu żywienia, alkoholu, tytoniu i stresu. Ale dziecięce serca były takie czyste i niczym nie skażone, pełne nadziei na przyszłość. 214

Nadzieja dla Janie, obietnica złożona Samowi.

Mała Janie, mała Janie, mała Janie. Słowa tańczyły przy wtórze opętanej muzyki kurantów i choć Diana potrafiła skoncentrować się na tym, co zamierzała zrobić, czuła, że trzepocze jej własne, przerażone serce, a co najgorsze, że trzęsą jej się ręce.

Tom musi odsunąć ją od stołu i dokończyć tę operację. Z pewnością zaraz to zrobi.

Nagle jednak przyszła jej do głowy myśl tak przerażająca, że nieoczekiwanie całe jej ciało ogarnął lodowaty spokój, ręce przestały drżeć, serce na chwilę przestało bić.

A jeśli myliła się co do Toma? Jeśli jest w nim tyle zła, tyle gorzkiej nienawiści, że porażka znienawidzonej Diany będzie dla niego warta życia tego niewinnego dziecka?

- Tom?

Głos Diany przerwał ciszę, trwającą od chwili, kiedy zaczęła się operacja. Fakt, że Diana w ogóle się odezwała, zaskoczył Toma, ale nuta paniki w jej głosie zdumiała go jeszcze bardziej.

- O co chodzi, Dianio?

- Dlaczego nie przejąłeś operacji?

- Bo świetnie sobie radzisz - powiedział Tom ze szczerym podziwem. Słyszał wiele o Dianie, o cudach, jakich dokonują jej smukłe palce - takie delikatne, zdolne, pewne - ale wszystkie te pochwały nie oddawały w pełni prawdy o jej talencie.

- Jesteś pewny? Mam wrażenie, że drżą mi ręce i że robię to wolno.

- Jestem absolutnie pewny. Ręce ci nie drżą i działasz bardzo sprawnie. Mam wrażenie, że oglądam najpiękniejszy taniec, balet o perfekcyjnie opracowanej choreografii.

Taniec. Tak jak w jej głowie. Tylko dla tego tańca nikt nie opracował choreografii. Przeciwnie, każda myśl tańczyła w takt swojego własnego kuranta. W końcu zaczną na siebie wpadać i doprowadzą do katastrofy.

- Jeśli się potknę...

- Podtrzymam cię.

Ale Diana się nie potknęła. Mimo wszystkich emocji nie zawiodła jej wiedza, którą od piętnastu lat gromadziła na tę chwilę. Smukłymi, pewnymi palcami Diana delikatnie naniosiła najcieńsze z możliwych szwów na małeńkie serduszko Janie, wszywając Dalcron w czystą, nową tkanę, zamykając ubytek, który zagrażał życiu dziecka. Ąby córka Sama

mogła żyć, czuć i kochać.

215

Kiedy anestezjolog przygotowywał Janie po operacji do transportu na oddział intensywnej opieki medycznej, Tom i Diana stanęli z boku, zdejmując rękawiczki i kitle.

- Tom, nie wiem, jak ci dziękować.

- Za co? Przecież nic nie zrobiłem.

- Zrobiłeś...

- Diano, naprawdę jesteś wspaniałym chirurgiem.

- Jestem twoją dłużniczką.

- Nie, nie jesteś. - Tom zmarszczył lekko brwi, a potem powiedział coś tak niezwykłego, jak niezwykła była ta operacja, której był przed chwilą świadkiem:

- Chociaż... może oboje jesteśmy sobie coś winni. Może powinniśmy zmienić zdanie, o sobie.

- Zgoda. - Diana spojrzała z uśmiechem na człowieka, który zawsze wydawał jej się aroganckim egoistą. - Ja już zmieniłam zdanie o tobie, Tom.

Kiedy Diana weszła do poczekalni i zobaczyła Sama, wszystkie emocje odbiły się w jej szafirowych oczach.

- Diano? - spytał Sam, zaniepokojony jej łzami.

- Wszystko w porządku - zapewniła go. - Operacja się udała i Janie będzie całkiem zdrowa.

- Naprawdę? - W oczach Sama zalśniły łzy radości. Wstał i wyciągnął do Diany rękę, chcąc ją objąć, ale powstrzymał się i tylko wyszeptał łamiącym się głosem: - Dziękuję.

Janie szybko dochodziła do siebie. Młody organizm wspaniale zareagował na nagły dopływ dobrze natlenionej krwi i zniknięcie płynu z płuc. Pod koniec tygodnia Janie mogła już wracać do Kalifornii. Jedynym wspomnieniem po operacji była rana na piersi. Janie aż piszczała z radości zawsze, kiedy widziała ojca, a uszczęśliwiony Sam brał swoją córkę na rękę.

Błękitne oczy Janie rozjaśniały się na widok ojca i na dźwięk jego głosu, a nawet wtedy, kiedy tylko wyczuła jego obecność. Ale w ciągu tego ostatniego tygodnia nauczyła się też rozpoznawać inną twarz, twarz o pięknych szafirowych oczach, która tak często się nad nią pochylała. Rozpoznawała też miękki głos, przemawiający do niej tak często, każdego dnia, od wczesnego ranka do późnego wieczora.

Diana widywała Janie częściej niż Sama, ale i jego spotykała aż nazbyt często. Sądziła, że dzielący ich teraz dystans znieczuli ją na jego 216 obecność. Ale myliła się. Serce biło jej mocniej za każdym razem, kiedy go widziała.

Tylko raz w ciągu tych siedmiu dni Sam i Diana wspomnieli o przeszłości.

- Jesteś takim wspaniałym ojcem, Sam.

- Bałem się, że będzie inaczej.

- Naprawdę? - spytała zaskoczona Diana. Tyle razy rozmawiali dzieciach, które kiedyś będą mieli. Wtedy Sam nigdy nie miał takich wątpliwości.

- Tak, bałem się, że odziedziczyłem po ojcu to zło, które w nim było.

Nie wątpił, że byłby dobrym ojcem dla dzieci, które miałby z Dianą, bo ona chroniłaby go przed tym złem. Nie wiedział jednak, czy sam zdoła sobie z tym poradzić.

- Ale nie ma w tobie tamtego zła.

- Nie - przyznał cicho. Jeśli nawet tkwiło w nim jakieś ziarno zła, odziedziczonego po ojcu, zwyciężyła miłość do małej Janie. - Nie ma.

W czasie tej rozmowy jeden jedyny raz nawiązali do dawnych czasów, mówiąc o ojcu Sama, ale ani słowem nie wspomnieli o łączącej ich kiedyś miłości. Jakby nigdy jej nie było.

A potem trzeba się było pożegnać.

- Ęgnaj, Janie - wyszeptła Diana, patrząc w uśmiechnięte błękitne oczy dziewczynki trzymanej przez ojca. Podniosła wzrok i dodała:

- Ęgnaj, Sam.

Sam odjechał. Diana została z głębokim poczuciem straty, jednocześnie jednak

odczuła wielką ulgę. Miała nadzieję, że może teraz serce, które piętnaście lat temu ofiarowała Samowi, będzie znowu należało do niej. A ona da je komuś innemu.

Kiedy nadejdzie czas i oboje będą na to gotowi, odda serce swojemu wspaniałemu Jeffreyowi.

Jej wspaniały Jeffrey. W ciągu tych siedmiu dni, kiedy Sam i Janie byli w Nowym Jorku, Jeffrey znajdował się zawsze wystarczająco blisko, by ją wspierać, kochać i słuchać tego, co chciała mu powiedzieć, a jednocześnie trzymał się na uboczu - nie narzucał się i niczego od niej nie żądał - tak, by mogła odnaleźć drogę do miłości Sama, jeśli to miało być jej przeznaczeniem.

A gdyby ją odnalazła?

Jeffrey cieszyłby się jej szczęściem, choć boleśnie odczułby jej stratę.

217

Podobnie jak Diana, choć bardzo by jej go brakowało, cieszyłaby się, gdyby Jeffrey odnalazł powrotną drogę do Julii.

Casey odkryła prawdziwą tożsamość Patricka w dniu Święta Dzięk@

czynienia. John Tyler zdobył odciski jego palców bez trudu, w czasie krótkiej wizyty w klubie na odbywającym się tam pod koniec października przyjęciu weselnym, ale nie figurowały one wśród setek tysięcy odcisków zgromadzonych w archiwach policyjnych.

Casey jednak nie miała zamiaru się poddać. Wiedzioną żądzą zemsty na Patricku - i na Julii - uchwyciła się ostatniej wskazówki, jaką były jego niezwykle umiejętności jeździeckie. Postarała się o stare wydania takich czasopism, jak Przegląd hippiczny, Dżokej, Konie i Grand Prix. Przejrzała wszystkie numery, cofając się najpierw o pięć, a potem o dziesięć lat. Jej luksusowy nowojorski apartament był zasłany magazynami na temat jeździectwa. Spędziła niezliczone godziny, uważnie oglądając zdjęcia najlepszych dżokejów. Niestety, twarze większości z nich kryły się w cieniu daszków ich czarnych czapek.

W końcu jednak wysiłek ten opłacił się - zrobiona osiem lat temu fotografia

zwycięzcy Grand Prix Rookie of the Year była niewyraźna, ale z całą pewnością przedstawiała Patricka.

Casey, patrząc na to zdjęcie, poczuła nagły przypływ dumy i radości.

Jest zadowolona, bo Patrick wygrał jakieś zawody? Nie dlatego, że udało się jej go zdemaskować? Teraz zna jego prawdziwe nazwisko i może odkryć jego tajemnicę! Teraz może go zniszczyć!

Patrick ze wstydem w oczach prosił, by nie ruszała tej sprawy.

Casey przez dziesięć dni toczyła ze sobą walkę. Jednak żądza zemsty na Patricku - i Julii - była zbyt silna. Perswazje złamanego serca nie były zdolne powstrzymać tej maszyny, która została wprawiona w ruch z chwilą, kiedy Casey zobaczyła fiołkowe oczy swojego wroga niewinnie uśmiechające się do Patricka.

Czwartego grudnia Casey wynajęła nowego detektywa i poleciła mu dowiedzieć się wszystkiego o Jamesie Patricku Jonesie. 218

- Ona zupełnie nie ma wstydu - oznajmiła bardzo wyniośle Addy Hamilton.

- Dama byłaby w takiej sytuacji bardziej dyskretna - dodała pogardliwie Danielle Montgomery.

- Ale nikt chyba nie uważał nigdy Julii Lawrence za damę.

- Rozmawiacie o Julii?

- Paige! Nie wiedziałam, że też tu jesteś.

Spotkały się w uroczym, droгим sklepiu z prezentami U Emily. Półki jak zwykle były zastawione pięknymi naczyniami i innymi cackami z kryształu, porcelany i srebra, a ponieważ zbliżały się święta Bożego Narodzenia, nie brakowało też wianuszków, bombek, ozdób choinkowych i grających kolędy pozytywek. Paige oglądała szeroką, bogato haftowaną wstążkę na choinkę po drugiej stronie szafki ze srebrami, a przed wzrokiem znajomych zasłaniała ją kotara.

Addy i Danielle zmieszały się trochę pod surowym spojrzeniem błękitnych oczu Paige, ale obie pomyślały natychmiast o tym samym. Najwyraźniej Paige i Julia, jeśli

istotnie kiedykolwiek były przyjaciółkami, już się ze sobą nie przyjaźniły. W tym roku szkolnym nie odbyło się jeszcze ani jedno spotkanie dla dzieci w Belvédère, a Amanda bawiła się z ich córkami, nie z Merry.

- Słyszałam, że mówiłyście coś o Julii - powiedziała Paige.

- Chyba powinnaś wiedzieć, że Julia ma romans z instruktorem jazdy konnej z naszego klubu i wcale się z tym nie kryje. Każdego ranka bywa w jego pokoju przy stajniach.

- Julia? Z Patrickiem?

- Tak, Paige. To prawda.

- Paige...

- Dzień dobry, Julio. Mogę wejść?

- Oczywiście. Czy coś stało się Merry? - spytała Julia niespokojnie, zdumiona nie zapowiedzianą wizytą Paige w Belvédère. Julia wróciła przed chwilą ze stajni. Może próbowano się z nią skontaktować w sprawie Merry, kiedy nie było jej w domu?

- Nie, Julio - uspokoiła ją szybko Paige. - Chciałam tylko z tobą porozmawiać. Jak się czujesz?

- Świetnie.

- To dobrze - Paige uśmiechnęła się do niej, ale pomyślała, że Julia jest jakaś blada, niepewna. - Julio, doszły mnie dziś słuchy, że widzisz się z Patrickiem.

219

Dopiero po jakimś czasie Julia zrozumiała sens tych słów. A więc Paige i, jak widać, całe Southampton sądzi, że ona ma romans z Patrickiem! Paige uwierzyła w to i potępiła ją.

- Czy jest coś złego w tym, że spotykam się z Patrickiem? - Oczy Julii nagle rozblęły gniewem. - Nie mogę wprost uwierzyć w małoduszność i obłudę panujące w tym mieście! To, że Jeffrey Lawrence zostawił swoją żonę i córkę dla wspaniałej Królowej Serc, jest zupełnie w porządku, nie ma w tym nic nieprzyzwoitego. Ale fakt, że ja

zaprzyjaźniłam się z instruktorem jazdy konnej - na którego, nawiasem mówiąc, wszystkie panusie z Southampton mają ochotę - obraża moralność! To, co zrobił Jeffrey, jest w porządku, ale to, co ja i Patrick... Nie sądzę, żeby Patrick zostawił swoją żonę i dziecko dla innej kobiety. To Jeffrey złamał przysięgę małżeńską, Paige, nie ja. To Jeffrey złamał mi serce, nie ja jemu.

- Och, Julio...

- Ty też uważasz, że to, co zrobił Jeffrey, jest w porządku? Jesteś zadowolona, że spotyka się z Dianą?

- Jak możesz tak myśleć?

- Diana jest twoją przyjaciółką.

- Ty jesteś moją przyjaciółką, Julio.

Moją drogą przyjaciółką, którą zawsze chciałam przedstawić mojej przyjaciółce Dianie, ponieważ byłam pewna, że bardzo się polubicie.

- Naprawdę? Więc sądzisz, że twoja dzisiejsza wizyta jest gestem przyjaźni? Czy przyszedł tu tylko po to, żeby mnie poinformować o oburzeniu, jakie panuje w Southampton w związku z tym, że codziennie rano widuję się z Patrickiem Jamesem? Te obraziłam miejscowe damy? Te damy zniechęciły mnie z chwilą, kiedy się tu pojawiłam. Guzik mnie obchodzi, co o mnie myślą. Spotkania z Patrickiem pomagają mi przetrwać dzień.

- A czy ja nie mogłabym także spróbować ci pomóc? Przyszłam tu dzisiaj, bo stęskniłam się za tobą. Martwiłam się o was, o ciebie i Merry. Jeśli ty i Patrick jesteście kochankami, życzę wam szczęścia. Wychodzę teraz i zadzwonię jeszcze raz, dobrze? Jeśli nie otworzysz drzwi, będzie mi bardzo przykro, ale nie będę ci miała tego za złe.

Paige ruszyła szybko w stronę wyjścia, ale Julia ją zatrzymała.

- Paige, zaczekaj. Mnie też bardzo cię brakowało. Ale nie byłam w stanie do ciebie zadzwonić ani pójść.

- Z powodu Diany?

- Częściowo tak. Widujecie się z nimi, prawda?

- Spotkaliśmy się sześć tygodni temu na przyjęciu na rzecz Instytutu Kardiologii. Ten jeden raz. Nie utrzymujemy z nimi stosunków towarzyskich i nie mamy takiego zamiaru.

240

- Ty i Edmund jesteście przecież przyjaciółmi Jeffrey'a - i jej. Nie chciałabym, żebyście się czuli niezręcznie.

- Wcale się tak nie czujemy! Nie rozumiesz, że ja i Edmund jesteśmy całkowicie po twojej stronie? Owszem, Jeffrey i Diana są naszymi przyjaciółmi, ale ty i Merry należycie do naszej rodziny.

- Dziękuję - Julia spuściła głowę. - Naprawdę uwierzyłaś, że mam romans z Patrickiem? - spytała z niedowierzaniem.

- To nie moja sprawa, Julio.

- Nie wyobrażam sobie, że bym mogła być z kimś innym niż z Jeffreyem - powiedziała Julia cicho. Może kiedyś to się zmieni? A może do końca życia pozostanie wierna marzeniu, które umarło? - Chcesz wiedzieć, co robię z Patrickiem każdego ranka?

- Jeśli zechcesz mi powiedzieć...

- Pokażę ci. - Julia podeszła do mahoniowego biurka. Z dolnej szuflady, spod lnianych serwetek, wyjęła gruby plik szkiców, które Patrick zrobił do portretów postaci z jej opowiadań. Szkice były zbyt duże do książek, które ilustrował dla Merry, ale Julia postanowiła je oprawić. Patrick jest artystą, Paige. Robi ilustracje do moich opowiadań. Chcemy zdążyć przed Bożym Narodzeniem. Mówię my, ale to on maluje, a ja się tylko przyglądam. Dużo ze sobą rozmawiamy.

- Mój Boże - powiedziała Paige, przeglądając szkice. - To naprawdę Daphne, jak żywa. I Robert, i Cecily, i Andrew.

- Cieszę się, że tak uważasz. Mam nadzieję, że Merry i Amandzie też się spodoba.

- Amandzie?

- Pomyślałam, że może chciałaby jeden z takich oprawionych rysunków.

Rozmawiałam także z introligatorem. Mówi, że może zrobić jeszcze jedną książkę.

- Och, wiem, że Amanda byłaby zachwycona, Julio. Te obrazki są naprawdę fantastyczne. Znalazłaś ilustratora, którego talent dorównuje twojej wyobraźni.

- Rzeczywiście ma talent, prawda?

- Tak. Rozmawiałaś z nim na temat wydania tej książki?

- Nie.

- Dlaczego? Gdyby się zgodził na opublikowanie swoich ilustracji, porozmawiałabym z przyjacielem, który chętnie by je obejrzał.

Julii nigdy nie zależało na wydaniu swoich opowieści, ale wiedziała, że dla Patricka byłaby to wspaniała okazja podzielenia się swym talentem z innymi i podreperowania skromnego budżetu.

- Zapytam go. Dziękuję, Paige.

24ą ą6 - Melodie miłości

- Za to, że przysłałaś, by ci powiedzieć, że obrazasz moralność?

- Za to, że przysłałaś. I nie wysłałaś, kiedy powiedziałam, że nie jesteś moją przyjaciółką.

- Jestem twoją przyjaciółką, Julio. Gdybym tylko mogła jakoś pomóc tobie i Jeffreyowi...

- Nie możesz, Paige. To już koniec. W każdej chwili oczekuję od Edmunda wiadomości, że Jeffrey złożył pozew o rozwód.

- Nie złożył pozwu. Czy to nie jest dobry znak?

- To znaczy tylko, że nie ma czasu.

- Julio, w świetle prawa twoje małżeństwo jeszcze się nie skończyło. W twoim sercu również.

- A jednak to koniec, Paige - powiedziała Julia smutno. - Tak bardzo martwię się o Merry.

- Amanda strasznie za nią tęskni.

- Nie sędzę, żeby Merry była już gotowa spotykać się z Amandą. Zresztą jak mogę namawiać Merry do spotkań z przyjaciółką, skoro sama odsunęłam się od ciebie?

- To wszystko wymaga czasu, Julio. A Merry jest cały czas ze swoją najlepszą przyjaciółką - z tobą.

- Tak, bardzo się ze sobą przyjaźnimy. To, co się stało, jeszcze bardziej nas do siebie zbliżyło. Ale czuję się taka bezsilna. Merry bardzo cierpi, a ja nie potrafię jej pomóc. - Julia urwała i potrząsnęła głową. Jeffrey nigdy nie spędzał z nią wiele czasu, ale bardzo liczył się w jej życiu. Nie wiedziałam, że będzie to dla niej taki cios.

A powinnam była wiedzieć, bo tak samo cierpiałam, kiedy zginęli moi rodzice.

- Jeffrey nie odwiedza Merry?

- Nie. Nie sędzę też, żeby w przyszłości bardzo chciał się z nią widywać.

- Tak mi przykro, Julio. Czy mogę ci jakoś pomóc? Może ja porozmawiam z Jeffreyem? Albo Edmund?

- Nie, Paige, obiecaj mi, że tego nie zrobicie.

- Zgoda. Obiecuję. Ale może ty i Merry spędziłybyście z nami święta? Wybieramy się na Maui. Ja wyjeżdżam z Amandą siedemnastego, a Edmund przyleci do nas dwudziestego trzeciego. Bardzo byśmy chcieli spędzić Boże Narodzenie z wami - Paige uśmiechnęła się konspiracyjnie - i z Patrickiem, oczywiście.

- Dziękuję ci bardzo, Paige, ale wątpię, żeby Merry wyraziła na to zgodę. Pewnie dlatego nie chce spotykać się z Amandą, że w przeciwieństwie do niej ona ma ojca. 242

- Edmund bardzo kocha Merry. Może dobrze by jej zrobiło, gdyby trochę z nim pobyla. Przemysł to w każdym razie. Może wam obu przydałaby się taka zmiana otoczenia.

- Porozmawiam z Merry.

- Dobrze. I pamiętaj, że Patrick jest u nas naprawdę mile widziany.

Merry nie chciała pojechać na Maui na święta ze Spencerami. Nie powiedziała dlaczego. Julia była zrozpaczona, z jednej strony pragnęła, by jej wrażliwe, zamknięte w

sobie dziecko zaczęło mówić, z drugiej strony jednak nie chciała podsuwać jej myśli, które być może nie przyszyły jej wcale do głowy.

Julia nie spytała więc: czy to dlatego, że liczysz, iż tatuś przyjedzie na święta? Nie chciała wzbudzać w córce fałszywej nadziei. Boże Narodzenie nie powinno kojarzyć się Merry z Jeffreyem. Był to czas cudów, miłości i szczęścia z powodu grandmère, Amandy, Paige i Edmunda. Jeffrey nie brał w tym wszystkim czynnego udziału. Podobnie jak w innych ważnych chwilach w życiu Merry.

Siedemnastego grudnia, dwanaście godzin po tym, jak Paige i Amanda wyjechały na Maui, Patrick przyszedł do Belvédère na kolację. Merry nie widziała go od września, bo po odejściu Jeffreya przestała chodzić na lekcje jazdy konnej. Tak jak i na inne zajęcia pozaszkolne. Julia zapewniła ją jednak, że Patrick nie ma jej tego za złe i bardzo chce się z nią zobaczyć.

Merry także bardzo chciała się spotkać z Patrickiem. Kolacja omal nie została odwołana, bo Merry cały tydzień czuła się źle, a w niedzielę wstała z łóżka z bólem brzucha, który jednak ustał koło południa. Kiedy już zjedli kolację, Julia i Patrick dali jej prezent gwiazdkowy.

- Mamusiu! - wykrzyknęła Merry, kiedy otworzyła książkę. Tytuł jej ulubionej opowieści został wydrukowany ozdobną czcionką, a pod nim widniała podobizna uśmiechniętej, różowej Daphne.

- To Patrick zrobił ilustracje.

- Naprawdę? - Merry szeroko otworzyła oczy.

- Tak. Było to dość proste, bo opisy twojej mamy są bardzo dokładne.

- Nie mogę w to uwierzyć! A jak się Amanda zdziwi!

Julia była wzruszona i uradowana, widząc błyszczące oczy córki i słysząc, że znowu ma zamiar spotkać się z przyjaciółką.

- Możemy zrobić dla Amandy jeszcze jedną książkę, taką samą jak ta - powiedział Patrick.

- Naprawdę?
- Oczywiście.

24ł

- I wyślemy do niej pocztą, żeby dostała ją pod choinkę - dodała Julia. - Albo same ją do niej zawieziemy.

Merry zastanowiła się nad propozycją wyjazdu do Spencerów i Julia zauważyła, że nie jest już tak niechętnie nastawiona do tego pomysłu.

- Och! - jęknęła nagle Merry.
- O co chodzi, kochanie?
- Brzuch ciągle mnie boli.
- Może podgrzeję ci trochę mleka? - Julia objęła Merry, patrząc na nią niespokojnie.
- Chyba się położę i spróbuję zasnąć.
- Może położysz się tu, na kanapie, obok nas?

Merry kiwnęła głową. Nie chciała oddalać się od matki. Julia ułożyła ją troskliwie na kanapie, podłożyła jej pod głowę poduszkę i opatuliła pledem.

- Będziemy z Patrickiem w kuchni, gdybyś nas potrzebowała. Musimy omówić sprawy związane z ilustracjami do innych opowiadań.

- Do innych opowiadań?
- Tak, kochanie - Julia pocałowała ją w chłodne czoło. - Dobranoc.
- Gdzie będziesz spała, mamusiu?
- Kiedy Patrick pójdzie, przyniosę tu koc i położę się na drugiej kanapie, dobrze?
- Dobrze. Dobranoc, mamusiu. Dobranoc, Patricku. Dziękuję.
- Kawy?
- Chętnie. Pozmywamy naczynia?
- Pozmywam to wszystko rano. Och, Patricku, Merry była uszczęśliwiona! Nie wiem, jak ci dziękować.
- Wiesz, że sprawiło mi to wielką przyjemność.

- Ale nie przyniosło żadnych zysków. Paige twierdzi, że powinniśmy pokazać twoje ilustracje wydawcy.

- Sam nie wiem.

- Mamusiu!

Julia i Patrick rzucili się do salonu, skąd dobiegał przeraźliwy krzyk Merry. Siedziała na kanapie, patrząc na ciemną plamę krwi na pledzie.

Krew. Krew z żołądka, który bolał ją od tygodnia.

- Merry! - Julia chwyciła córkę i dotknęła jej czoła. Teraz było gorące, lepkie od potu.

- Gdzie tu jest najbliższy szpital? - spytał Patrick, pochylając się nad Merry. 244

- W Southampton, pięć kilometrów stąd.

- Zniosę Merry do samochodu. Ty prowadzisz.

- To wrzód żołądka - powiedział lekarz kilka godzin później do Julii i Patricka. - Ciśnienie w normie. Zatrzymaliśmy krwotok. Trzeba zrobić prześwietlenie żołądka. Jeśli na tej podstawie nie uda nam się postawić diagnozy, konieczna będzie endoskopia. Weźmiemy ją na oddział intensywnej opieki medycznej.

Stan Merry ustabilizował się, a diagnozy można było oczekiwać lada chwila, jednak Julia musiała jeszcze odpowiedzieć na wiele pytań. Czy Merry brała dużo aspiryny? Czy żyła w stresie? Czy Merry krwawiła z dziąseł? Czy miała trudno gojące się rany? Czy często zapadała na infekcje? Czy często czuła się zmęczona?

- Wrzód - powtórzyła Julia. Fakt, że jej córka miała w żołądku krwawiącą ranę spowodowaną stresem związanym z odejściem ojca, nappełnił Julię głębokim smutkiem i poczuciem winy. Ale jednocześnie odczuła pewną ulgę - wrzód żołądka to nic poważnego i Merry wkrótce będzie zdrowa. Pytania o krwawienie z dziąseł, infekcje i zmęczenie przeraziły Julię. Bała się, że Merry może mieć białaczkę.

- Wrzód jest niewielki, pani Lawrence, nie zdążył jeszcze wpłynąć na inne organy. Krwawienie ustało. Leczenie powinno przynieść szybką poprawę. - Lekarz spojrział Julii

poważnie w oczy. - Ale mamy tu jeszcze dodatkowy problem...

Dodatkowym problemem było to, że szpik kostny Merry nie wytwarzał jak należy czerwonych ciałek, białych ciałek i płytek krwi.

- To anemia aplastyczna, czyli zanik szpiku kostnego. Czasami jest to spowodowane wirusem albo działaniem jakiegoś środka chemicznego. A czasami, zwłaszcza u dziewczynek w wieku Merry, ma charakter idiopatyczny, czyli występuje bez konkretnej przyczyny.

- Czy przyczyną może być stres?

- Raczej nie.

- Jak się to leczy?

- Jeśli przyczyną jest czynnik zewnętrzny, na przykład wirus czy jakiś lek, szpik może sam się całkowicie zregenerować. Jeśli ma charakter idiopatyczny, jedynym ratunkiem jest przeszczep szpiku kostnego. Tak czy inaczej, na razie Merry będzie potrzebowała transfuzji.

- Transfuzji?

245

- Mamy bardzo dobre testy, pani Lawrence - zapewnił lekarz, widząc nieme pytanie w oczach Julii.

- Tak. Wiem. - W ubiegłym roku Jeffrey zrobił reportaż pod tytułem Czy krew jest bezpieczna? Wynikało z niego, że krew w bankach krwi jest zdrowa, że testy są coraz nowocześniejsze, a ryzyko zakażenia krwią dawców bardzo niskie. Julia знаła te dane, ponieważ razem z Jeffreyem czytała wszystkie artykuły na ten temat, ale jednak... - Czy córka mogłaby dostać moją krew? Jestem pewna, że jest zdrowa.

- Myślę, że moja też - dodał Patrick.

- Jest pan ojcem Merry?

- Nie, przyjacielem.

- Czy Merry ma rodzeństwo?

- Nie, a dlaczego pan pyta?

- Rozważam kwestię przeszczepu szpiku kostnego. Przeszczepy od spokrewnionych dawców najrzadziej są odrzucane. Najlepsze jest rodzeństwo, bo wtedy można czasem dopasować szpik idealnie. Rodzice są także bardzo dobrymi dawcami. Ponieważ jest pani potencjalnym dawcą szpiku, nie wykorzystamy pani krwi do transfuzji.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie chcemy, żeby u Merry wytworzyła się reakcja immunologiczna na składniki pani krwi, które nie są identyczne z jej własnymi. Ale nie wybiegajmy tak daleko w przyszłość. Chciałbym z panią porozmawiać na temat przewiezienia Merry do Centrum Hematologii Dziecięcej Szpitala Memorial na Manhattanie. Są tam najlepsi specjaliści od szpiku. Jeśli nawet szpik Merry sam się zregeneruje, to i tak powinna być pod specjalistyczną opieką.

- A kto sprawdzi, czy nadaje się na dawcę szpiku dla Merry?

- Testy takie również powinny być wykonane w Szpitalu Memorial.

- Kiedy Merry zostanie tam przewieziona?

- Jutro rano.

- Pani szpik nadaje się do przeszczepu - powiedział Julii doktor McGregor nazajutrz po południu. - Ale chciałbym też sprawdzić ojca Merry, bo jego szpik może okazać się jeszcze lepszy.

- Rozumiem.

- Czy to możliwe? Czy mieszka w pobliżu? Jeśli nie, może dać się przebadać w centrum transplantologii najbliższym miejsca, gdzie przebywa.

Czy to możliwe? Zrobię wszystko, żeby tak było. Czy mieszka w pobliżu? Owszem, mieszka zaledwie dwie przecznice stąd... 246

- Mieszka na Manhattanie.

Mieszka na Manhattanie z jedną z najsławniejszych lekarek tego szpitala.

- Może ja pójdę z nim porozmawiać, Julio? Nie boję się sławnego Jeffreya

Lawrence'a - zaproponował Patrick.

- Zawsze się złościł z powodu Merry.

- Myślisz, że będzie zły, jeśli poprosisz go, żeby dał sobie zbadać krew, bo może uratować życie swojej córce? Myślisz, że może ci odmówić? Nie wierzę, żeby był aż takim draniem.

- Patricku, on nie...

- Wiem. Nie jest draniem mimo tego, co zrobił tobie i Merry. Wiem, że nadal go kochasz, Julio, a to jeszcze jeden powód, dla którego nie powinnaś do niego iść.

Patrick miał rację. Julia wiedziała, że kiedy zobaczy Jeffreya, może nie zapanować nad emocjami. Może nawet okazać gniew, a to nie pomoże Merry.

- Chyba poproszę Edmunda, żeby porozmawiał z Jeffreyem. Przyjaźnią się od lat i wiem, że Jeffrey darzy Edmunda wielkim szacunkiem. A może jest jakiś prawny sposób, żeby go skłonić do przebadania krwi.

- Julio, Spencerowie wyjechali na święta.

- Edmund jeszcze jest tutaj, chyba że zmienił plany. Paige mówiła, że przyjedzie do nich dopiero dwudziestego trzeciego.

- W takim razie to może być dobry pomysł. Porozmawiaj z nim zgodził się Patrick.

Patrick zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Paige. Od chwili, kiedy okazało się, że Merry jest tak poważnie chora, namawiał Julię, żeby zadzwoniła do Paige na numer, który zostawiła im przed wyjazdem na wypadek, gdyby zdecydowały się jednak do nich dołączyć. Julia jednak nie zgadzała się na to. Patrick nie nalegał, choć miał przeczucie, że już wkrótce Julia będzie potrzebowała wsparcia wszystkich swoich przyjaciół.

Od chwili, gdy Merry zachorowała, Patrick nie opuszczał Julii. Czekał w Belvédère, kiedy pakowała rzeczy swoje i córki, a potem razem poszli do stajni, gdzie Patrick spakował zakupione tego lata eleganckie, wizytowe ubrania, w których miał przyjeżdżać na Manhattan do Casey. Razem jechali karetką, która przewiozła Merry do Szpitala Memorial, razem siedzieli cały dzień w szpitalu. Patrick do późna w nocy dotrzymywał

Julii towarzystwa w jej pokoju w hotelu Clairmont. Siedzieli

247 i rozmawiali, aż Julia poczuła się tak zmęczona, że w końcu ogarnęła ją senność.

Wtedy Patrick wrócił do swojego pokoju.

Chciał być z nią. Gdyby zaszła taka potrzeba, znowu skoczyłby jej na ratunek.

Wątpił jednak, czy mógłby ją uratować, gdyby Merry umarła.

Julia miała w swoim życiu dwie miłości i troje przyjaciół. Jedną miłość już utraciła. Jeśli straci i tę drugą, będzie potrzebowała wszystkich trojga przyjaciół - Patricka, Edmunda i Paige.

Ale i to mogłoby być za mało.

- James Patrick Jones jest gwałcicielem - oznajmił prywatny detektyw. Sensacyjnej informacji towarzyszyła gruba koperta, zawierająca kopie raportów i danych zebranych przez policję w Louisville, którą rzucił na biurko Casey.

- Gwałcicielem?

- Nie został jeszcze osądzony, bo uciekł w dniu przestępstwa. Ofiara, niejaka Pamela Barrington, jest córką powszechnie szanowanego sędziego z Louisville. Sama pani zobaczy, że tamtejsza policja zebrała sporo informacji na temat tego człowieka. W ciągu ostatnich pięciu lat parę razy trafiali na jakieś ślady, ale nigdy nie zdołali go ująć. Pytali, czemu interesują się tą sprawą. Powiedziałem im zgodnie z prawdą, że nie wiem. Nie zdradziłem pani tożsamości, jako mojej klientki, ale...

- Nie mam zamiaru narażać ani pańskiej, ani mojej własnej kariery - przerwała mu szybko Casey.

- Tak myślałem. Cóż, będzie pani miała co czytać. Ciekawy życiorys. James Patrick Jones ma na swoim koncie wiele różnych wykroczeń, popełnionych, zanim osiągnął pełnoletność, głównie kradzieży jedzenia, koców i takich tam rzeczy. Potem wypłynął na spokojne wody i przez jakiś czas odnosił duże sukcesy jako dżokej. Do czasu tego gwałtu nikt niczego nie wiedział o jego przeszłości.

- Jakimi dowodami dysponuje policja?

- Pamela Barrington była jeszcze wtedy niepełnoletnia. Następnego dnia została zbadana przez lekarza rodzinnego, który potwierdził, że niedawno odbyła stosunek seksualny, ale nie pobrał żadnych próbek.

- Dobry prawnik mógłby na tej podstawie uwolnić Jonesa od zarzutów.

- A jeszcze lepszy przekonałby przysięgłych, by uwierzyli świadectwu niewinnej dziewczyny i jej ojca, który widział, jak była przerażona tuż po tym wydarzeniu, a nie słowom byłego nieletniego przestępcy, który zrobił karierę, ukrywając prawdę o swojej przeszłości. Nie wspominając 248 już o tym, że zaraz po tym, jak został oskarżony przez tę dziewczynę, uciekł i cały czas się ukrywa.

Znaczenie tych rewelacji dotarło do Casey w całej pełni dopiero wtedy, kiedy została sama. W obecności detektywa zachowywała się w sposób chłodny, opanowany, ale teraz poczuła, że kręci jej się w głowie.

Patrick - gwałcicielem? Patrick - sprawcą najohydniejszej zbrodni przeciw kobiecie? Ten sam Patrick, który znał sekrety księżycy, gwiazd i oceanu, który kochał się z nią zawsze tak delikatnie, który był taki czuły i wrażliwy? Patrick, przy którym czuła się tak bezpieczna, wolna i kochana?

- Casey?

Łagodny, nieśmiały głos wyrwał ją nagle z zamyślenia. Podniosła wzrok i zobaczyła swego odwiecznego wroga, symbol największej zdrady Patricka.

- Julia?

Casey zauważyła, że Julia wygląda bardzo mizernie, blado, że ma podkrążone pełne smutku oczy. Jednak dla Casey pozostawała przede wszystkim czarującą uwodzicielką, która zawsze i bez najmniejszego wysiłku zwycięża.

- Bardzo przepraszam, że ci przeszkadzam, Casey. Przyszłam zobaczyć się z Edmundem, ale właśnie się dowiedziałam, że wyjechał na dwa dni do Waszyngtonu. Jego sekretarka zasugerowała, że może ty mogłabyś mi pomóc.

- Pomóc ci? - powtórzyła Casey z niedowierzaniem.

- Tak. Zastanawiałam się, czy...

- Julio - Casey przerwała jej, podnosząc rękę. Była pewna, że Julia przyszła, aby złożyć pozew o rozwód. Edmund powiedział, że chce zająć się tą sprawą sam, albo żeby poprowadziła ją ona, tak, by wszystko odbyło się szybko i dyskretnie, a Julia nie musiała więcej cierpieć. Wyjechał, a jego sekretarka przysłała Julię do niej, żeby rozpoczęła procedurę uwalniania Julii od męża. Ńeby szybko umożliwiła jej rozpoczęcie nowego życia z Patrickiem. - Tracisz tu tylko czas. Nie mam zamiaru ci pomagać.

- Wiem, że jesteś bardzo zajęta, Casey, ale...

- Nic nie wiesz, Julio. Zawsze żyłaś w świecie bajek. Ale ta bajka już się skończyła. Tym razem nie wygrasz.

- Nie rozumiem.

- Patrick na pewno zrozumie.

249

- Patrick?

- Powiedz Patrickowi, to znaczy Jamesowi, że znam jego tajemnicę. - Błękitne jak niezapominajki oczy Casey przeszywały Julię na wskroś. - Nie powiedział ci, prawda?

- Czego mi nie powiedział?

- O Jamesie Patricku Jonesie i Pameli Barrington. Nie, oczywiście, że ci nie powiedział. Ale sądzę, że już najwyższy czas, żebyś się o tym dowiedziała. Idź do niego, Julio, i poproś, żeby opowiedział ci historię Jamesa i Pameli.

Casey patrzyła jeszcze przez chwilę triumfalnie na osłupiałą Julię, po czym wróciła do pracy. Julia cicho wyszła z jej biura. Kiedy już zamknęła za sobą drzwi, Casey zrozumiała, co właśnie zrobiła. Przyznała się przed Julią, że przez dziesięć lat prowadziła z nią cichą wojnę i że ma zamiar w końcu ją wygrać. I przesłała Patrickowi ostrzeżenie. Dlaczego? Ńeby zdążył uciec? Czyżby mimo wszystko ciągle jej na nim zależało?

Kiedy Julia wróciła do Szpitala Memorial, Merry spała, a Patrick siedział w kącie pokoju, czytając i czuwając nad nią. Julia skinęła ręką, żeby wyszedł na korytarz. W

milczeniu przeszli do poczekalni oddziału pediatrycznego. Było tam zupełnie pusto, bo wszystkie dzieci, którym stan zdrowia na to pozwalał, wysłano na święta do domu.

- Rozmawiałaś z Edmundem?

- Nie. Wyjechał do Waszyngtonu. Patrick, czy ta kobieta, którą kochałeś, która okazała się kimś innym, niż ci się wydawało, to Casey English?

- Tak, ale skąd wiesz. Dlaczego pytasz?

Julia powtórzyła Patrickowi dziwną rozmowę z Casey i jej ostrzeżenie.

- Nie wiedziałem, że ją znasz, Julio. Byłaś na przyjęciu wydanym na jej cześć, ale było tam wtedy mnóstwo ludzi.

- Właściwie jej nie znam. Chodziłyśmy w szkole do jednej klasy. Zawsze wydawała mi się bardzo miła.

- Miła? Och, Julio!

- Naprawdę nazywasz się James Patrick Jones?

- Tak.

- A kim jest Pamela Barrington?

- Pamela pochodzi z bardzo bogatej rodziny i twierdzi, że ją zgwałcił.

- Ale to nieprawda - powiedziała Julia bez wahania. 250

- Nieprawda. - Patrick uśmiechnął się, słysząc jej stanowcze słowa. - Choć prawdopodobnie jesteś jedyną osobą na świecie, która uwierzyła mnie, a nie jej. Zdaje się, że Casey jest innego zdania.

- Myślisz, że Casey pójdzie na policję?

- Niewątpliwie. I tak ładnie z jej strony, że mnie ostrzegła, bo jest kilka rzeczy, które chciałbym zrobić, zanim po mnie przyjdą. Muszę pójść do banku krwi... muszę porozmawiać z Jeffreyem.

- Nie, Patricku. Musisz zgłosić się na policję, zanim Casey to zrobi. Musisz się ujawnić i powiedzieć, że tego nie zrobiłeś.

- Kochana Julio, jesteś taka dobra i taka naiwna. Czy ja pójdę do nich, czy oni

przyjdą do mnie i tak znajdę się za kratkami. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. A ponieważ mam kilka ważnych rzeczy do zrobienia, wolę, żeby to oni się do mnie pofatygowali.

- Wynajmę najlepszych prawników. Na pewno cię wybronią.

- Dziękuję. - Uśmiechnął się Patrick. - Ale nie ma prawnika lepszego od Casey, a nie zdziwiłbym się, gdyby sama postanowiła wystąpić przeciwko mnie.

- Więc uciekaj, Patricku! Natychmiast. A kiedy już będziesz bezpieczny, zadzwoń do mnie, a ja wyślę ci pieniądze.

- Nie, Julio. Jestem już bardzo zmęczony uciekaniem i ukrywaniem się, od pięciu lat niczego innego nie robię.

A poza tym nie może teraz zostawić jej samej.

I tak będzie musiał ją zostawić, kiedy policja już go znajdzie. Wtedy właśnie zadzwoni tam, gdzie Julia zabroniła mu dzwonić. Nawet ktoś oskarżony o tak ohydny zbrodnię jak gwałt ma prawo do jednego telefonu. Patrick zadzwoni więc do Paige. A na razie zostanie z Julią tak długo, jak będzie to możliwe, i zrobi wszystko, by jej pomóc.

- A więc, Julio, gdzie mam pójść najpierw? Do banku krwi czy do Jeffreya?

- Do banku krwi - odparła bez wahania. Krew Patricka była zdrowa i nadawała się do transfuzji dla Merry. - Ja porozmawiam z Jeffreyem.

Kiedy Patrick wyszedł, Julia wróciła do pokoju córki. Merry ciągle spała, zmęczona i osłabiona z powodu choroby. Julia czule pocałowała ją w błądy policzek. Porozmawiam z twoim tatą, kochanie, żebyś znowu mogła być zdrowa, powiedziała sobie w duchu.

Idąc korytarzem, usłyszała nagle głos z zawieszonych pod sufitem głośników.

- Doktor Diana Sheperd! Doktor Diana Sheperd!

25ą

Z pewnością Diana Sheperd była bardzo często wzywana w ten sposób od chwili, kiedy Merry przywieziono do szpitala, ale Julia nigdy dotąd nie zwracała na to uwagi.

Teraz jej nazwisko podsunęło Julii pewną myśl.

Kogo posłucha Jeffrey? Komu uwierzy? Komu zaufa?

Julii, którą zawsze oskarżał o kłamstwa i niedomówienia? Julii, której już nie pragnie, nie kocha? Julii, która urodziła nie chciane przez niego dziecko? Julii, którą opuścił? Czy Dianie, którą kocha? Dianie, oddanej, pełnej współczucia lekarce, której zręczne dłonie ratują dziecięce serca?

Julia wiedziała, że choć spotkanie z Jeffreyem byłoby dla niej bardzo trudne, jeszcze trudniej będzie jej stanąć twarzą w twarz z jego kochanką. Ale nie wahała się, bo Jeffrey na pewno posłucha Diany, a to może bardzo pomóc Merry.

Może Julia znajdzie sprzymierzeńca w Królowej Serc. Chciałabym się zobaczyć z doktor Sheperd.

- Mogę zapytać, w jakiej sprawie?

- W sprawie mojej córki. Jest ciężko chora.

- Ja jestem Diana Sheperd. - Diana była w swoim pokoju i usłyszała tę rozmowę. - Proszę wejść.

- Dziękuję.

Diana wprowadziła Julię do przestronnego biura i wskazała jej jeden z miękkich foteli pod ścianą z wielkim oknem wychodzącym na Manhattan.

- W czym mogę pani pomóc? - spytała, kiedy usiadły. Z sympatią i współczuciem patrzyła na tę młodą matkę. Postanowiła w duchu, że zrobi wszystko, co będzie w jej mocy.

- Jestem Julia Lawrence.

Diana w pierwszej chwili nie zorientowała się, kto to jest. W ciągu tych kilku miesięcy, odkąd zaczęła spotykać się z Jeffreyem, wyrobiła sobie pewne zdanie na temat jego żony. Nie na podstawie jego słów, lecz jego pełnego bólu milczenia. Wyobrażała sobie Julię jako piękną, skoncentrowaną na sobie, wyrachowaną kobietę - współczesną Kleopatry, która usidliła Jeffreya, a potem rzuciła go bez cienia wyrzutów sumienia. 252

- Jeffrey i ja... - dodała Julia po chwili, kiedy stało się oczywiste, że Diana nie zna

nawet jej imienia.

- Ach tak... - Diana nagle zrozumiała. Więc ta śliczna, nieśmiała kobieta jest żoną Jeffreya? Diana zdała sobie sprawę, że Jeffrey tak właśnie przedstawił Julię wtedy w Londynie, kiedy po raz pierwszy i ostatni o niej rozmawiali. W jego głosie było tyle czułości, tyle uczucia i dumy, kiedy opowiadał o swojej wybitnie inteligentnej, a zarazem tak nieśmiałej żonie, kochającej matce ich dziecka. Później jednak Diana doszła do wniosku, że był to portret namalowany przez człowieka, którego zaślepiała miłość. Teraz pojęła, że wcale tak nie było. - W czym mogę ci pomóc, Julio?

- Czy Jeffrey opowiadał ci o naszej córce Merry?

- Tak. - Naszej córce? Jeffrey powiedział Dianie, że niewinne oczy Julii potrafią kłamać bez drgnienia powieki. Jednak teraz w tych oczach była taka rozpacz i determinacja, że Diana nie mogła uwierzyć, by Julia kłamała.

- W zeszłym tygodniu Merry dostała nagle krwotoku. Okazało się, że to wrzód żołądka. A potem lekarze odkryli jeszcze, że ma anemię aplastyczną.

- Jeffrey nic o tym nie wie?

- Nie chciałam mu o tym mówić, ale Merry prawdopodobnie czeka przeszczep szpiku kostnego. Doktor McGregor już przebadał mnie pod tym kątem. Mogę być dawcą, ale niewykluczone, że Jeffrey będzie jeszcze lepszy.

- Rozumiem - odparła Diana. Zastanawiała się właśnie, co powiedzieć, kiedy zadzwonił telefon, którego numer znali tylko lekarze i pielęgniarki z oddziału intensywnej opieki medycznej. Zazwyczaj kiedy dzwonił, chodziło o kogoś z pacjentów. - Przepraszam. Muszę odebrać.

Tym razem jednak dzwonił ktoś spoza szpitala, kto także znał ten numer.

- Dzień dobry, pani doktor.

- Cześć - Diana zazwyczaj odpowiadała ciepło witam, panie redaktorze, ale tym razem jej głos brzmiał oschle.

- Myślałem o naszej ostatniej nocy.

- Tak. - Ubiegła noc, kiedy z ulgą poczuli, że stare rany w ich sercach zaczynają się goić. Ubiegła noc była początkiem czegoś, co mogło połączyć ich ze sobą na zawsze. Oboje o tym wiedzieli. - Nie mogę teraz rozmawiać.

- Domyśliłem się tego. Kocham cię, Diano.

25ł

- Ja też. Porozmawiamy później.

Wracając na swój fotel, Diana zastanawiała się, czy Julia domyśliła się, kto dzwonił. A zaraz potem fiołkowe oczy Julii powiedziały jej, że tak, i że sprawiło jej to wielki ból.

Przecież to od Jeffreya, Julio. Tak strasznie go zraniłaś.

Ale to Julia wyglądała na zranioną, jakby nie pamiętała, co się stało. Tak jak najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy, że Merry nie jest dzieckiem Jeffreya, nie może być. Jeffrey i Diana wiedzieli o tym, ale Julia nie dopuszczała do siebie takiej myśli.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Julio?

- Pomyślałam, że gdybyś porozmawiała z Jeffreyem, może zgodziłby się na badanie krwi.

- Oczywiście, że się zgodzi. - Diana знаła ten strach i desperację matki, która próbuje za wszelką cenę ratować swoje umierające dziecko. Tak, znała to dobrze, przeżywała kiedyś to samo... - czy może być inaczej?

- Myślałam, że ci powiedział... Jeffrey nigdy nie chciał Merry.

To nieprawda, pomyślała Diana na wspomnienie smutku, który widziała w jego oczach, kiedy opowiadał, jak kiedyś modlił się o cud, kiedy wspominał tę małą dziewczynkę, która nie była jego dzieckiem, ale zaważnęła jego sercem.

- Jeffrey jeszcze dziś podda się badaniu, Julio - powiedziała Diana spokojnie, choć czuła zamęt w głowie. - Obiecuję. Czy zgadzasz się, żebym porozmawiała o Merry z doktorem McGregorem?

- Oczywiście. Dziękuję.

Kiedy Julia była już w drzwiach, Diana omal nie powiedziała, że to mało

prawdopodobne, by krew Jeffreya... Ale nie zrobiła tego, bo Julia tak bardzo potrzebowała teraz nadziei. A także dlatego, że może jednak...

Godzinę później Diana pojawiła się w biurze Jeffreya z małą papierową torebką, w której przyniosła igły, strzykawkę, małe szklane fiołki, waciki i opaskę uciskową. Jeffrey powitał ją czułym uśmiechem, ale był trochę zaskoczony, kiedy wyjęła zawartość torebki.

- Możesz dać mi swoje ramię?

- Mogę dać ci siebie całego. O co chodzi, Diano?

Diana nie odpowiedziała. Wprawnie podwinęła rękaw jego koszuli, założyła opaskę, przetarła skórę wacikiem nasączonym alkoholem, wbiła igłę w żyłę i napełniła strzykawkę krwią. Potem wstrzyknęła krew do fiolek i usiadła naprzeciw niego, przyglądając mu się w zamyśleniu. 254

- Dziś rano była u mnie w szpitalu Julia.

- Julia? Po co?

- W zeszłym tygodniu Merry została przewieziona do szpitala w Southampton z powodu krwotoku z wrzodu żołądka.

- Boże! - Jeffrey zbladł. - Jak się czuje?

- Krwotok został powstrzymany, a wrzód nie wymaga operacji, jednak pojawił się też inny, poważniejszy problem.

- Poważniejszy?

- Merry ma anemię aplastyczną.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że Merry potrzebuje transfuzji krwi tak długo, aż jej szpik się zregeneruje. Jeśli to nie nastąpi, konieczny będzie przeszczep. Rozmawiałam już z jej lekarzem. Mówi, że samoistna regeneracja szpiku jest w przypadku Merry bardzo mało prawdopodobna i chce jak najszybciej przeprowadzić przeszczep. Ponieważ Merry nie ma rodzeństwa, najlepszymi dawcami będą jej matka i ojciec. Julia jest dość dobrym dawcą, ale istnieje szansa, że jej ojciec będzie jeszcze lepszym.

Diana spojrzała na fiołki wypełnione krwią Jeffreya.

- Diano?

- Z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że nie możesz być ojcem Merry. Ale Julia jest pewna, że nim jesteś.

- Przecież wie, że tak nie jest.

- Nie, nie wie. Julia jest kochającą matką, która rozpaczliwie próbuje ratować swoje umierające dziecko. Wierzy święcie, że jesteś ojcem Merry, i ma nadzieję, że twój szpik okaże się dla Merry lepszy niż jej własny.

- Ale dlaczego przyszła do ciebie, a nie do mnie?

- Nie wiem. Musiało być jej bardzo trudno przyjść z tym do mnie. Była u mnie akurat wtedy, kiedy zadzwoniłaś. Domyśliła się, że to ty, i widziałam, że sprawiło jej to wielki ból.

- Dlaczego? Przecież to ona ode mnie odeszła.

- Nie wiem. Nie znam odpowiedzi na wiele innych ważnych pytań. Julia wierzy, że jesteś ojcem jej dziecka, którego nigdy nie chciałaś.

- Nie chciałem... - powtórzył cicho Jeffrey. W głowie huczały mu słowa Julii: Nigdy mi nie wybaczysz, że urodziłam Merry! Nawet teraz, po tylu latach, żałujesz, że ją urodziłam. Chciałaś, żebym przerwała ciążę, prawda? □ O co poprosiła cię Julia, Diano?

- Ąebym zapytała, czy zgodzisz się na badanie krwi.

- Naprawdę sądziła, że mógłbym odmówić?

255

- Nie wiem. Może - powiedziała Diana, patrząc w jego udręczone, niedowierzające oczy. - Wyglądało to tak, jakby sama bała się prosić cię o to.

- Bała się? - jęknął Jeffrey. Jak Julia mogła się go bać? Ale Jeffrey wiedział, że kilka razy ją przestraszył, kiedy gniewnie domagał się, by powiedziała mu, kto jest ojcem Merry. Tak bardzo nie cierpiał tego wyrazu lęku w jej pięknych, fiołkowych oczach! A tak bardzo chciał, żeby zawsze była pewna jego miłości! Ale jej kłamstwa, jej tajemnice

sprawiły mu taki ból.

- Musimy znaleźć odpowiedź na wiele pytań, Jeffrey - powiedziała Diana. Kiedy spojrzął jej w oczy, dodała:

- Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- Tak?

- Być może Julia zostawiła cię dla kogoś innego, ale ciągle nosi na palcu obrączkę, którą jej dałeś.

O wpół do dziewiątej Diana zadzwoniła do laboratorium, żeby poznać wyniki badania krwi Jeffreya. Już wcześniej otrzymała dane pochodzące z próbek krwi pobranych od Merry i Julii. Lata pracy przy przeszczepach serc sprawiły, że znała się na typologii tkanek.

- Och, Jeffrey - wyszeptała cicho. - Merry jest twoją córką, kochanie.

- Nie wierzę. - W oczach Jeffreya pojawiły się łzy. Nie mógł mówić. Miał wrażenie, że czas się zatrzymał, a ziemia przestała kręcić. Potem nagle zdał sobie sprawę ze znaczenia tego, co dotychczas mówił i robił. Przez dziesięć lat twierdził, że nie jest ojcem swojej własnej córki. Przez dziesięć lat oskarżał kobietę, którą kocha, o kłamstwo. - Diano, jesteś tego pewna?

- Tak, zupełnie pewna. Jesteś idealnym dawcą dla Merry. Znacznie lepszym niż Julia. Słowa Diany pozwoliły mu wrócić do tego, co było teraz najważniejsze.

- Więc to ja powinienem być dawcą?

- Tak. Mam zadzwonić do doktora McGregora? Dał mi swój domowy numer telefonu.

Phil McGregor powiedział, że Jeffrey jest zdumiewająco dobrym dawcą szpiku dla Merry. 256

- Jest pan skłonny dać swój szpik córce, panie Lawrence?

- Oczywiście.

Dałbym własne serce, gdyby Merry go potrzebowała.

- Dobrze. Zaplanujemy wstępnie przeszczep na pojutrze. Może zgłosić się pan do szpitala jutro rano? Musimy jeszcze zrobić kilka rutynowych testów przedoperacyjnych. Diana powiedziała panu, na czym polega przeszczep szpiku kostnego?

- Nie.

- Wyjaśnię panu wszystko ze szczegółami, kiedy zobaczymy się jutro. Pobierzemy szpik z pańskiej kości biodrowej. Zrobimy to pod narkozą. Później przez jakiś czas będzie pan odczuwał lekki ból, jak przy pęknięciu kości...

- Czy to będzie bolesne dla Merry?

- Nie. Przeszczep podobny jest do transfuzji krwi.

- Jakie są szanse powodzenia tego zabiegu?

- Jeśli pan będzie dawcą? Bardzo duże.

- I Merry wyzdrowieje?

- Miejmy nadzieję. Jutro rano proszę zgłosić się do laboratorium jeszcze dziś ich uprzedzę - potem na izbę przyjęć, a do mnie, powiedzmy, koło jedenastej. Dobrze?

- Świetnie. Czy powiedział pan już Julii?

- Jeszcze nie. Ale chciałbym, żeby dzisiaj się o tym dowiedziała.

- Oczywiście.

- Powie jej pan sam, czy ja mam to zrobić?

- Chyba jednak poproszę o to pana.

Upłynie jeszcze wiele czasu, zanim Jeffrey opanuje emocje i znajdzie właściwe słowa, które powinna usłyszeć Julia. Wiele czasu. A Julia musi się dowiedzieć o przeszczepie jak najszybciej.

- Mój Boże, jakim ja jestem człowiekiem? - zawołał Jeffrey po długiej, pełnej napięcia ciszy, która nastąpiła, gdy skończył rozmowę z doktorem McGregorem.

Stał przy oknie w salonie apartamentu Diany. Na zewnątrz padał śnieg, otulając Manhattan miękkim białym płaszczem. Wszystko wyglądało w nim tak czysto, dziewiczo, spokojnie.

- Jesteś wspaniałym, kochającym człowiekiem, Jeffrey.

- Wspaniałym? Kochającym? Czy może być coś gorszego niż odrzucenie swojego własnego dziecka? Pamiętasz naszą rozmowę o rodzicach Sama i Julii, o tym, jaką krzywdę wyrządzili swoim dzieciom?

257 a7 - Melodie miłości

- Ale oni wiedzieli, że je krzywdzą, Jeffrey. A ty nie miałeś pojęcia, że Merry jest twoją córką. Przecież mówiłeś, że Julia przez dziesięć lat trzymała ją z dala od ciebie.

- Bo myślała, że nigdy nie chciałem Merry. Starła się ją chronić. Nie chciała, żeby cierpiała z powodu ojca, który jej nie kocha. Julia dobrze zapamiętała własne pozbawione ciepła i miłości dzieciństwo. Trzymała ją z dala ode mnie, ale wierzyła, że pewnego dnia...

- Urwał nagle, uświadamiając sobie, jak cierpliwie Julia czekała na ten dzień, w którym on w końcu wyciągnie ręce do własnego dziecka. Wreszcie, po dziesięciu latach, kiedy nie mogła już dłużej czekać, poprosiła go, tak nieśmiało, przeproszająco, ale i z taką nadzieją, żeby znalazł trochę czasu dla Merry. Żeby mogli stać się prawdziwą rodziną. - Kiedyś nazwałaś mnie draniem, Diano. Miałaś absolutną rację!

- Przeciwnie, bardzo się myliłam.

- Nie, to ja się myliłem. Boże, byłem taki pewny siebie! Doprowadzam współpracowników do szału swoją skrupulatnością i bezwzględną uczciwością. Zwalniam ludzi za to, że nie dość dokładnie sprawdzają fakty... Czy mówiłem ci, jaką odbyłem rozmowę z tym reporterem, który zadał ci to okropne pytanie na konferencji prasowej?

- Nie, i nie musisz mi tego mówić. Jeśli zaś chodzi o Merry, sprawdziłeś wszystko bardzo dokładnie i starannie. W ten sposób doszedłeś do jedynego logicznego wniosku, choć chciałeś, żeby było inaczej. Jeffrey, przecież byłeś u kilku specjalistów, ostatnim razem zaledwie na kilka miesięcy przed narodzinami Merry, i co oni powiedzieli?

- Że to w zasadzie niemożliwe, żebym spłodził dziecko. W zasadzie...

- Merry przyszła na świat prawie dziewięć tygodni za wcześnie. A ty, chociaż rok wcześniej zrobiłeś program o wcześniakach i wiedziałeś dużo na ten temat, poszedłeś

jednak do lekarza Julii, który potwierdził, że Merry urodziła się za wcześnie - co najmniej o cztery tygodnie - ale jest w niezwykle dobrym stanie jak na wcześniaka.

- To był kolejny cud, Diano. Julia o tym wiedziała. Powiedziała mi, z takim wzruszeniem i zachwytem, że Merry jest cudem. A ja jej nie uwierzyłem. Nie uwierzyłem w ten cud, choć bardzo tego chciałem.

- Bo fakty ci na to nie pozwoliły.

- Powiniemem być zrobić więcej. Mogłem już wtedy poddać się takim testom. Nawet o tym nie pomyślałem, bo nie miałem cienia wątpliwości, że Merry nie może być moim dzieckiem. I ja uważam się za dobrego dziennikarza?

- Jeffrey, dziesięć lat temu nie było takich testów. Wtedy dowiedziałbyś się najwyżej, że ty i Merry macie te same grupy antygenów, 258 nawiasem mówiąc, najczęściej występujących. Do niedawna badanie krwi mogło być pomocne najwyżej w wykluczeniu ojcostwa, nie w potwierdzaniu go. Dziesięć lat temu nie dowiedziałbyś się tego, czego dowiedziałeś się dziś. Teraz masz stuprocentową pewność, że zdarzył się cud.

- Dziesięć lat za późno!

- Nigdy nie jest za późno na miłość

- Nie pozwolisz, żebym się znenawidził, prawda?

- Wiem, że mimo wszystko będziesz się obwiniał i oskarżał. Ale pamiętam też, jak pewien wspaniały, dobry człowiek powiedział mi kiedyś, że powinnam sobie wiele wybaczyć.

- Powiedziałem, że powinnaś sobie wybaczyć śmierć córki, którą bardzo kochałaś, śmierć, za którą nie byłaś odpowiedzialna. A ja odrzuciłem swoją córkę i ponoszę za to całkowitą odpowiedzialność. Muszę...

- Wiem. Idź. - Diana widziała udrękę w jego oczach, czuła jego niepokój. Teraz Jeffrey musiał zostać sam ze swoimi emocjami. A później będzie musiał spotkać się z Julią. Może odnajdzie jeszcze miłość, która łączyła go z tą kobietą, matką jego dziecka. Kobieta, która, jak się w końcu okazało, nigdy go nie okłamała i ciągle nosi na palcu

obraczkę. Diana życzyła mu tego szczęścia z całego serca.

Szpital Memorial znajdował się zaledwie kilka kroków od apartamentu Diany. Jeffrey najpierw tam poszedł, słuchając skrzywienia śniegu pod podeszwami swoich butów. Poszedł tam... zobaczyć swoją córkę.

Skończyła się pora odwiedzin i w szpitalu było teraz cicho i pusto. Jeffrey wiedział, że rodzice ciężko chorych dzieci mogli tu przebywać nawet w nocy.

Zwolnił kroku, zbliżając się do pokoju Merry, nagle pełen obaw związanych ze spotkaniem z tą małą dziewczynką, którą odrzucił, jak tylko się urodziła. A także pełen obaw przed spotkaniem z Julią.

Ale może Julii tu nie ma? Może doktor McGregor nie powiedział, że wolno jej zostawać po godzinach odwiedzin?

Większość sal na oddziale pediatrycznym była pusta i ciemna z powodu świąt. Jeffrey zobaczył smugę światła, padającą z uchylonych drzwi pokoju Merry.

Jego córka była sama. Siedziała na łóżku, wsparta na poduszkach, i czytała książkę w bladioróżowej okładce. Światło nocnej lampki lśniło w jej włosach, tworząc złocistą aureolę.

Jeffrey zatrzymał się w drzwiach i patrzył na nią. Była taka poważna, blada. Na chudziutkich rączkach miała ciemne sińce po nakłuciach i wielkie fioletowe ślady po opaskach uciskowych.

259

Merry wyglądała na całkowicie pogrążoną w lekturze. Nie odrywała oczu od książki i uśmiechała się lekko do siebie. Jeffrey był zadowolony, że nie został zauważony, potrzebował czasu, by opanować emocje. Nagle jednak Merry podniosła głowę, a w jej oczach pojawiła się radość i zdumienie.

- Tatuś!

- Och, Merry! - Jeffrey podszedł do niej i usiadł na brzegu łóżka. Delikatnie dotknął jej złotych włosów, bladych policzków, szczupłych ramion. Chciał ją do siebie

przyciągnąć, uściskać, ale bał się, że sprawi jej ból.

- Wiedziałałam, że wrócisz!

- Merry, kochanie...

- Tatusiu, dlaczego płaczesz? Nie płacz!

- Płaczę, ponieważ tak się cieszę, że cię znowu widzę. - Jeffrey ujął jej bladą buzię w drżące dłonie. - Płaczę, bo chyba nie byłem dla ciebie najlepszym tatą - wyznał cicho.

- Ależ byłeś!

- Nie.

- Tak! Byłeś po prostu bardzo zajęty, bo twoja praca jest bardzo ważna. Musiałeś często wyjeżdżać, ale to nie znaczy, że mnie nie kochałeś...

- Kocham cię, bardzo cię kocham, Merry. Tak bardzo tęskniłem za tobą!

- Mama zawsze mi powtarzała, że bardzo mnie kochasz. Mówiła, że pewnego dnia zaczniesz spędzać ze mną więcej czasu. Mama nigdy nie kłamie.

- Tak. Mama nigdy nie kłamie.

Jaki wspaniały dar ofiarowała mu Julia - dała mu miłość jego córki, choć przecież Merry powinna go nienawidzić.

- Bałam się jednak, że już nigdy nie wrócisz - ciągnęła Merry. Dlatego zrobił mi się ten wrzód w brzuchu.

- Och, kochanie...

- Już czuję się lepiej, tato, naprawdę. Jak tylko zrobią mi przeszczep szpiku, zaraz wyzdrowieję.

- To będzie już pojutrze, Merry. Ja będę dawcą szpiku.

- Ty?

- Tak, ja.

- I wrócisz do nas, prawda?

- Och, Merry - szepnął Jeffrey. Tak bardzo chciałby wrócić! - Będę z tobą tak często, jak tylko się da, ale mama może nie chcieć, żebyś wrócił do domu. 260

- Nie, tatusiu, mama bardzo chce, żebyś wrócił! Tęskni za tobą. Wiem, że płacze, chociaż nie chce, żebym to widziała.

- Naprawdę? - spytał Jeffrey z nadzieją, czując nowe, gorące łzy wzbierające mu pod powiekami. Oderwał wzrok od twarzy Merry, chcąc je powstrzymać. Dotknął książki, którą czytała. - Coś ciekawego?

- Tak, to jedna z tych historii, które mama mi opowiadała, kiedy byłam mała.

Kiedy byłam mała. Na myśl o wszystkich tych latach, kiedy nie interesował się córką, Jeffrey zabołało serce. Ale, Merry przecież ciągle jest małą dziewczynką, choć zaczęła już dorastać, stawać się panienką.

- Pamiętam, jak mama opowiadała ci te historie, Merry. Pamiętam smoka Daphne i węże morskie, które nazywały się Cecily i Robert... Głos mu się załamał. Przypomnił sobie podróż z Los Angeles do Nowego Jorku i obawę Julii, że jego śliczna, bystra córka może mu przeszkadzać. Ale był zachwycony opowieściami Julii i podobało mu się podekscytowanie Merry, kiedy wyciągnęła przed siebie ręczki, wołając radośnie: Krówki, mamo! Muuu! Muuu! □

- Tu jest portret Daphne.

- Świetny.

- Patrick go zrobił.

- Patrick? Instruktor jazdy konnej z klubu?

- Tak. Był u nas na kolacji tego dnia, kiedy dostałam krwotoku. Trzymał mnie cały czas na rękach, kiedy jechaliśmy do szpitala, bo mama prowadziła. A to jego krew. - Merry wskazała plastikową torebkę, wypełnioną gęstym czerwonym płynem, wiszącą nad jej łóżkiem. Krew wolno spływała cienką rurką do jej żyły, dając jej siłę, utrzymując przy życiu.

Jeffrey przypomniał sobie Patricka, tego przystojnego, smukłego mężczyznę, którego krew ratowała jego dziecko. Czy Patrick ratował też Julię, czy pomagał jej przetrwać złe chwile, dając jej rozkosz i słuchając jej cichych westchnień, które dla Jeffrey'a były

zawsze źródłem niewysłowionej radości?

- Tatusiu, co się stało?

- Nic, kochanie. Myślałem o czymś. Chcesz, żebym ci poczytał, zanim pójdziesz spać?

- Tak.

Bez wahania, jakby ojciec co dzień przychodził wieczorem, by jej poczytać, Merry przesunęła się trochę, żeby Jeffrey mógł usiąść bliżej, a potem oparła się o niego. Jeffrey objął ją ramieniem, czując jej ciepło i zaufanie. Z własnej woli pozbawiał się dotąd takich cudownych chwil!

26ą

- A może po prostu opowiem ci pewną historię, Merry? - spytał w końcu, przerywając tę cudowną, spokojną ciszę. Podniósł wzrok znad książki ozdobionej tak pięknie przez Patricka i zaproponował:

- Może opowiem ci o dniu, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem i wziąłem na ręce?

- Dobrze - zgodziła się Merry z zapalem, przysuwając się jeszcze bliżej. Jej błyszczące oczy spowaźniały, dotknęła jego wilgotnego policzka szczupłymi palcami. - Ale jeśli tym się smucisz, to lepiej mi poczytaj.

- To łyzy radości, kochanie - wyszeptał Jeffrey. - A poza tym, Merry, kiedy pierwszy raz wziąłem cię na ręce, akurat rozpaczliwie płakałaś.

- Naprawdę?

- Tak. Prawdopodobnie byłaś zła, że zrobiłem to tak późno, bo kiedy cię podniosłem, natychmiast przestałaś płakać.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Jeffrey czule pocałował ją w czołko, szukając innych wspomnień związanych z Merry. Ale było ich tak niewiele, tak boleśnie mało! Przytulił ją teraz do siebie delikatnie i zaczął opowiadać o wszystkim, co zostało mu w pamięci.

Merry zasnęła w jego ramionach z uśmiechem na ustach, a Jeffrey jeszcze przez

długą chwilę siedział koło niej, czując łzy znowu spływające mu po policzkach. W końcu wstał, delikatnie ułożył jej głowę na poduszce, otulił ją kocem i zgasił światło.

- Kocham cię, Merry - wyszeptał cicho, całując ją w policzek. Kocham cię.

! J effrey krążył po Manhattanie, nie zwracając uwagi na coraz mocniej syjący śnieg, dojmujące zimno, świąteczne dekoracje i dobiegające z oddali dźwięki kolęd. Zagubiony w zadymce własnych wspomnień, zamknięty w szklanej kuli pełnej płatków śniegu, ze scenarią Manhattanu w środku. Cały jego świat przewrócił się do góry nogami.

Wędrował przed siebie bez celu, zatopiony w rozmyślaniach, aż zszedł z krawężnika na jezdnię - dopiero pisk hamulców i dźwięk klaksonu wyrwały go z zamyślenia.

Merry potrzebuje mojego szpiku, przypomniał sobie. Muszę o siebie dbać. Muszę żyć dla Merry. 262

Dalej krążył po ulicach, teraz jednak wystrzegał się ciemnych zaułków, pozostając wśród spóźnionych przechodniów na Piątej Alei. Śnieg tańczył wokół niego na wietrze i zaczynało mu się robić zimno. Jego myśli też zdawały się tańczyć, a od tego jego serce ogarnęło zimno jeszcze dotkliwsze i bardziej przejmujące.

Muszę żyć dla Merry. Ta myśl jako pierwsza wyłoniła się z upiornego tańca. Kilka godzin później pojawiła się druga: muszę porozmawiać z Julią. Muszę jej powiedzieć.

Od pielęgniarki Merry Jeffrey dowiedział się, że Julia zatrzymała się w hotelu Clairmont, naprzeciw Szpitala Memorial. O północy Jeffrey wszedł do ciepłego, jasnego holu, znalazł telefon i poprosił o połączenie z pokojem Julii.

Myślał, że nie może być bólu większego niż ten, który dręczył go od kilku godzin. - Wydawało mu się tak do chwili, kiedy usłyszał w słuchawce męski głos.

- Patrick?

- Tak.

- Mówi Jeffrey Lawrence. Mógłbym porozmawiać z Julią?

- Chwileczkę.

Czy Julia podejdzie do telefonu? Czy można się jej dziwić, gdyby nie chciała z nim

rozmawiać?

Ale Julia podeszła do telefonu.

- Jeffrey?

- Tak, to ja, Julio. Chciałem się tylko upewnić, czy doktor McGregor powiedział ci...

- Tak, Jeffrey. Dziękuję.

Jego serce wołało, żeby mu nie dziękowała. Powiedział jednak spokojnie:

- Doktor McGregor jest dobrej myśli. Merry na pewno wyzdrowieje.

- Tak - odparła Julia.

- Julio? Mógłbym się z tobą zobaczyć? Muszę ci coś powiedzieć.

- Och!

Tylko jedno słowo, wypowiedziane tak cicho, ale Jeffrey dosłyszał w nim obawę. Julio, nie bój się, nie bój się mnie.

- Proszę - powiedział łagodnie. - Nie zabiorę ci dużo czasu.

- Dobrze.

- Dziś? Jestem w holu twojego hotelu. Na dole jest bar, możemy tam porozmawiać.

261

- Może po prostu przyjdiesz do mojego pokoju? - zaproponowała Julia. Wiedziała, co Jeffrey chce jej powiedzieć, i wołała wysłuchać tego w samotności.

- Dobrze. Ale chciałbym być z tobą sam.

- Będziemy sami.

- Cześć. - Czuł, że serce zaczyna mu bić szybciej, jak zawsze, kiedy ją widział. Uśmiechnął się słabo do poważnych fiołkowych oczu, które tak bardzo kochał i za którymi tak bardzo tęsknił.

- Cześć. Wejdz, proszę.

Jeffrey spodziewał się, że zobaczy wspólny pokój Julii i Patricka. Zgodnie z obietnicą Julii byli sami, ale nic też nie wskazywało na to, że Patrick tu mieszkał.

- Patrick poszedł do baru?

- Poszedł do swojego pokoju.

- Ach tak.

- Chciałeś mi coś powiedzieć? - Jeffrey nie odpowiedział od razu na to pytanie, ale smutny, przepaszający wyraz jego oczu potwierdził tylko to, czego Julia się spodziewała. Ciągnęła więc cicho, chcąc mieć to jak najszybciej za sobą. - Czy chodzi o to, że złożyłeś pozew o rozwód?

- Nie, nie o to chodzi - powiedział Jeffrey z głębokim smutkiem. Julio, aż do dziś byłem przekonany, że Merry nie jest moim dzieckiem.

- Jeffrey - zaprotestowała Julia szeptem, jakby obawiała się, że jego dalsze słowa sprawią jej jeszcze większy ból. - Byłeś na mnie zły za to, że ją urodziłam.

- Nie! Nigdy nie byłem na ciebie zły z powodu Merry. Sądziłem tylko, że coś przede mną ukrywasz... że ukrywasz fakt, iż Merry nie jest moją córką.

- Ależ w moim życiu nigdy nikogo innego nie było! Powiedziałam ci to!

- Wiem, Julio - wyszeptał Jeffrey. - Tylko że ja ci nie wierzyłem.

- Więc chciałbyś Merry? Kochałbyś ją?

- Chcę Merry. Kocham ją.

Jeffrey patrzył w jej piękne oczy i wiedział, że czeka ją jeszcze wiele bólu, bólu wspomnień związanego z tym, jak było i jak mogłoby być. Widział ogarniające ją fale smutku, wysokie, groźne fale, które jednak były tylko słabym zwiastunem huraganu czającego się za horyzontem. Nagle dostrzegł coś jeszcze w fiołkowych oczach... strach. Znowu ją przestraszył, choć chciał dać jej radość i szczęście! Skąd teraz ten strach?

- Julio? 264

- Będziesz chciał zabrać mi Merry, Jeffrey? Nie oddam jej - powiedziała Julia cicho.

- Będę o nią walczyła.

- Przecież wiesz, że nigdy nie mógłbym zrobić czegoś takiego. Och, Julie - jęknął cicho.

Julie. Imię, którym tylko on ją nazywał. Julię przeszył ból, który stał się wprost nie

do zniesienia, kiedy spuściła głowę, a Jeffrey drżącymi palcami odsunął pasmo włosów z jej oczu. Cofnęła się i usiadła na łóżku ze zwieszoną głową, jakby przyginał ją do ziemi ciężar ponad siły. Kurczowo zaciskała dłonie leżące na kolanach.

Nie miała obrączki.

Może Julia zostawiła cię dla kogoś innego - powiedziała mu niedawno Diana - ale ciągle nosi obrączkę, którą jej dałeś. Te słowa dodawały mu otuchy, były jak promień słońca w ciemności.

Jednak Julia nie nosiła już ślubnej obrączki. Na jasnej skórze obrączka nie pozostawiła żadnego śladu. Na smukłym palcu nie było wgłębienia. Ponieważ Julia bardzo teraz zeszczupiała, obrączka zsuwałaby się jej z palca, gdyby ją nosiła. Jeffrey patrzył na przytłoczoną bólem Julię, przygotowującą się na dalsze ciosy, i zastanawiał się, czy nie powinien odejść, zostawić ją w spokoju. Ale było coś, co powinna usłyszeć, słowa, które powtarzał w myślach w kółko, brnąc w śniegu.

- Julio, obiecuję, że zaraz sobie pójde, ale pozwól mi powiedzieć wszystko, z czym tu przyszedłem. Proszę.

Julia z rezygnacją kiwnęła głową.

- Chcę ci powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro. Nie proszę, żebyś mi wybaczyła, bo to, co zrobiłem, jest niewybaczalne. - Nabrał powietrza i ciągnął dalej:

- A jednak, mimo wszystko, ofiarowałaś mi bezcenny dar, miłość naszej córki. Kiedy do niej dziś poszedłem, była taka szczęśliwa, że ją odwiedziłem. Nie zasługuję na miłość Merry, ale jestem ci bezgranicznie za nią wdzięczny.

Julia podniosła głowę. Spojrzała na Jeffrey'ego przez łzy i opadające na twarz włosy.

- Byłeś dzisiaj u Merry?

- Tak. Musiałem się z nią zobaczyć. Wiem, że powinienem był najpierw poprosić ciebie o zgodę, ale... musiałem ją zobaczyć. Przepraszam.

- Jeffrey, Merry jest twoją córką. Bardzo cię potrzebuje. Chcę, żebyś się z nią widywał.

- Dziękuję.

Julia uśmiechnęła się słabo i znowu wbiła wzrok w swoje blade, leżące na kolanach ręce, na których nie było już obrączki. Jeszcze bledsze

265 niż przed chwilą, bo Julia tak mocno zaciskała palce, że krew przestała do nich dopływać.

- Dałbym wszystko, by móc zmienić przeszłość - powiedział Jeffrey po chwili milczenia. - Tak bardzo cię kochałem i wierzę, że kiedyś również ty mnie kochałaś. I chciałbym, żebyś wiedziała, że w głębi serca jestem tym samym człowiekiem, za którego wyszłaś za męża. Wiem, że trzymałaś Merry z dala ode mnie, bo myślałaś, że jej nie chciałem. Ale musisz też wiedzieć, że ja nigdy nie próbowałem się do niej zbliżyć, ponieważ uważałem, że nie jest moim dzieckiem. Nigdy umyślnie nie skrzywdziłem ani Merry, ani ciebie, choć wiem, że sprawiłem wam obu wielki ból. Jeffrey westchnął ciężko. - To wszystko, Julio. Marzyłaś, by stworzyć szczęśliwy dom dla tych, których kochałaś, i robiłaś to z taką miłością. Pewnie w to nie uwierzysz, ale marzyłem, abyś i ty czuła się szczęśliwa. Tak bardzo chciałem dać ci radość i szczęście, na które zasługujesz... ale nie udało mi się to. Rozumiem bardzo dobrze, dlaczego musiałaś znaleźć sobie kogoś innego. Dziwię się, że tak długo ze mną wytrzymałaś. Musiałaś mnie chyba znienawidzić za to, że odrzuciłem swoje własne dziecko.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, chciał podziękować jej za to, że go zechciała wysłuchać, ale nagle głos uwiązał mu w gardle. Stał chwilę bez ruchu, a potem ruszył w stronę drzwi. Położył już dłoń na klamce, kiedy zatrzymał go głos Julii. A to, co powiedziała, sprawiło, że na chwilę serce zamarło mu w piersi.

- Nie znalazłam nikogo innego.

Jeffrey odwrócił się gwałtownie i spojrzał na nią zdumiony zmianą, jaka w niej zaszła. Julia siedziała wyprostowana i dumna, jakby zrzuciła z ramion niewidzialny ciężar. Odrzuciła do tyłu gęste czarne włosy i widział dokładnie jej twarz, jej oczy, w których nie było już ani łez, ani bólu. Spojrzenie Julii było pełne nadziei, jak tamtego dnia

dziesięć lat temu, kiedy oderwała wzrok od morza i zwróciła go na niego w odpowiedzi na nieme wołanie jego serca.

- Julie - wyszeptał Jeffrey drżącym głosem. - Powiedziałaś mi przecież, że musimy się rozstać, ponieważ jest ktoś inny.

- Tak. Miałam na myśli Dianę.

- Zaczęłam spotykać się z Dianą po tym, jak powiedziałaś mi, że z nami już koniec.

- Widziałam cię z nią w Londynie.

- Poleciałaś za mną do Londynu?

- Tak. I widziałam cię z Dianą w Hyde Parku. - Julia powiedziała to bez gniewu, trochę zakłopotana. Zakłopotana, bo może się jednak myliła? Ponieważ nigdy żaden mężczyzna z wyjątkiem męża nigdy jej nie dotykał ani nie uśmiechał się do niej w taki sposób, tamtego jesienno-go dnia Julia była pewna, że patrzy na parę kochanków. Ale później, zwłaszcza w ciągu kilku ostatnich tygodni, Patrick, jej niezawodny przyjaciel, dotykał ją, przytulał, uśmiechał się do niej, a przecież nie miało to nic wspólnego z miłością. - Widziałam, jak na nią patrzyłeś, a potem odsunąłeś jej włosy z twarzy.

- Dlatego, kiedy zrobiłem to przed chwilą, tak się zdenerwowałaś?

- Tak.

- Och, Julie - wyszeptał Jeffrey z nadzieją i miłością. - Diana była wtedy bardzo przygnębiona. Chciałem jej pomóc. Oboje byliśmy wtedy bardzo smutni i razem opłakiwaliśmy utratę miłości. Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą, kochanie, nawet bardzo, ale nic poza tym. Opowiadałem jej przez cały weekend o tym, jak bardzo cię Kocham i jak bardzo się boję, że cię utracę. Diana słuchała mnie i zapewniała, że tak wielka miłość nie może się ot tak, po prostu, skończyć. Wiedziała, że Kocham cię ponad wszystko. I wie, jak bardzo nadal cię Kocham. Powiedziała mi, że kiedy przyszedłaś do niej, miałaś na palcu obrączkę. Naprawdę tak było?

- Tak. Zdjęłam ją, kiedy zadzwoniłeś do mnie z holu. Myślałam, że przyszedłeś mi powiedzieć, że złożyłeś pozew o rozwód.

- Nośiłaś ją, bo miałaś nadzieję, że znowu będziemy razem?

- Nie śmiałam nawet o tym marzyć - Julia wzruszyła lekko ramionami. - Po prostu musiałam ją nosić.

- A ja po prostu musiałem zdjąć moją, choć bardzo tego nie chciałem.

- Jeffrey...

- Słucham, kochanie?

- Nigdy cię nie znienawidziłam. Ale jak ty musiałeś mnie nienawidzić, kiedy sądziłeś, że oszukuję cię w takiej ważnej sprawie.

- Nie, zawsze cię kochałem. I zawsze będę cię kochał. - Jeffrey uśmiechnął się do niej czule, z nadzieją. - Powiedz mi, Julie, czego teraz chcesz?

- Tego, czego zawsze chciałam. Żebyś mnie kochał. - Julia urwała, a potem wypowiedziała na głos drugą część swojego marzenia:

- I chcę, żebyś kochał naszą córkę.

- Kocham was obie całym sercem.

Jeffrey wyciągnął do niej ramiona, a Julia z radością się w nie wtuliła, jak dawniej. Znowu byli razem, na zawsze. Jeffrey szeptał jej imię, całując czarne włosy, a potem spojrzał w fioletowe oczy, błyszczące teraz taką radością i szczęściem. Musiał zadać jej jeszcze jedno pytanie, na które próbował bezskutecznie sam znaleźć odpowiedź.

- We wrześniu powiedziałaś mi, że to ty jesteś odpowiedzialna za to, że zaszłaś w ciążę. Dlaczego?

267

- Bo wtedy istotnie cię oszukałam. Pozwoliłam, żebyś wierzył, że jestem starsza i doświadczona, a tak naprawdę miałam szesnaście lat i byłam zupełnie na to nie przygotowana.

- Och, kochanie! - Jeffrey czule ucałował jej usta i powiedział szczerze:

- Gdybym wtedy wiedział, że masz tylko szesnaście lat, i tak bym się z tobą kochał, gdybyś tego chciała, albo tylko całowałbym cię i przytulał, gdybyś tego nie chciała. Ale

gdybym wiedział, że to twój pierwszy raz, byłbym delikatniejszy.

- Byłeś bardzo delikatny.

Julia pocałowała go czule, zmysłowo. Nagle przypomniała sobie coś i odsunęła się.

- Julie?

- Włóżysz mi ją na palec? - spytała, wyciągając obrączkę z kieszeni swetra.

- Tak, najdroższa, za pół godziny.

- Za pół godziny?

- Tak, znowu weźmiemy ślub, będzie to taka nasza prywatna, mała ceremonia. Jeśli mnie jeszcze chcesz.

- Chcę.

- Więc pójdę do swojego mieszkania i przyniosę moją obrączkę.

- Ciągle ją masz?

- Oczywiście. I chcę, żeby znowu znalazła się tam, gdzie jest jej miejsce, jak najszybciej.

- Jeffrey, na dworze jest straszna zadymka.

- Nie, to cudowny, piękny śnieg. - Uśmiechnął się Jeffrey. - Tak bardzo cię kocham, Julie.

- Tak bardzo cię kocham, Jeffrey - odparła i dodała, marszcząc lekko brwi. - Jak pójdziesz po obrączkę, będę musiała spotkać się z Patrickiem. Czeka na mnie. Jesteśmy tylko przyjaciółmi, nie kochankami. Bardzo mi pomagał, kiedy ciebie nie było, a teraz potrzebuje mojej pomocy.

- Dlaczego?

- Został oskarżony o zbrodnię, której nie popełnił.

- O jaką zbrodnię?

- Nie mogę ci powiedzieć. Najpierw muszę porozmawiać z nim. Chcę go nakłonić do ucieczki, ale jeśli nie zechce tego zrobić, będzie potrzebował mojej, naszej pomocy. Dobrze?

- Dobrze.

Ufam ci, Julie. Teraz już zawsze będę ci ufał, do końca moich dni. 268

- Patrick, proszę cię.

- Nie pójdę do więzienia na zawsze, Julio. - Patrick zmarszczył brwi. Może jednak przy udziale błyskotliwej, utalentowanej Casey English zdołają zamknąć go na wieki i wyrzucić klucz. - A kiedy już wyjdę, będę w końcu naprawdę wolny. Nie będę musiał się ukrywać.

- Nie pójdziesz do więzienia. Nie pozwolę na to!

- Nie martw się o mnie. Teraz musisz myśleć o swoim życiu z mężem i córką. O mnie zapomnij. Sam wykopałem sobie grób.

- To nieprawda!

- Cóż, tak czy inaczej, mam dość uciekania. Rano wracam do Southampton, gdzie będę jeździł konno, malował i spacerował po plaży. Zaczekam, aż po mnie przyjdą. Nie martw się o mnie, Julio. Wszystko będzie dobrze.

- Mamusi! - Merry radośnie powitała Julię następnego ranka. Tatuś był tu wczoraj wieczorem! Och, tatuś jest z tobą!

- Tatuś będzie już zawsze ze swoimi dwiema dziewczynkami - powiedział Jeffrey, całując czule Merry. - Jak się czujesz?

- Lepiej! Brzuch mnie już nie boli i jestem silniejsza!

- Tak się cieszę, kochanie. Chciałem się tylko z tobą przywitać. Zaraz do was wrócę, ale najpierw muszę znaleźć kogoś, kto zastąpi mnie w pracy. - Spojrzał znacząco na Julię. Było jeszcze coś, co musiał zrobić tego ranka.

Pójdzie pożegnać się z Dianą. A kiedy już to zrobi, nigdy więcej się z nią nie spotka. Jeffrey przyrzekł to w nocy, leżąc koło Julii, tuląc ją i całując. Rozmawiali do późna, mówili o swoich lękach, dzielili się swoimi myślami, żeby stare rany mogły się wreszcie zagoić. Żeby ich miłość mogła znowu rozkwitnąć.

Teraz, kiedy Jeffrey milcząco przypomniał jej o swojej obietnicy, Julia uśmiechnęła

się do niego w odpowiedzi, nareszcie naprawdę pewna jego miłości.

Kiedy Diana wróciła z obchodu, Jeffrey czekał na nią w jej biurze. Spojrzała w jego niebieskie oczy, które nigdy nie kłamały, i natychmiast zrozumiała. Zobaczyła w tych oczach prośbę o wybaczenie i nadzieję... Prośbę skierowaną do niej, nadzieję na nowe życie z Julią i Merry.

- Cieszę się twoim szczęściem, Jeffrey - wyszeptala zgodnie z prawdą. Wiedziała, że będzie jej go bardzo brakowało, ale nie miała

269 poczucia klęski, które towarzyszyło jej, kiedy rozstała się z Samem i Chase'em.

- Mógłbym spędzić z tobą resztę swego życia, Diano.

- Wiem o tym.

Ale wiedziała też, że Julia jest jego największą miłością. Wiedziała o tym, bo ciągle nie mogła zapomnieć o Samie.

Jeffrey przyciągnął ją do siebie i stali tak, objęci, przez długą chwilę. Potem, jak na dany znak, odsunęli się od siebie i wyszeptali cicho:

- Ęgnaj.

- Panie Lawrence... Och, Julio, cieszę się, że także przyszedł - powiedział doktor McGregor, kiedy przyszedli do jego biura na umówione poprzedniego dnia spotkanie.

- Czy coś się stało?

- Wszystko w porządku, ale poziom płytek krwi i białych ciałek u Merry podniósł się wczoraj wieczorem. Dziś rano był jeszcze wyższy.

- Miała wieczorem transfuzję krwi.

- Tak, ale transfuzja wpłynęłaby tylko na poziom czerwonych ciałek. Być może następuje regeneracja szpiku.

- Regeneracja?

- Poleciłem przeprowadzić kolejne badanie krwi. Jeśli poziom białych ciałek i płytek będzie się nadal podnosił, wstrzymamy przeszczep.

- A więc istnieje taka możliwość, że jej szpik całkiem się zregeneruje?

- Tak, jeśli jego zanik został spowodowany czynnikami zewnętrznymi. Z wyników badań wynikało raczej coś innego, ale...

- Ale lekarze wierzą w cuda, jak wszyscy ludzie - wyszeptał Jeffrey słowa, które usłyszał od androloga na cztery miesiące przed narodzinami Merry.

" D zień dobry. Sędzia Barrington? Nazywam się Casey English. Dzień@

kuję, że zechciał pan poświęcić mi swój czas. Pracuję dla firmy Spencer i Quinn z Nowego Jorku. Przedtem pracowałam w Biurze Prokuratora Okręgowego w San Francisco, gdzie oskarżałam głównie w sprawach o gwałt. 270

- Rozumiem. O co chodzi?

- Dowiedziałam się, że pańska córka, Pamela, została zgwałcona pięć lat temu. Chciałabym z nią porozmawiać.

- W jakim celu?

- Ponieważ nadal jestem zaangażowana w sprawy związane z gwałtami. Zajmuję się też wpływem gwałtu na psychikę ofiary.

- To będzie zależało od Pameli.

- Oczywiście.

- Wczoraj wróciła z Paryża. Mieszka w tym roku za granicą, ale przyjechała do domu na święta.

- Chętnie przylecę do Louisville w dogodnym dla państwa terminie. Myślę, że rozmowa ze mną mogłaby bardzo pomóc Pameli. Czy Pamela nie boi się, że ten człowiek wróci i znowu to zrobi?

- Nie wiem. Szczerze mówiąc, nie rozmawiamy o tym.

- Ale ten człowiek nie został schwytany.

- To prawda.

- A więc pana córka może się obawiać jego powrotu.

- Niewykluczone. Porozmawiam z nią i zadzwonię do pani jutro.

Casey nie wiedziała jeszcze, co robi, jeśli nie uda jej się spotkać z Pamelą

Barrington. Jej obowiązkiem było poinformowanie policji o miejscu pobytu Patricka, gdy tylko poznała jego prawdziwe nazwisko.

Nie zrobiła tego jednak.

Postanowiła, że najpierw przejrzy dokumenty dostarczone jej przez prywatnego detektywa. Kiedy czytała o trudnym dzieciństwie Patricka, o matce, która na przemian zniknęła i wracała do jego życia, o rodzinach zastępczych, o jego bezdomności i głodzie, bolało ją serce.

To oczywiste, że James Patrick Jones zszedł w końcu na złą drogę. To oczywiste, że znienawidził bogatych i uprzywilejowanych. To oczywiste, że znienawidził kobiety...

To wszystko było takie prawdopodobne, logiczne. Casey miała przed sobą klasyczny portret psychologiczny kryminalisty - człowieka, który sam był kiedyś ofiarą, a teraz brał za to okrutny odwet.

Ale...

Ale coś nie pozwalało jej uwierzyć, że Patrick mógł popełnić akt takiej przemocy. Ten delikatny, czuły Patrick...

Poza tym w dokumentach, które dostała, znalazła coś jeszcze...

Według Pameli Barrington Patrick odnalazł ją, kiedy siedziała nad stawem w posiadłości jej ojca. Powiedziała, że zawsze się go trochę

27ą bała, a tego wieczora wydał jej się jeszcze bardziej przerażający, ponieważ był pijany i nieobliczalny. Miał w ręce prawie już pustą butelkę burbona. Chciał dać jej butelkę, a kiedy grzecznie odmówiła, zmusił ją, by napiła się alkoholu. Potem zmusił ją do pocałunku. Próbuąc go odepchnąć, zadrapała go w szyję, co jeszcze bardziej go rozwścieczyło. Odrzucił butelkę, która rozprysła się w tysiąc kawałków, a potem rzucił się na Pamelę i zgwałcił ją.

Sędzia potwierdził, że na szyi Patricka widniało krwawiące zadrapanie. Nie zbliżył się do niego na tyle, by stwierdzić, czy był pijany, ale zauważył, że miał nieprzytomne spojrzenie, a policja znalazła potłuczoną butelkę. Na szkle były odciski jego palców, które

wydały się Casey dokładnie takie same jak te, które John Tyler zdobył na przyjęciu weselnym pod koniec października.

Casey chciała ukarać Patricka za to, że tak boleśnie ją skrzywdził. Za to, że pozwolił jej wierzyć w swoją miłość, a potem tak bezwzględnie się jej pozbył. Za to, że wybrał jej rywalkę, Julię. Jednak jako prawnik, wierzyła w sprawiedliwość, chciała wysłuchać obu stron, zebrać wszelkie możliwe dowody i wydać sprawiedliwy wyrok.

Szczególnie dziwne wydało jej się oświadczenie Pameli, że Patrick był pijany tego wieczora. Kiedy siedzieli na romantycznej, zalanej światłem księżycy łące, Patrick powiedział Casey, że nigdy nie czuł się dość bezpiecznie, żeby pić. A ona mu uwierzyła, bo powiedział to tak cicho, a w jego szarozielonych oczach było tyle bólu. Poza tym widziała na własne oczy, jaki był zdumiony, kiedy poczuł działanie wypitego szampana.

Byłem pijany, kiedy ci powiedziałem, że cię kocham□Casey wzdrygnęła się na wspomnienie tych okrutnych słów. Nie, Patrick nie był pijany tamtej nocy, był najwyżej lekko wstawiony. Ale nie rozróżniał tych dwóch stanów, bo nigdy wcześniej nie pił alkoholu.

Dlatego właśnie Casey postanowiła spotkać się z Pamelą Barrington. Chciała, patrząc jej w oczy, zadać kilka niewygodnych pytań.

Casey powiedziała sędziemu prawdę. Bardzo angażowała się w sprawy związane z gwałtami... zwłaszcza kiedy mogła przypuszczać, że prawdziwą ofiarą gwałtu jest domniemany gwałcieciel.

Casey spotkała się z sędzią i Pamelą w salonie ich domu po południu dwudziestego drugiego grudnia. Posiadłość Barringtonów przypomiała Casey jej dom w San Francisco, który zawsze na Boże Narodzenie był podobnie dekorowany. Jej dom tak samo pachniał wtedy sosną, w kryształowych wazonach stały gałązki ostrokrzewu, a pod choinką piętrzyły się drogie, wymyślnie opakowane prezenty. Nie było to jednak szczególnie miłe wspomnienie. Te wspaniałe, wystawne święta nie były w jej domu radosne. Casey zawsze źle się wówczas czuła. Teraz, w tym wielkim domu w Louisville, czuła się równie

nieswojo, a poczucie to jeszcze wzrosło, kiedy w końcu poznała Pamelę Barrington.

Bo Pamela była taka do niej podobna: piękna, przekonana, że należy jej się od życia wszystko, czego tylko zapagnie. Kiedy mówiła o Patricku, jej oczy pociemniały trochę, ale nie było w nich strachu ani wstydu. Tylko złość i pragnienie zemsty. Prawdziwa ofiara gwałtu nie chciałaby się spotkać z Casey. Jednak Pamela wykorzystała tę okazję, by jeszcze raz odegrać swoją rolę. Jako zdolna, dobrze przygotowana aktorka była zadowolona, że ma nową publiczność.

- Widziałas, jak pił, Pamelu?

- Tak. Miał butelkę. Już był pijany, ale przy mnie wypił jeszcze trochę i zmusił mnie, żebym też się napiła.

- To był burbon?

- Tak. Jim Beam. Policja znalazła potłuczoną butelkę nad stawem.

- A gdybym ci powiedziała, że James Patrick Jones ma alergię na wszystkie rodzaje alkoholu, łącznie z burbonem?

Sędzia chciał coś wtrącić, ale Casey podniosła rękę.

- Zrozumiałaś moje pytanie, Pamelu? - A potem sprecyzowała swą myśl tak, jak zrobiłaby to na sali sądowej:

- Gdybym ci powiedziała, że nawet łyk alkoholu mógłby go zabić w ciągu kilku chwil?

Casey widziała, jak Pamela szuka w pamięci jakiegoś dowodu na to, że to nieprawda. Ale Pamela nigdy nie widziała, żeby James Patrick Jones pił alkohol. To ona próbowała go tamtej nocy zmusić do picia, a on odrzucił gwałtownie butelkę, jakby naprawdę bał się, że alkohol może go zabić.

- Pamelu? - powiedział sędzia z wahaniem, bo nie mógł w to uwierzyć. A potem powtórzył ostro:

- Pamelu?!

- Słucham? - Pamela szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, słysząc nie znaną jej

dotychczas surową nutę w głosie ojca.

- Czy James cię zgwałcił?

- On mnie nie chciał, tato - powiedziała Pamela spokojnie, jakby fakt, że James Patrick Jones ośmielił się jej odmówić, wystarczał za całe wyjaśnienie. - Rozumiesz mnie, prawda?

- Nie. Nie rozumiem.

271 ą8 - Melodie miłości

- On mnie nie chciał! - powtórzyła Pamela z naciskiem, rozdrażniona nagłym, niespodziewanym oporem ze strony ojca. - Musiał za to zapłacić, to chyba jasne, prawda?

- Zgwałcił cię, czy nie?

- Nie! Ale...

- Och, Pamela - sędzia westchnął ciężko, przerażony i zasmucony. A więc niesłusznie skrzywdzili Jamesa, a jego własna córka jest tak zepsuta, że nie ma najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu tego, co zrobiła. - Policja szuka go od pięciu lat. Gdyby go znaleźli, trafiłby do więzienia.

- Nic mnie to nie obchodzi! Zasłużył na więzienie!

Słuchając tej wymiany zdań między zimną, pozbawioną skrupułów Pamelą, a jej przerażonym ojcem, Casey również poczuła, że ogarnia ją przerażenie. Jak bardzo podobna jest do Pameli. Przecież też chciała, by Patrick zapłacił za to, że jej nie chciał.

- Pan Lawrence...

- Na litość boską, mów mi Jeffrey.

- Wejdz, Jeffrey. - Patrick otworzył szerzej drzwi do swojego małego mieszkania, w którym spędził z Julią tyle godzin. - Czy Merry jest już w domu? Kiedy rozmawiałem z Julią wczoraj wieczorem, powiedziała, że może wypiszą ją dziś ze szpitala.

- Tak, wyniki były bardzo dobre i Merry jest już w domu.

- To cudownie.

- Mieliśmy dużo szczęścia - powiedział Jeffrey cicho, z takim samym zdumieniem i zachwytem, z jakim dziesięć lat temu Julia opowiadała mu o tym, jak szybko ich córka doszła do siebie po swoim przedwczesnym przyjściu na świat. - Patricku, przyszedłem ci podziękować za wszystko, co zrobiłeś dla Julii i dla Merry, i powiedzieć ci, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

- Nie jestem gwałcicielem.

Jeffrey pokiwał głową. Nie wiedział, czy to prawda, ale postanowił zaufać Julii. Już zawsze będzie jej wierzył.

- Może byłoby lepiej, gdybyś się ujawnił?

- Wątpię, żebym mógł uniknąć więzienia.

Patrick wiedział, że Casey zaraz sprowadzi tu policję. Był na to przygotowany. Kilka ostatnich dni spędził, skacząc przez przeszkody, spacerując po plaży i malując. Ostatniej nocy skończył portret, który od tak dawna nie dawał mu spokoju. Portret Casey, jego cudownej Wenus, 274 wizerunek złudzenia. Wspaniały portret wisiał na ścianie w jego małej sypialni, przypominając mu o błędzie, jaki popełnił.

- Chcielibyśmy wszyscy - Merry, Julia i ja - zaprosić cię na kolację jutro wieczorem.

- Na kolację świąteczną?

- Tak.

Patrick z niedowierzaniem pokręcił głową. Merry i Julia mogły chcieć go zaprosić, ale Jeffrey?

- Zawsze będziesz mile widziany w moim domu, Patricku - powiedział Jeffrey, widząc jego zaskoczenie. - Uratowałeś moją żonę i córkę. Nigdy nie zdołam ci się za to odwdziaczyć.

Dwadzieścia cztery godziny później, kiedy Patrick wybierał się już na kolację do Belvédère, Casey zapukała do drzwi jego mieszkania.

- Naprawdę nie doceniałem cię, Casey. Nie sądziłem, że postanowisz zrobić to w dzień Bożego Narodzenia.

- Mogę wejść?

- Oczywiście. Gdzie policja? - spytał spokojnie, choć czuł, jak mocno bije mu serce. Nie ze strachu. Patrick nie bał się policji. Pogodził się już ze swoim losem. Serce szalało mu z powodu Casey. Miała na sobie idealnie skrojony granatowy kostium, a piękne, bujne włosy upięła w koczek. Wyglądała jak typowy prawnik z dużej firmy. Tylko te oczy jakby należały do kogoś innego.

Bo jej oczy były niepewne i szczerze, dokładnie takie, jak na portrecie, który wisiał w drugim pokoju, na portrecie, który był przecież tylko wspomnieniem złudzenia, jakiemu uległ artysta.

Casey powinna wyglądać zwycięsko, triumfalnie. A wyglądała jak kobieta, którą Patrick pokochał.

- Nie będzie żadnej policji. Mam tylko to. - Casey wyciągnęła ze swojej teczki dużą kopertę, usiłując przypomnieć sobie to wszystko, co chciała mu powiedzieć, te wszystkie słowa, które tyle razy powtarzała. W tej... w tej kopercie znajduje się kopia pisma Pameli Barrington, w którym odwołuje ona swoje oskarżenie, oficjalne oświadczenie policji w Louisville, że wszelkie zarzuty przeciw tobie zostały wycofane, i list od sędziego Barringtona. Wiem, że on bardzo cię lubił, szanował i ma straszne wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiła Pamela. Do listu dołączony jest czek na pięć milionów dolarów. Sędzia uważa, że jest to i tak niewielka suma w porównaniu z pięcioma latami życia, które zostały ci odebrane i których już nigdy nie odzyskasz. Te pieniądze są rodzajem

275 zadośćuczynienia, ale jeśli chcesz, możesz pozwać Pamelę do sądu za fałszywe oskarżenia. Jest już pełnoletnia, ma swój własny majątek i sędzia nie ma nic przeciwko temu, żebyś ją zaskarżył.

Patrick właściwie nie słuchał jej od chwili, kiedy dowiedział się, że wszystkie zarzuty przeciw niemu zostały wycofane.

- Casey, jak to zrobiłaś?

- Pamela zeznała, że byłeś pijany.

- Ale ty wiedziałaś, że to niemożliwe. I zmusiłaś Pamelę, żeby przyznała się do kłamstwa. Czy tak właśnie było?

- Tak, to ty byłeś ofiarą.

- Pojechałaś do Louisville i przesłuchiwałaś ją?

- Coś w tym rodzaju.

- Casey...

- Aha, twój portfel, paszport i świadectwo urodzenia też tu są. Ubrania i trofea jeździeckie, skonfiskowane przez policję, zostaną ci zwrócone pocztą. Są jeszcze obrazy...

- Wzrok Casey powędrował na ściany pełne barwnych obrazów. Nie miała ochoty oglądać mieszkania, w którym Patrick kochał się z Julią, ale nie miała siły nie patrzeć na niego. - Nie wiedziałam, że jesteś malarzem. - Muszę już iść. Nie mogę spóźnić się na samolot.

- Dokąd się wybierasz?

- Na Bermudy. Wracam za tydzień. Daj znać... mnie albo komuś z naszej firmy, jeśli zdecydujesz się wystąpić do sądu przeciw Pameli Barrington.

- Nie wystąpię.

- No cóż, możesz jeszcze zmienić zdanie.

- Nie zmienię zdania. Nie zależy mi na zemście.

Nie zależy ci na zemście, bo wiesz, co jest w życiu ważne. I wiesz, jak niszczącą siłą może być zemsta. Casey spojrzała na niego, uśmiechnęła się słabo i szybko odwróciła wzrok. Podeszła do drzwi.

- Casey?

- Słucham?

- Dziękuję.

- Nie ma za co - wyszeptwała i wyszła.

Patrick wiedział, że powinien biec za nią. Ale wydawało mu się, że ona jak najszybciej chce uwolnić się od jego towarzystwa. Poza tym był ciągle oszołomiony wiadomością, którą od niej usłyszał.

W końcu przypomniał sobie, że w Belvédère czekają na niego z kolacją... Ta myśl pozwoliła mu wrócić do rzeczywistości.

Kiedy już wyszedł z mieszkania, uświadomił sobie, że nie przejrzał dokumentów, nie przeczytał listu od sędziego, nie otworzył nawet koperty, żeby sprawdzić, czy w środku istotnie znajduje się czek. 276

Bo to wszystko nie miało znaczenia. Liczyło się tylko jedno - że znowu jest wolny. Źyje kolację ze swoimi przyjaciółmi w Belvédère jako wolny człowiek.

I że zawdzięcza to Casey.

Dwa dni po tym, jak Casey podarowała mu wolność, Patrick poleciał na Bermudy. Wiedział, gdzie się zatrzymała, bo dzwonił do wszystkich hoteli. A kiedy już dotarł na miejsce i zobaczył piękny budynek przycupnięty na skałach tuż nad piaszczystą plażą, w jego serce wstąpiła nadzieja. Może Casey wybrała to miejsce, bo przypominało jej mały domek nad oceanem, gdzie przeżyła wiele pięknych chwil?

Casey nie było w pokoju. Jednak intuicja podpowiedziała mu, gdzie jej szukać. Stroną, krętą ścieżką zszedł na plażę, zobaczył ją w oddali na skalnym występie. Stała wyprostowana, dumnie stawiając czoło falom i wiatrowi, a jej złotorude włosy lśniły w słońcu.

- Nie boisz się morza, prawda? - spytał Patrick, stając tuż za nią.

Casey nie słyszała jego kroków, bo ocean szumiał gniewnie, a wiatr świstał. Usłyszała jednak ciepły głos, który tak dobrze знаła.

- Patrick... - szepnęła do szmaragdowych, wzburzonych fal. Mówiła do oceanu, nie odwracając się do Patricka, ponieważ jej oczy nagle wypełniły się łzami, tak jak wtedy w czerwcu, kiedy się spotkali po raz pierwszy i Patrick ją uratował. - Co tu robisz?

- Nie spojrzysz na mnie?

Casey odwróciła się, nie próbując nawet, tak jak wtedy, ukryć łez.

- Zwróciłaś mi wolność, Casey. Wiesz, co to znaczy?

- Tak, wiem, Patricku - odparła cicho. - W lecie, kiedy byłam z tobą, również ja

czułam się wolna.

Casey omal nie zaprzepaściła tego daru, ofiarowanego jej przez Patricka, omal nie zatraciła się w nienawiści i zemście. Ale zwracając Patrickowi wolność, znowu zaczęła wierzyć, że może być tą kobietą, którą Patrick odkrył w lecie, tą wspaniałą, szlachetną, hojną kobietą, którą chciała zostać. Pragnienie zwycięstwa nie było w niej jednak tak silne, jak jej miłość do tego człowieka. Może w końcu nauczy się przegrywać z godnością.

- Dzięki tobie, Casey, mogę znowu jeździć konno, nawet stawać do zawodów, mogę malować i dzielić się swoją sztuką ze światem, mogę podróżować i pokazywać swój paszport na granicy bez strachu, że zaraz

277 pojawi się koło mnie policja. Ta wolność jest cudowna, Casey. Ale jest jeszcze inna wolność, ważniejsza i piękniejsza.

- Wolność, o której nie chciałeś mi powiedzieć w lecie.

- Tak. Najważniejsza i najpiękniejsza wolność miłości. Teraz mogę wreszcie kochać i nie obawiać się, że moja miłość skrzywdzi najbliższą mi osobę. Mogę poprosić o rękę kobietę, którą kocham. A jeśli się zgodzi, zamieszkać z nią w małym domku, który wybuduję na pięknej, obsypanej fiołkami łące.

- Na łące Julii. Teraz możesz ożenić się z Julią - wyszeptła Casey cicho. Tak, przegra z godnością i szlachetnie będzie życzyć Patrickowi szczęścia u boku swego dawnego wroga. - Julia przyszła kiedyś do naszego biura, żeby prosić mnie o pomoc w sprawie rozwodowej, a ja zachowałam się wobec niej bardzo nieuprzejmie. Powinnam ją za to przeprosić.

- Nie przyszła do ciebie w sprawie rozwodu, tylko dlatego, że Merry była bardzo ciężko chora.

- Och, a ja myślałam...

- Wiem, i Julia też o tym wie. Wszystko jest już w porządku. No, może nie całkiem, bo jeszcze nie usłyszałem słowa tak od kobiety, którą poprosiłem właśnie, żeby za mnie

wyszła.

- Patricku? - spytała Casey cicho, patrząc mu w oczy, w których było tyle miłości do niej.

- Casey, ja nie chcę ożenić się z Julią. Nigdy nikogo oprócz ciebie nie kochałem. Wyjdiesz za mnie, najdroższa?

- Och, Patricku! Czy przybyłeś tu, żeby znowu mnie uratować?

- eby z tobą zostać i kochać cię do końca moich dni.

- Jeffrey? - powiedziała Julia, wchodząc do biblioteki w Belvédère pewnej śnieżnej, styczniowej nocy o trzeciej nad ranem. - Co robisz?

- Czytam listy, które do mnie pisałaś, kiedy byłem w Bejrucie.

- Och, Jeffrey - Julia stanęła za nim i położyła mu dłonie na ramionach. Wyczuła jego napięcie, namacalny dowód na to, z jakim bólem czyta jej pełne miłości opisy codziennego życia córeczki. - Przestań się zdręczać.

- Tak wiele straciłem, tak wiele sam sobie odebrałem.

- Ale teraz niczego już nie tracisz.

- Z wyjątkiem tych godzin, kiedy muszę być w pracy.

- Przecież Merry i tak jest wtedy w szkole, a potem spotyka się z koleżankami. Mnie też jej wtedy brakuje, ale to teraz taka szczęśliwa, zdrowa i kochana dziewczynka. 278

- Tak. Tobie to zawdzięcza. To ty nie pozwoliłaś jej uwierzyć, że ojciec jej nie kocha, choć wszystko na to właśnie wskazywało.

- Okazało się, że miałam rację. - Julia ucałowała go czule, po czym odsunęła się trochę i spojrzała na niego wzrokiem zamyślonym i nieco zatroskanym.

- O co chodzi, kochanie?

- Merry zamierza odbyć z tobą poważną rozmowę, jak córka z ojcem. Już w ten weekend. Chyba lepiej, żebyś się już teraz dowiedział, co ci zaproponuje.

- Zamieniam się w słuch.

- Twoja córka marzy o siostrzyczce lub braciszku, a może nawet o jednym i drugim.

Ciągle wie niewiele o tym, skąd się biorą dzieci, i sądzi, że dziecko się pojawi, jeśli wszyscy troje bardzo tego będziemy chcieć.

- Merry chce, żebyśmy mieli drugie dziecko? - spytał Jeffrey cicho, a Julia dostrzegła smutek w jego oczach. Obawiała się, że jego reakcją będzie smutek, a nie radość, smutek, że ukochana córka, która w końcu uwierzyła w jego miłość, tak szybko zechce się nią podzielić z kimś drugim.

- Jeffrey, Merry nigdy nie wspominała o tym, że chciałyby mieć rodzeństwo. Teraz o tym marzy, a to oznacza, że jest pewna twojej miłości. Wie, że nic ani nikt już jej ciebie nie odbierze, że masz w sobie dość uczucia, by obdarzyć nim mnóstwo dzieci. Merry zawsze była bardzo dobrą i hojną małą dziewczynką.

- Jak jej matka. - Jeffrey uśmiechnął się, ale wkrótce jego twarz znowu posmutniała.

- Julie, ja nie zasługuję na...

- Owszem, zasługujesz, a twoje nie narodzone jeszcze dzieci także zasługują na takiego ojca, jak ty.

- Zasługują na ciebie jako ich matkę. Chciałybyś mieć więcej dzieci, kochanie?

- Bardzo.

- Teraz są nowe metody - zapłodnienie in vitro i temu podobne myślę, że moglibyśmy spróbować... Z czego się śmiesz?

- A co jest złego w starej, wypróbowanej metodzie? Przecież cały czas stosujemy zabezpieczenia. Spróbujmy je odstawić.

- Tak, ale ja naprawdę myślę, że poczęcie Merry było cudem.

- A ja myślę, że wszystkie dzieci to cuda.

- Tak - szepnęła Jeffrey. - Och, Julie, czy wiesz, jak bardzo cię kocham?

- Cały czas mi to mówisz, ale ja nigdy nie mam tego dość.

279

Julia spuściła głowę, a pasmo czarnych włosów opadło jej na oczy. Odsuwając je delikatnie, Jeffrey dostrzegł błysk smutku w fiołkowych oczach.

Jeffrey znalazł przyczynę tego smutku. Mimo że Julia była teraz bardziej pewna jego miłości niż kiedykolwiek, nie potrafiła wymazać z pamięci bolesnego wspomnienia jego związku z Dianą. Tak jak on nigdy nie zapomni o przeszłości, której nic już nie zdoła zmienić.

Nie można usunąć smutnych wspomnień z pamięci, ale można złagodzić smutek miłością. Julia prosiła Jeffreya, by przestał się zadręczać, spędziła wiele długich godzin, słuchając go i próbując mu ulżyć. Jeffrey robił wszystko, by rozproszyć jej smutek, ilekroć dostrzegł, że przypomniła sobie o jego romansie.

Teraz dostrzegł jej niepokój.

- O co chodzi, kochanie?

- Myślisz czasem o niej?

- Czasami - przyznał Jeffrey szczerze. - Czasami, kiedy czuję się taki szczęśliwy, radosny, kiedy wydaje mi się, że mam wszystko, czego pragnę. Wtedy o niej myślę. Ale tylko tyle, że życzę jej, by doświadczyła choć części tego szczęścia i miłości, jakie są naszym udziałem. To wszystko, Julie. Po prostu życzę jej szczęścia.

#

Manhattan

luty 1990 W szystkiego najlepszego z okazji dnia Świętego Walentego, kocha@nie - szepnął Jeffrey między pocałunkami, którymi przywitał Julię, kiedy wrócił z pracy do domu o dziesiątej wieczorem. - Choć to dopiero jutro.

- Wszystkiego najlepszego - odpowiedziała Julia czule.

- Słuchasz muzyki?

- Tak. Kupiłam dzisiaj płytę z moimi ulubionymi piosenkami o miłości. Ukazała się akurat na dzień Świętego Walentego. - Uśmiechnęła się do Jeffreya, który, choć był takim romantykiem, nigdy nie słuchał piosenek o miłości. - Poczekaj, nastawię ją i pójdziemy do łóżka.

Zmienili ostatnio zwyczaję i chodzili do łóżka zaraz po powrocie Jeffreya z pracy.

Zamiast wieczorem rozmawiać godzinami, szli od razu do 280 swojej sypialni, rzucając po drodze okiem na śpiącą córkę, a rano wstawali wcześniej, żeby wszyscy razem spokojnie mogli zjeść śniadanie.

Jeffrey podszedł z Julią do adaptera. Gdy Julia brała płytę, przeczytał na okładce albumu bardzo dobrze znane nazwisko: Sam Hunter. Album nazywał się Wspomnienia miłości i znajdowała się na nim też jedna nowa piosenka, zatytułowana Królowa Serc.

- Jeffrey? - Julia zauważyła jego zainteresowanie. Spojrzał na nią nieobecny wzrokiem. - Jeffrey, kochanie, o co chodzi?

Jeffrey uśmiechnął się do swojej ukochanej Julie. Nie, nie powie jej, co przyszło mu do głowy, nie wspomni o Dianie, nie obudzi bolesnych wspomnień. Ale najnowsza piosenka Sama Huntera nazywa się Królowa Serc... Wróci do salonu w nocy, kiedy Julia już zaśnie, nastawi płytę, a jeśli potwierdzą się jego przypuszczenia, porozmawia o tym z Julią... Ale przecież on i Julia nie mieli już przed sobą żadnych tajemnic. Ufali sobie bezgranicznie i wierzyli w swoją cudowną miłość.

- To... to ma coś wspólnego z Dianą, Julie... - powiedział przeprasząco.

- W porządku.

- Ona przeżyła kiedyś wielką miłość, przed swoim małżeństwem z Chase'em. Ta miłość na zawsze została w jej sercu, silna i wiecznie żywa, jak moja miłość do ciebie.

- I moja do ciebie - przypomniała mu Julia cicho. Wiedziała, że wspomniał o Dianie z jakiegoś ważnego powodu. - Powiedz mi, o co chodzi.

- Tą wielką miłością był Sam Hunter. Poznali się w szkole w Dallas.

- Ach tak - szepnęła Julia, marszcząc w zamyśleniu brwi, jakby nie do końca była to dla niej niespodzianka. Julia dobrze знаła i bardzo lubiła piosenki Sama Huntera, zwłaszcza te sprzed dziesięciu lat. Nie wiedziała, że Dianą Sama była Diana Sheperd, ale wiedziała, że przez długi czas Sam Hunter kochał kobietę o tym imieniu!

- Sam opuścił ją, czym sprawił jej wielki ból. Choć wydarzyło się to dawno temu, Diana nigdy nie przestała go kochać. A teraz zauważyłem, że jego nowa piosenka nazywa

się Królowa Serc, i pomyślałem...

- Sam musiał ją opuścić - przerwała mu Julia łagodnie, lecz stanowczo. - Nie chciał, ale musiał.

- Co? Skąd możesz to wiedzieć?

- Dobrze znam jego piosenki. Wszystkie są na tej płycie. Ponieważ dołączono do niej książeczkę z datowanymi tekstami, łatwo możemy sprawdzić, co kiedy zostało napisane. Jestem pewna, że wszystkie te piosenki zostały napisane dla Diany i wiem, że musiał ją opuścić właśnie dla tego, ponieważ tak ją kochał.

- Zwracał się do niej po imieniu?

28ą

- Na początku nie, ale później tak. Jedna z jego najpiękniejszych ballad zatytułowana Dla Diany, została nagrana tuż przed ślubem Diany Spencer z księciem Karolem. Sam mieszkał wtedy w Anglii, więc wydawało się oczywiste, że napisał tę piosenkę dla pięknej narzeczonej księcia. Ja jednak zawsze uważałam, że to piosenka o tej samej kobiecie, dla której śpiewał od dawna. Jest jak szczęśliwe zakończenie, nie ma w niej już tęsknoty, pojawiła się nadzieja na wspólne życie. - Julia umilkła, a potem dodała cicho:

- Ale chyba nie było tego szczęśliwego zakończenia. Sam wołał ją, ale ona mu nie odpowiedziała. Później jego piosenki zrobiły się bardzo smutne.

- Diana nigdy nie usłyszała żadnej z tych piosenek, Julie.

- Musiała słyszeć, jeśli w ogóle słuchała radia.

- Nie słuchała radia. Nie mogła.

- Dlaczego?

Jeffrey zawahał się, ale trwało to tylko chwilę. Wiedział, że musi powiedzieć jej wszystko.

- Kiedy Sam odszedł od niej - a rzeczywiście postąpił tak, bo musiał - Diana spodziewała się jego dziecka. Sam nigdy nie dowiedział się, że mieli córkę. Nazywała się Janie i przyszła na świat z poważną wadą serca. Umarła miesiąc później.

- Boże! - Julia przypomniała sobie troskę i współczucie, z jakimi Diana wysłuchała jej prośby o pomoc dla Merry.

- Miłość Diany do Sama była pełna muzyki. Kiedy Janie umarła, a Diana doszła do wniosku, że Sam nie kochał jej dość mocno, przestała słuchać muzyki, którą kiedyś tak bardzo lubiła. Tamtego dnia, kiedy zobaczyłaś nas w Hyde Parku, kochanie, Diana była bardzo smutna, bo w Sali Zegarowej muzeum usłyszała kuranty, co przypomniało jej piosenkę, przy której zasypiała Janie.

- Och, Jeffrey - wyszeptała Julia. - Sam tak bardzo kochał Dianę.

- A ona jego. Pojechałaby do niego, gdyby usłyszała jego piosenki. Nawet teraz.

- Sam nadal ją kocha. Dlatego napisał Królową Serc. Musiał się z nią widzieć.

- Tak, widział się z nią. W październiku poprosił Dianę, żeby zoperowała jego półroczną córeczkę... Janie. Dla Diany było to bardzo trudne, ale nie odmówiła. Operacja się udała, Janie szybko doszła do siebie i wraz z Samem wróciła do Kalifornii.

Jeffrey spojrział w oczy żony, zamyślane i zamglone przez łzy. Miał nadzieję, że Diana nie będzie na niego zła za to, że zdradził Julii tajemnice jej życia. Postanowił to zrobić, bo chciał ją o coś zapytać.

Ale Julia go uprzedziła: 282

- Musisz jej to wszystko powiedzieć, Jeffrey. Musisz spotkać się z Dianą i powiedzieć jej o tym.

- Dla moich Walentynek - powiedział Jeffrey przy śniadaniu, wręczając Julii i Merry zapakowane w białoróżowy papier prezenty.

- Och, tatusiu! - wykrzyknęła Merry, wyciągając z pudełka złoty łańcuszek z zawieszonym na nim malutkim, złotym smokiem. - Mamo, to Daphne!

- Jeffrey, jakie to śliczne - powiedziała Julia, biorąc do ręki złoty wisiorek. - Jak to zrobiłeś?

- Zaniósłem jedną z twoich ilustrowanych książeczek do Harry'ego Winstona.

- Udało mu się, naprawdę.

- Zobacz, jak sobie poradził z prezentem dla ciebie.

Julia także dostała naszyjnik, pasujący do ich obrączek ślubnych. Był z białego i żółtego złota, stopionych ze sobą w ogniu.

- Och, Jeffrey!

- Podoba ci się? - Nie musiał pytać, bo dostrzegł radość w fiołkowych oczach. - Aha, jeszcze jedno, zanim Merry pójdzie do szkoły. Powiedziałem już w pracy, że wezmę urlop w czasie szkolnej wiosennej przerwy. A ponieważ to już za miesiąc, możemy zacząć robić plany.

- Może jednak będziesz musiał pójść wtedy do pracy, tatusiu.

- Nie, Merry. Nie pójdę do pracy za żadne skarby.

- Chyba że zdarzyłoby się coś bardzo ważnego, jak na przykład ta konferencja pokojowa.

- Ponieważ jest to mało prawdopodobne, zastanówmy się, jak spędzimy nasze wspólne wakacje.

Pięć minut później Merry poszła do szkoły, a Jeffrey i Julia, stojąc w holu, czekali na limuzynę ze studia.

- Naszyjnik bardzo mi się podoba. I strasznie się cieszę, że pojedziemy na wakacje. Przecież jeszcze nie odbyliśmy podróży poślubnej.

- Zastanawiałem się, czy nie odłożyć tej podróży na później. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym pojechać gdzieś bez Merry. A ty?

- Ja też nie.

Jeffrey pocałował ją długim, namiętym pocałunkiem. Kiedy na podjeździe pojawił się samochód ze studia, niechętnie wypuścił żonę z objęć i sięgnął po teczkę, w której miał płyty Sama Huntera.

281

- Kocham cię, Julie.

- Chcę, żebyś mnie kochał, Jeffrey. - Julia uśmiechnęła się do niego, a w jej oczach

nie było ani cienia niepewności. - A Dianie życzę szczęścia.

- Witaj, Diano - powiedział Jeffrey cicho, kiedy odebrała telefon w biurze.

- Jeffrey.

- Muszę się z tobą zobaczyć. To bardzo ważne.

- Ale przecież...

- To pomysł Julii.

- Tak?

- Masz czas dziś wieczorem?

- Nie. O siódmej wylatuję na Florydę. Wzięłam sobie tydzień urlopu.

- Nie do Malibu?

- Owszem, miałam taki masochistyczny pomysł, żeby wybrać się na pooperacyjną wizytę lekarską do Janie. Naprawdę potrzebuję tego urlopu. Muszę zastanowić się nad różnymi sprawami.

- Związanymi z Samem?

- Nie tylko. Nie jestem już taka pewna, czy istotnie muszę objąć teraz stanowisko dyrektora Instytutu Kardiologii, bo Tom okazał się bardzo przyzwoitym facetem. Właściwie chciałabym, żeby to on został dyrektorem. Myślę o wycofaniu się z konkursu.

- Wydaje mi się, że wszystko wspaniale się ułoży.

- Naprawdę? To założenie nie poparte żadnymi faktami, panie redaktorze.

Jeffrey pomyślał, że zna kilka ciekawych faktów.

- Możesz spotkać się ze mną przed wyjazdem?

- To znaczy dziś po południu?

- Kiedy tylko znajdziesz chwilę czasu.

- Mam mnóstwo czasu. W tej chwili zajmuję się tylko papierkową robotą.

- Więc za godzinę u ciebie w mieszkaniu?

- Zgoda.

- Cześć. - Jeffrey uśmiechnął się ciepło do szafirowych oczu. Dostrzegł w nich

napięcie i zmęczenie, ale Diana też odpowiedziała mu uśmiechem.

- Cześć. To naprawdę pomysł Julii? 284

- Naprawdę. Wczoraj wieczorem razem dokonaliśmy pewnego odkrycia. Powinnaś się o tym dowiedzieć. Julia wie, jak ważna jest to sprawa, i to ona powiedziała mi, że muszę się z tobą spotkać. - Jeffrey rozejrzał się po wielkim salonie. - Czy ta wieża działa?

- Tak. Chase słuchał czasami muzyki operowej.

- Dobrze. Choć to właściwie nie ma większego znaczenia, bo mam też książeczkę z tekstami - powiedział Jeffrey, wyciągając z teczki album Sama. Wręczył go Dianie, ale nie chciał czekać, aż sama odkryje prawdę. - Sam cię kocha, moja droga. Zawsze cię kochał.

- Co? - Diana w ogóle nie zwróciła uwagi na płytę. Spojrzała w niebieskie oczy Jeffrey'a, któremu tak bardzo zaufała. - Skąd wiesz?

- Stąd. Wszystko jest na tej nowej płycie Sama z jego pięknymi piosenkami o miłości. Sam śpiewał dla ciebie, Diano. Te wszystkie piosenki są tutaj, Diano, łącznie z tą, w której wyraża nadzieję, że znowu będziecie razem. Napisał ją już po śmierci ojca.

- Śpiewał dla mnie? Nazywał mnie po imieniu?

- Tak, kiedy jego ojciec nie mógł już ci zagrozić. A przedtem... cóż, to zupełnie oczywiste, że wszystkie te piękne, wzruszające piosenki miłosne zostały napisane dla ciebie.

- Więc przez wszystkie te lata - wyszeptła Diana wstrząśnięta Sam mnie kochał?

- Tak, i nadal cię kocha. Jego najnowsza piosenka, niedawno nagrana, nosi tytuł Królowa Serc. Zawsze uważałem, że to bardzo do ciebie pasuje, Diano, choć nie chciałaś, żeby tak cię nazywano. Ale Sam wie, że to idealne miano dla ciebie. - Jeffrey delikatnie dotknął jej policzka, patrząc w pełne niedowierzania i nadziei szafirowe oczy. - Pójdę już, kochanie. Nie rozmyślaj za dużo o przeszłości, bo spóźnisz się na samolot.

- Mam samolot dopiero o siódmej.

- Nie, o czwartej. - Jeffrey wyciągnął z kieszeni marynarki bilet na samolot United Airlines. - Łąduje w Los Angeles o ósmej trzydzieści. Masz miejsce 2B.

- Jeffrey...

- To bilet w jedną stronę, Diano - uśmiechnął się Jeffrey.

- Zobaczą się z nim, prawda?

- Mam nadzieję.

- Och, Jeffrey, dziękuję. - Diana uśmiechnęła się niepewnym, pełnym nadziei uśmiechem. - I podziękuj ode mnie Julii - dodała szeptem.

- Julia prosiła mnie, żebym podziękował tobie, Diano.

285

Diana ciągle miała kartkę, na której Sam napisał numer swego domowego telefonu. Włożyła ją do notesu.

Zadzwoiła zaraz po przylocie do Los Angeles.

- Sam? Mówi Diana.

- Diana!

- Pamiętasz mnie? - spytała cicho, przypominając sobie ten deszczowy wieczór w Bostonie, kiedy Sam zadał jej to samo pytanie.

- Och tak, pamiętam cię - wyszeptał Sam. - Gdzie jesteś?

- Na lotnisku.

- Przyjechałaś do nas?

- Tak.

- Zaczekaj, zaraz opatulę moją małą i przyjedziemy po ciebie.

- Czy Janie już śpi?

- Tak, ale w samochodzie znowu zaśnie.

- A może wezmę taksówkę? Tak chyba będzie szybciej.

Sam czekał na werandzie koło drzwi, na wypadek, gdyby Janie się obudziła. Chciał jednak powitać Dianę jeszcze przed domem.

W październiku oboje zdołali ukryć swoje prawdziwe uczucia. Ale teraz ich oczy były pełne miłości i radosnej nadziei.

- Och, Diano - szepnął Sam. - Tak bardzo mi ciebie brakowało.

- A mnie tak bardzo brakowało ciebie, Sam.

Sam delikatnie dotknął jej twarzy, po czym wziął ją za rękę i chwycił walizkę, z którą przyjechała. Poszli schodami na górę, do sypialni Sama, której okna wychodziły na ocean. Stali przez chwilę w milczeniu, patrząc na migotliwą, złotą wstęgę światła księżycy na czarnej powierzchni Pacyfiku. Potem Sam zaprowadził Dianę do pokoju, w którym spała Janie.

- Witaj, malutka - szepnęła Diana.

Janie nie zbudziła się, ale jej długie rzęsy zdrzębały, a na różowych usteczkach pojawił się lekki uśmiech, jakby wiedziała, że od tej chwili będzie miała i ojca, i matkę.

- Jest teraz zupełnie zdrowa, Diano. Może się swobodnie śmiać, bo w jej płucach nie zbiera się już płyn. - Sam uśmiechał się, patrząc na córkę, ale nagle w jego oczach pojawiły się łzy. - Diano...

- Może wrócimy do twojego pokoju i porozmawiamy?

- Tak.

Usiedli na łóżku Sama, a księżyc oświetlał ich twarze. Sam delikatnie ujął w dłonie smutną, bladą twarz Diany i czule ucałował jej mokre od łez policzki, czekając cierpliwie, aż znowu będzie mogła mówić.

- Tyle mam ci do powiedzenia - wyszeptła w końcu Diana, patrząc w jego pełne miłości oczy. Wiedziała, jaki będzie zrozpaczony, gdy 286 dowie się o córce, która nigdy się już nie zaśmieje. - Ale może dopiero jutro.

- Zgoda.

- Dzisiaj chcę ci tylko powiedzieć, że czekałam, byś do mnie wrócił, ale nie słuchałam twoich piosenek. Wiem, obiecałam, że będę ich słuchać.... ale nie mogłam.

- Śpiewałem, zamiast przyjechać do ciebie po śmierci ojca, bo minęło tyle lat i nie chciałem ci się narzucać...

- I sądziłeś, że słucham twojej muzyki.

- Ale nie słuchałaś.

- Nie. Nadal nie słucham. - Diana uśmiechnęła się, choć usta jej drżały. -
Przeczytałam tylko twoje teksty. Och, Sam, to takie piękne piosenki o miłości.

- Piosenki dla mojej miłości. - Sam ucałował drżące wargi. - Wyśpiewam ci całą
moją miłość. Całe życie będę śpiewał o mojej miłości do ciebie... jeśli tego chcesz.

- Och, tak, Sam, tego właśnie chcę.

- Kocham cię, Diano. Tak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham Sam. Zawsze cię kochałam.

Potem tańczyli w złotym świetle księżyca, tak jak tańczyli wiele lat temu w swoim
ulubionym zakątku w parku w Dallas. Całowali się i tulili do siebie przy melodiach
miłości, które płynęły prosto z ich serc.

287